

Amerykańska autorka thrillerów prawniczych,
której debiut stał się oszalamiającym sukcesem

**GINI
HARTZMARK**



LINIA OBRONY


SREBRNA
SERIA

GINI HARTZMARK

Gini Hartzmark studiowała prawo i ekonomię na uniwersytecie w Chicago. Jest współautorką kilku podręczników akademickich. Publikowała też artykuły o różnorodnej tematyce w renomowanych dziennikach.

Jej pierwsza powieść, *Linia obrony* (1992), była nominowana do nagrody im. Edgara Allana Poe. W 1994 roku Hartzmark wydała drugą książkę, *Final Option*.

Bohaterką prawniczych thrillerów Gini Hartzmark jest Katharine Millholland, młoda energiczna kobieta pochodząca z jednej z najbardziej wpływowych chicagowskich rodzin, która wbrew oczekiwaniom swoich bliskich podejmuje pracę w firmie adwokackiej. Wykonując rutynowe zlecenia finansowe, mimowolnie podąża śladem ludzi zdecydowanych na wszystko w szaleńczej pogoni za pieniądzem.

LINIA OBRONY

Młoda prawniczka Kate Millholland próbuje zapobiec przejęciu firmy jednego ze swych klientów, Stephena Azoriniego, przez bezwzględną konkurencję. Kontrolny pakiet akcji koncernu należy do bratanicy Stephena. Nie spodziewana tajemnicza śmierć dziewczyny wzbudza podejrzenia Kate, która rozpoczyna dochodzenie. Narażając się na niebezpieczeństwo, dokonuje zaskakujących odkryć. Musi jednak doprowadzić śledztwo do końca. Od tego zależy nie tylko los koncernu Azoriniego, ale i jej własne życie...


SREBRNA
SERIA

Cena det. zł 11,80 (1180%)

ISBN 83-7082-506-7



9 788370 425069

GINI
HARTZMARK
LINIA
OBRONY

Przekład TOMASZ WILUSZ



Tytuł oryginału PRINCIPAL DEFENSE

Ilustracja na okładce

KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Redakcja merytoryczna

JOANNA WRÓBLEWSKA

Redakcja techniczna

ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

DOBIEŚŁAW KUBACKI

Copyright © 1992 by Gini Hartzmark

For the Polish edition Copyright © 1996 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7082-508-7

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1996. Wydanie I

Druk: Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Michaelowi

Osoby dramatu

Katharine Anne Prescott Millholland – wywodzi się z towarzyskiej śmietanki Chicago, jednakże nie chce mieć nic wspólnego z bogactwem czy też przysługującymi jej przywilejami. Ta sprytna i nieustępliwa prawniczka podejmuje się czynów, o jakich inni boją się nawet myśleć, i zawsze podąża wytyczonym przez siebie szlakiem, bez względu na niebezpieczeństwa, jakie na nim mogą czyhać.

Stephen Azorini – przez całe życie usiłuje uwolnić się od mafijnych powiązań swojej rodziny. Obecnie jest uznanym lekarzem i założycielem doskonale prosperującej firmy farmaceutycznej zagrożonej przejęciem. Zapobieżenie temu może Stephena bardzo drogo kosztować...

Edgar Eichel – człowiek, który zamierza przejąć firmę Azoriniego, nade wszystko pragnie zdobyć poważanie w świecie rekinów biznesu i zapłaci za to każdą cenę. Jest wybuchowy, ma okropny charakter, a na dodatek nigdy nie przejmuje się konsekwencjami swojego działania.

Joey Azorini – starszy brat Stephena, zarabia na życie w sposób staroświecki, tzn. nielegalnie. Oszukuje, kradnie, a gdyby tylko był w odpowiednim nastroju, mógłby zabić własnego brata.

Pragnę podziękować dr, med. Charlesowi V. Wetli z biura naczelnego lekarza Dade County i dr, med. Joelowi Howellowi za to, że podzielili się ze mną swoją wiedzą. Jestem również wdzięczna Nancy Love, Susan Randol, a zwłaszcza mojemu mężowi, Michaelowi, za ich wkład i słowa zachęty.

Rozdział 1

Wszyscy prawnicy zgromadzeni w sali byli mężczyznami. Naturalnie, nie licząc mnie. Cóż z tego, że kobietom udało się zająć przyczółki na wszystkich pozostałych obszarach tej profesji, gdy w dziale fuzji i wykupu przedsiębiorstw nadal niepodzielnie królowała płęć brzydka. Kiedy parę razy zastanawiałam się nad tym, zmuszona byłam zadać sobie pytanie: co to właściwie o mnie mówi? Na szczęście w tej branży nie ma się wiele czasu na rozmyślanie.

Było to zaraz po Świącie Dziękczynienia. Trwały właśnie spokojne tygodnie poprzedzające Boże Narodzenie, okres, w którym nawet najbardziej zawzięci kapitaliści dają sobie na wstrzymanie. Zakończyłam właśnie sprawę przejęcia dużej firmy tekstylnej, tak pogmatwaną, że wieści o niej nie schodziły z poświęconych biznesowi stron gazet przez ładnych parę miesięcy. Moi współpracownicy wykorzystywali względny spokój, żeby na nowo zapoznać się z żonami i dziećmi. Ja tymczasem zajęłam się usuwaniem masy zbędnych papierów, a ponadto ze wszystkich sił próbowałam nie myśleć o świętach, Russellu i samotności.

I tak właśnie znalazłam się na piątkowym porannym, spotkaniu poświęconym papierom wartościowym. Jakiś geniusz o twarzy koloru serwatki próbował uświadomić nas co do zmian w przepisach. Zamiast słuchać, uważnie przypatrywałam się portretom nieżyjących udziałowców rozwieszonym na ciemnych mahoniowych ścianach, a chwilami zerkałam do notesu Howarda Ackera, w którym właśnie powstawał niesamowicie szczegółowy rysunek pstrąga.

Z nudy wyrwał mnie goniec biurowy, który wsunął się nieśmiało do sali i podał mi karteczkę. Drobne, niewyraźne pismo, tak charakterystyczne dla Johna Guttmana, oznajmiało, co następuje: *Eichel wziął się za Azor. Przyjdź do mojego biura. PS. Weź ze sobą majonez.*

— Dobre wieści? — spytał szeptem Acker. — Wyglądasz, jakbyś właśnie wygrała na loterii.

— Jeszcze lepiej — odparłam i wyszłam z sali.

W żargonie, którym posługują się prawnicy od fuzji i wykupów, w skrócie FiW, taka notatka stanowi wezwanie do boju. Wynikało z niej, że Edgar Eichel, człowiek zajmujący się podkupywaniem akcji innych firm, właśnie zadeklarował chęć przejęcia jednego z naszych najważniejszych klientów, Azor Pharmaceuticals.

Przez cały tydzień obserwowałam kursy akcji Azor, przysłuchiwałam się plotkom z Wall Street i rozmawiałam z arbitrażystami. Przeczynałam, że ktoś ma niecne zamiary względem Azor Pharmaceuticals. Mój szef, John Guttman, uważał, że mi odbiło, i oznajmiał to na każdym kroku. Jego zdaniem zbyt dużo akcji tej firmy znajdowało się w rękach rodziny Azorinich, wliczając w to jej założyciela i prezesa, doktora Stephena Azoriniego. W tej sytuacji, jak stwierdził z wyższością, próba przejęcia byłaby bezsensowna, tak bezsensowna, że jeśli ktoś okazałby się na tyle pozbawiony rozumu, żeby ją podjąć, to on jest gotów zjeść swoje skarpetki. Doszłam do wniosku, że majonez ma mu pomóc w ich przelknięciu.

John Guttman był moim mentorem i oprawcą. Gdy przeszedł do Callahan Ross z konkurencyjnej firmy, przywlekl za sobą grupę poważnych klientów i zasłużoną opinię dupka. Często powtarzana anegdota na jego temat dotyczy jednego z młodych udziałowców, któremu mój szef niegdyś udzielił reprimendy za zbytnią szorstkość.

— Biorąc pod uwagę, że właśnie pan to mówi — odparł ten śmiały młody człowiek — tej rady nie można zignorować.

Po ukończeniu studiów prawniczych załatwiłam sobie pracę w wydziale fuzji i wykupów firmy Callahan Ross. Jednak, chociaż nazwisko Millholland mogło być pomocne w jej zdobyciu, nikt nie chciał dać kobiecie-prawnikowi nic ciekawego do roboty. Po lunchu na moje biurko nie trafiało dosłownie nic. W końcu zajął się mną Guttman. Denerwujące było tylko to, że od tego momentu upłynęły cztery lata, a on nadal oczekiwał ode mnie dozgonnej wdzięczności.

Gdy dotarłam do jego biura, właśnie prowadził dwie rozmowy telefoniczne naraz. Usiadłam tam, gdzie siadam zwykle, i czekałam, aż skończy. Biuro rozmiarami przypominało mały domek na rancho. Znajdowały się w nim: stół konferencyjny, kanapa, szafy z wyzierającymi zza szyb rzędami książek oraz biurko, na którym mógłby z powodzeniem wylądować samolot. W odróżnieniu od innych pomieszczeń firmy, pełnych antycznych mebli, scen myśliwskich, zdradzających ślady dawnej świetności, biuro szefa stanowiło szczyt nowoczesności. Wszystko w nim było białe lub czarne. Na biurku nie było nic poza aktami, które właśnie przeglądał, i szklanym wazonikiem, z którego sterczał żółty pęk idealnie naostrzonych ołówków. Guttman unikał wizyt w moim biurze, jeśli tylko mógł. Ciasnota zdawała się sprawiać mu niemalże fizyczny ból.

— Miałam rację — powiedziałam, kiedy wreszcie odłożył słuchawki.

— Niech, ci będzie, że miałaś. Tylko niech ci to nie wejdzie w krew.

Był nieatrakcyjnym mężczyzną po czterdziestce. Miał kręcone, przyprószone siwizną czarne włosy zaczesane do tyłu. Czarne oprawki okularów podkreślały krzaczaste brwi.

— John, nic na to nie poradzę. Wycucie giełdy to mój szósty zmysł.

— Ach, więc to dlatego Millhollandowie są tacy bogaci.

— Nie. Mój pradziadek sprzedawał Chińczykom opium.

— Skoro jesteś taka wszechwiedząca, to powiedz mi, jaką cenę zaoferował Eichel za akcje Azor?

— Nie mam pojęcia. Wczoraj, po zakończeniu sesji, stały na poziomie trzydziestu siedmiu dolarów z ułamkiem.

— Czterdzieści osiem dolarów od akcji.

— Poważna sprawa.

— Z Eichelem nie ma żartów. Właśnie rozmawiałem z twoim przyjacielem Stephenem Azorinim. Za dwadzieścia minut odbędzie się spotkanie w biurze Azor. Chcę, żebyś wzięła kopię statutu tej firmy i była za dziesięć minut w lobby.

— Mam z tobą iść? — spytałam, chcąc się upewnić, że dobrze usłyszałam.

— Oczywiście — odparł, jakby to nie było nic wielkiego. — Zdaje się, że Stephen powinien dziś widzieć jak najwięcej przyjaznych mu ludzi.

Obecność pracownika postawionego tak nisko jak ja na spotkaniu z klientem, w dodatku tak poważnym jak Azor Pharmaceuticals, była zjawiskiem niemal niespotykanym. W firmie wielkości Callahan Ross, dopóki nie osiągnie się statusu udziałowca, bez konsultacji z górą nie wolno nawet pójść do sądu i zgłosić jakiegokolwiek wniosku.

— No, rusz się — warknął szef.

Moja aktówka przyozdobiona była złotymi inicjałami: KAPM — Katharine Anne Prescott Millholland. Nikt nie jest do końca pewien, skąd wzięły się pieniądze mojej rodziny — chociaż to, co powiedziałam Guttmanowi o moim pradziadku, było akurat prawdą. Istniał też ktoś o nazwisku Prescott, kto uruchomił przedsiębiorstwo papiernicze, i jakiś Millholland, który z kolei, zanim nastały dni związków zawodowych i ochrony środowiska, zbił fortunę na kopalnictwie odkrywkowym. Potem członkowie rodziny zajęli się albo wżenili w transport morski, handel nieruchomościami i inne przedsięwzięcia, tak liczne i dochodowe, że na Monroe Street otworzono małe biuro, w którym przez cały dzień siedzi w ciszy i spokoju trzech pracowników, do których należy zarządzanie funduszami oraz inwestycjami moich rodziców, mojej siostry i moimi.

Jednakże, jak wyjaśnia moja matka po wychyleniu pięciu czy sześciu martini, nie chodzi tylko o to, że jesteśmy bogaci, lecz że zawsze byliśmy bogaci.

Jak sięgnąć pamięcią, Millhollandowie chodzili do odpowiednich szkół, nosili odpowiednie ubrania, należeli do najlepszych klubów i dzielili się swoją fortuną z właściwymi instytucjami charytatywnymi. Moja przyszłość została wytyczona, w chwili gdy przyszedłam na ten świat. Rodzice oczekiwali, że wszystko pójdzie zgodnie ze schematem: dobra prywatna szkoła, bal kotyliionowy, college Bryn Mawr, gdyby się okazało, że jestem zdolna, w przeciwnym wypadku rok-dwa w Szwajcarii, następnie kilkaset imprez towarzyskich, do czasu aż spotkam kogoś o podobnym statusie, za kogo mogłabym wyjść za mąż, potem dzieci, niańka, życie przepełnione galami, spotkaniami i ubraniami, ubraniami, ubraniami. Gdy dorosłam na tyle, żeby zdać sobie sprawę, co mnie czeka (a nastąpiło to w trzeciej klasie szkoły średniej), uciekłam jak Czerwona Królowa.

Po drodze wpadłam na Stephena Azoriniego. Był jak orchidea pośród bluszczu – najegzotyczniejszy chłopak, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Jego ojciec był podstarzałym biznesmenem powiązany ze światem przestępczym. Przyjęcie syna do ekskluzywnej North Shore Country Day School podobno okupił dwunastoma nowymi kortami tenisowymi i centrum audiowizualnym. Nawet gdyby Stephen nie był przystojnym i kulturalnym młodym mężczyzną, a na dodatek doskonałym kompanem, warto byłoby się z nim spotykać dla samego skandalu, jaki notabene udało się nam wywołać.

Ostatni rok szkoły przeleciał błyskawicznie. Zrywaliśmy się z balów kotyliionowych, żeby pójść na wyścigi, boks, odwiedzaliśmy okoliczne kluby bluesowe, o których istnieniu jak dotąd nie miałam najmniejszego pojęcia. W trakcie wyjazdów jego ojca mieszkaliśmy w należącej doń apartamencie, wagarowaliśmy i pływaliśmy łodzią moich rodziców, gdy nadawano ostrzeżenia o niebezpieczeństwie dla małych statków. To Stephen odkrył przede mną znaczenie hasła „seks, narkotyki & rock and roli”. Jego odmienność, wrażenie, że nigdy nie miałam okazji poznać jego stylu życia, spowodowały, że byłam nim jeszcze bardziej zafascynowana.

Nasze drogi rozeszły się w college'u. Ja trafiłam do Bryn Mawr i znalazłam przystań pośród ludzi, którzy w życiu nie słyszeli nazwiska Millholland i których niewiele ono obchodziło. Azorini trafił na Uniwersytet Harvarda, gdzie zafascynował go chłodny obiektywizm laboratorium. Na drugim roku przeniósł się na M.I.T, i wprowadził wszystkich w niezgorsze zakłopotanie, gdy po ukończeniu studiów poszedł na medycynę.

Nie myślałam o nim wtedy zbyt wiele. Pochłonął mnie nawał pracy na studiach prawniczych, a ponadto zdążyłam poznać Russella. W tłumie czterystu osiemdziesięciu gości, tłoczących się pod białym sklepieniem w kościele św. Jana, Stephen nie wyróżniał się dla mnie w żaden sposób. Jednak kiedy sześć tygodni po ślubie wykryto u mojego męża raka mózgu, to właśnie Stephen, wówczas praktykant z uniwersytetu w Chicago, odwiedzał nas w szpitalu i chronił

przed zalewem medycznej biurokracji i złych wiadomości. Gdy czas zaczął uciekać i zachodziła obawa, że nie zdążę dojechać z apartamentu w centrum miasta przed nadejściem nieuniknionego, dał mi klucze od swojego mieszkania tuż przy szpitalu. Spał w dyżurce, a ja leżałam w jego łóżku i roniłam łzy nad moim umierającym mężem.

W taksówce wiozącej nas na spotkanie Guttman zachowywał się zgodnie z zasadą: po wyjściu z biura nie wolno rozmawiać o prowadzonych sprawach. Co roku Callahan Ross wydawała tysiące dolarów na niszcarki dokumentów i urządzenia antypodsluchowe. Nikt nie chciał, żeby jakiś zainteresowany giełdą taksiarz o dobrym sluchu handlował tajemnicami firmy. Dlatego też mój szef, człowiek niezdolny do podtrzymania jakiegokolwiek rozmowy, siedział w ponurym milczeniu i nerwowo stukał palcami w walizczkę.

Guttman nie cierpiał Edgara Eichela. Po raz pierwszy zmierzyli się w trakcie niezwykle dramatycznego przejęcia pewnej spółki wiertniczej. Zanim nasz klient został uratowany przez „białego rycerza”, szef zdążył całkowicie znienawidzić swego przeciwnika. Nienawiść ta graniczyła wręcz z obsesją. Guttman twierdził, że Eichel posłużył się szantażem i zastraszaniem, aby nakłonić udziałowców do odstąpienia mu akcji. Słyszałam coś na ten temat, ale uznałam, że większość tych opowieści należy złożyć na karb legendarnej paranoi mojego szefa. Od tamtego czasu uczucia Guttmana w stosunku do Eichela oscyływały pomiędzy odrazą a pogardą. Wyobrażałam sobie, czym jest dla niego konieczność ponownego starcia z tym człowiekiem.

Szef zapłacił kierowcy, a ja stawiałam czoło mroźnemu i silnemu wiatrowi, który nadciągał ku nam od jeziora. Przy okazji rozejrzałam się na wszystkie strony, żeby sprawdzić, czy ktoś nie obserwuje terenu bądź nie czyha z aparatem gotowym do zrobienia nam niezamówionej fotki. Kiedy szykuje się walka o przejęcie firmy, fotografowie bądź zwykli obserwatorzy natychmiast wyczuwają szansę na suty zarobek. Eichel na pewno znalazł kogoś chętnego do odnotowywania wszelkich odwiedzin u Stephena Azoriniego. Tymczasem jednak jedyną osobą, która wpadła mi w oko, był chudy Murzyn w zatłuszczonym płaszczu, który siedział z zamkniętymi oczami przy wejściu do stacji metra i kiwał się z boku na bok.

Biura firmy Azor znajdowały się we względnie nowym budynku na South Michigan Avenue, naprzeciwko Art Institute. Stephen wynajął to miejsce w tym samym czasie, kiedy przeprowadził się do większego mieszkania. Zadziwił mnie tym, jak wiele czasu poświęcił wystrojowi wewnątrz zarówno jednego, jak i drugiego. Biura były dość przyjemne i oryginalne, eleganckie na tyle, na ile przystoi młodej, nowoczesnej firmie.

Natychmiast zaprowadzono nas do wielkiej sali konferencyjnej. Stół wyciosany z jednej płyty różowego marmuru otaczały czarne fotele obite skórą, za które ktoś kiedyś zdobył nagrodę dla projektantów, ale na których za żadne skarby świata nie dawało się wysiedzieć. Na ścianach nie było obrazów. Z założenia ich brak rekompensować chyba miało okno, z którego rozpościerał się widok na fontannę Buckingham, jak zwykle w zimie wyłączoną i opuszczoną, oraz na szarą taflę jeziora wylaniającego się w oddali.

Udało mi się zidentyfikować tylko kilka postaci — Danny'ego Wohla, głównego doradcę prawnego firmy Azor, i kobietę z biura prasowego, którą gdzieś kiedyś miałam okazję poznać. Twarze wychylające się ponad stołem były napięte — takie, jakich pełno w świecie biznesu. Nie odzywał się nikt. Doszłam do wniosku, że zajęci są układaniem w myśli swoich życiorysów.

Na prawie uczy się studentów, że przejęcie firmy bez wiedzy i akceptacji jej kierownictwa jest sposobem na zdobycie tego, czego nie da się zdobyć w drodze negocjacji. Oczywiście, dokładnie tak samo można zdefiniować gwałt. W pracy usiłowałam nie roztrząsać tego podobieństwa. Jednakże dla Stephena Azoriniego, a jeszcze bardziej dla jego pracowników, próba przejęcia firmy przez Edgara Eichela nie stanowiła intelektualnej łamigłówki.

Azor Pharmaceuticals powstała dzięki Stephenowi Azoriniemu i jego instynktownej znajomości nauki i ludzi. W szkole medycznej wpadł na pomysł zebrania najlepszych młodych naukowców z kraju i zaoferowania im sporych pensji, a przez to uwolnienia od podcinających im skrzydła nauczania i harówki na uniwersytetach. Przez sześć lat działalności ziarna zasiane przez Stephena wydały oszałamiający plon. Długa lista osiągnięć i niekonwencjonalny styl Azoriniego umieściły jego firmę pośród najszybciej rozwijających się przedsiębiorstw farmaceutycznych na świecie. Pracujący w niej naukowcy wyprodukowali lek skutecznie stosowany w zwalczaniu migreny, urządzenia wykorzystywane w bankach krwi do badania obecności wirusa HIV oraz silny środek przeciwnakrzepowy, dzięki któremu śmiertelność pacjentów po założeniu bajpasu zmalała o dwanaście procent. W przygotowaniu był nowy specyfik dla dzieci chorych psychicznie w wyniku alkoholizmu rodziców oraz nowe, rewolucyjne lekarstwo na schizofrenię.

A teraz Edgar Eichel, człowiek, który nawet nie ukończył college'u, a zaczął karierę w świecie biznesu od produkcji tłumików samochodowych, zdecydował, że chce kupić Azor Pharmaceuticals. Najprawdopodobniej doszedł do wniosku, iż sprzedając firmę wydział po wydziale, zarobi na tym, a może uznał, że patenty będące jej własnością, jak również majątek — komputery, budynki, aparatura i hale produkcyjne — przedstawiają sobą większą wartość niż akcje, które będzie musiał nabyć, żeby stać się ich właścicielem. Dla Eichela, mieszkającego jak

baron w Lake Forest, to dobry interes, ale dla ponad czterystu pracowników Azor niemających żadnego wpływu na prowadzone przezeń gierki, to potencjalna klęska.

Stephen wszedł po cichu. Moja współlokatorka, Claudia, zawsze wyrażała się o nim, iż jest tak przystojny, że aż plomby bolą i, co gorsza, miała rację. Jego twarz przywodząca na myśl włoskie gwiazdy filmowe wyglądała, jakby wyciosano ją z jakiegoś kamienia szlachetnego. Miał przymglone niebieskie oczy i czarne włosy, nieco dłuższe, niż pozwalała na to przyzwoitość w świecie biznesu. W dodatku przy wzroście stu dziewięćdziesięciu trzech centymetrów trudno go było nie zauważyć. W chwili gdy wszedł do sali, cała uwaga skupiła się na nim. Znałam go od ponad dwunastu lat, ale nadal dopiero po jakiejś minucie byłam w stanie otrząsnąć się z wrażenia, jakie na mnie zrobił.

Usiadł na najważniejszym miejscu przy stole, a jego asystent, Richard Humanski, przystąpił do rozdawania jakichś dokumentów. Richard był jednym z młodych, inteligentnych chłopców, których szlifuje uniwersytet w Chicago. Gdyby nie to, że zawsze stał u boku Stephena, można by go nawet uznać za przystojnego.

Pierwsza z kartek była kopią listu od Edgara Eichela. Zaczynał się od: „Drogi Doktorze Azorini”. Zaczął padać deszcz. Wielkie, zimne krople spływały z wolna po szybie.

— Jak zapewne zdołali państwo dostrzec, pan Eichel przesyła nam pozdrowienia, a ponadto powiada, że w tajemnicy nabył cztery przecinek dziewięć procent wyemitowanych akcji Azor Pharmaceuticals oraz że zamierza zakupić większą ich liczbę po czterdzieści osiem dolarów za akcję bądź całość za kwotę o trzydzieści procent przewyższającą notowania giełdowe w chwili zamknięcia. Dał nam tak mało czasu, jak to możliwe w zgodzie z prawem, tzn. dwadzieścia dni roboczych, co oznacza, że nasi udziałowcy mają mniej niż cztery tygodnie na podjęcie decyzji, czy dobrze wykonujemy naszą pracę, czy też powinni po prostu wziąć swoje pieniądze i pozwolić panu Eichelowi na podjęcie próby przejęcia przedsiębiorstwa.

Pan Eichel dodaje, iż liczy na wynegocjowanie połączenia firm za zgodą obydwu stron. — Azorini przerwał na moment. — Naturalnie wiemy, co dla pana Eichela oznacza połączenie za zgodą obydwu stron; to tak, jakby nieznanemu mężczyźnie podszedł na ulicy do jakiejś kobiety, zerwał z niej ubranie, po czym poprosił ją o rękę.

Na sali rozległ się chichot.

— Chcę, żebyście wiedzieli — podjął Stephen — że nie ma mowy, aby Edgar Eichel czy ktokolwiek inny przejął tę firmę. Azor Pharmaceuticals to niezwykle, jedyne w swoim rodzaju przedsiębiorstwo. Nie produkujemy łożysk, papieru toaletowego ani tłumików. Wytwarzamy i sprzedajemy leki oraz sprzęt medyczny, które ułatwiają ludziom życie. Wydajemy miliony dolarów na badania,

które, gdyby nie my, nie byłyby prowadzone w ogóle. W momencie rozpoczęcia pracy w naszej firmie naukowcy palą za sobą wszystkie mosty. Jeśli Azor splajtuje, odczuje to na swojej skórze wielu, wielu ludzi. Jeśli pokonamy Edgara Eichela, jedyną osobą, która cokolwiek odczuje, będzie on sam.

To było naprawdę dobre, poruszające przemówienie. Niestety, często przytaczane prawdopodobieństwo odparcia dobrze sfinansowanej i konsekwentnie prowadzonej próby przejęcia przedsiębiorstwa wynosi dwadzieścia procent. Pobożne życzenia i brawura nie wystarczą, by pokonać Edgara Eichela.

— Poczynając od tej chwili, udaremnienie przejęcia staje się naszym priorytetem. Będziemy spotykać się tu, w tym samym gronie, codziennie o ósmej rano, by krótko przeanalizować zaplanowane na dany dzień działania, oraz o szóstej po południu w celu przedyskutowania najważniejszych wydarzeń minionych dziesięciu godzin. Chciałem przypomnieć, jak niebezpieczne może okazać się dyskusowanie czy choćby plotkowanie na poruszane przez nas tematy po wyjściu z tej sali. Nasz przeciwnik planował to od ładnych paru miesięcy. Teraz musi jak najszybciej wykonać swoje posunięcie, a fakt, że nie posiada żadnych informacji z pierwszej ręki o Azor Pharmaceuticals i naszych zamiarach, jest jak do tej pory naszym jedynym atutem.

Rano uzgodniłem z bankiem First New York, że będzie nas reprezentował jako nasz bank inwestycyjny. Niedługo pojawi się tu Brian Gould ze współpracownikami. Spotkamy się z nimi później i przy ich pomocy rozplanujemy nasze działania bardziej precyzyjnie. Tymczasem powiadomiłem giełdę i obrót akcjami Azor został zawieszony na dwadzieścia cztery godziny. Ponadto w niedzielę o 12.00 odbędzie się spotkanie zarządu firmy. Kilku wiceprezesów przebywa za granicą, dlatego też obawiam się, że jest to najwcześniejszy termin, w jakim można je będzie zwołać.

Stephen zdawał się przekonany, że zarząd poprze jego decyzję o podjęciu walki z Eichelem. Miałam nadzieję, że wie coś, czego ja jeszcze nie wiem. Kiedy Azor dwa lata temu przekształciła się w przedsiębiorstwo publiczne, założyciele drastycznie zmniejszyli liczbę posiadanych akcji i zostali zmuszeni do przyjęcia czterech nowych wiceprezesów, z których trzech reprezentowali interesy nowych, instytucjonalnych udziałowców firmy. Czwartym nowym członkiem zarządu został stary przyjaciel rodziny, Tucker Sweet — jemu przypadła funkcja reprezentanta udziałowców prywatnych. Trzej pozostali wiceprezesi byli naukowcami, blisko związanymi z Azorinim.

Trzech spośród nowych członków zarządu było bankierami zainteresowanymi głównie zwiększeniem zysków ich inwestorów. Nie mogłam sobie wyobrazić, by któryś z nich zdecydował się odrzucić ofertę tak nęcącą, jak to, co zaproponował Eichel. Rozstrzygający głos co prawda należał do Stephena, ale

wystarczyłoby, by jeden „niewierny” naukowiec lub Tucker Sweet stanął po stronie bankierów i Stephen musiałby podjąć negocjacje z Eichelem na temat warunków kapitulacji.

Po zakończeniu spotkania Azorini stał przy drzwiach, jak gospodarz po udanym przyjęciu ścisnął dłonie zebranych, poklepywał ich po plecach. Gdy zmierziałam za Guttmanem ku wyjściu, odciągnął mnie na bok. Udawałam, że grzebię w aktówce, aż wszyscy wyszli z sali. Mój szef zajął niecierpliwie do środka, ale kiedy zauważył, że zostałam sam na sam ze Stephenem, obleśnie mrugnął okiem, po czym zniknął z pola widzenia.

— Jak tam, trzymasz się jakoś? — zapytałam, gdy już rzeczywiście nikogo nie było. Nawet w szpilkach musiałam zadzierać głowę do góry. Czulałam się przez to jak mała dziewczynka, a to nie było zbyt przyjemne.

— Jestem dość wkurzony, ale poza tym w porządku. Problem w tym, że będzie o wiele gorzej, zanim się polepszy. — Przerwał. — Ale nadal trudno mi uwierzyć, że przewidziałaś to wszystko.

— Przykro mi z tego powodu.

— Niepotrzebnie. Cieszę się, że mnie uprzedziłaś. Zrobiłem wiele z tego, co zasugerowałaś w zeszłym tygodniu. Skontaktowałem się z Gouldem, jeden z pracowników zajął się uaktualnieniem list udziałowców. Przynajmniej Eichel nie zaskoczył mnie całkowicie.

Asystent Azoriniego, Richard Humanski, wsadził głowę w szparę w drzwiach.

— Przepraszam, że przeszkadzam, Stephenie, ale dzwoni Eli Wexler.

— Powiedz mu, że już idę. — Wexler był jednym z największych udziałowców Azor. — Kate, muszę lecieć.

Kiwnęłam głową w kierunku jego oddalających się pleców.

Podczas mojej krótkiej kariery zawodowej miałam okazję widzieć mnóstwo bezpardonowych bitew w świecie biznesu. Wielu znanych mi ludzi znajdowało się w takiej sytuacji jak Stephen. Znacznie lepiej niż on znałam potężne moce gotowe obedrzeć go ze skóry. Chciałam wyciągnąć do niego dłoń, ale nie mogłam.

Znałam Azoriniego od wielu lat. Nasze wzajemne stosunki przechodziły przez wiele różnych etapów. Byliśmy ze sobą bardzo blisko, a jednak istniała między nami jakaś tajemnicza granica. Od początku mieliśmy wrażenie, że każde z nas ma wiele drzwi, które na zawsze pozostaną zatrzaśnięte.

Zarówno Stephen, jak i ja postawiliśmy mosty, przez które mógł przejść tylko ich „budowniczy”. Oddałam całe swoje serce Russellowi i zostało mi zabrane. Moje źródło wyschło. Stephen zachował wszystkie uczucia dla Azor Pharmaceuticals.

Ale w ciszy taksówki wiozącej mnie z powrotem do biura zaczęłam myśleć o stratach, jakie poniosłam w życiu. Pragnęłam ze wszystkich sił, by udało się odeprzeć natarcie Edgara Eichela.

Rozdział 2

Przez resztę piątku panował ogólny chaos. W sobotę złapaliśmy odpowiedni rytm i biuro wypełniła atmosfera towarzysząca rozpoczęciu pracy nad poważną sprawą. Za dwa tygodnie wszyscy będą poddani działaniu zbyt dużej ilości kawy i pozbawieni wystarczającej ilości snu. Prawnicy będą sarkać, wrzeszczeć i z wściekłością rzucać słuchawki telefoniczne na widelki. Sekretarki zaczną składać rezygnacje. Obsługujący korespondencję będą chodzić w kółko i narzekać, że nie po to pracują w nadgodzinach, żeby wysłuchiwać obelg jakichś ważniaków. Ale teraz, na początku, panowało charakterystyczne rozgorączkowanie. Byliśmy gotowi do wykonania jednego, ważnego, skomplikowanego rzutu kostkami — wszyscy razem ze wstrzymanym oddechem wyczekiwaliśmy momentu, w którym się wreszcie potoczą.

Poprzedniej nocy krzątania w biurze skończyła się grubo po północy. Powstała już dość rozległa lista działań, jakie należy przedsięwziąć w obronie przed Eichelem. Wydział fuzji i wykupów został podzielony na grupy, które miały za zadanie wprowadzić w życie pierwszą fazę działań obronnych. Jedna z nich opracowywała wnioski o otwarcie postępowania do sądów w każdym ze stanów, w których znajdowały się spółki holdingowe Azor Pharmaceuticals bądź należące do Eichela. Inni prawnicy przygotowywali się do przedstawienia Food & Drug Administration ewentualnego konfliktu interesów. Następną grupą szykowała obronę przed wnioskami, które Eichel na pewno złoży do sądu, chcąc przebrnąć przez labirynt klauzul statutu Azor Pharmaceuticals (za ich pomocą firma miała zostać zabezpieczona przed potencjalnymi próbami przejęcia). Prawnicy siedzieli w magazynie akt i bibliotece, zaabsorbowani polowaniem na wszelkiego rodzaju precedensowe decyzje i wymyślaniem różnych strategii obliczonych na zyskanie czasu. Dziesiątki sekretarek, pomocników, pracowników odpowiedzialnych za wykonywanie kopii materiałów (Guttman całkiem poważnie

określał ich mianem kserografów) oraz obsługujących edytory tekstu pracowały w nadgodzinach, produkując masę papierów stanowiących ekwiwalent amunicji w konflikcie między dwiema firmami.

Główną motywację stanowiła obawa, że dwadzieścia dni, które dał nam Eichel, mogło nie wystarczyć do powstrzymania jego niszczycielskiej maszyny. Przecież, z czego wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, on też dysponował pracującym dla niego zespołem ludzi, a w dodatku ci nasi nieznanymi przeciwnicy zajmowali się tym od ładnych paru miesięcy. Należało więc zakładać, że byli w stanie zapewnić go o posiadaniu wystarczających środków prawnych i pieniężnych. Ponadto istniało wiele wątpliwości, czy Stephen naprawdę może liczyć na wsparcie zarządu Azor i w związku z tym, czy wszelkie misterne plany obrony nie legną w gruzach po zakończeniu niedzielnego spotkania.

Zabrałam się do pisania pierwszej wersji formalnej odpowiedzi Azor na ofertę Eichela. W większości wypełniała ją mnóstwo prawniczych terminów, jednakże kilka ważnych fragmentów musiało zostać odpowiednio sformułowanych. Moje biurko zniknęło pod warstwą dokumentów, zdjęłam buty i założyłam na uszy walkmana z włączonym niemal na cały regulator klasycznym już utworem Elvisa Costella „My aim is true”. Cheryl, moja sekretarka, musiała wejść i trącić mnie w ramię, by poinformować, że dzwoni moja matka.

— Nie powiedziałaś jej, że teraz nie mogę rozmawiać? — jęknęłam.

— Podobno to coś bardzo ważnego.

Westchnęłam ciężko. Cheryl była inteligentną dziewczyną z Bridgeport. Uczęszczała na wieczorowe studia prawnicze na Uniwersytecie Loyola.

— Nie patrz tak na mnie — rzekła — przecież to twoja matka.

— Wiem — odpowiedziałam — i to nie twoja wina, że jest czarownicą.

Kiedy sekretarka zamknęła za sobą drzwi, najpierw przygotowałam się psychicznie do rozmowy z matką, legendarną piękną elitą towarzyskiej Chicago, Astrid Millholland, po czym podniosłam słuchawkę.

— Dzień dobry, mammo.

— Kate, tak się cieszę, że zdołałam cię złapać, zanim Timothy zabierze się do układania moich włosów. Kucharze będą tu lada chwila, a pani Mason oczywiście dostaje ataku hysterii na samą myśl o tym, że wejdą do jej kuchni, w dodatku Neuchatel nie może przywieźć czekoladek i jeśli po południu nie położę się na godzinę, za żadne skarby nie będę w stanie przeżyć dzisiejszego wieczoru.

Zupełnie zapomniałam. Dziś wieczorem rodzice wydawali wielkie przyjęcie.

— Mammo, powiedziałaś Cheryl, że to coś ważnego.

— Bo tak jest. Anna powinna zaraz przyjechać do twojego biura z tą czarną złą suknią Adolfo. Zwęziłam ją dwa razy, a i tak jest za szeroka. Pomyślałam więc, że możesz ją dziś włożyć.

Ważę cztery kilo więcej od matki. Biorąc pod uwagę, jak często i perfidnie mi o tym przypomina, można by pomyśleć, że tak naprawdę jest między nami ze czterdzieści kilogramów różnicy.

— Nawet nie wiem, czy będę mogła przyjść. Mam bardzo ważną sprawę na głowie.

— Wiem, Azor Pharmaceuticals. A przecież rozmawiałam dziś rano ze Stephenem Azorinim i zapewnił, że przyjdzie. Chyba nie zostawisz go samego. Co by sobie ludzie pomyśleli?

Przez mniej więcej cały ostatni rok Stephen i ja byliśmy w jakimś sensie od siebie uzależnieni, jeśli chodzi o udział w tzw. życiu towarzyskim. Były pewne „ważne” przyjęcia, z których nie mogłam się w żaden sposób wykręcić, a Azorini czuł się bardzo dobrze pośród ludzi biorących w nich udział. Z drugiej strony, ja lubiłam towarzystwo naukowców i wynalazców, których przyjmował on. W ten sposób nie musieliśmy prowadzić gwałtownych poszukiwań odpowiedniej osoby towarzyszącej.

— Mamo, kto jak kto, ale Stephen zrozumie, że muszę tu zostać i dokończyć pewne rzeczy.

— Nie mają prawa zmuszać cię do pracy w sobotę — stwierdziła oburzonym głosem. — Zadzwoń do Skipa Tillmana.

Skip Tillman był jednym z udziałowców zarządzających Callahan Ross. Jego żona, Betsy, i moja matka grywały razem w brydża.

— Nie rób tego — wybuchnęłam głosem trzecioklasistki. Czułam się dokładnie tak samo. — Postaram się tam być.

— To rozumiem — mruknęła. — Anna wpadnie do ciebie, zanim pojedzie po czekoladki. Kazałam jej wziąć puderko z igłami i nićmi. Przymierz tę suknię. Jeśli będzie za ciasna, ona ci ją poszerzy.

— Mamo, nie mam czasu na przymierzanie sukienek. Włożę tę niebieską, którą miałam na ślubie Lizzie Simpson.

— Nie, absolutnie nie. Przecież to zajmie ci tylko minutkę, Anna potrafi wszystko tak szybko zrobić... Poza tym ona będzie dopasowywać, a ty możesz w tym czasie dyktować to, co tam musisz. Pamiętaj, żeby zakręcić włosy i w żadnym wypadku ich nie związywać. W tym koku wyglądasz tak staroświecko — zupełnie jakbyś dopiero co wyszła z biura. Gdybyś choć trochę bardziej troszczyła się o swój wygląd, mogłabyś być piękną młodą kobietą.

Gdy po pewnym czasie do mojego biura wszedł Tucker Sweet, jego oczom ukazał się ciekawy widok: ja stałam na biurku i czytałam poprawioną wersję odpowiedzi, a w tym samym czasie Anna, ponura filipińska pokojówka mojej matki, zajmowała się spinaniem rąbka dość wyzywającej czarno-złotej sukni wieczorowej Adolfo.

— Witaj, Anno — odezwał się radośnie i usiadł na moim fotelu. — Wygląda mi to na pomysł twojej matki, Kate.

— Tucker, proszę cię, nie prowokuj. — Był starym przyjacielem rodziny i jedyną osobą wśród tak zwanej „śmietanki”, do której nie czułam antypatii.

Jego wielkiej fortuny nie przyniósł mu spadek; on po prostu się w nią wzenił. Był synem dentysty z Iowa, któremu udało się omamić, a wreszcie zdobyć młodszą siostrę swojego współlokatora z okresu studiów w Princeton, kobietę może nie nadzwyczajnej urody, ale posiadającą pieniądze i rodowód. On do związku wniósł swój osobisty urok i szeroki uśmiech, które zapewniały tej parze miejsce na szczycie wszelkiego rodzaju „rankingów” elity towarzyskiej.

Co ważniejsze, pod tą fasadą kryło się prawdziwie złote serce. Zawsze był zainteresowany tym, co się do niego mówi — przez to zasłużył na moją ogromną sympatię. Traktował mnie jak osobę dorosłą, nawet wtedy, gdy nikt inny nie uważał, że na to zasługuję.

— Cóż cię sprowadza do świata ludzi pracy, zwłaszcza w sobotę? — spytałam.

— Wpadłem tylko, żeby sprawdzić, co masz zamiar włożyć dziś wieczorem. Postaraj się wyglądać jak najlepiej. Twoja matka zaprosiła Edgara Eichela i chodzi słuchy, że zamierza on przyjść.

— Coś takiego! Moja matka przecież nigdy nie wpuściłaby Eichelów.

— Usiłuje wyciągnąć od niego parę milionów na Instytut Sztuki.

Instytut Sztuki był najważniejszą z organizacji filantropijnych. Wejście do tego zakłętęgo kręgu było niezwykle dokładnie strzeżone, same pieniądze nie wystarczały, zwłaszcza w wypadku takiego natrętnego nuworysza jak Eichel, bez względu na to, jak wiele dolarów dzieliło go od przeszłości w produkcji tłumików.

— A od kiedy on zainteresował się sztuką?

— Od czasu gdy jego żona postanowiła, że znajdzie się w zarządzie Instytutu.

— Ile by nie dał, nie dojdzie do tego. Może w następnym pokoleniu.

— Oczywiście, ale powiedzą mu o tym, dopiero jak dostaną pieniądze. I dobrze mu tak.

— Proszę się obrócić — wymamrotała Anna. Usta miała pełne szpilek.

Posłusznie wykonałam czterdziestopięciostopniowy obrót.

— W każdym razie Eichel tam będzie. Idziesz ze Stephenem?

— Chyba tak. Jeszcze z nim nie rozmawiałam, ale podobno dziś rano powiedział mojej matce, że zamierza przyjść. Pewnie pójdę z nim — oczywiście, jeśli Guttman da mi wolne.

— Na pewno da. Właśnie mówił mi, jak to dobrze, że będziesz mogła trzymać Stephena za rękę i przekazywać do biura dane na temat jego stanu emocjonalnego.

— Nie wierzę, że tak powiedział. Rola oswojonej przyjaciółki zaczyna mnie okropnie męczyć.

— Słowo daję — potwierdził Tucker. — Guttman wierzy, że przeprowadzisz Azoriniego przez wszystko, co go czeka, że będziesz mu poprawiać humor i wybijać z głowy wszelkiego rodzaju głupoty.

— Po to skończyłam prawo. To znaczy, że wpadłeś, żeby zobaczyć moją spódnicę i dowiedzieć się, w jakim stanie emocjonalnym jest Stephen?

— Podejrzewam, że kiedy zobaczy cię tak ubraną, może stracić panowanie nad swoimi emocjami. Naprawdę niezłe w niej wyglądasz. Ale już poważnie — przyszedłem pogawędzić z twoim dobrym znajomym, Johnem Guttmanem, na temat spotkania zarządu Azor.

Dzień, w którym uświęcony węzeł małżeński złączył Tuckera Sweeta z Eunice Worthington, był równocześnie ostatnim dniem jego udziału w typowej, codziennej harówce ludzi pracy. Mimo to nadal trzymał rękę na pulsie dzięki członkostwu w zarządach kilku firm i organizacji charytatywnych. W Azor urzędował od dwóch lat. To, że tam się znalazł, było rezultatem mojej sugestii. Stephen usiłował zdobyć fundusze na sfinansowanie nowego wydziału badań hematologicznych pośród wielu dobrze ustawionych znajomych Tuckera.

— A co w związku z tym spotkaniem? — spytałam.

— Po prostu uznałem, że powinno odbyć się jak najszybciej. Dokładnie mówiąc, dzisiaj. Mimo że dwaj członkowie zarządu są za granicą. Zdaje się, że na jakimś zjeździe naukowców w Skandynawii. Jakby nie mogli znaleźć lepszego miejsca! Komu się chce jechać w zimie do Norwegii, na Boga! W każdym razie nie ma co liczyć na ich powrót przed niedzielą po południu.

— To tylko dwadzieścia cztery godziny później.

— Wiem, ale w niedzielę rozpoczyna się sezon polowań na łosie. Wybieram się w góry Adirondack, takiej okazji nie przepuszczę.

Niechaj niebiosa pomogą Azoriniemu, pomyślałam, jeśli członkostwo w zarządzie Azor ma być traktowane na równi z mordowaniem łosi.

Dom moich rodziców jest niewidoczny od strony ulicy. Stoi z dala od szosy, nad Lake Forest, za wysoką kamienną bramą wieńczącą koniec krótkiego podjazdu oznaczonego napisem „teren prywatny”. Starannie utrzymany lasek graniczy z trawnikiem, który w lecie jest tak krótko i dokładnie przystrzyżony, że wygląda jak nawierzchnia pola golfowego. Teraz przykrywał go śnieg, przez co duży dom wyglądał, jakby postawiono go na srebrnym podłożu.

Z okazji przyjęcia wszystkie światła były włączone. Samochody stały na całej długości podjazdu i na zamrożonym trawniku od zachodniej strony. Służący w czerwonych marynarkach i zielonych muszkach dygotali na ganku. Niekiedy biegali pośród samochodów, przytrzymując drzwi i parkując bentleye i BMW na nielicznych już wolnych miejscach. Na tyłach domostwa znajdowało się specjalne

miejsce dla limuzyn, tak, żeby ich kierowcy mogli wejść i przekąsić coś w skrzydle dla służby

W trakcie jazdy wypaliłam ze Stephenem trochę trawki. Zastanawiałam się, czy było to zgodne z nakazem mojego szefa i mogło zostać potraktowane jako poprawianie nastroju Stephena. Kiedy podjechaliliśmy pod drzwi wejściowe, spryskałam włosy dezodorantem Joy. Przechowywałam go w schowku w BMW Azoriniego na takie właśnie okazje. Mój partner podał kluczyki służącemu, który powstrzymał się przed znaczącym uśmiechem po wyczuciu zapachu marihuany, i wkroczyłam do domu rodziców tak jak wszyscy inni goście.

Nie było to dobre miejsce do dorastania. Za duże i bezpłciowe — zupełnie jak muzeum mebli należące do rodziców zbyt zajętych własnymi uciechami, by zwracać uwagę na dziecko. Jednakże tej nocy, gdy wewnątrz wypełniali ludzie i gwar rozmów, wyglądało pięknie. U stóp długich, zakręcanych schodów stała czterometrowa choinka obwieszona ręcznie wyrabianymi ozdobami i łańcuchami z pereł. Żyrandole rozbłyskiwały ciepłym światłem odbijającym się w wypolerowanej podłodze. Błyszczący mahoń raził w oczy, jedwab i aksamit przytłaczały swoim przepychem.

Rodzice stali przed choinką zajęci witaniem nowo przybyłych gości. Dostojna twarz ojca była już wyraźnie zaczerwieniona — oznaka wypitych paru kolejek dżinu — mimo to niezwykle zgrabnie wychodziło mu flirtowanie ze stadkiem przyjaciółek matki. Wszystkie były tak niewiarygodnie chude i wspaniale odstawione, że wyglądały, jakby wycięto je z jednego żurnala.

Moja matka, dobiegająca sześćdziesiątki, była najpiękniejszą ze zgromadzonych kobiet. Jej charakterystyczna kasztanowa grzywka była zaczesana do tyłu, przez co odsłonięte było wysokie, marmurowe czoło. Dzięki temu wszyscy mogli podziwiać jej nienaganną cerę i kształtne kości policzkowe. Miała na sobie długą, obcisłą jedwabną spódnicę w kolorze fuksji i naszyjnik z diamentów, wart prawdopodobnie tyle, ile wynosi dochód narodowy niejednego państwa afrykańskiego.

Wbrew pozorom, jestem bardzo podobna do matki — ten sam kolor włosów, rysy twarzy, budowa ciała — jednak kiedy to wszystko połączy się w jedną całość, okazuje się, że to nadal za nią oglądają się mężczyźni, a ja wyglądam co najwyżej jak niebrzydka prawniczka. Uroda przeszła na moją młodszą siostrę, Beth, która z kolei znajdowała w torturowaniu matki jakąś perwersyjną satysfakcję i paradowała po domu w samych spodniach od dresu, a na dodatek nie myła włosów.

— Ta suknia dobrze na tobie leży — szepnęła matka, muskając ustami powietrze w pobliżu mojego policzka — ale ułożenie włosów powinnaś była pozostawić Timothy'emu.

Po trawce byłam głodna jak wilk. Wzięliśmy po lampce szampana z tacy podtykanej nam pod nos przez jednego z kelnerów i ruszyliśmy w głąb labiryntu ludzi wypełniających dom. Zatrzymywaliśmy się, by zamienić z kimś parę zdań

pozbawionych głębszego znaczenia i wybrać którąś ze znakomitych przekąsek. Mieliśmy do wyboru strąki grochu z lososiowym nadzieniem, ciepłe ciasto z sosem z bazylii i innych przypraw, grzanki z pasztetem z gęsiej wątróbki pokryte plasterkami trufli. Wypiliśmy jeszcze trochę szampana. Rozmowy z innymi gośćmi sływały po nas niczym krople deszczu.

Poprowadziłam Stephensa na skróty przez oranżerię, oszklony pokój na tyłach domu i sień do kuchni. Była wielka jak w restauracji. W jednym końcu stał stół, przy którym jadalni służyący. Kucharki chichotały i szczebiotały wokół Stephensa, który wyglądał, jakby smoking wynaleziono specjalnie dla niego. Dawały mu do spróbowania potrawy, które miały podać na kolację. Skosztował wszystkich i stwierdził, że smakują wyśmienicie. W tym czasie ja nałożyłam gruby kawał smażonej wołowiny na talerz Royal Copenhagen i przemyciłam go do pomieszczenia obok.

— Ten pies się rozchoruje — rozległ się ostrzegający głos pani Mason ukrytej w ciemnościach pokoju z telewizorem dla służby.

Matka dała jej wolny wieczór, ale ta kobieta nie była w stanie nigdzie wyjść, wiedząc, że po jej kuchni pętają się intruzi. Dlatego też siedziała w mroku i, niczym Kasandra, mamrotała przepowiednie dotyczące stanu podłóg i naczyń po wyjściu kucharzy.

— Nic mu nie będzie — odparłam — w końcu już tylko ja go rozpuszczam.

— Hmm — zamruczała nieprzyjaźnie potężna Murzynka — panienka sobie pójdzie, a pies narzyga na podłogę.

Rocket ożywił się, słysząc moje kroki. Był to stary czarny labrador, nie dość, że gruby, to jeszcze dotknięty artretyzmem. Niedgdyś należał do mojego starszego brata, Teddy'ego, który pewnego wieczora powiesił się w garażu. Chciał, by rodzice znaleźli go po powrocie z przyjęcia.

— Sie masz, stary — przywitałam go i otworzyłam klatkę. Podźwignął się na cztery łapy i zaczął szczeleć, wymachując całą tylną częścią ciała z radości. — Przyniosłam ci coś. — Podrapałam go za uszami i po brzuchu. Następnie, kiedy już udało mu się wytrzeć łapy w moją suknię, postawiłam talerz w budzie.

— Hej, Rocket — usłyszałam za sobą głos Azoriniego. — Jak żyje?

— Starzeje się. Matka chce go uspić, ale ojciec się nie zgadza. Teddy kochał tego psa.

Następne trzy godziny upłynęły nam na prowadzeniu rozmów z każdym, kto mógł być właścicielem akcji Azor Pharmaceuticals. Stephen do niczego nie namawiał — na przyjęciach nie wypada dyskutować o interesach. Jednakże gdy tylko ktoś wspomniał o przejęciu firmy, żartował, że sam je zaaranżował, żeby dać mi coś do roboty. Według niego, miało mnie to uchronić przed wplątaniem się w jakieś ciemne interesy. Rozmówcy śmiali się, odnosząc równocześnie

wrażenie, iż oto mają do czynienia z człowiekiem, który z zimną krwią radzi sobie z kłopotliwym problemem.

Od czasu do czasu przyłapywałam Stephena na obserwacji Edgara Eichela, który stał po przeciwnej stronie pokoju. Był na tyle ostrożny, żeby nie zbliżyć się doń na odległość, przy której wymiany zdań nie dałoby się umknąć. Przyjrzałam mu się kątem oka — stał w sali muzycznej — łysiejący, niski mężczyzna z cygarem w zębach, ściśnięty pasem w kratkę. Wyglądał, jakby w szkole średniej pastwiono się nad nim za wygląd lalusia i przez resztę życia próbował się odegrać. Jego żona była typowym przykładem kobiety żyjącej przyjęciami: bardzo, bardzo chuda sylwetka, włosy blond, suknia bez ramiączek zaprojektowana przez Oscara de la Rentę i za dużo biżuterii.

Kiedy podano deser (gotowane gruszki w śmietanie *anglaise* oraz czekoladowe ciasto nadziewane kremem z malin), poszłam z Azorinim na górę, do skrzydła dziecięcego.

Dziewczęta siedziały w saloniku, zaabsorbowane udziałem w czymś, co przypominało festiwal horrorów i filmów science fiction z kaset wideo. Moja młodsza siostra, Beth, i jej najlepsza przyjaciółka, Gretchen Azorini, siedziały na podłodze pośród puszek dietetycznej coli i pudełek z filmami. Na ekranie oślizły potwór, z wyglądu przypominający gada, wrywał się z klatki piersiowej swojej ofiary — „Obcy — decydujące starcie”.

Dziewczynka była jednym z tych „nieprzekraczalnych” mostów pomiędzy mną a Stephenem. Trzy lata temu byłam w Kansas City, pochłonięta ciągnącą się miesiącami sprawą przejścia firmy zajmującej się pakowaniem mięsa. Kiedy wróciłam, Stephen poinformował mnie, że za tydzień wprowadzi się do niego bratanica i poprosił o pomoc w zapewnieniu jej jak najszybszego przyjęcia do Chelsea Hall. Wtedy dowiedziałam się o istnieniu jego brata.

Gretchen była córką Joey’a, przyrodniego brata Azoriniego, który siedział w handlu międzynarodowym i większość czasu zajmowały mu podróże. Po śmierci jej matki w wypadku, rodzina zadecydowała, że najlepiej będzie, jeśli opiekę nad nią przejmie wujek. Trzynastoletnia wówczas dziewczynka miała cukrzycę i musiała brać insulinę. Stephen, jako lekarz, przynajmniej teoretycznie wydawał się być lepszym opiekunem niż zawsze nieobecny, podróżujący po świecie ojciec.

Wiedziałam, że jest w tym coś jeszcze. Po prostu musiało być. Stephen bardzo sobie chwalił styl życia kierownika firmy. Przed wzięciem bratanicy pod swoje skrzydła nie miał czasu nawet na podlewanie roślin.

Dlatego też przystąpiliśmy do działania. Tucker Sweet, członek zarządu Chelsea Hall, poznał dziewczynkę i ocenił ją jako osobę, którą każda instytucja winna uznać za skarb. Rodzina Azoriniego przekazała odpowiedni czek na konto funduszu stypendialnego szkoły i tak oto Gretchen Azorini, uciekinierka od nie wiadomo czego, znalazła się w szeregach ubranych w zielone spódnice uczennic szkoły dla dziewcząt — Chelsea Hall.

Chelsea Hall nie jest typową szkołą z internatem, jednak na jej terenie znajduje się budynek wykorzystywany jako internat. Dziewczęta mieszkają tam, gdy ich rodzice podróżują, rozwodzą się albo są na odwyku. Pilnuje ich pani Milniczek, emerytowana nauczycielka łaciny. Gretchen pozostawała tam przez cały tydzień, a weekendy spędzała z wujkiem lub moją młodszą siostrą, Beth.

Ona również uczęszczała do tej szkoły. Była w tej samej klasie co bratanica Stephena – tylko one dwie na stałe zamieszkiwały w internacie. Moja siostra mieszkała w szkole w zimie, kiedy rodzice wyjeżdżali do Palm Beach, na wiosnę, kiedy podróżowali po Europie, i przez większość pozostałych miesięcy, kiedy miała ich po prostu dosyć.

Dziewczęta stanowiły interesującą parę: obydwie milczące, podejrzliwe w stosunku do świata dorosłych i odcięte od pozostałych nastolatków za sprawą poczucia swojej wyższości. Były, pomyślałam nie pierwszy zresztą raz, niesłychanie dziwne.

Gretchen była zwykłą piegowatą dziewczynką o przeciętnej urodzie. Miała bladą, niezdrową cerę. Jej włosy, koloru marchewki, były długie i kręcone, jednak ich piękno zdawało się tylko przyciągać wzrok do niezbyt urodziwej twarzy, którą otaczały. Jeszcze nigdy nie słyszałam, żeby mówiła głośniejszym niż szeptem i wypowiadała choćby jedno słowo więcej, niż było to konieczne.

Tymczasem Beth, moja siostra, była piękna. Idealnie zarysowane kości policzkowe, gładka skóra, gęste kasztanowe włosy. Patrząc na nią, nie sposób było nie pomyśleć, że tak właśnie musiała wyglądać matka w młodości. Jednak dziewczynka robiła wszystko, by podobieństwo stało się niezauważalne. Nie malowała się, nie myła włosów, ubierała się wyłącznie na czarno, a z jej twarzy nigdy nie znikająca ponura mina.

Beth przyszła na świat, kiedy matka miała czterdzieści dwa lata. Bez jakiegokolwiek skrępowania nasza rodzicielka rozpowiadała wszystkim, jak to uznała pierwsze objawy ciąży za początek menopauzy. Gdy dotarło do niej, co się naprawdę stało, było już o wiele za późno, żeby bezpiecznie dokonać aborcji.

Kiedy miałam szesnaście lat, byłam tak samo rozszoszczona jak siostra. Do szalu doprowadzała mnie obojętność rodziców i wstydziłam się otaczającego mnie dostatku. Jednakże, podczas gdy moja rebelia przyjęła wiele form, Beth wydawała się zwracać ostrze gniewu przeciwko sobie samej. Jej postępowanie, charakteryzujące się samodestrukcyjnymi wyskokami, miało doprowadzić matkę do wściekłości. Problemem było to, że równie dobrze mogło doprowadzić ją samą do szpitala psychiatrycznego, gdyby w jakiś sposób przesadziła. Nasza matka nie miała cierpliwości do nieprzyjemnych spraw. W cichości ducha obawiałam się, że mogłaby podjąć decyzję o zamknięciu dziewczyny u czubków z takim samym bólem, jaki towarzyszyłby postanowieniu o przemeblowaniu jadalni.

— Przyszło nam do głowy, żeby zostawić tych wszystkich nudnych sztywniaków na dole i poszukać miejsca, gdzie jest prawdziwa zabawa powiedział Stephen.

Dziewczęta spojrzały na niego spode łba. On zaś opadł na kanapę przy bratanicy i zaczął udawać zainteresowanie filmem.

— Co takiego oglądacie? — spytał.

— „Obcy — decydujące starcie” — odparła dziewczynka swoim tradycyjnym szeptem. — Wczoraj wieczorem oglądaliśmy filmy o psychopatach.

— Jadłyście coś? — dopytywał się.

— Cztery uncje pieczonej wołowiny, karczocha i kilka faszerowanych ziemniaków.

— Zjadłam jej deser — oznajmiła Beth.

— Miałam sto dwadzieścia cukru we krwi — kontynuowała Gretchen.

— Moją porcję wołowiny dałam Rocketowi — dodała moja siostra.

— Och, nie! — wykrzyknęłam. — Psisko naprawdę się rozchoruje. Też się z nim podzieliłam.

— Mama pokłóciła się rano o niego z tatą. Wiesz, że chce go uśpić. Bez przerwy gada, jak to ciężko się nim ciągle zajmować i że to nie w porządku, że Raoul musi go wciąż wozić do weterynarza.

Raoul był ogrodnikiem.

— Tata odparł, że Rocket był psem Teddy'ego i że nie pozwoli go zabić tylko po to, żeby ogrodnikowi było łatwiej. Całkiem ostro im szło. W końcu powiedziałam jej, że jak już o tym mowa, to niech mnie uśpią; rozumiesz, w ten sposób uwolniliby się od wszystkich nieprzyjemnych obowiązków za jednym zamachem.

— Założę się, że matce się to spodobało.

— Ta czarownica uziemiła mnie na dwa tygodnie za przejawianie niewłaściwej postawy.

— No, a czego się spodziewałaś?

— Że każe mnie uśpić.

Było po północy i przyjęcie trwało w najlepsze, kiedy zdecydowaliśmy z Azorinim, że na nas czas. Inni goście mogli w niedzielę spać do późna, ale mnie czekał cały dzień w biurze, a Stephen musiał przygotować się do spotkania z zarządem. Matka z okazji przyjęcia przerobiła mały gabinet przy foyer na szatnię. Staliśmy tam, czekając, aż służąca znajdzie mój czarny wełniany płaszcz pośród licznych rzędów futer z norek.

W chwili gdy Stephen zdał sobie sprawę, że bezpośrednio za nim stoi Edgar Eichel, było za późno, żeby zrobić cokolwiek innego poza przywitaniem się. Eichel sięgał Azoriniemu ledwie do ramienia, ale była w nim buńczuczność i zadziorność, charakterystyczne dla niektórych niskich ludzi.

— Dobry wieczór, Edgarze — powiedział Stephen.

Jego głos brzmiał bardzo chłodne, a w tonie dawała się wyczuć chęć jak najszybszego zakończenia rozmowy.

— Zaskakuje mnie, że pozwalasz sobie dziś wieczór na jakieś imprezy, Stephenie — odparł Eichel zbyt głośno. Najwyraźniej przesadził z ilością wypitego szampana. — Spodziewałem się raczej, że będziesz siedział w biurze i przygotowywał swoją rezygnację.

— Edgarze — odezwała się ostrzegawczo jego żona, Nadine.

Była nowym nabytkiem, znacznie młodszym od męża.

— Sądzę, że trochę na to za wcześnie. Chyba powinieneś wrócić do domu, policzyć dyplomy ukończenia uczelni i zastanowić się, czy naprawdę nadajesz się do zarządzania przedsiębiorstwem farmaceutycznym.

Eichel nie cierpiał, gdy ktoś czynił aluzje do jego niskiego wykształcenia.

— Potrafię wszystko, co ty potrafisz, mały makaroniarski dupku — mruknął.

— Tak? A to potrafisz? — spytał Azorini i ku mojemu zdziwieniu rąbnął go w szczękę. Uderzenie było tak szybkie, że go prawie nie zauważyłam. Kolana ugięły się pod Eichelem. Padł na marmurową posadzkę.

Rozdział 3

W niedzielę rano ledwo dowlokłam się do biura. Włosy nadal śmierdziały mi trawką Stephena, a w ustach miałam charakterystyczny ohydny posmak, nieodłącznie towarzyszący kacowi. Guttman już na mnie czekał. Wyglądało na to, że przypatrywanie się, jak nasz klient nokautuje Edgara Eichela, nie było tym, o co mu chodziło, gdy mówił o potrzebie obserwacji stanu jego emocji. Oby tylko nie dowiedział się o butelce szkockiej whisky, którą rozpracowywaliśmy w drodze powrotnej z Lake Forest, podczas gdy Stephen przekonywał mnie z zacietrzewieniem, że strzelenie Eichela w pysk to za mało i powinien go po prostu zabić.

Kłopot w tym, pomyślałam z rozżaleniem, nie pierwszy raz zresztą, że szkocka, nawet jeśli jest dobrego gatunku, wchodzi wspaniale, natomiast następnego dnia ma się w ustach smak jakby dopiero co przeżutych ekskrementów. Niektóre dni po picciu są takie i już.

Mój szef w żaden sposób mi nie pomógł. Surowo nakazał mi zaprzestanie jakiegokolwiek wywrotowej działalności. Kiedy skończył, chyba pierwszy raz, odkąd pamiętam, w niedzielę w biurze pojawił się Skip Tillman, jeden z udziałowców zasiadających w kierownictwie, żeby dyskretnie i poważnie przedyskutować problem „nieszczęsnego wydarzenia ostatniej nocy”. Reporter z „Wall Street Journal” usłyszał o całej sprawie i tego ranka zadzwonił do Tillmana, chcąc uzyskać jego komentarz. Dziennikarzom nie udało się jeszcze powiązać z tym wszystkim mnie, ale to była tylko kwestia czasu. Co gorsza, reporter napomknęła, że Eichel zamierza złożyć skargę do sądu.

Tillman przypomniał mi, niezbyt taktownie, o zasadach dotyczących rozmów z prasą. „Jeśli będziesz gadać, udziałowcy utną ci język i przybiją go do drzwi twojego biura”. W żadnym wypadku nie wolno mi było udzielać informacji policji bez adwokata, najchętniej wybranego przez firmę. Po czym wyszedł z mojego biura, wzruszając z rozczarowaniem ramionami i zostawiając mnie sam na sam

z niejasnym poczuciem winy i potwornym kacem.

Następnie przyszła kolej na moją matkę. Zadzwoiła, by wyrazić rozgoryczenie z powodu mojej postawy. To, że w jej frontowym holu miała miejsce walka na pięści, było dla niej po prostu hańbą. W dodatku telefony urywały się, jako że dziesiątki reporterów chciały poznać przebieg wydarzeń z pierwszej ręki. Przez to, jak mnie poinformowała, musi leżeć w łóżku. W dodatku sytuację pogarszał fakt, że Gretchen Azorini wciąż znajdowała się pod jej dachem. Wszystko to było zawstydzające. Chwała Bogu, Gretchen i Beth po obiedzie wracają do internatu.

Kiedy wreszcie udało mi się uwolnić od matki, zatelefonował do mnie niezwykle uniżony policjant z Lake Forest, który chciał porozmawiać na temat wydarzeń na przyjęciu u rodziców. Zapisałam jego numer telefonu i powiedziałam, że zaraz się z nim skontaktuję. Przekazałam złe wieści Tillmanowi. Obiecał, że zrobi, co będzie mógł, by znaleźć adwokata w niedzielne popołudnie, dzień, w którym całe miasto żyło meczem Chicago Bears.

Jakby tego wszystkiego było mało, lotniska w Nowym Jorku zostały zamknięte z powodu złych warunków atmosferycznych i dwaj członkowie zarządu Azor nie mogli się stamtąd wydostać. To wystarczyło, by Guttman przeobraził się w kompletnego wariata. Przez całe popołudnie galopował po biurze jak nadmiernie ruchliwy trzylatek (którym z pewnością niegdyś był) i wykrzykiwał najnowsze prognozy pogody niczym jakiś pokrecony Paul Revere.

Skip Tillman wreszcie powiadomił nas, że udało mu się dorwać Elkina Caulfielda, uznanego adwokata, w jego kabinie na stadionie Soldier Field. Zgodził się zajrzeć do Callahan po meczu. W związku z tym umówiliśmy się na rozmowę z policją. Inspektor, który przyjechał z Lake Forest, żeby uzyskać moje zeznania, wydawał się nieświadom faktu, że obecność Elkina była niemal równie ważna jak sprawdzanie pulsu przez Michaela DeBake'a, słynnego kardiologa.

Ja już podjęłam decyzję. Byli tylko dwaj świadkowie tego, co zaszło pomiędzy Stephenem a Edgarem Eichelem, oczywiście oprócz ich samych. Służąca zajmowała się wtedy poszukiwaniem naszych okryć, a poza nią w foyer stałyśmy tylko my dwie: Nadine Eichel i ja.

— Panno Millholland — spytał wreszcie inspektor po przydługiej ceremonii powitalnej — czy mogłaby pani nam powiedzieć, co zaszło pomiędzy panami Azorinim i Eichelem ostatniej nocy w domu pani rodziców?

— Nie jestem do końca pewna. Cokolwiek to było, trwało ułamek sekundy. Stephen i ja czekaliśmy na nasze płaszcze, kiedy za nami stanęli Eichelowie. Najprawdopodobniej też zamierzali wyjść. Mężczyźni przywitani się ze sobą i Eichel wyraził zdziwienie faktem, że w tej sytuacji Stephen wybrał się na przyjęcie.

— W jakiej sytuacji?

— Edgar Eichel usiłuje wykupić przedsiębiorstwo Stephen Azoriniego, Azor Pharmaceuticals. Azorini powiedział coś w stylu „nie dziel skóry na żywym niedźwiedziu, to dopiero początek”. Nie słyszałam odpowiedzi Eichela, nie zwracałam na nich większej uwagi, patrzyłam na służącą, strasznie dużo czasu zajmowało jej znalezienie naszych ubrań. I nagle Edgar Eichel znalazł się na podłodze, a jego żona powtarzała: „och, Eddy, och, Eddy”. Stephen pomagał Eichelowi stanąć na nogach i wypytywał go, czy wszystko w porządku.

— Czyli nie widziała pani, jak doktor Azorini uderzył pana Eichela?

— Uderzył? Ależ nie. Uznałam, że Eichel się przewrócił. Najprawdopodobniej wcześniej ktoś wylał tam drinka, bo na podłodze leżały kostki lodu. Pomyślałam, że pośliznął się na którejś z nich. Dlaczego niby Stephen miał go uderzyć?

— Edgar Eichel wietrzy w tym interes — wtrącił Skip Tillman, przyodziały w zielone sztruksy ozdobione rządkami dzikich kaczek. (Miałam nadzieję, że policjanci z Lake Forest są uodpornieni na widok co bardziej odrażających akcentów oficjalnego stroju męskiego —mniej więcej tak, jak policjanci z Chicago przyzwyczaili się do widoku trupów). — Wydaje setki tysięcy dolarów na kampanię prasową towarzyszącą próbie wykupienia przezeń Azor Pharmaceuticals. Jeśli gazety wydrukują coś za darmo, a zwłaszcza coś, co spowoduje, że doktor Azorini zostanie uznany za człowieka niemądrego bądź gwałtownego, no cóż, tym lepiej dla Eichela.

— Czy w ogóle coś mu się stało? — spytałam. — Widziałam, że doktor Azorini był bardzo zaniepokojony i usiłował go zbadać, ale Eichel nie chciał na to pozwolić. Sprawiał wrażenie rozzłoszczonego, ale uznałam, że po prostu jest pijany.

— Nie, ma tylko siniaka na szczęce.

— To pewnie od upadku na podłogę. Nie jestem w stanie stwierdzić tego z całą pewnością, bo akurat wtedy nie patrzyłam w jego stronę, ale znam Stephen od dawna i wiem, że to opanowany człowiek. Nie wyobrażam sobie, by był w stanie kogokolwiek uderzyć. Rozmawiał z Eichelem normalnym tonem, ot taka sobie pogawędka w trakcie czekania na płaszcze.

— I doktor Azorini nie groził panu Eichelowi?

— Nie.

— Pan Eichel nie użył w stosunku do doktora Azoriniego żadnych obraźliwych słów?

— Obrażliwych? Nie. Ci ludzie to nie hutnicy, proszę pana, nie wyzywali się. Po prostu ze sobą rozmawiali.

— No, panno Millholland, to by było na tyle. Zeznanie zostanie przepisane na maszynie i prześlemy je pani do podpisu.

— Może po prostu zajrzę na posterunek przy okazji następnej wizyty u rodziców?

— Ależ oczywiście.
— No io jak, może nas oskarżyć? — spytał mój szef po wyjściu policjanta.
— Może złożyć skargę — odparł Elkin Caulfield. — Inna sprawa, czy prokuratura będzie chciała się tym zająć, a jeśli tak, czy przysięgli wydadzą wyrok skazujący.

— Tillman ma jutro porozmawiać z prokuratorem rejonowym — dorzucił Guttman — ale jeśli Eichel złoży skargę, najgorsze, co nas czeka, to kłopoty z prasą. Już widzę nagłówek w jutrzejszym „Journalu”: PREZES AZOR UDERZA PONIŻEJ PASA NA PRZYJĘCIU. Czyż nie będą zachwyceni wszyscy najpoważniejsi udziałowcy?

Wbili we mnie wzrok. Zupełnie, jakby to była moja wina.

Zebranie zarządu Azor Pharmaceuticals rozpoczęło się wreszcie o piątej po południu. Richard Humanski, asystent Stephena, tego samego dnia osobiście nadzorował zainstalowanie w sali konferencyjnej specjalnego urządzenia zagłuszającego. Ponadto okna zasłonięte zostały żaluzjami, co miało zapobiec sfotografowaniu wnętrza za pomocą teleobiektywów i podsłuchowi przez czułe urządzenia.

Posiedzenie było całkowicie tajne. Żadnych pomocników, asystentów czy sekretarek. Jedyną osobą z zewnątrz był stenotypista sądowy mający zapisywać przebieg spotkania celem ochrony członków zarządu przed potencjalnym pozwem sądowym. Mój szef na to nalegał. Zgodnie z planem, jako pierwszy miał zabrać głos Stephen, a następnie Brian Gould z banku First New York. Azorini uroczyście przysiągł, że dopóki nie uzyska zgody na podjęcie walki z Edgarem Eichelem, dopóty nikogo z sali nie wypuści.

Całe zebranie spędziłam w towarzystwie Guttmana; zabijaliśmy czas, siedząc w jego biurze nad porcjami dostarczonego nam jedzenia. Byliśmy jak ci ojcowie z filmu Franka Capry, oczekujący na narodziny swoich potomków. Mój towarzysz opowiadał z wielkim zapałem, ale bez zbytniego zaangażowania o przewartości Edgara Eichela.

Cały świat biznesu wręcz wrzał od plotek na jego temat, jednak tylko niewielka ich część nie szkodziła jego reputacji. Interes rozkręcany był za pomocą śmieciowych obligacji, a kierowany przez klikę chciwych młodych ludzi, ubogich z pochodzenia, ale aż nadto bogatych w ambicję. Często określano ich, bez cienia uśmiechu, mianem „tych rekinów”.

Ich szef zawsze stanowił wdzięczny obiekt plotek, których przedmiotem były lewe interesy. Komisja Papierów Wartościowych już kilka razy ukarała go grzywną za lekceważenie przepisów dotyczących dokumentacji. Namierzono go również w związku z bezprawnym przejmowaniem akcji podczas kilku pierwszych prowadzonych przezeń wykupów.

Źródłem dużej części złośliwości wymierzonej w Eichela była opinia: „on nie jest jednym z nas”, którą zrodził jego krzykliwy styl bycia, przechwalanie się w

prase oraz niesławne „wybuchy tłumików”, będące podstawą stworzonego przezeń programu wynagradzania najlepszych kierowników fabryk tłumików — oczywiście tych, które stanowiły część należącej doń sieci. Głównymi atrakcjami tych trzydniowych imprez było morze alkoholu i kobiece towarzystwo, wszystko to zapewnione osobiście przez szefa. Stanowiły one przedmiot nieskrywanej pogardy (i zazdrości) owych pozapinanych na ostatni guzik typów, w których towarzystwie się obracał.

Ale nie o tym perorował Guttman. Wolał odświeżyć historię Beckman Corporation. Pomagał tej niewielkiej firmie w obronie przed jedną z pierwszych prób wykupu podjętych przez Edgara Eichela. Beckman było starym i szacownym przedsiębiorstwem i, tak jak w przypadku Azor, duża część akcji znajdowała się w posiadaniu rodziny założycieli. Ponadto, podobnie jak z Azor Pharmaceuticals, Guttmana łączyły z ową firmą więzi osobiste — długotrwała współpraca lub przyjaźń.

Eichel wykupił dużą część akcji korporacji. Dokonał tego niezwykle szybko, posługując się nazwiskami osób trzecich, do chwili w której przedstawił swoje stanowisko publicznie. Następnie zwołał zebranie z udziałem kierownictwa i przedłożył ofertę. Mieli do wyboru: odkupić akcje za odpowiednio wyższą cenę lub stracić wszystko w obronie przed bezpardonową próbą przejęcia.

Mój szef z całych sił odradzał ugodowe rozwiązanie sprawy. Mimo to zarząd, naciskany odgórnie, zgodził się na warunki stawiane przez Eichela i jakoś wy-skrobano pieniądze, które poszły na konto wówczas dopiero obiecującego terrorysty świata biznesu. Reszta to smutna, lecz znana historia. Stopy procentowe poszły gwałtownie w górę. Firma, pogrążona w długach, próbowała jakoś brnąć naprzód, ale wkrótce zyski spadły do zera i obecnie trwa proces jej likwidacji. Prawnicy i bankierzy inwestycyjni zabrali swoje sute wynagrodzenia i wrócili do pracy; zawodowi menadżerzy, którzy nalegali na przyjęcie warunków stawianych przez Eichela, znaleźli się na innych stanowiskach. Wiceprezesa pokiwali ze smutkiem siwymi głowami i skomentowali przy lunchu, jaka to szkoda, że korporacja tak skończyła. Rodzina założycieli przedsiębiorstwa, których cała fortuna spoczywała w akcjach, straciła wszystko przez Edgara Eichela.

Guttman chodził po biurze i mamrotał coś pod nosem. Ja zacisnęłam dłoń na oparciach fotela i wówczas przypomniały mi się, nie pierwszy raz zresztą, słowa Balzaka: „Każda wielka fortuna bierze się z wielkiej zbrodni”. Ciekawe, czy za cztery pokolenia snobistyczni spadkobiercy Eichela będą zacierać łapy na widok kolejnej generacji ludzi usiłujących do czegoś uczciwie dojść.

O 18.45 zadzwonił telefon. Aż podskoczyliśmy z wrażenia. Szef kiwnął głową i zaczął coś szeptać. W końcu na jego brzydkiej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Zarząd poparł Stephena — oznajmił po odłożeniu słuchawki. — Tucker wysunął wniosek o głosowanie w połowie mowy Goulda. Cztery do trzech.
- Niewiele brakowało — stwierdziłam.
- Większość to większość — powiedział Guttman.
- Mam nadzieję, że utrzyma ją, kiedy rozpocznie się walka na kły i pazury — odparłam.

Kiedy nadeszła dziewiąta wieczór, miałam już dosyć. Poprzedniej nocy spałam raptem cztery godziny, a doświadczenie nakazywało mi odpowiednio rozłożyć siły przed rozpoczęciem pracy nad dużą sprawą. Przed wyjściem z biura zadzwoniłam jeszcze do Stephena. Chciałam mu pogratulować. Chciałam też, by wiedział, że niejako w jego imieniu nakłamałam policji. Telefon w biurze odebrał Richard. Okazało się, że Azorini poszedł do siebie zaraz po zakończeniu spotkania. Z kolei w jego mieszkaniu odezwała się automatyczna sekretarka. Zostawiłam więc wiadomość: „Dobra robota. Mam nadzieję, że od walenia pięścią w stół nie możesz ruszyć ręką”. Wyłączyłam światło, zabrałam swój płaszcz i ruszyłam do domu.

Osiedlenie się w Hyde Parku było jednym z przejawów przeciwstawiania się woli rodziców. Mieszkałam tam podczas studiów, co zdawało się doprowadzać ich do pasji, i wprowadziłam się z powrotem po śmierci Russella. Claudia, moja współlokatorka, pracowała jako chirurg w klinice uniwersytetu kalifornijskiego. Kupiła wielki apartament na Hyde Park Boulevard przy Pięćdziesiątej Piątej i miała dość przebywania w nim w samotności. Wkrótce po tym, kiedy Gretchen wprowadziła się do Stephena, porzucił on swoje sztywne lokum w Printer's Row i przeprowadził się w nasze okolice. Rezydował trzy przecznice dalej.

Podobało mi się w Hyde Parku. Okolica wyglądała dokładnie tak, jak można się było spodziewać: cóż bowiem może powstać w wyniku wsadzenia uniwersytetu o światowej renomie w sam środek getta? Ta ekscentryczna mieszanka posiadłości i bloków mieszkalnych, fizyków i alfonsów, przypadła mi do gustu — nigdy nie było wiadomo, czy napotkany mężczyzna w zatłuszczonej prochowcu i z żyłkami zamiast sznurówek to włóczęga czy też zdobywca nagrody Nobla. Poza tym cóż mogło być lepszego od zamieszkiwania dziesięć minut od biura i jedną przecznicę od jeziora.

Claudia była już w apartamencie. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na kanapie w salonie ubrana w zakrwawione chirurgiczne łachy. Właśnie pochłaniało ją zwijanie skręta. Była drobną kobietą i wyglądała na mniej więcej dwanaście lat, ale tkwiła w niej jakaś wewnętrzna moc. Kiedy mówiła ludziom, że jest chirurgiem, ich zdziwienie trwało jedynie krótką chwilę. Na nosie miała okrągłe, drucziane okulary; długie włosy splotła w gruby warkocz sięgający aż do

pośladków. Jej matka była rzeźbiarką, a ojciec wykładał literaturę rosyjską na uniwersytecie w Nowym Jorku. Poglądy na świat odziedziczyła po swoich przodkach, socjalistycznych żydowskich intelektualistach, i uważała, że zdecydowanie zbyt poważnie podchodzę do moich spraw rodzinnych.

— Już nie pamiętam, kiedy ostatnio obie o tej samej porze byłyśmy w mieszkaniu — powiedziałam, opadając bezwładnie na pokryty perkalem fotel.

Wszystkie meble pochodziły z domostw naszych rodziców i wynikało z tego pomieszanie z poplątaniem. Nalałam dwie lampki wina, a moja współlokatorka zakleiła skręta i podała mi go.

— Ale zabójczy dzień. Właśnie skończyłam dyżur. Jutro rano o piątej trzydzieści mam obchód. Zamierzałam się zdrzemnąć w dyżurce, ale po osiemnastu godzinach na sali operacyjnej jestem zbyt nakręcona, żeby spać. Więc pomyślałam sobie, że wrócę do domu.

— To był długi dzień, jak na niedzielę — pokusiłam się o komentarz i zapaliłam skręta.

Za dawnych czasów, w college'u, paliłybyśmy jednego na spółkę, zazdrośnie zatrzymując dym w płucach. Teraz każda z nas miała własnego *pinta* — oznaka naszych zrewidowanych zapatrywań à la yuppie.

— Zeszłej nocy na Dan Ryan był okropny wypadek. Jakiś facet jadący półciężarówką zasnął za kierownicą i wjechał pod autobus. Dziwne, że o tym nie słyszałaś.

— Od piątku rano siedzę w biurze. Pewna osoba usiłuje przejść Azor Pharmaceuticals.

— Och, nie. Przedsiębiorstwo Stephena?

Zrelacjonowałam jej wszystko, co się stało, do momentu zajścia między Azorinim i Eichelem. Nie wiadomo, czy z powodu wyczerpania, czy też wypalonej trawki, śmiałyśmy się, aż rozboleły nas brzuchy. Wreszcie powiedziałam:

— Cieszę się, że potrafisz znaleźć w tym coś zabawnego. Siedząc w biurze, trudno się oprzeć wrażeniu, że utrata firmy to największa tragedia na świecie.

— Nie — odparła Claudia. Nagle spoważniała i pokazała krwawe plamy pokrywające zielony materiał jej fartucha — tak właśnie wygląda tragedia.

Kiedy obudziłam się w poniedziałek rano, było jeszcze ciemno. Włożyłam dres i poszłam pobiegać. Trasa wiodła jak zwykle brzegiem jeziora do McCormack Place i z powrotem. Będąc już w mieszkaniu, zrobiłam kawę i zajrzałam do lodówki: znalazłam jedną butelkę wody mineralnej, dwie puszki dietetycznej coli i pojemnik kawowego jogurtu z datą 29 lipca. Zamknęłam ją na powrót. Wzięłam długie, gorące prysznic, włożyłam szlafrok, schowałam włosy pod

ręcznikiem i zadzwoniłam do Azoriniego. Pod jego domowym numerem nie zastałam nikogo, ale w biurze złapałam Richarda Humanskiego.

Richard był młodzieńcem o twarzy dziecka. Pochodził z Rockville w Illinois. Dostał stypendium uniwersytetu chicagowskiego, kiedy miał szesnaście lat. Od tamtej pory udało mu się przepracować dwa lata w Goldman Sachs, skończyć Harvard, spędzić trzy lata u boku Stephena, a mimo to w wieku dwudziestu czterech lat nadal wyglądał jak dorastający chłopiec. Był sympatyczny, przypominał trochę jednego z chłopaków przesiadujących na plaży. Podobno sekretarki Azor prowadziły między sobą zakłady, czy Humanski w ogóle musi się golić.

Ponadto był rozsądny i całkowicie lojalny wobec firmy. Do tego jeszcze ciężko pracował. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że Stephen przygotowuje go do objęcia poważnego stanowiska. Jednak czasem zastanawiałam się, czy będzie w stanie pozwolić mu odejść w odpowiednim momencie — za bardzo na nim polegał.

— Cześć, Richard. Zastałam szefa?

— Nie, Kate. Jest na spotkaniu w Union League Club.

— Chciałam mu pogratulować z okazji wyniku głosowania. Wczoraj wieczorem dzwoniłam do jego mieszkania, ale nikt nie odbierał.

— Prawdopodobnie brał prysznic — odpowiedział Humanski. — Hej, słyszałem, że Eichel dostał za swoje na przyjęciu w sobotę wieczorem.

— Oficjalna wersja wydarzeń brzmi: pośliznął się na kostce lodu. Gdyby dostał za swoje, znaczyłoby, że ktoś dodał mu arseniku do drinka. Głosowanie pewnie podbudowało Azoriniego? — spytałam, zmieniając temat.

— Jasne, dosłownie urósł w oczach. Jakby tak się zastanowić, to było ono dość dziwne. Całe spotkanie trwało chyba nie więcej niż godzinę. Stephen powiedział, że Tucker Sweet po prostu wstał i rzekł coś w stylu: „To jak, walczymy z tym wymoczkiem, Eichelem, czy kładziemy się i dobrowolnie przyjmujemy to gówno?”, i poprosił o przeprowadzenie głosowania.

— Co za ulga — westchnęłam. — Kto był przeciw?

— To miało pozostać w tajemnicy — odparł Richard — ale skoro możemy być pewni, że Stephen, Tucker, Carl Swensen i Peter Chou głosowali za, myślę, że łatwo się domyślić.

Swensen i Chou byli naukowcami, którzy zasiadali w zarządzie od chwili powstania firmy. Peter Chou mieszkał z Azorinim w czasie studiów na M.I.T. Wiceprezesi instytucjonalni jednogłośnie zagłosowali przeciwko Stephenowi. Tucker przesądził sprawę na jego korzyść.

Niewiele brakowało. Zbyt niewiele, żeby odetchnąć z ulgą.

— Niesamowite — stwierdziłam. — Rozmawiałam z Tuckerem w sobotę po południu i nie wyglądał na zdecydowanego.

- Może doszedł do wniosku, że ktoś, kto jest w stanie rąbnąć Eichela w nos, może być w stanie powstrzymać go przed wykupieniem Azor Pharmaceuticals.
- Może. A może po prostu nie mógł się doczekać polowania na łosie.

Kiedy wróciłam do biura, okazało się, że fortuna uśmiechnęła się do mnie. Po radzie ze swoim adwokatem Eichel zdecydował się nie składać skargi, a „Journal” zamieścił tylko krótką notkę na ostatniej stronie odnoszącą się do „domniemanego incydentu”. Guttman wręcz promieniał ze szczęścia po korzystnym dla Stephena głosowaniu i nie dość, że w końcowej wersji odpowiedzi firmy na ofertę Eichela pozostawił wiele moich stwierdzeń, to jeszcze wydelegował mnie na spotkanie z konsultantami ekonomicznymi w celu uzgodnienia strategii naszej kontrofensywy. Do przerwy na kolację wszyscy zdążyli się dowiedzieć, jak mój prestiż raptem urósł. W wyniku tego stałam się nowym obiektem kuksańców współpracowników. Trzeba dodać, że nie wszystkie były żartobliwe.

Poniedziałek stał się wtorkiem; wtorek zmienił się w środę. Praca, rytm walki przeciw wykupieniu firmy wciągnęły mnie niemal niepostrzeżenie. Każdej nocy spałam tylko kilka godzin na zbyt krótkiej kanapie w moim biurze. Codziennie rano chodziłam do biura Azoriniego na zebrania, których celem było ustalenie taktyki na dany dzień. Gdyby nie fakt, że wszystko to dotyczyło Azor Pharmaceuticals, byłabym całkiem zadowolona.

W środę, sześć dni po tym, jak Eichel przystąpił do ataku, cały dzień spędziłam w towarzystwie prawników. Rozważaliśmy możliwość złożenia wniosku o postawienie go w stan oskarżenia w nowojorskich sądach w związku ze złamaniem przezeń pewnych przepisów dotyczących obrotu papierami wartościowymi. Stwierdziliśmy, że podejmował próby manipulacji akcjami, a ponadto nielegalnie kontaktował się z udziałowcami, usiłując nakłonić ich do rozbicia przedsiębiorstwa. Nie było pewne, czy mieliśmy podstawy, by zaciągnąć Eichela do sądu, ale gdyby udało nam się wzbudzić choćby najmniejsze wątpliwości co do jego postępowania, dałoby to nam kilka atutów. Po pierwsze, Azor przesłaby z pozycji obronnych do kontrataku. Po drugie, moglibyśmy zażądać dostępu do akt i rejestrów przeciwnika. Po trzecie, może udałoby się nam zyskać trochę czasu na wzmocnienie obrony, jako że termin ostatecznej odpowiedzi na ofertę musiałby się wydłużyć. Byliśmy, przygotowani na walkę do ostatniej kropli krwi.

O ósmej wieczorem siedziałam na podłodze mojego biura, otoczona ze wszystkich stron papierzyskami, jadłam kurczaka kung pao z załuszczonego tekturowego pojemnika i próbowałam walczyć z ogarniającym mnie zmęczeniem. Kiedy zadzwonił telefon, musiałam iść slalomem, żeby go odebrać.

Po drugiej stronie odezwał się Stephen Azorini. Telefonował z samochodu. Właśnie wracał ze spotkania z bankierami. Mówił zmęczonym głosem, odniosłam wrażenie, że popada w depresję. Wysunął propozycję, że mnie podrzuci.

Zastanowiłam się przez chwilę. Podwiezienie do domu mogło być faktycznie tylko podwiezieniem do domu; z drugiej strony, mogło być zaproszeniem do łóżka. Tak to już z nami było.

Powiedziałam, że będę na dole za dziesięć minut. Kiedy tam dotarłam, Stephen już czekał. Na zewnątrz padał rzadki śnieg. LaSalle Street, tak zatłoczona w ciągu dnia, była teraz całkowicie pusta, no może z wyjątkiem przejeżdżających od czasu do czasu taksówek. Mimo to w oknach niemal wszystkich biurów zauważyłam palące się światła — inne szaraki, takie jak ja, harowały na swoich panów — przełożonych.

Stephen jechał szybko. Przy biurach Azor na Balbo skręcił w Lake Shore Drive. Zdjął krawat, a pod oczami miał ciemne kręgi — oznaka zmęczenia. Jednak nawet ze zmęczeniem było mu do twarzy.

— Słyszałem, że w niedzielę osłoniłaś mój tyłek przed policją — powiedział.

— Nic wielkiego. Przecież policjanci z Lake Forest to nie gestapo — są tak cholernie grzeczni.

— Tak czy inaczej, dziękuję.

— Nie ma sprawy. Jak poszło z bankierami?

Azorini wykonał gest nad dzwignią zmiany biegów, który miał oznaczać „tak sobie”.

— Biorąc pod uwagę niewykupione obligacje i koszt obsługi spłaty pożyczki, którą wzięliśmy, żeby sfinansować budowę nowego budynku badań hematologicznych, jeśli mamy pokonać Eichela, musimy zrobić to jak najszybciej. Nie stać nas na długą, złożoną kampanię. First New York zażądał tyle, że to rozbój w biały dzień, a wy też nie jesteście najtańszą firmą prawniczą. Poza tym nie chcę, żeby sytuacja zmusiła mnie do własnoręcznego obrabowania przedsiębiorstwa, zanim zrobi to Eichel.

Przez dłuższą chwilę jechaliśmy w milczeniu przez Oakwood i las pustych bloków mieszkalnych z dziurami okien. Gdzieś zza nas wystrzelił czerwony pororsche, zadrapany i zgnieciony po jednej stronie.

Przed domem, w którym mieszkał Stephen, stały dwa wozy policyjne. Randall, odzwierny, wyglądał na zmartwionego, kiedy przytrzymał mi drzwi. Gdy stałam posłusznie pod markizą, zaczął szeptać coś Stephenowi na ucho. Ten wygramolił się z samochodu i podszedł do mnie sztywnym krokiem.

— Zdaje się, że będę potrzebował adwokata — oznajmił ze smutkiem — Randall mówi, że jest tu dwoje policjantów i chcą ze mną porozmawiać. Nie chcieli powiedzieć o czym i życzyli sobie na mnie zaczekać, więc Randall zaprowadził ich na górę.

— Nie, tylko nie do mieszkania! — wykrzyknęłam z myślą o trawce, która mogła tam zostać.

— Nie, nie, są w foyer.

Dom, w którym mieszka! Azorini, miał na każdym piętrze jedno mieszkanie, a przy wyjściach z windy znajdowało się foyer. To należące do Stephena zostało umeblowane dwoma wysokimi fotelami, opuszczanym stołem i akwarelą przedstawiającą Wenecję nocą.

— Eichel pewnie zmienił zdanie i zdecydował, że jednak cię zaskarzy — wyraziłam przypuszczenie. — Bądź dla nich miły. Powiedz, że chcesz z nimi w pełni współpracować, ale nic poza tym, dopóki nie sprowadzę Elkina Caulfielda.

— Aresztują mnie?

— Niewykluczone.

— Chryste! — mruknął Stephen, kiedy winda ruszyła z miejsca. — Trzeba mi tego jak dziury w głowie.

Zgodnie ze słowami Randalla, w foyer rozgościło się dwoje policjantów z Chicago: wysoki, chudy, ponury mężczyzna z włosami zaczesanymi do tyłu i dobrze zbudowana ciemnoskóra kobieta z nieskazitelnym afro na głowie, o przenikliwym spojrzeniu. Zupełnie jakby nie dało się nic przed nią ukryć.

— Doktor Stephen Azorini? — zapytała. — Sierżant Conway, a to oficer Barnes. Czy możemy wejść i porozmawiać z panem?

— Oczywiście — odpowiedział, otworzył drzwi i włączył światło.

Policjanci byli wyraźnie zaskoczeni wielkością mieszkania. Dom został wybudowany na przełomie wieków, a jego ogrom był faktycznie imponujący. Sufity na wysokości czterech i pół metra, zwieńczenia wyrzeźbione z niezwykłą dokładnością, łukowe otwory drzwiowe.

— Proszę, niech państwo wejdą — dodał Stephen, jak zawsze nienagannie odgrywając rolę gospodarza. — W czym więc mogę pomóc?

Barnes wyciągnął mały notes z tylnej kieszeni spodni i usiadł na kanapie naprzeciwko gospodarza.

— Doktorze Azorini, czy jest pan nadal właścicielem nowego ciemnoniebieskiego jeepa cherokee, tablica rejestracyjna stanu Illinois, numer SWT jeden sześć? — spytała sierżant Conway.

— Tak — odparł Stephen, wyraźnie zbity z tropu.

— A czy jest panu wiadomo, gdzie ten pojazd znajduje się obecnie?

— Hmm... zaraz... powinien stać w pobliżu szkoły mojej bratanicy. W Lake Forest. Oficjalnie należy do mnie, ale jeździ nim moja bratanica Gretchen. Dostała go ode mnie na urodziny.

— Czyli nie jest pan w stanie powiedzieć mi, dlaczego ten samochód znajduje się w Mannetuoc w stanie Wisconsin.

— Mannetuoc, Wisconsin? — spytał Stephen z niedowierzaniem.

— Doktorze Azorini, czy mógłby nam pan opisać wygląd zewnętrzny pańskiej bratanicy? — spytał Barnes.

— Wzrost około metra sześćdziesiąt pięć, długie rude włosy. Czemu pan o to pyta? Co się stało?

— Doktorze Azorini, nie chcę pana niepotrzebnie martwić, ale dziś popołudniu na nieużywanej drodze pod Mannetuoc w stanie Wisconsin odnaleziono ciało kilkunastoletniej rudowłosej dziewczyny mniej więcej średniego wzrostu. Na parkingu przy oddalonym o parę kilometrów supermarkecie K-mart stał porzucony jeep cherokee, numer rejestracyjny SWT jeden sześć. Biuro szeryfa w Wisconsin poprosiło policję Chicago o pomoc w ustaleniu właściciela pojazdu. Mieli nadzieję, że w ten sposób uda się zidentyfikować martwą dziewczynę.

— Samochód mógł zostać skradziony — zauważyłam.

— Owszem, istnieje taka możliwość — odparł Barnes uspokajająco. — Czy mógłby pan w jakiś sposób skontaktować się ze swoją bratanicą i sprawdzić, czy wie, gdzie znajduje się jej auto?

— Zadzwoń — powiedział Stephen. Wyszedł do swojego gabinetu.

Barnes krążył po salonie, nie mogąc się nadziwić, że w Hyde Parku są takie mieszkania. Podszedł do okna i podziwiał rozciągający się stamtąd widok na park i jezioro. Conway poprosiła o szklanek wody. Przyniosłam. Prowadziliśmy sztuczną rozmowę.

Richard Humanski opowiadał, że Stephen nie wyglądał na poruszonego wieścią o podjęciu przez Eichela próby wykupu Azor Pharmaceuticals. Teraz, kiedy wyszedł ze swojego gabinetu, wyglądał jak człowiek wstrząśnięty czymś do głębi.

— Nie ma jej w internacie — oznajmił bez cienia uczucia w głosie — samochód też zniknął.

Rozdział 4

Helikopter policyjny wylądował o najbardziej mrocznej porze dnia — po północy, a jednocześnie na długo przed świtem. Było bardzo ciemno. Pod nami migotały słabo niebieskie reflektory oświetlające prymitywne lądowisko. Wydawało się, że ludzie śpią wszędzie, tylko nie tutaj.

Czułam się zmęczona i pokonana. Wydarzenia ostatnich paru dni po prostu ścięły mnie z nóg. Mogłam sobie tylko wyobrazić, jak czuje się Azorini, stojący pod hałasującym wirnikiem, wpatrzony w nieprzyjazny mrok. Próbowałam znaleźć jakieś rozwiązanie, w świetle którego to wszystko mogłoby okazać się okropną pomyłką.

Śmigło helikoptera ze świstem przecinało powietrze nad nami. Pochyleni, ruszyliśmy biegiem do oczekującego nas wozu policyjnego. Zewsząd otaczała nas mroźna noc. Byliśmy co najmniej czterysta pięćdziesiąt kilometrów na północ od Chicago; dawało o sobie znać przenikliwe zimno, o wiele gorsze niż w mieście. W powietrzu unosił się ostry zapach, typowy dla mrozu i tego regionu. Niebo ponad drzewami wydawało się wypełnione atramentem. Jedyne światło w okolicy sączyło się z kilku okien oddalonego o jakieś czterysta metrów niskiego budynku. Neon oświetlał pusty, pokryty asfaltem parking.

Policjant z drogówki nazywał się Gunderson. Z cienia rzucanego przez jego nakrycie głowy z szerokim rondem w stylu przywodzącym na myśl kanadyjską policję konną wyłaniała się gładka, młodzieńcza twarz. Zawiózł nas do oddalonego o jakieś pięćdziesiąt kilometrów szpitala. Przez cały czas jechał na sygnale, chociaż droga była zupełnie pusta. Twarz Stephena w słabym, migoczącym świetle wydawała się skupiona. Chciałam wziąć go za rękę — tak, by zasygnalizować mu, że jestem przy nim — ale coś mnie powstrzymało. Zamiast tego mocniej opatuliłam się płaszczem i próbowałam zwalczyć ogarniające mnie mroźne fale strachu. Modliłam się, żeby to tylko nie była ona.

Szpital okazał się małym, piętrowym budynkiem zbudowanym z żółtej cegły. Wyglądał jak jedna z brzydszych szkół państwowych. Wjechaliśmy na miejsce oznaczone napisem TYLKO DLA KARETEK i w ślad za Gundersonem wkroczyliśmy do jasno oświetlonej, opustoszałej sali przyjąć. Ściany były jasnożółte, a w powietrzu unosił się zapach antyseptyków. Policjant zaproponował, byśmy usiedli na pomarańczowych winylowych fotelach stojących w rzędzie dokładnie naprzeciwko automatów z coca-colą, a tymczasem on poszuka kogoś, kto nas poprowadzi dalej. Uświadomiłam sobie nagle, że od śmierci Russella nie byłam w żadnym szpitalu.

Kiedy Gunderson powrócił, zastał Azoriniego krążącego po poczekalni, kręcącego głową z frustracją i niedowierzaniem. Policjant przyprowadził ze sobą niezbyt dobrze się prezentującego lekarza o zaspanej, nieogolonej twarzy. Jego głowę porastały siwe, przeredzone włosy, które zdawały się żyć własnym życiem. Kiedy podeszli bliżej, udało mi się odczytać nazwisko wyszyte czerwoną nicią nad kieszenią niegdyś białego fartucha — dr Proctor Van Dusen.

— Doktor Van Dusen — odezwał się, wyciągając dłoń do Stephena i pochylając lekko głowę w moją stronę.

— Doktor Azorini, a to Kate Millholland.

— Pan jest lekarzem? — spytał dr Van Dusen.

— Tak.

— Powiedziano mi, że przyjechał pan rzucić okiem na naszą nieznajomą.

— Z tego, co mi wiadomo, w pobliżu ciała odnaleziono samochód mojej bratanicy. Nie udało nam się z nią skontaktować, więc policja poprosiła mnie o przyjazd i obejrzenie zwłok.

— Ależ naturalnie. Nawet negatywna identyfikacja pomaga w tego rodzaju sprawach — odparł Van Dusen. — Proszę za mną.

Stephen niemal nieświadomie chwycił mnie za rękę i ruszyliśmy za lekarzem przez długi korytarz. Przeszliśmy przez dwoje automatycznie otwieranych drzwi. Gunderson zamykał naszą małą, ponurą procesję. Zapachy i zgrzyt towarzyszący otwieraniu drzwi przypomniały mi Russella. Nie uśmiechniętego sportowca, który wpadał na zajęcia z prawa kryminalnego spóźniony o dziesięć minut; zawsze miał wtedy umorusane kolana, a pod pachą ścisnął piłkę; lecz innego Russella — wychudzonego, z rurkami biegnącymi do gardła, poddanego nieprzyjemnej i niepotrzebnej chemoterapii, w wyniku której wypadały mu całe garście włosów.

Ciało leżało w nieużywanej sali operacyjnej, dużej, ale pełnej sprzętów i narzędzi służących do tych niedających się opisać czynności, którym poddawany jest uśpiony pacjent. Na wózku w samym centrum pomieszczenia leżał przykryty zielonym materiałem ludzki kształt, jakże mały po śmierci. Zostałam w tyle wraz z policjantem, podczas gdy Azorini i dr Van Dusen podeszli bliżej i odkryli twarz zmarłej. Nie chciałam patrzeć, ale nie byłam w stanie się odwrócić. Nogi

zaczęły mi się trząść, prawie nie mogłam oddychać. Zauważyłam splątane rude włosy i odwróciłam się. Po twarzy popłynęły mi gorące łzy.

Dopiero później przypominałam sobie głos Stephena dokonującego identyfikacji, bezwiedny wręcz powrót do poczekalni i Gundersona podającego nam kawę z automatu.

Biuro szeryfa znajdowało się na jeszcze większym odludziu niż szpital, ale nie było opustoszałe. Fakt, że Stephen rozpoznał swoją bratanicę, stanowił pomimo późnej godziny wielkie wydarzenie. Sam szeryf, w osobie niejakiego Donalda J. Whittle'a, został z tej okazji wyciągnięty z łóżka. Obok niego stali dwaj zastępcy i choć próbował stworzyć wrażenie, że jest głęboko współczującym człowiekiem o nienagannych manierach, nie wyglądało na to, żeby spotkanie miało się odbyć w atmosferze przyjaźni.

Usiedliśmy w pomieszczeniu ze ścianami z pustaków, w którym znajdowały się cztery składane krzesła, zniszczony stół i magnetofon. Kiedy tylko Whittle coś mówił, natychmiast konsultował się z aktami, które zazdrośnie trzymał przy sobie tak, abyśmy w żaden sposób nie mogli dostrzec ich zawartości.

Na początku odbyła się krótka dyskusja w związku z faktem mojej obecności — policjant nie był pewien, czy powinnam być przy rozmowie z Azorinim. Kiedy zaczęłam przemyślać nad sposobami jak najszybszego sprowadzenia Elkina Caulfielda, Stephen oznajmił, że jestem jego adwokatem, i nalegał, bym została. Najwyraźniej, jak sobie pomyślałam, kobiety-prawnicy, stosunkowo nowy wynalazek, nie zdołały jeszcze dotrzeć w te okolice. Na mój kostium szeryf musiałby wydać swoje miesięczne zarobki. Czułam się nie na miejscu — jak ryba na rowerze.

— Wiem, jaki to panu sprawia ból — zaczął — ale proszę zrozumieć, na tym polega nasz zawód.

Stephen skinął głową.

— Zidentyfikował pan zmarłą jako Gretchen Marię Azorini, wiek — szesnaście lat.

— Zgadza się.

— Co pana z nią łączyło?

— Była moją bratanicą, córką mojego brata, a ponadto moją podopieczną.

— Pana czym?

— Doktor Azorini był legalnym opiekunem swojej bratanicy — wtrąciłam.

— A to dlaczego? — spytał Whittle, wyraźnie niezadowolony, że mu przerwano. — Pański brat nie żyje?

— Nie, jego praca zmusza go do częstych podróży zagranicznych. Dlatego właśnie Gretchen zamieszkała u mnie.

— Pańska bratanica mieszkała pod pańskim adresem? Mógłby mi pan go podać?

— Pięć, osiem, cztery, zero, South Shore Drive, Chicago, Illinois. To był jej stały adres. Natomiast w ciągu tygodnia mieszkała w internacie szkoły w Lake Forest, do której uczęszczała.

— A czy mógłbym wiedzieć, co to za szkoła?

— Chelsea Hall — to szkoła dla dziewcząt.

— Parafialna? — spytał policjant.

— Nie, po prostu prywatna — odparł Azorini matowym głosem.

Odpowiadał jak automat.

— Kiedy ostatni raz widział pan bratanicę? — szeryf bez przerwy zaglądał w akta.

— W tę sobotę, wieczorem.

— Gdzie?

— W domu Astrid i Edwarda Millhollandów.

— Rodzina obecnej tu pani Millholland?

— To moi rodzice — odparłam.

— W jakich okolicznościach widział się pan z nią?

— Byliśmy na przyjęciu. Moja bratanica spędzała weekend z siostrą pani Millholland. Były w jednej klasie. Chcieliśmy się tylko z nimi przywitać. Oglądały filmy na wideo.

— Czy miała miejsce jakaś kłótnia?

— Słucham? — spytał Stephen, jakby faktycznie nie dosłyszał.

— Czy pokłócił się pan ze swoją bratanicą?

Stephen uderzył otwartą dłoń w stół. Zdawało się, że przez całe pomieszczenie przebiegł gwałtowny wstrząs. Podniósł się raptownie i pochylił ku szeryfowi. Złapałam go za ramię, bezskutecznie próbując go powstrzymać.

— Niech pan mnie posłucha, szeryfie. Rozumiem, że pan ma swoje zadania, ale to żaden powód, żeby zachowywać się jak niewrażliwy idiota. Wracam do domu z biura, a tam czeka na mnie dwoje policjantów. Przywożą mnie tu, na to zadupie, w środku nocy, żebym zidentyfikował zwłoki swojej szesnastoletniej bratanicy. Jeszcze pół godziny temu byłem święcie przekonany, że spokojnie leży w łóżku w internacie. A teraz, zamiast powiedzieć, co się z nią stało, każe mi pan tu siedzieć i przyglądać się, jak zgrywa pan twardego glińiarza z jakiegoś serialu telewizyjnego.

— Skończył pan? — spytał policjant. — To proszę usiąść z powrotem.

Azorini powoli wykonał polecenie.

— Myślę, że widać wyraźnie, jak trudno doktorowi Azoriniemu pogodzić się z zaistniałą sytuacją — wtrąciłam się. — Wiem, że jest gotów podjąć z panem współpracę, ale może, gdyby udzielił pan odpowiedzi na parę jego pytań, byłby w stanie powiedzieć nieco więcej.

— Ciało pańskiej bratanicy odnaleziono wczoraj rano w lesie około trzydziestu kilometrów stąd. Znaleźli ją kłusownicy. Leżała tam przez pewien okres.

Nie miała przy sobie żadnego dowodu tożsamości. Przywieźliśmy ją do szpitala. Doktorze Azorini... czy może jest pan lekarzem?

— Tak.

— Czyli wie pan, że w większości wypadków, gdy ciało młodej dziewczyny zostaje odnalezione na odkrytym terenie, automatycznie podejrzewamy morderstwo na tle seksualnym.

Stephen natychmiast zbladł i osunął się na krzesło.

— Chciałbym prosić o przeprowadzenie sekcji zwłok — powiedział wreszcie, przerywając długotrwałe milczenie.

— Już to zrobiliśmy — odparł Whittle.

— To znaczy kto? — spytał Stephen.

— Anatomopatolog z naszego szpitala. Wiem, co pan myśli, panie Azorini. Myśli pan, że jesteśmy bandą ciemniaków i nie mamy zielonego pojęcia o patologii i medycynie sądowej. Ale mieliśmy szczęście. W szpitalu pracuje młody, dobrze wykształcony człowiek, który kiedyś praktykował przez miesiąc w biurze naczelnego lekarza Dade County. Jego żona jest weterynarzem wyspecjalizowanym w opiece nad dużymi zwierzętami i dlatego nie ma wyboru, i musi mieszkać na tym zadupiu, jak to pan określił. W każdym razie to on przeprowadził sekcję.

— Co uznał za przyczynę zgonu?

— Jeszcze nic. Musi poczekać, aż przyjdą wyniki badań toksykologicznych.

Wydał tymczasowy akt zgonu, aby umożliwić pochowanie ciała.

— Ale jak ona umarła? — spytał Azorini.

— Tymczasem nie wiemy. Może byłoby nam łatwiej to stwierdzić, gdyby odpowiedział pan na parę pytań.

— Proszę bardzo — odparł Stephen.

— Czy pańska bratanica kiedykolwiek uciekła z domu?

— Nie.

— Weszła w konflikt z prawem? Wagarowała?

— Nie.

— Czy miała stałego chłopaka?

— Nie.

— Spotykała się z wieloma chłopcami?

— Z tego, co wiem, nie spotykała się z żadnym chłopakiem.

— I miała szesnaście lat? — szeryf próbował ukryć swoje zdumienie.

— Gretchen była bardzo cichą i nieśmiałą dziewczyną. Chodziła do szkoły dla dziewcząt. Chyba nie zainteresowała się jeszcze płcią przeciwną.

— Rozumiem. Jej samochód stał na parkingu przed K-martem w Ridleyville. Nie wie pan, co mogło sprowadzić ją w te strony?

— Nie, myślałem, że jest w szkole. Nie mam pojęcia, po co miałyby tu z własnej woli przyjeżdżać.

— Czyli uważa pan, że ją do tego zmuszono?

— A pan tak nie uważa? — Stephen odpowiedział pytaniem na pytanie. —

Jak pan sam stwierdził, okoliczności wskazują, że została... — próbował znaleźć odpowiednie słowa, które mogłyby mu przejść przez gardło — ...napadnięta, a następnie zamordowana.

— Na to wygląda — potwierdził policjant.

To oczywiście, pomyślałam, że uważał siebie za twardziela. Ja uważałam go za nadętego palanta.

— No, ale jest wiele możliwości, jak do tego mogło dojść — zaczął. — Niektóre zabójstwa na tle seksualnym są rezultatem, jak to określamy, uprowadzeń przez nieznanymi. Niewykluczone, że pańska bratanica została porwana gdzieś w Chicago i zmuszona do przyjazdu tutaj. Możliwe też, że zamordowano ją gdzie indziej i tu przywieziono ciało. No, ale równie dobrze mordercą mógł być ktoś, kogo pańska bratanica znała.

Doktorze Azorini, o ile mi wolno spytać — kontynuował Whittle — od jak dawna pańska bratanica brała narkotyki?

— Narkotyki? — powtórzył Azorini z niedowierzaniem.

— Tak. Lekarz stwierdził pod skórą obecność zabliznionej tkanki, powstającej w wyniku stosowania zastrzyków.

— Miała cukrzycę — odparł Stephen znużonym głosem. — Kilka razy dziennie wstrzykiwała sobie insulinę. Niezwykle troszczyła się o zdrowie i na pewno nie sięgnęłaby po nielegalne narkotyki.

— To może pan mi wyjaśni, dlaczego patolog stwierdził, że brała kokainę.

Powrotna droga zdawała się krótsza, ale o wiele straszniejsza od podróży do Wisconsin. Przez umysł przemykały mi przerażające wizje zbrodni, które, jak mi się zdawało, nigdy nie dotkną ludzi takich jak Gretchen (lub ja), chronionych przez grube mury klasy społecznej i przywilejów. Zbyt dużo widziałam przemocy w wieczornych dziennikach informacyjnych.

Stephen siedział z kamienną twarzą, aż straszna przez ten brak jakichkolwiek uczuć. Nie odzywał się, ja również milczałam. W końcu cóż można było powiedzieć? Co najwyżej zadać pytania, na które nie znajdzie się odpowiedzi. Pozostawał strach, którego lepiej było nie ubierać w słowa.

Helikopter wysadził nas z powrotem na małym lotnisku, przy którym, zgodnie z sugestią dwojga chicagowskich policjantów, poprzedniego wieczoru zaparkowałam auto Azoriniego. Nieprzeniknioną noc zastąpił poranek. Nad Chicago rozciągało się niskie, brudne niebo. Na Lake Shore Drive tworzył się korek z pojazdów zdążających na północ. Tylko my kierowaliśmy się na południe.

W McCormack Place, dużej hali nad jeziorem, odbywał się pokaz łodzi. Zza szyb wylaniał się niepasujący do otoczenia piękny widok rzędu kolorowych żaglówek.

Mieszkanie Stephena zdawało się być obcym miejscem, przekształconym przez smutek w rząd nieznanymi, dziwnymi pomieszczeń. Tylko pusta szklarnia

nadawała rzeczywisty wymiar wydarzeniom ostatniej nocy. Jej zawartość wypił jeden z policjantów, którzy przyszli zapytać Stephena o samochód jego bratani-
cy.

- Muszę wziąć prysznic, zanim pójde do biura — oznajmił Azorini.
- Może powinienes się choć godzinę przespać — zaproponowałam.
- Nie da rady. O dziewiątej umówilem się z ludźmi z Nowego Jorku.
- Przecież rozumieją — powiedziałam.
- A Eichel? Myślisz, że on zrozumie? — odparł.

Stephen poszedł do łazienki, a ja zdecydowałam się zadzwonić z jego sypial-
ni. Pomyślałam jednak, że może będzie chciał skontaktować się z rodziną, więc
żeby nie blokować linii, udałam się do pokoju Gretchen, gdzie znajdował się
drugi telefon.

Pokój był ładny, ale brakowało mu duszy. Wydawało się, że jego mieszkanka
całą uwagę poświęciła urzędzeniu się w internacie. Znajdowało się tu łóżko
przykryte różowo-białą narzutą ze sklepu firmowego Laury Ashley i przysłonie-
te dopasowanymi kolorystycznie zasłonami. Cóż poza tym? Biurko, szafka,
ustawiony przed lustrem stolik i różana sofa prawie całkowicie ukryta pod sto-
sem różnorakich misiów. Telefon stał przy łóżku, ale upłynęło trochę czasu,
zanim byłam w stanie wziąć słuchawkę do ręki; oto siedziałam na łóżku zmarłej
dziewczyny wpatrzona w kolekcję misiów, kolekcję, która już nigdy nie zostanie
powiększona.

Na szafce stały zdjęcia. Na jednym Gretchen jako małe dziecko, stojąca u
boku, sądząc z podobieństwa, swojej matki, niezwykle pięknej kobiety w ja-
skrawej sukience i butach na zbyt wysokich obcasach. Obok jeszcze jedno, na
którym dołączył do nich przystojny mężczyzna o ciemnej karnacji — był to naj-
prawdopodobniej Joey, brat Stephena. Pośród fotografii znajdowały się spore
statuetki Marii Panny i frasobliwego Chrystusa stojącego z rozłożonymi rękami.
Na powierzchni lustra, wetknięta pod ramkę, leżała fotka Beth i Gretchen zro-
biona w wesołym miasteczku. Dziewczęta miały na sobie szorty i stały przed
zjeżdżalnią do wody, przemoczone i rozradowane.

Zamierzałam zadzwonić do Beth. Nie chciałam, żeby dowiedziała się o
śmierci swojej najlepszej przyjaciółki z ust obcego człowieka. Przynajmniej tyle
byłam jej winna. Jednak, kiedy wreszcie podniosłam słuchawkę, wykręciłam
numer Guttmana.

Był już w biurze. Na wiadomość o śmierci bratani-
cy Azoriniego zareagował
milczeniem — wręcz słyszałam trybiki pracujące w jego mózgu, gdy roztrząsał
możliwe implikacje tej tragedii.

- To gdzie teraz jesteś? — warknął.
- U Stephena.
- Jak on to przyjął?
- A jak myślisz?

— Chryste, przecież to nas może dobić! — powiedział mój szef. — Mamy czternaście dni. Kurwa, każda minuta się liczy. W dodatku ta dziewczyna miała mnóstwo akcji Azor. Będziemy musieli jak najszybciej uzyskać opinię działu majątku i inwestycji. Aż nie mogę w to wszystko uwierzyć. Kiedy pogrzeb?

— Nie wiem.

— No to zobaczymy, czy potrafisz szybko działać. Niech to się za długo nie ciągnie. Na Boga, dzieciak nie żyje, tego nie da się zmienić.

— Zrobię, co w mojej mocy — odpowiedziałam, próbując ukryć obrzydzenie.

— I przyjeżdżaj tu jak najszybciej. Jezu Chryste, przecież to katastrofa!

Siedziałam wpatrzona w misie i zdjęcie mojej siostry obejmującej ramieniem swoją najlepszą przyjaciółkę. Powoli odłożyłam słuchawkę.

Matka była zirytowana moim telefonem. Właśnie wychodziła na zebranie zarządu Instytutu Sztuki. Widziałam oczyma duszy, jak stoi przy biurku, odziana w jeden ze swoich kostiumów od Chanel, które wkładała tylko wtedy, gdy chciała wyglądać jak kobieta biznesu.

— Mamo — rzekłam — stało się coś straszego. Gretchen Azorini nie żyje. Zmarła wczoraj.

— Wypadek samochodowy?

— Nie. Nie są jeszcze pewni, jak to się stało. Czekają na wyniki paru testów.

— Beth wie? Teraz to dopiero będzie.

— Chyba nie. Chciałam, żebyś ty się najpierw dowiedziała. W ten sposób możesz już wyjechać.

— Wyjechać?

— Żeby ją zabrać.

— Zabrać skąd?

— Ze szkoły.

— Ze szkoły? Przecież powiedziałam ci, jadę na zebranie zarządu.

— Mamo, właśnie zmarła jej najlepsza przyjaciółka. Sądzę, że powinna wrócić do domu. Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, jak po czymś takim wlecze się na zajęcia z geometrii.

Nastąpiła krótka przerwa. Matka najwyraźniej usiłowała znaleźć wytłumaczenie, dlaczego rozwiązanie dla niej najwygodniejsze, byłoby jednocześnie najkorzystniejsze dla córki.

— Skontaktuję się z doktorem Weingartem, ale uważam, że Beth powinna teraz raczej być z przyjaciółkami, niż siedzieć sama w domu.

Harold Weingart był psychiatrą opiekującym się moją siostrą. Wszyscy rodzice, których irytowało zachowanie swoich pociech, szukali u niego pomocy.

— Mamo — zaczęłam, dając upust narastającej we mnie złości, dodatkowo spotęgowanej brakiem snu — chodzi o to, żeby w domu nie była sama. Powinna tam być z matką, okazującą jej miłość i podtrzymującą ją na duchu. Chociaż, jak się zastanowić, lepiej chyba, żeby faktycznie została w szkole. Oczywiście, byłoby jeszcze lepiej, gdyby miała innych rodziców, ale pewnie jesteś już za stara, żeby zapisać się do szkoły dla nieudaczných matek.

— Katharine Anne Millholland — odezwała się matka tonem, który znałam aż za dobrze, ale miałam już dość. Odłożyłam słuchawkę i skłęłam się za zachowanie godne dwunastolatki.

Poszłam do łazienki, umyłam twarz, po czym wróciłam do pokoju i wykręciłam numer szkoły. Poprosiłam dyrektorkę, panią Bigham. Tak krótko, jak to możliwe, opowiedziałam, co się stało, i obiecałam, że Stephen zadzwoni, jak tylko będzie mógł.

— To szokujące — rzekła — aż trudno mi w to uwierzyć. Dziewczęta na pewno bardzo to przeżyją. Co za straszna tragedia.

— Czy mogłabym porozmawiać z moją siostrą? Chciałabym jej o tym powiedzieć osobiście.

— Ależ oczywiście. To na pewno będzie dla niej cios. Gretchen była jej najlepszą przyjaciółką.

— Wiem.

— Będę musiała sprawdzić, jakie ma teraz zajęcia, i wysłać kogoś, żeby przyprowadził ją do telefonu. Zaczeka pani, czy mam za chwilę zadzwonić?

— Zaczekam — odparłam.

Chyba wieczność upłynęła, zanim wreszcie usłyszałam ciche stuknięcie i zdziwiony głos siostry.

— Kate? To ty?

— Cześć, Beth. Mam złe wieści. Wczoraj umarła Gretchen Azorini.

— Co?

— To stało się wczoraj. Mamy mnóstwo wątpliwości, a ponieważ ty byłaś jej najlepszą przyjaciółką... — zaczęłam, ale nie skończyłam. Po drugiej stronie rozległ się trzask uderzającej o coś, najprawdopodobniej o stół, słuchawki i wyraźniejszy, przytłumiony odgłos ciała uderzającego o podłogę przykrytą dywanem. Beth zemdląła.

Rozdział 5

Zrobiłam czarną kawę, wrzuciłam do niej dwie kostki cukru i zaniósłam Azoriniemu. Siedział w swoim gabinecie. Przebrał się w czarny garnitur i białą koszulę. Wyglądał, jakby w ciągu tych kilku godzin stracił ładnych parę kilogramów. Na jego policzkach malowało się skrajne wyczerpanie. Rozmawiał cichym głosem przez telefon. Pierwszy raz usłyszałam, jak mówi po włosku. Postawiłam kawę przed nim na biurku; sama usiadłam w półkolistej wnęcie przy oknie wychodzącym na Pięćdziesiątą Siódmą, która w tym miejscu łączyła się z Lake Shore Drive, i zaczęłam sączyć gorący napój. Samochody jadących do pracy wtapiały się w nieprzerwany strumień pojazdów, charakterystyczny dla godziny szczytu; autobusy zatrzymywały się przed Muzeum Nauki i Przemysłu — zaczynał się kolejny dzień.

— Rozmawiałem z moim ojcem — rzekł Stephen po odłożeniu słuchawki.

— Jak to przyjął?

— To twardy człowiek.

— Zadzwońłam do szkoły, kiedy brałeś prysznic. Poinformowałam ich o twojej bratanicy i rozmawiałam z Beth. Była zbyt wstrząśnięta, żeby powiedzieć mi, co Gretchen robiła w Wisconsin. Zadzwonię do niej za parę godzin.

Stephen podszedł i usiadł obok. Pochylił swoją lwią czuprynę i spojrzał na mnie.

— Chcę, żebyś coś zrozumiała, Kate — zaczął. — Wiem, że Gretchen nie żyje. Ani ja, ani ty nie możemy jej wskrzesić, za to mogę jeszcze zrobić coś w związku z Edgarem Eichelem... zdaję sobie sprawę z tego, jak to okropnie brzmi, ale wiem też, że właśnie ty jesteś mnie w stanie zrozumieć. Sprawa Gretchen musi zejść na drugi plan, ważne, żebym skoncentrował się na Eichelu.

— Rozumiem — odpowiedziałam — to okropne, ale rozumiem.

Podwiozłam Azoriniego do biura i pojechałam jego wozem do Callahan. Claire, recepcjonistka, poinformowała mnie, że Guttman chce się ze mną widzieć, „Jak tylko przyjadę”, i wręczyła mi stosik kartek z nazwiskami ludzi, którzy o mnie pytali. Wszyscy oni: Skip Tillman, matka, Richard Humanski i około dziesięciu innych, o kilku nigdy w życiu nie słyszałam, chcieli, bym natychmiast się z nimi skontaktowałam. Wepchnęłam karteczki do kieszeni i pobiegłam bocznymi schodami do biura.

— Przynies mi dzbanek kawy, torebkę M&M-ów i nie mów nikomu, że jestem — nakazałam Cheryl, mojej sekretarce — i niech przyjdzie tu któryś z gońców.

— Ach, też się cieszę, że cię widzę — odparła, wyraźnie nieprzyjemnie zaskoczona. Zwykle nie zachowywałam się à la Guttman.

Weszłam do biura i spojrzałam w lustro wiszące za drzwiami. Wyglądałam tak okropnie, jak wskazywało na to moje samopoczucie. Rzuciłam okiem na zegarek. Nie było jeszcze dziewiątej. Leon, jeden z gońców, delikatnie zapukał do drzwi.

— Idź do Fielda. W tym sklepie od strony Wabash są drzwi z napisem DLA CZŁONKÓW ZARZĄDU. Daję ci moją kartę. Znajdź Lindę Uhler, powiedz jej, że potrzebny mi ciemny kostium albo marynarka i spódnica plus odpowiednia bluzka i dodatki.

Leon nie wyglądał na zaskoczonego. Nieoczekiwane prośby nie były tu niczym dziwnym i posłańcy tacy jak on niejednokrotnie musieli biegać po bieliznę lub szczoteczki do zębów.

Cheryl przyniosła mi kawę i M&M-y. Poinformowałam ją, co się stało.

— Straszne. — Przez jej ciało przebiegł dreszcz. — Mam siostrę w jej wieku.

— Ja też.

— No tak. Były przyjaciółkami?

— Najlepszymi. Dziś rano, kiedy zadzwoniłam, żeby powiedzieć jej o śmierci Gretchen, zemdląca.

— Tak mi przykro.

— W każdym razie przez całą noc byłam ze Stephenem. Polecieliśmy do Wisconsin zidentyfikować ciało. Nie jadłam, nie spałam i jeśli zaraz nie włożę świeżych ciuchów, nie wytrzymam nerwowo.

— Chcesz, żebym wysłała kogoś po jakieś przyzwoite śniadanie? — spytała sekretarka, przyglądając się sceptycznie torebce M&M-ów.

— Nie. Kawa i M&M-y najlepiej poprawiają mi samopoczucie. Obiecay mi tylko, że do powrotu Leona utrzymasz szefa z dała ode mnie.

— Poszukuje cię zawzięcie od samego rana.

— No to niech sobie jeszcze trochę poszuka.

— Po prostu powiem mu, że jeszcze nie przyszedł.

— Dzięki — rzekłam. — Póki co, czy mogłabyś spróbować dodzwonić się do mojej matki?

— Jasne.

Kawa i M&M-y towarzyszyły mi tylko w najgorsze dni. Ten zdecydowanie można było do takowych zaliczyć. Cheryl oznajmiła przez interkom, że nie zastała mojej matki, ale nie była w stanie stwierdzić, czy poszła na zebranie zarządu, czy też może pojechała po Beth. Mozolnie ściągnęłam rajstopy, które po dwudziestu czterech godzinach niemal przyrosły mi do nóg, i włożyłam świeżą parę z zapasu schowanego w biurku.

Przyszedł wreszcie Leon. Miał ze sobą torbę z napisem Marshall Field's. Opróżniłam ją na biurku. Ze środka wypadła czarno-biała spódnica w drobną kratkę, kilka centymetrów krótsza niż te, które nosiłam do tej pory, biała jedwabna bluzka i czarna wełniana marynarka z wpiętym w kłapę jasnoczerwonym jedwabnym kwiatem maku. Zdjęłam z siebie wygnieciony kostium, zwinęłam go i schowałam do torby, i włożyłam nowe ciuchy. Oderwałam czerwony kwiatek, wrzuciłam do torby i stwierdziłam w duchu, że oto jestem przygotowana tak dobrze, jak to możliwe, do rozmowy z Guttmanem. Oby mi się udało przetrwać resztę dnia!

Stałam w drzwiach biura Guttmana, czekając, aż skończy rozmawiać przez telefon. Choć fakt, że mój szef był w stanie widzieć śmierć szesnastoletniej dziewczyny przez pryzmat interesów firmy, mógł z całą pewnością zostać uznany za coś groteskowego, ja również martwiłam się, co się stanie z przedsiębiorstwem Pharmaceuticals. Stephen umieścił sporo akcji Azor w zarządzie powierniczym do momentu skończenia przez Gretchen dwudziestu jeden lat. To, jak te akcje zostaną rozdysponowane, mogło okazać się punktem zwrotnym. Co gorsza, decyzje podjęte przez Azoriniego w ciągu nadchodzących paru tygodni miały dotyczyć tysięcy ludzi. Czy po śmierci bratanicy będzie w stanie skoncentrować się całkowicie na odparciu próby wykupu przedsiębiorstwa, czy też ta tragedia okaże się właśnie owym jęczyzkiem u wagi, którego potrzebował Eichel?

— No to co się, u licha, stało? — wypalił bezceremonialnie Guttman, gdy tylko odłożył słuchawkę.

— Nie jestem pewna. Wczoraj wieczorem przyszło do Stephena dwoje policjantów. Powiedzieli, że znaleźli samochód Gretchen i ciało młodej, rudowłosej dziewczyny. Stephen stwierdził, że to na pewno jakaś pomyłka, ponieważ bratanica i auto znajdują się w Chelsea Hall, ale kiedy zadzwonił do internatu, nie zastał jej. Więc poleciałam z nim na jakieś zadupie o nazwie Mannetuoc, około czterystu kilometrów na północ stąd, żeby obejrzeć ciało.

— Azorini zadzwonił do ciebie i poprosił, żebyś z nim pojechała?

— Nie, cały czas z nim byłam — odparłam tonem sugerującym, że nie życzę sobie dalszych pytań.

— I okazało się, że to ona? — spytał szef.

— Zgadza się.

— Co się z nią stało?

— Nic jeszcze nie wiadomo. Dwaj kłusownicy znaleźli ją przy opuszczonej drodze. Szeryf uważa, że została zgwałcona i zamordowana, ale nic ponadto nie

chce powiedzieć. Jej samochód stał na jednym z pobliskich parkingów. Możliwe, że pojechała w jakimś celu do Wisconsin, chciała się z kimś spotkać i została zamordowana. Może zabito ją gdzie indziej, a tam tylko porzucono ciało. Boże, przecież mogła sobie jechać przez Chicago i kiedy stanęła na czerwonym świetle, ktoś wskoczył do samochodu i wyciągnął pistolet... Chociaż szeryf uważa, że ma to coś wspólnego z narkotykami, bo w jej organizmie wykryto kokainę.

— No to, kurwa, wspaniale — warknął Guttman, jakby to ja była wszystkim winna — świetnie. Musimy to zachować w tajemnicy przed prasą.

Na szczęście przyszedł Jeff Bassman i wybawił mnie od konieczności słuchania dalszych wywodów. Był udziałowcem z wydziału majątku i inwestycji. John miał nadzieję, że powie nam, co się stanie z akcjami bratanicy Stephena, skoro wiadomo, iż nie doczeka dwudziestych pierwszych urodzin.

— Możliwe, że warunki umowy powierniczej precyzują, co stanie się z akcjami w wypadku śmierci strony przed ukończeniem dwudziestu jeden lat — myślał na głos Bassman. — Zależy, jak cwany był prawnik, który ją przygotował. Czy to my ją spisywaliśmy?

— Nie — odparł szef.

— Kiedy została podpisana?

— Niecały rok temu — rzucił John w odpowiedzi.

— Jest tu gdzieś kopia tego dokumentu?

Guttman wcisnął jakiś przycisk na biurku i natychmiast przytruchtała jego sekretarka z notatnikiem w ręku.

— Zadzwoń do Vince'a DeGenovy — nakazał — poproś, żeby przefaksował nam kopię umowy powierniczej Gretchen Azorini. Powiedz, że potrzebujemy jej natychmiast.

— Dobrze, sir.

— A my, żeby nie tracić czasu — podsunął szef — weźmy się do potwierdzenia legalności majątku dziewczyny, oczywiście pod warunkiem, że to leży w naszym interesie.

— Kopia aktu zgonu...

— Wydali tylko tymczasowy akt zgonu — wtrąciłam się.

— Chryste, tymczasowy akt zgonu — jęknął Bassman. — No to macie spory problem. W takim razie możemy ją co najwyżej pochować. Nic poza tym. Żadnych wypłat za ubezpieczenie, żadnych dyspozycji co do majątku, nic. Na cóż oni czekają?

— Na wyniki badań toksykologicznych — odparłam.

— A ile to, ich zdaniem, potrwa? — spytał John.

— Nie wiem — oznajmiłam, robiąc notatkę. — Dziś zdobędę dla pana odpowiedź.

Guttman spojrział na mnie ze złością. Najwyraźniej chciał zademonstrować

Bassmanowi swój talent do wygłaszania tyrad. Niestety, pojawiła się sekretarka niosąca śliskie kartki umowy powierniczej.

— Proszę to dać panu Bassmanowi — rozkazał szef.

Ten szybko przejrzał umowę. Następnie uniósł głowę i usiłował zebrać kartki w równy stos, postukując nimi o krawędź biurka.

— Nie jestem w stanie stwierdzić oficjalnie — chciałbym przeczytać to dokładnie — ale na pierwszy rzut oka zdaje mi się, że w wypadku śmierci Gretchen Azorini przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia, akcje z funduszu powierniczego trafią do jej najbliższego krewnego.

— To znaczy jej opiekuna? — spytałam, choć znałam już odpowiedź.

— Jej ojca — odparł Bassman. — Bez względu na to, kto się nią oficjalnie zajmuje, obowiązujące prawo preferuje więzy krwi. Wygląda na to, że po rozparcelowaniu majątku akcje dostanie jej ojciec.

— No to, kurwa, wspaniale — jęknął John.

Po powrocie do biura spojrzałam na listę rzeczy do zrobienia. Przez następne pół godziny ją powiększałam. Kiedy skończyłam, złapałam za telefon.

Najpierw zadzwoniłam do biura szeryfa Mannetuoc i straciłam mnóstwo czasu na podlizywanie się jego sekretarce, Marcie. Udało mi się od niej wyciągnąć nazwisko i numer telefonu anatomopatologa, który przeprowadził sekcję. Dowiedziałam się również, że śledztwem kieruje jedyny detektyw zatrudniony w biurze szeryfa, Tom Morrisy. Martha wyraziła swoje skrajne zadowolenie faktem, iż może mnie z nim połączyć.

Morrisy był osobnikiem odpowiadającym na wszelkie pytania monosylabami. W dodatku stwierdził, że bez zezwolenia Whittle'a nie może mi nic powiedzieć.

Nawet nie prosiłam, by mnie z nim połączył. Miałam wątpliwości, czy potrafi posługiwać się telefonem bez czyjejś pomocy. Podziękowałam mu, odłożyłam słuchawkę, po czym znowu zadzwoniłam do sekretarki. Oznajmiła, że szeryf wyszedł, ale gdy tylko wróci, dopilnuje, żeby do mnie zadzwonił.

Następnie wykręciłam podany mi przez Marthę numer telefonu lekarza, który przeprowadził autopsję, niejakiego doktora Briana Yarbrough, skazanego na odosobnienie w odległym od cywilizacji Mannetuoc ze względu na fakt poślubienia pani weterynarz opiekującej się dużymi zwierzętami.

— Tu doktor Yarbrough — odezwał się po pierwszym piknięciu.

Zawsze podobało mi się, kiedy mężczyzna odbierał swój telefon, co jest cechą szczególnie rzadko spotykaną wśród lekarzy.

— Doktorze Yarbrough, nazywam się Kate Millholland. Jestem prawniczką z Chicago i reprezentuję doktora Stephena Azoriniego, wujka i prawnego opiekuna nieznanej dziewczyny, na której przeprowadził pan wczoraj autopsję.

- Tak, słyszałem, że ją zidentyfikowali. Szkoda, że mnie nie wezwali. Chciałem spotkać się z kimś z jej rodziny.
- Szeryf poinformował mnie, że wydał pan tymczasowy akt zgonu w oczekiwaniu na wyniki badań toksykologicznych.
- To prawda, przykro mi z tego powodu. Zdaję sobie sprawę, że to wstrząs dla jej rodziny.
- Azorini są w równym stopniu jak pan zainteresowani poznaniem przyczyny śmierci Gretchen. Jej wujek jest lekarzem i w związku z tym prawdopodobnie nie czuje jakiegokolwiek odrazy na myśl o sekcji zwłok. Proszę zrozumieć, wszystko to stało się tak nagle i w żaden sposób nie można znaleźć racjonalnego wyjaśnienia. Dlatego też sądzę, że bardzo chcą poznać prawdę o śmierci dziewczyny. Właśnie dlatego dzwonię do pana. Chciałam poprosić o przefaksowanie mi kopii raportu z sekcji zwłok.
- Musiałbym najpierw skontaktować się z Whittle'em.
- Z moich ust wyrwało się jęknięcie.
- Proszę mnie zrozumieć. Mannetuoc to nie Chicago.
- Wiem, byłam przy identyfikacji ciała przez doktora Azoriniego.
- Wziął ze sobą swojego adwokata? — spytał Yarbrough ze zdumieniem.
- Nie, nie, to nie tak. Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Byłam z nim, kiedy policja poinformowała go o znalezieniu ciała mogącego być ciałem jego bratanicy. Zrobiłam to, co każdy by zrobił na moim miejscu. Pojechałam z nim.
- Kiedy zaginęła bratanica pani klienta? — spytał.
- W ogóle nie zaginęła. Doktor Azorini myślał, że jest w szkole. Właśnie dlatego to wszystko jest takie szokujące i dlatego rodzina ma tyle pytań.
- Pani Millholland, proszę zrozumieć, zabójstwo na tym terenie to rzadkość, a jeśli nawet się zdarzy, sprawa z reguły jest prosta. Dwaj pijani faceci ze strzelbami, kłótnie rodzinne. Odkrycie tego ciała to najciekawsze wydarzenie w jurysdykcji Whittle'a na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat. Osobiście nadzoruje to śledztwo.
- Czyli zakłada pan, że to morderstwo? — spytałam.
- Tak zakłada szeryf. Dopóki nie dokończę badań, ma do tego prawo.
- Co pan ma na myśli?
- Proszę mnie opacznie nie zrozumieć. Nie wykluczam zabójstwa. Dużo na to wskazuje. Po pierwsze, stan ciała. Na studiach wpajano nam, że pierwszą czynnością w wypadku znalezienia zwłok młodej kobiety na odludziu jest badanie na okoliczność gwałtu.
- Na okoliczność gwałtu? — powtórzyłam, niepewna, czy dobrze rozumiem.
- To seria czynności wykonywanych w razie zaistnienia podejrzenia, że miał miejsce gwałt. Bierzymy wymazy z ust, odbytu i pochwy. Przechesujemy włosy łonowe, zabieramy próbki spermy i na ich podstawie stwierdzamy grupę

krwi gwałciciela.

— Czyli od tego pan zaczął.

— Szczerze mówiąc, najpierw zadzwoniłem do mojego znajomego, lekarza sądowego w Cook County, żeby upewnić się, co mam robić. Następnie zabrałem się do tego badania.

— I co pan odkrył?

— Jak już mówiłem, na pierwszy rzut oka wiele wskazuje, że było to morderstwo na tle seksualnym. Po pierwsze, ciało znajdowało się na wolnym powietrzu.

— Czy miała na sobie ubranie? — spytałam.

— Tak, ale to niewiele znaczy. Mnóstwo innych czynników przemawia za tym, że było to morderstwo połączone z prawdopodobnym gwałtem. Nawet stosunkowo niedoświadczony oficer nie mógł ich nie zauważyć. Jak już mówiłem, ciało znajdowało się na powietrzu. Po drugie, miała spuchnięte, przekrwione oczy — w wyniku popękanych naczyń krwionośnych. Na szyi były zardrapania. Ogromna większość kobiet zamordowanych na tle seksualnym umiera w wyniku uduszenia.

— Czyli uważa pan, że ją uduszono? — spytałam.

— Nie złapie mnie pani tak łatwo. Powiedziałem tylko, że policjanci zauważyli obecność wybroczyn...

— Co zauważyli? — przerwałam.

— Wybroczyny. To fachowe określenie charakterystycznie przekrwionych oczu i popękanych naczyń krwionośnych. Miała ślady ucisku na szyi. Stwierdziłiśmy, że faktycznie odbyła z kimś stosunek. Ze względu na czas dzielący zgon od znalezienia zwłok trudno orzec, kiedy dokładnie.

— Ile to było czasu, pana zdaniem? — spytałam. — Kiedy zmarła?

— Sądzę, że zgon nastąpił w poniedziałek przed południem, między dziesiątą a dwunastą.

— W poniedziałek? — zdziwiłam się. — Przepraszam, przerwałam panu. Mówił pan, że odbyła stosunek z kimś...

— Tak, na podstawie spermy mogliśmy określić grupę krwi tego kogoś. A minus. W odbycie i jamie ustnej nie miała nic. Pośród jej włosów łonowych znaleźliśmy pojedyncze włosy, które pochodziły od innej osoby.

— No to jakie badania są panu potrzebne do wydania ostatecznego aktu zgonu? — spytałam. — Whittle mówił, że chodzi o toksykologię.

— Zabije mnie, jak się dowie, że z panią rozmawiałem.

— Doktorze Yarbrough, proszę mi wierzyć, ja i mój klient jesteśmy nawet bardziej zainteresowani poznaniem prawdy o tym, co spotkało Gretchen Azorini, niż pan. Czy jest pan w stanie sobie wyobrazić, jak strasznym dla jej rodziny jest snuć domysłów? Żadna prawda nie może być gorsza. Im więcej będę w stanie powiedzieć jej najbliższym na temat pańskich podejrzeń, im więcej faktów zamiast okropnych przypuszczeń, tym łatwiej im będzie z tym żyć.

- Wysłałem próbki tkanek i moczu do laboratorium w Chicago celem zbadania obecności narkotyków w organizmie — zwłaszcza kokainy.
- Dlaczego?
- Powiedzmy, że pewne fakty wskazywały, że przyczyną śmierci mogło być jej przedawkowanie.
- Jakie fakty? — spytałam.
- Bardzo mi przykro, ale i tak już za dużo powiedziałem. Zanim będę mógł wyjawić coś więcej, muszę porozumieć się z Whittle'em. Przepraszam.
- Nie, proszę nie przeproszać — odparłam. — Jeszcze tylko jedno pytanie. Kiedy oczekuje pan wyników badań toksykologicznych?
- Nie jestem pewien. Zwykle trwają około dwóch tygodni. Do próbek dołączyłem uwagę, że chodzi o sprawę wzbudzającą dużo kontrowersji. Może dzięki temu załatwią to nieco szybciej.
- Dziękuję, doktorze Yarbrough, nawet pan nie wie, jak bardzo mi pan pomógł. Czy mogę panu w zamian jakkolwiek się zrewanżować, potrzebuje pan może jakichś informacji?
- Tak. Wiem, że Whittle w końcu mi to załatwi, ale czy mogłaby mi pani podać nazwisko i numer telefonu lekarza i dentysty zmarłej, o ile oczywiście odwiedzała ich regularnie?
- Ależ oczywiście — odparłam — zadzwonię do pana za dziesięć minut.
- Odnalezienie asystenta Stephena celem zdobycia numerów telefonów lekarza i dentysty Gretchen zajęło mi trochę więcej niż dziesięć minut, ale kiedy wreszcie zadzwoniłam do doktora Yarbrough, wydawał się naprawdę wdzięczny. Zostawiłam mu numer naszego faksu, gdyby jakimś cudem szeryf uznał, że powinien nam wysłać kopię raportu z sekcji zwłok. Gdyby tak się nie stało, cóż, będę musiała ją zdobyć inaczej.
- Następnie zadzwoniłam do pani Bigham, dyrektorki szkoły Chelsea Hall. Chciałam dowiedzieć się, gdzie jej zdaniem znajdowała się Gretchen Azorini, gdy w rzeczywistości leżała martwa w Wisconsin.
- Pani Bigham robiła wrażenie autentycznie zrozpaczonej śmiercią dziewczyny, a ponadto była niezwykle usłużna. Moi rodzice wydali majątek na Chelsea Hall, od chwili gdy Beth weszła w wiek młodzieńczy. Uczyla się tak źle, zachowywała tak dziwnie, że wciąż pozostawała szanowaną uczennicą wyłącznie dzięki sutym łapówkom.
- Wiem, jakie to ciężkie — zaczęłam — ale mamy wiele wątpliwości co do okoliczności śmierci Gretchen Azorini. Czy mogłaby pani odpowiedzieć mi na parę pytań dotyczących ostatnich dni jej życia?
- Oczywiście. Bardzo zależy nam na wyjaśnieniu tej sprawy. Dziewczęta dostają ataków hysterii. To, że nie możemy im rzec nic konkretnego, jeszcze wszystko utrudnia.
- Właśnie rozmawiałam z lekarzem, który przeprowadził sekcję zwłok Gretchen. Według niego, zgon nastąpił w poniedziałek przed południem, między

dziesiątą a dwunastą. Dlaczego szkoła nie zgłosiła jej zaginięcia?

— Nie rozumiem — zdziwiła się dyrektorka.

— Dziewczyna zmarła w poniedziałek przed południem — powtórzyłam — jej ciało znaleziono dopiero we wtorek po południu. Po prostu dziwię się, że doktor Azorini nie został powiadomiony o jej nieobecności w szkole.

— Nadal nie rozumiem — stwierdziła pani Bigham. — Czyli nie zmarła w szpitalu? Doktor Azorini zadzwonił do nas w poniedziałek rano i poinformował, że jego bratanica w weekend złapała grypę i leży w szpitalu. To nie pierwszy raz, więc się nie przejęliśmy.

— Pani rozmawiała z nim osobiście? — spytałam, nie wiedząc, co o tym myśleć.

— Nie, zdaje się, że powiedział o tym mojej sekretarce.

— Czy mogłabym z nią porozmawiać?

— Oczywiście. Mimo to nie rozumiem, do czego pani zmierza. Gretchen nie zmarła w szpitalu? Sądziliśmy, że nastąpiły jakieś powikłania w związku z jej cukrzycą.

— Zdaje się, że sprawa jest nieco bardziej złożona — odparłam. — Proszę mnie połączyć z pani sekretarką.

Siedziałam przy biurku i rozmyślałam o tym, czego dowiedziałam się od sekretarki pani Bigham. W poniedziałek rano, około dziesiątej, do szkoły zadzwonił mężczyzna podający się za doktora Azoriniego. Poinformował, że w niedzielę wieczorem Gretchen zachorowała na grypę i obecnie leży w szpitalu. Lekarze spodziewali się, że wypiszą ją nazajutrz, ewentualnie dwa dni później. Czy rozpoznała głos? — spytałam. Nie, pracowała w szkole dopiero pół roku i nie miała wcześniej okazji rozmawiać z doktorem Azorinim, choć powiedziała mu, że jego głos brzmi, jakby się przeziębił, i wyraziła nadzieję, że on sam nie złapał grypy. Odnotowała nieobecność dziewczyny, napisała w związku z tym kartkę do dyrektorki i przesała do innych zajęć.

Nie miałam pojęcia, co o tym sądzić.

Cheryl musiała zastukać dwa razy, żeby zwrócić moją uwagę.

— Wiem, że nie chcesz, żeby ci przeszkadzać, ale dzwoni Richard Humanski. Podobno jakaś ważna sprawa.

— Dzięki, Cheryl — rzekłam i podniosłam słuchawkę.

— Richard, co słyhać? — spytałam.

— Ojej, przepraszam, że przeszkadzam, Kate — Humanski naprawdę używał słów typu „ojej” — ale Stephen właśnie pękl i nie wiem, co robić.

— Co rozumiesz przez „pękl”?

— Siedział w biurze i rozmawiał z ojcem. W pewnym momencie wezwał mnie i poprosił, żebym mu przyniósł z biblioteki atlas. Tak też zrobiłem. Po

pięciu minutach usłyszałem, jak wrzeszczy coś po włosku i rozbija się po biurze. Wiesz, jaki on zwykle jest opanowany, nigdy nie podnosi głosu. Wszedłem do niego, żeby sprawdzić, co się dzieje. Krzyknął, żebym zostawił go w spokoju. Twarz miał purpurową. Teraz siedzi w swoim biurze, trzaska szufladami i klnie — przynajmniej tak to brzmi, nie znam włoskiego. Nigdy go takim nie widziałem. Poza tym ma zaplanowane spotkanie z ludźmi z Calder Insurance, a to poważni inwestorzy. Nie chcę, żeby go zobaczyli w takim stanie... nie wiedziałem, do kogo zadzwonić.

— Dobrze, że zatelefonowałaś do mnie — stwierdziłam. — Po pierwsze, skontaktuj się z ludźmi z Calder i przelóż spotkanie na inny termin. Powiedz im o śmierci Gretchen, może zrozumieją. Zaraz tam będę.

— Proszę, nie mów mu, że to ja do ciebie zadzwoniłem — poprosił.

— Nie martw się. Zdaje się, że otrzymał więcej ciosów, niż mógł przyjąć. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były po prostu zabójcze.

Rozdział 6

Stephen w końcu się uspokoił i zawiozłam go do domu. Może zdał sobie sprawę, że w takim stanie wiele nie zdziała, a może udało nam się go przekonać, że nie powinien być widziany przez kogokolwiek związanego ze sprawą wykupu Azor, gdy nie może zapanować nad swoimi nerwami. Przejęcie przedsiębiorstwa jest jak każda bitwa: przeciwnik potrafi wyczuć słabość, a po śmierci bratanicy oczy wszystkich skierowane będą na Azoriniego.

Po drodze zatrzymaliśmy się przy małym sklepie w Regents Park. Kupiłam pieczonego kurczaka, bułkę francuską, butelkę wszechobecnego zimnego char-donnay i błyskawicznie dobraną sałatkę z baru na wynos. Stephen i tak nic z tego nie ruszy. Był w szoku. Każdy ma pewną granicę, do której jest w stanie przyjmować ciosy od życia w miarę obojętnie, ale po jej przekroczeniu, nawet ktoś taki jak Stephen po prostu się wyłącza.

By dostać się do frontowych drzwi jego mieszkania, musieliśmy przebrnąć przez setki kwiatów i koszów z owocami. Odźwierny ze względu na brak miejsca w małym foyer przy windzie musiał je poustawiać również wewnątrz. Lilie w przedpokoju sięgały nam do kolan. Najprawdopodobniej przysłali je przede wszystkim znajomi ze świata biznesu; okropny dowód efektywności tej machiny. Jak dotąd rodzina Azoriniego zdawała się trzymać z dala od tej tragedii.

Wyjęłam zakupy i zaczęłam krążyć po kuchni w poszukiwaniu naczyń. Nalałam dwie lampki wina i postawiłam talerz przed Stephenem. Mieszkanie przytłaczało nas swoim ogromem i pustką, odgłosy — stukot odstawianego kieliszka, zgrzytnięcie widelca o talerz — nabierały znamion hałasu. Po to właśnie potrzebna jest rodzina, gdy umiera ktoś bliski, pomyślałam, nie do łagodzenia rozpacz, ale do wypełnienia tej ciszy.

— Dowiedziałaś się czegoś o autopsji? — spytał Stephen.

— Rozmawiałam z tym anatomopatologiem — odparłam ze wzrokiem wbitym w talerz. Odsunęłam go z lekkim obrzydzeniem.

— I co powiedział?

— Powiedział, że nic nie chce powiedzieć. Wydaje się kompetentny i ostrożny, zwłaszcza jak na kogoś zajmującego się czymś takim. Po przywiezieniu ciała zadzwonił do znajomego lekarza sądowego i zapytał, co ma robić. Mówi, że nie wyklucza zabójstwa, ale nie jest tego tak pewien jak szeryf. Jedyne, co mi właściwie wyjawiał to to, że Gretchen umarła w poniedziałek rano, a nie w niedzielę wieczorem.

— W poniedziałek? — niemal wykrzyknął Azorini.

— Przed południem. Rozmawiałam z panią Bigham. Chciałam się dowiedzieć, dlaczego nie poinformowano cię o nieobecności twojej bratanicy. Podobno zadzwoniłeś do nich i powiadomiłeś, że Gretchen złapała w weekend grype i parę dni zostanie w szpitalu.

— Co?!

— Telefon odebrała jej sekretarka. Dzwoniłeś tam po coś w poniedziałek?

— Ależ skąd! — wykrzyknął Stephen, wyraźnie wyprowadzony z równowagi.

— No to ciekawe, kto dzwonił — odezwałam się z zadumą.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Pewnie goniec z biura — rzekł Stephen, zostawił talerz z nietkniętym jedzeniem i ruszył do drzwi. — Prosiłem Richarda, żeby przysłał kogoś z wykazami planów sprzedaży z działu sprzętu medycznego.

Pamiętam, iż zdziwiłam się, że nie zadzwonił odźwierny, żeby uprzedzić o przybyciu posłańca. Budynek Azoriniego był z reguły niezwykle dokładnie pilnowany, ale zanim to wszystko zdążyło mi przemknąć przez myśl, Stephen już otworzył drzwi i usłyszałam odgłosy kłótni.

Jak dotąd nie miałam okazji poznać Joey'a Azoriniego, ojca Gretchen. Był starszy od Stephena o osiem lat, nic więcej o nim nie słyszałam, ale kim innym mógł być człowiek, który wszedł do salonu? Był niewątpliwie starszy, szczuplejszy, niższy i wyglądał jak żigolak, któremu poszczęściło się na loterii, ale nie można było nie zauważyć podobieństwa. Te same ciemne, kręcone włosy, ten sam orli profil. Jednak w jego oczach nie dało się dostrzec błysku inteligencji charakteryzującej Stephena, a szerokie wargi nadawały mu wygląd prymitywnego człowieka.

Był tak nabuzowany gniewem, że wyglądał, jakby unosił się nad ziemią. Wreszcie zrozumiałam, skąd wzięło się określenie „miota się jak zwierz w potrzasku”.

Towarzyszył mu ogromny mężczyzna, młodszy od nas. W ciągu mojego uprzywilejowanego żywota w izolacji od świata zewnętrznego nie miałam okazji stanąć oko w oko z wynajętym bandziorem. Teraz wreszcie się nadarzyła. Jego szyja była gruba jak moje udo, a błyszczący materiał poliestrowej koszuli

wypychały mięśnie klatki piersiowej. Twarz miał pokrytą bliznami po trądziku, farbowane blond włosy upodabniały go do surfera. Patrzył w milczeniu, jak jego szef, Joey Azorini, wykrzykiwał przekleństwa pod adresem brata. Był jak uwiązany pies pragnący siłą woli zmusić wiewiórkę, by podeszła doń.

— Ty kutasie! — wrzeszczał Joey i odpychał Stephena otwartą dłonią, chcąc usunąć go z drogi. — Ty jebany skurwielu! Powiniennem cię tu i teraz zakatrupić. Powiniennem przeciągnąć ostry drut przez twój mózg. Powiniennem pociąć cię na kawałeczki i nakarmić ryby twoimi jajami. Powiniennem...

— Też się cieszę, że cię widzę — rzucił Stephen, odstepując krok do tyłu pod naporem przekleństw. — Czy ty i ten twój buldog chcecie wejść, czy też może wolisz stać i wyzywać mnie na korytarzu?

— Nie mam zamiaru cię, do kurwy nędzy, wyzywać. Po prostu urwę ci ten twój pierdolony łeb.

— Widzę, że od ostatniego spotkania nie udało ci się powiększyć zasobu słów — rzekł spokojnym głosem Stephen, najwyraźniej świadom, że tak właśnie rozjątrzy brata.

— Zabiję cię! — warknął Joey.

— Ciesz się, że masz ze sobą Vito. W innym razie zatłukłbym cię własnymi rękami. Wystarczyłoby, żebyś zobaczył twoją mordę pod moimi drzwiami — oświadczył Stephen tonem, jakiego zapewne użyłby podczas zebrania zarządu.

Odwrócił się plecami i wszedł do salonu. Po chwili wahania Joey podążył w jego ślady. Podziwiałaam spokój Stephena. Mnie wściekłość jego brata niesamowicie przerażała. Chyba nie byłabym w stanie, ot tak sobie, odwrócić się do niego tyłem. Vito wyglądał na rozczarowanego, ale przyłączył się do wojujących w salonie. Stephen usiadł na kremowej kanapie, Joey spoczął naprzeciwko, a za nim, ze skrzyżowanymi ramionami, zajął miejsce bandzior.

— Napijesz się? — spytał Stephen.

— Co to za lala?

— Och, wybacz, to Kate Millholland, mój adwokat. Kate, to mój brat, Joey Azorini.

— Różniesz ją? — szepnęła Joey ciut za głośno.

— Co się wydarzyło w Wisconsin, Joey? — odezwał się Stephen, nie zwracając uwagi na pytanie brata. — Możesz mi powiedzieć wprost, ja i tak dowiem się wszystkiego.

— O co ci właściwie chodzi? — spytał Joey gniewnie, równocześnie gwałtownie się podnosząc. — Nic nie rozumiem. Chryste, przecież pojechałem w interesach do Kolumbii.

— Joey, nawet nie próbuj kręcić. Takie pieprzenie nic ci nie da. Ja i tak dowiem się wszystkiego, ojciec też. Po prostu powiedz prawdę, w ten sposób zaoszczędzisz nam wszystkim kłopotów.

— Co tu się, kurwa mać, dzieje? — zapytał żałośnie Joey wpatrzony w ściany. — Wracam dziś do domu z podróży, leżę w łóżku z dupeczką, która okazuje, jak się cieszy z mojego powrotu, a tu dwa chłopaki od ojca wpadają do mieszkania i wyciągają mnie w samych slipach. Wciskają mnie na tylne siedzenie jakiejś limuzyny, a tam już czeka ten pedał DeGenova i zaczyna wypytywać, gdzie i z kim byłem. Czemu miałbym mu powiedzieć, pytam. A on na to, że jeśli nie zaśpiewam, to na obiad dostanę swoje jaja, po czym zabiera mnie do domu ojca. Na rany Chrystusa, Stephen — ciągnął, prawie że jęcząc — byłem na zakupach w Kolumbii. Dopiero dzisiaj wróciłem. Jesteście tacy niesprawiedliwi. Nie zrobiłem nic złego.

— Masz tupet — odparł Stephen podniesionym, zagniewanym głosem. — Jak w ogóle śmiesz przychodzić tu... do mojego mieszkania. Twoja córka nie żyje, Joey. Była kochaną dziewczynką, przed którą stało całe życie. Zamordowano ją i wrzucono do rowu. A ty masz czelność opowiadać, jak niesprawiedliwie cię traktujemy.

— Miałaś się nią zaopiekować — odrzekł Joey głosem skrzywdzonego dziecka. — Płynęła w niej moja krew, a ty wrzeszczysz na mnie, natomiast ojciec traktuje mnie jak śmiecia.

— Żle mierzysz, Joey — oznajmił Stephen i potrząsnął ostrzegawczo głową — nic ojcu nie powiedziałem. Po prostu zna cię tak dobrze jak ja. „Moja krew”. Niedobrze mi się robi, jak cię słucham. Dlaczego każdy, kto cię kocha, w końcu nagle umiera?

Bójki w filmach rozgrywają się tak wolno, że widać każdy cios. Walczący markują uderzenia, robią uniki, wykrzywiają się do kamery.

W rzeczywistości wszystko jest o wiele szybsze i nieskończenie bardziej przerażające. Jeszcze nigdy nie widziałam, jak jeden człowiek próbuje zabić drugiego gołymi rękami. Nie było mi dane zetknąć się z taką nagą, zwierzęcą nienawiścią. Joey nie tyle uderzył brata, ile po prostu rzucił się na niego z zaciśniętymi pięściami. Jednak nawet w tym kłębowskiu zauważyłam, że podczas gdy Joey'em kierował gniew, Stephen myślał, analizował zaistniałą sytuację, definiował istotę problemu i poszukiwał rozwiązań.

Stephen podciął brata i runął na niego. Zwalili się na podłogę, przewrócili stolik. Znajdujące się na nim fotografie w srebrnych ramkach poleciały na ziemię jak domek z kart. Goryl stał z boku i oceniał sytuację. Najwyraźniej nie chciał psuć szefowi zabawy, dopóki mu dobrze szło.

Stephen próbował wyrwać się z uścisku, ale w trakcie szamotaniny dostał potężny cios w twarz. Złapał brata za włosy i rąbnął jego głowę o podłogę. Rozległ się obrzydliwy głuchy odgłos. Uderzył go w twarz. Wtedy Vito złapał go z tyłu i wykręcił mu ręce, tak żeby Joey mógł łatwo trafić. Ten podniósł się z trudem i uśmiechnął krzywo. Mrużąc oko, błyskawicznie pokrywające się opuchliną, walnął Stephena tak mocno, że aż rozbolała go ręka. Krew z ust brata zalała mu koszulę.

Zdałam sobie sprawę, że stoję, sparaliżowana jak jakaś bezradna idiotka, z dłonią przyciśniętą do ust. Skoczyłam na plecy goryla Azoriniego, próbując wbić mu paznokcie do oczu. Jęknął z bólu i zaskoczenia, po czym puścił Stephena. Rąbnął mnie z obrotu. Cios był tak silny, że poleciałam na kanapę i czułam, jak uchodzi ze mnie powietrze. Próbowałam się podnieść, ale wtedy dostałam potężnego kopa w twarz. Okropne, pomyślałam i zaczęłam sprawdzać, czy nie straciłam jakichś zębów. Tymczasem Vito podążył na pomoc Joey'owi.

Goryl chwycił Stephena od tyłu i trzymał go, podczas gdy Joey uderzał raz po raz. Rozejrzałam się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby zostać wykorzystane jako broń. Stephen kopnął Vita w kolano i jednocześnie wbił mu łokieć w brzuch.

Rzeźbiony kawałek steatytu przypominał nieco spłaszczoną piłkę do baseballu. W jakiś sposób znalazł się w mojej ręce. Gdy Joey wyciągnął pistolet, byłam już na nogach. Rąbnęłam go w tył głowy tak silnie, jakbym właśnie odbijała piłkę z forhendu. Osunął się bezwładnie na dywan, a ja rzuciłam się po pistolet.

Podniosłam go z ziemi i skierowałam lufę w stronę goryla, po czym cofnęłam się o dwa, trzy kroki, żeby mieć Joey'a na celowniku. Nie strzelałam z pistoletu, od czasu gdy w wieku trzynastu lat pojechałam na obóz, ale przez całe życie polowałam i znałam się na broni na tyle, żeby wiedzieć, że trzeba ją odbezpieczyć i trzymać w obydwu rękach. Stałam sztywno, z rozstawionymi nogami, by uniknąć odrzutu, w razie gdybym jednak musiała strzelić.

— Trzymać ręce z dala od kieszeni. Tak, żebyś je widziała — powiedziałam głosem brzmiącym zupełnie inaczej niż zwykle. Zdawało mi się, że tlen jakoś wyciekł z pokoju. Stałam i gwałtownie łapałam powietrze do płuc.

Stephen wyprostował się powoli. Vito wyszczerzył zęby, a Joey usiadł na podłodze. Miał błędny, matowy wzrok.

— Stephen — rzekłam — zadzwoń na policję.

— Nie, oni są nieszkodliwi. Joey zawsze tak się zachowuje, jak dostaje ataku szału, a Vito robi, co mu każą.

Przeszukał goryla i wyjął pistolet z ukrytego na plecach futerału oraz pięcocalową rurkę z kieszeni.

— Zabierz go stąd — nakazał, wskazując Vitowi jego szefa.

Goryl podniósł go na nogi. Krew sączyła się z jego nosa i rozlicznych ran na twarzy. Stephen cisnął mu chusteczkę.

— Wytrzymaj się, tu nie można ot tak sobie zalewać krwią dywanów. Nie chcę więcej widzieć twojej mordy w tym mieszkaniu. Jeśli tu wrócisz, powiem ojcu. Jesteś najprymitywniejszym stworzeniem na ziemi, Joey. Wracaj z powrotem do rynsztoka, tam twoje miejsce.

— Oddaj mi pistolet — zażądał Joey. Mówił bardzo niewyraźnie. Potknął się o koszyk z owocami.

— Oddam ci go kawałek po kawałku, najpierw dostaniesz parę kul — w głosie Stephena zabrzmiała autentyczna groźba — a teraz wynoś się stąd.

Joey miał kłopoty z koordynacją ruchów. Vito, którego pokancerowaną twarz pokrył teraz ohydny rumieniec, musiał go niemal nieść do drzwi. Gdy czekali na windę, brat odwrócił się do Stephena i wymamrotał, niemalże łkając:

— Przysięgam, byłem w Kolumbii. Nie gniewaj się na mnie. — Jego łyzy mieszały się z krwią.

Dopiero, kiedy Stephen zamknął drzwi i oparł się o nie plecami, opuściłam pistolet. Trzęsłam się — nie chodziło tylko o dłonie, drżały mi nogi, kolana, całe ciało, zupełnie, jakby przepelniał mnie jakiś wewnętrzny mróz. Pot ciekł ze mnie niczym łyzy płynące od głowy do stóp i nadal łączywie chwyciłam powietrze. Azorini uśmiechnął się do mnie i wtedy zdałam sobie sprawę, że z głębokiego, białego rozcięcia nad jego okiem płynie szeroka struga krwi. Miał rozcięte w kilku miejscach, wręcz zmasakrowane wargi.

— Ależ z ciebie kobieta, Katharine Anne Millholland — szepnęła i przytuliła mnie do siebie. Pozostałam w jego objęciu przez chwilę, czując się tak mała, ale zarazem tak bezpieczna. Wreszcie dotarło do mnie, że jego koszula była zroszona nie tylko moimi łzami, ale również krwią. Odsunęłam się, żeby zobaczyć, jak bardzo jest ranny.

— Potrzebny ci lekarz — stwierdziłam.

— Jestem lekarzem — odparł.

— Poważnie, Stephen, jeśli nie chcesz sam sobie zszywać twarzy, lepiej, żebyśmy pojechali na pogotowie.

— Wiesz, gdzie teraz pójde? — spytał. — Otóż zrobię sobie drinka i jeśli będziesz grzeczna, też dostaniesz. Za żadne skarby nie pójde na pogotowie. Jestem zbyt zmęczony, a poza tym nie chcę, żeby dziennikarze cokolwiek wyniuchali, zwłaszcza po tej sprawie z Eichelem.

Po przeprowadzeniu dość napiętych rokowań Stephen zgodził się, żebym zadzwoniła do mojej współlokatorki, Claudii. Złapałam ją na sali przyjęć. Obiecała, że przyjedzie po przyjściu następnej zmiany, za mniej więcej godzinę.

Azorini wyłonił się z kuchni, niosąc butelkę szkockiej i dwie szklanki. Salon wyglądał okropnie. Krwawe smugi na kremowych kanapach, poprzewracane meble. Na stoliku leżały dwa pistolety.

— Powinnaś siebie zobaczyć — rzekł Stephen.

— A to dlaczego? — spytałam, przyglądając włosy.

— Wygląda na to, że i tobie przyda się parę szwów. Jak tam twoje oko?

Podniosłam się, poszłam do łazienki i spojrzałam w lustro. Na policzku, w miejscu, gdzie kopnął mnie Vito, zaczynał rosnać spory siniec. Z rozbitej wargi ciekła krew, a oko przesłaniała opuchlizna. Moja biała jedwabna bluzka zmieniła

się w umorusany krwią strzęp. Włosy sterczały na wszystkie strony.

Dokładnie umyłam i wytarłam twarz. Zabrałam się do robienia porządku z włosami, ale w pewnej chwili musiałam przerwać. Złapały mnie silne dreszcze. Przez chwilę stałam, obiema rękami przytrzymując się krawędzi umywalki. Nie płakałam, a mimo to czułam narastające we mnie dziwne wzruszenie — częściowo spowodowane smutkiem, częściowo brakiem snu, częściowo strachem, ale głównie ulgą, że oto żyję i na dodatek jestem w całkiem dobrym stanie.

Uspokoiło mnie parę głębokich oddechów. Jednym łykiem wchłonęłam resztę szkockiej, złapałam powietrze do płuc, gdy poczułam palenie w gardle, po czym uczesałam się. Wróciłam do salonu. Stephen napełnił moją szklanekę i podał mi paczkę mrożonego groszku. Popatrzyłam na niego, jakby właśnie spadł z Księżyca.

- Nie, dziękuję — powiedziałam — nie jestem głodna.
- Przyłóż to do oka. Będziesz miała niezłą śliwę.
- Myślałam, że w takiej sytuacji robi się okłady ze steku.
- Nie wiesz, że surowe mięso szkodzi? — odparł i zaczęliśmy rechotać.

Nasza radość trwała o wiele dłużej, niż zasługiwał na to ten średni żart.

Azorini włączył lampę stojącą za moimi plecami i przyjrzał mi się dokładnie.

- Przykra sprawa — stwierdził.

Sam nie wyglądał o wiele lepiej. Chociaż głęboką ranę nad prawym okiem przykrył równiutko uciętym kawałkiem gazy, to i tak jego oblicze wyglądało, jakby wyciągnięto je ze zgniatarki śmieci.

— Wiesz co — powiedział i ujął moją twarz w dłonie — dziękuję. Joey mógł mnie zabić.

- Dlaczego nie chciałeś wezwać policji?
- Jesteśmy rodziną. W nasze sprawy rodzinne nie mieszamy policji.
- Więc — mrugnęłam, gdy poczułam na twarzy dotyk lodowatej torebki — może mi przynajmniej wyjaśnisz, o co chodziło?

Stephen nalał następną kolejkę i poszedł do kuchni po lód. Kiedy wrócił, zdawało mi się, że waży kostki w rękę przed wrzuceniem ich, jedna po drugiej, do szklanek.

— Joey to mój przyrodni brat. Jest ode mnie osiem lat starszy. Jego matka była włoską dziewczyną z sąsiedztwa, o wiele młodszą od mojego ojca i z tego, co słyszałam, niezwykle piękną. Popelniała samobójstwo, zanim Joey zaczął chodzić. Nie wiem dlaczego, choć domyślałam się, że to przez ojca. Nigdy nic o niej nie mówi.

Z moją matką ożenił się, kiedy Joey miał sześć lat. Cztery lata później umarła na raka. Wtedy ojciec najwyraźniej uznał, że małżeństwo przynosi mu pecha. Od tamtej pory nic nie wiem na temat innych kobiet w jego życiu. Możliwe, że trzymał je z dala od siebie. Wychowały nas ciotki w wielkim domu przy Cicero.

Różniłem się od brata mniej więcej tak jak Beth od ciebie. Nigdy nie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Najczęściej po prostu mnie gnoił.

Ale odkąd pamiętam, był w coś zamieszany: kłopoty z panienkami, hazardem, utarczki z policją, które ojciec musiał łagodzić. Przez to wszystko doprowadzał go do szału. Teraz widzę, że dorastanie w takim otoczeniu niszczy kogoś takiego jak Joey. Nie miał najmniejszej szansy. Od samego początku było z nim coś nie tak.

Poza tym, oczywiście, nie jest zbyt inteligentny. Ojca nie obchodziło, że szaleje czy łamie prawo. Problemem było to, że dawał się złapać. Nie potrafił myśleć i to właśnie ojca najbardziej irytowało.

Wreszcie pewnego dnia, kiedy miał już siedemnaście lat, ukradł samochód — postąpił zupełnie bez sensu, jako że dostał od ojca w prezencie nowiutkie auto. Pewnie w zamian za parę tygodni z dała od wszelkich awantur. No, ale żeby popisać się przed panienką, mój brat postanowił ukraść samochód. I to nie było jakie, proszę ciebie. Wybór padł na nowego cadillaca należącego do ojca Calducciego. Uruchomił wóz i namówił panienkę, żeby wymknęła się z domu i przejechała z nim.

Mniejsza o szczegóły, w każdym razie skończyli pijani na autostradzie Dan Ryan, jadąc pewnie jakieś sto pięćdziesiąt na godzinę. Joey wbił auto w betonowy słup wiaduktu. Wyleciał z samochodu i dla niego skończyło się na lekkim wstrząsie mózgu i zwichniętej ręce. Dziewczyna, zanim umarła, przez cztery tygodnie leżała w stanie śpiączki. Miała czternaście lat i pochodziła z dobrej rodziny. Jej rodzice nawet nie wiedzieli, że wyszła z domu, dopóki nie zadzwoniła policja. Z sali przyjąć.

Cała ta sprawa kosztowała ojca majątek. Udało mu się ją wyciszyć, ale ledwo, ledwo, a i tak mnóstwo ludzi zdążyło się dowiedzieć. Ojciec stwierdził, że Joey jest spalony w Chicago i wysłał go do New Jersey, gdzie miał pracować w jakimś zaprzyjaźnionym przedsiębiorstwie budowlanym. Zdaje się na jakimś niskim stanowisku — pamiętam, jak marudził ojcu, że stać go na więcej, i jak ojciec niezmiennie kazał mu się zamknąć.

Potem przez dłuższy czas nic o nim nie słyszałem. Dopiero, kiedy byłem na M.I.T., strasznie się pokłócił z ojcem. Wyglądało na to, że postanowił poprowadzić swój interes. Poznał kilku przedsiębiorczych Murzynów i wziął się do handlu narkotykami — kokainą i heroiną.

Mój ojciec to stara szkoła. Tacy jak on trzymają się z dala od narkotyków. Można na nich dużo zyskać, można też wiele stracić. Ojciec zarabiał na życie tradycyjnie — kasyna, lichwa, wymuszanie... a w dodatku próbował się z tego wszystkiego jakoś wywinąć, zamierzał za pomocą swoich pieniędzy rozkręcić legalne interesy.

Ojciec się wściekł. Przede wszystkim narkotyki stanowiły tabu, a ponadto może uważał, że syn nie jest na tyle inteligentny, żeby prowadzić takie interesy na sporą skalę i nie dać się złapać. Przecież wtedy nazwisko Azorinich zostałoby powiązane z narkotykami i światem przestępczym.

— Czemu ty byłeś inny? — spytałam. — Dlaczego nie kradłeś aut i nie wplątywałeś się w awantury?

— Domyślam się, że w momencie moich urodzin ojciec był już zdecydowany zająć się legalnymi interesami. Odsunął się od dawnych kumpli. Ze wszystkich sił starał się wychować mnie inaczej. Poza tym mam więcej zdrowego rozsądku niż mój brat. O ile dobrze pamiętam, razem z tobą złamałem mnóstwo przepisów. Po prostu nigdy nas nie złapali.

— A co z Joey'em?

— Jak się okazuje, znalazł swoje miejsce w życiu. Handel narkotykami to idealny interes dla totalnego socjopaty. Bardzo dobrze mu się powiodło. Kiedy dostałem się do szkoły medycznej, przeniósł się z powrotem do Chicago. Starsze rodziny zaczęły się zajmować narkotykami, a Joey, pod nosem ojca, zaczął wyrastać na grubą rybę.

Pomimo szczęścia w interesach, jego życie osobiste zawsze było tragicznie nieudane. Zaraz po powrocie do Chicago ożenił się. Wybranka miała ledwo szesnaście lat. Była Niemką. Uciekła z domu do Ameryki, żeby zrobić karierę filmową. Na imię miała Anja. Kiedy ją poznał, grywała w filmach pornograficznych. Zrobił na niej wrażenie, jakby był jednocześnie Rockefellerem, papieżem i Elvisem.

Urodziła im się córeczka, Gretchen, ale niestety, nie trafiła na dobrych rodziców. Po pierwsze, Anja była narkomanką; po drugie, nadal marzyła, że zostanie słynną aktorką. Przez cały czas kupowała ciuchy, wachała kokę i układała włosy. Joey włożył trochę pieniędzy w klub nocny na Rush Street, żeby Anja mogła spotykać ludzi ze świata show-biznesu, ale efekt był taki, że on sam zaczął podrywać młode aktoreczki, które z całą pewnością nie miały nic wspólnego z jego żoną. Mój brat i bratowa nieustannie się żarli.

Nie mam pojęcia, jak Gretchen udało się przetrwać dzieciństwo. Ojciec zawsze starał się zapewnić jej jako taką opiekę, kogoś, kto dopilnuje, żeby poszła do szkoły i miała na sobie czyste ubranie.

Potem, kiedy dziewczynka skończyła dziewięć lat, wykryto u niej cukrzycę. W dzisiejszych czasach cukrzyca to nic wielkiego. Częściowo zawdzięczamy to postępowi w medycynie. Opanowaliśmy chorobę na tyle, żeby umożliwić pacjentom prowadzenie w miarę normalnego trybu życia. Mimo to nie można bagatelizować cukrzycy objawiającej się w tak młodym wieku, jak to jest, to znaczy było w przypadku Gretchen. Zwłaszcza że był to typ II. Jej organizm nie wytwarzał w ogóle insuliny. Dostosowywanie przyjmowanych pokarmów do dawek insuliny, ciągłe badanie poziomu cukru we krwi, to nie taka prosta sprawa. Dziecko z chroniczną przypadłością, uzależnione od insuliny, to wielki ciężar. Wychowanie go jest trudne nawet dla najlepiej zorganizowanych, kochających się rodzin.

Joey i Anja nie mieli pojęcia, jak sobie radzić z chorobą córki — potrafili tylko klócić się na ten temat. Bratowa ćpała do upadłego i zapominała podawać

jej insulinę. Brat wyjeżdżał z kraju po towar, a kiedy wracał, zastawał dziewczynkę w szpitalu. Wtedy gryźli się jak wściekłe psy; Joey bił żonę, a ona, zakrwawiona, czołgała się do domu ojca i wrzeszczała: „Patrz, co ze mną zrobił!”.

I tak przez lata. Gretchen powoli uczyła się sama sobie radzić. Chryste, była niesamowicie niezależnym dzieciakiem. Przy takich rodzicach trzeba jak najszybciej dorosnąć. Mimo to zdarzały się wypadki. Przeziębienie, biegunka, grypa, jakakolwiek infekcja zmieniająca szybkość metabolizacji glukozy i wykorzystania insuliny stanowi potencjalne zagrożenie życia dla kogoś w sytuacji mojej bratanicy. Trzy czy cztery razy do roku zdarzał się jakiś kryzys. Gretchen łądowała w szpitalu, a brat tłukł bratową.

W pewnym okresie ojciec chciał nawet wynająć pielęgniarkę, żeby zamieszkała w ich domu, ale, jak zapewne możesz sobie wyobrazić, niewiele było chętnych do życia w takim środowisku, bez względu na zarobek. Wreszcie znaleźli jedną taką, ale okazało się, że sama jest narkomanką. Któregoś dnia Joey wrócił do domu i zastał je obie nabuzowane. Leżały sobie na tapczanie i oglądały jakiś serial.

Anja zaczynała wariować. Jej mąż kręcił się za młodymi panienkami. Córka, która wkraczała w wiek nastoletni, klóciła się z nią, wyzywała ją od ćpunek, mówiła, że jej nienawidzi.

Pewnego dnia Joey był w klubie, gdy zadzwonił do niego jeden z sąsiadów i powiedział, że jeśli w jego mieszkaniu nie będzie spokoju, to on zadzwoni na policję. Kiedy brat pojechał sprawdzić, co się dzieje, zastał dom przewrócony do góry nogami, żonę wrzeszczącą i rozrzucającą wszystko, co nie było w jakiś sposób umocowane. Gretchen siedziała zamknięta w łazience. Miała wyrwany cały pukiel włosów i rozciętą wargę — prezent od matki.

Więc Joey, zgodnie z jego wybuchowym temperamentem i logiką, zaczął tłuc Anję. Gorzej, że tym razem posunął się trochę za daleko i rozwalił jej czaszkę. Dostała krwotoku mózgowego i kiedy przywieźli ją do szpitala, już nie żyła.

Ojciec wyciszył i tę sprawę. Nauczyli dziewczynkę, co ma powiedzieć policji. Z rąk do rąk przeszło mnóstwo pieniędzy.

Po tym, co się zdarzyło, Gretchen wytrzymała zaledwie niecałe sześć tygodni. W pewnym momencie poszła do dziadka i oświadczyła, że nie jest już w stanie mieszkać z ojcem — chciała zamieszkać ze mną. Ledwie mnie znała, wiedziała tylko, że jestem lekarzem i nie prowadzę żadnych brudnych interesów.

Wystarczyło mi dwadzieścia minut rozmowy z nią, żeby podjąć decyzję. Była taka chuda, wystraszona i zabiedzona. Miałem wrażenie, że uratowaliśmy się z tej samej wojny; tyle, że mnie wywieziono helikopterem, a ona dryfowała w samotnej łódce na środku oceanu.

Twarz Stephena pokryła się łzami, a rana nad prawym okiem znowu się otworzyła. Gaza przesiąkała, krew spływała mu po twarzy.

— Chciała pozostawić za sobą dotychczasowe życie. Tego nie byłem w stanie zapewnić, ale udało mi się wywalczyć umowę, na mocy której zostałem jej prawnym opiekunem, a Joey miał prawo do czterech widzeń w ciągu roku pod nadzorem innego członka rodziny. Guttman i DeGenova tak to wymyślili. Są jedynymi ludźmi spoza rodziny, którzy znają choćby część prawdy. W dniu podpisania umowy moja bratanica wprowadziła się do mnie.

— Wyjaśniłeś mi, dlaczego Gretchen została twoją podopieczną. Nie powiedziałeś, czemu twój brat chciał cię dziś zabić — powiedziałam.

— Od roku podejrzewałem, że Joey spotyka się z córką. Nie wiem, czy się starzeje i żałuje wyrzeczenia się jej, czy też istnieje jakiś poważniejszy powód. Gretchen dostawała drogie prezenty. Wiedziałem, że pochodzą od niego. Nie było to naruszeniem naszej umowy, ale zacząłem się obawiać, że coś się za tym kryje. Jednak zdawało mi się, że dziewczynka jest zadowolona, więc dałem sobie z tym spokój.

Potrząsnął głową ze smutkiem.

— Mogę winić tylko siebie. Powinienem był od razu coś z tym zrobić.

— Nie rozumiem — rzekłam.

— Gretchen pojechała do Wisconsin, żeby spotkać się z Joey'em. Jestem tego pewien.

— Niby dlaczego?

— Mój brat lubił brać się do czegoś na boku: hazard na statkach rzecznych w Iowa, hotele dla psów... kilka lat temu postanowił wybudować domek łowiecki w północnym Wisconsin. Miał to być ot taki klub dla co bogatszych gentlemanów z Chicago. Wymyślił sobie, że wyprzeda karty członkowskie, przyciągnie klientów obietnicą małego hazardu, załatwi parę ładnych panienek. Jak zwykle, pomysł spalił na panewce. Owszem, Joey nabył spory kawał ziemi, postawił dom dla siebie, po czym zdał sobie sprawę, że zakupił pięć tysięcy akrów, na których nie było ani kropli wody pitnej, a za to zasiedlonych przez połowę całej światowej populacji komarów. A wszystko to znajduje się w pobliżu małego miasteczka o nazwie Lee-High, około stu kilometrów od Ridleyville, gdzie odnaleziono jej samochód. To dlatego nie od razu wszystko skojarzyłem. Musiałem sprawdzić na mapie. Rozmawiałem z tym policjantem, Gundersonem. Okazuje się, że kłusownicy polowali na ziemi należącej do Joey'a.

— Czyli według ciebie pojechała tam na spotkanie z nim. Przecież on twierdzi, że był w Kolumbii, a poza tym chyba nie sądzisz, że zgwałcił i udusił własną córkę?

— Nie wiem już, co sądzić. Musisz przyznać, że wiele wskazuje na niego. Jechała w tamto miejsce, już samo to...

Siedzieliśmy w ciemnym salonie, pogrążeni w ciszy i zbyt zmęczeni, by zabrać się do ustawiania mebli. Kiedy Azorini wreszcie się odezwał, brzmiało to jak szept.

— Boże, Kate. Nigdy jeszcze tak się nie czułem. Zupełnie, jakby całe moje życie zawałiło się w jednej chwili. Chciałem pomóc chorej, wystraszonej dziewczynce, a ktoś ją zgwałcił i udusił. Chciałem rozwinąć swój interes, coś, co byłoby potężne, ale dobre, i ten kretyn, Eichel, chce mi to odebrać. Czuję się, jak jeden z tych Kalifornijczyków, których domy osuwają się razem ze zboczem wzgórza — najpierw wszystko jest w porządku, potem nagle znika — zostaje zniszczone.

Zapadła cisza. Czułam, że powinnam coś powiedzieć, ale nie przychodziło mi do głowy nic poza bezwartościowymi banałami z gatunku takich, które musiałam wysłuchiwać po śmierci Russella. Niektóre z nich były niewątpliwie prawdziwe — jesteś młody, zdrowy, czas leczy wszelkie rany. To w niczym nie zmieniło ich płytkości, nonsensu; przypominały zwykłe zagłuszanie bólu.

— Stephen — odezwałam się wreszcie — chcę, żebyś wiedział jedno. Kiedy umierał Russell, ty mi najwięcej pomogłeś. Jeśli w jakikolwiek sposób będę w stanie ci pomóc w sprawie Gretchen, w sprawie Eichela, obiecuję, że to zrobię. Po prostu powiedz słowo.

Spojrzał na mnie. Jego twarz była niemal zmasakrowana, oczy wypełniły się łzami. Wziął mnie w ramiona. I kiedy tak siedziałam w tym wielkim, pustym mieszkaniu, przyozdobionym pistoletami i porozbijanym szkłem, nie miałam najmniejszego pojęcia, jak wiele ta obietnica będzie mnie kosztować.

Rozdział 7

Ze snu wyrwał mnie wściekły ton Guttmana, w dodatku nagłośniony przez automatyczną sekretarkę. Wszystko tak bardzo mnie bolało, że ledwie byłam w stanie dowlec się do telefonu.

- Cześć – rzuciłam, przyciskając słuchawkę do zdrowego policzka.
- Co, u licha, jeszcze robisz w domu? – ryknął.
- A która godzina? – spytałam.
- Cholera jasna, już prawie druga po południu. Dlaczego mi to robisz?

Chora jesteś?

- Coś w tym stylu – odparłam.
- Nie mam czasu na dyskusje o kobiecych przypadłościach—mruknął nieprzyjaznym głosem. — Przyjeżdżaj tu natychmiast. Masz pod ręką ołówek?
- Tak — odpowiedziałam i wyciągnęłam notes.
- Trzysta dwadzieścia dwa West Washington. Apartament dwa tysiące sześćdziesiąt sześć.
- Mogę chociaż wziąć prysznic? — spytałam.
- Nie możesz nawet się odlać—warknął mój szef i odłożył słuchawkę.

Budynek, którego adres dostałam od Guttmana, był odnowionym biurowcem w zachodniej części centrum. Stał wciśnięty pomiędzy sklep z perukami a sklep o wdzięcznej nazwie „Chrapiąca kukurydza”, w którym oczywiście można było kupić prażoną kukurydzę.

Z każdym krokiem odczuwałam potworne mrowienie twarzy. Miałam pięć szwów w kąciку prawego oka i jedenaście za prawym uchem — dzieło Claudii. Nie mijalałam zbyt wielu ludzi, ale i tak nie mogłam nie zauważyć wrazenia, jakie robię. Spoglądali na mnie i zwalniali kroku; niektórzy wręcz wyciągali szyje, żeby lepiej przyjrzeć się mojej zmasakrowanej twarzy. Naprawdę nieźle się prezentowałam.

Wysiadłam z windy i odnalazłam drzwi oznaczone numerem dwa tysiące sześćdziesiąt sześć. Okazało się, że za nimi mieści się biuro firmy prawniczej Morganelli, DeGenova i Rocco, o której nigdy nie słyszałam. Hol wyglądał jak salon pogrzebowy z epoki wiktoriańskiej. Ciemne zasłony, wielkie czarne meble i paprocie.

Podeszłam do recepcjonistki, której czarne włosy zdawały się zaprzeczać prawu grawitacji, i poinformowałam ją, że przyszedłam do pana Guttmana.

— Oczywiście — odparła — proszę za mną.

Kiedy tak szła, kołysząc się na swoich wysokich obcasach, czekałam tylko, aż strzeli balonem z gummy.

Okazało się, że oto przypadł mi zaszczyt wzięcia udziału w spotkaniu rodzinnym. Po jednej stronie stołu siedział Joey Azorini z zaklejonym i spuchniętym nosem. Wyglądał niezwykle ponuro. Stephen Azorini, pozszywany i poważny, spoczął naprzeciwko. Po obu stronach jego brata stali dwaj mężczyźni w garniturach w prążki. Jego goryl, Vito, niezmiennie brzydki i tajemniczy, stał przy drzwiach. Mój szef siedział obok Stephena.

Na głównym miejscu przy stole siedział starszy mężczyzna. Kiedyś był potężnie zbudowany, zupełnie jak Stephen, ale czas i Bóg wie jakie problemy przyniotły mu pierś i ramiona. Miał siwe, przerzedzone włosy, zaczesane do tyłu, odsłaniające wysokie czoło i zakrzywiony nos. Taki profil mógłby zdobić rzymską monetę. Oczy te same co u Stephena, niebieskie i chłodne, zupełnie nie pasowały do jego twarzy. Wielkie, żylaste dłonie leżały przed nim na stole jak odpoczywające zwierzątka.

Dostrzegłam błysk w oczach Guttmana, gdy zauważył, jak wyglądam, i skojarzył to z wyglądem braci Azorinich. Nic jednak na ten temat nie powiedział. Zamiast tego przerwał trwającą rozmowę i przedstawił mnie ojcu Stephena, Anthony'emu Azoriniemu, trzem szefom firmy — panom Morganellemu, DeGenovie i Rocco, jak można się było spodziewać — i Joey'owi Azoriniemu.

— Mielіśmy okazję się poznać — skomentowałam chłodno.

W żaden sposób nie mogłam przewidzieć, w co się pakuję. Szef wskazał zapraszającym gestem wolne krzesło obok niego. Pan Morganelli, siedzący przy Joey'u, zaczął mówić do niego cicho po włosku. Wyglądało to, jakby próbował go do czegoś namówić, o czymś przekonać.

Guttman podał mi jakąś kartkę. Był to list adresowany do doktora Stephena Azoriniego, prezesa firmy Azor Pharmaceuticals. Autor listu informował o zamiarze sprzedaży trzystu czterech tysięcy czterystu siedemdziesięciu siedmiu posiadanych przezeń akcji Azor Pharmaceuticals, jak również pięćdziesięciu tysięcy akcji z majątku Gretchen Azorini. Na dole widniał podpis — Joey Azorini.

Anthony Azorini stuknął zaciśniętą pięścią w stół.

— Po angielsku — rzucił.

Morganelli posłusznie wykonał polecenie.

— Śmierć, zwłaszcza nagła, tragiczna śmierć kogoś tak młodego jak Gretchen Azorini jest czymś okropnym. — Przypominał zasmuconego księdza, którego nic już nie jest w stanie zaskoczyć. — Trudno wtedy utrzymać uczucia na wodzy, więc zostają wypowiedziane słowa, dokonane czyny, których nieraz żałuje się, gdy przychodzi uspokojenie. To coś normalnego, naturalnego, będącego częścią życia ludzkiego.

Ale ważne decyzje — ciągnął, podnosząc głos — decyzje dotyczące interesów podejmowane w takim okresie mogą okazać się całkowicie błędne. A błędy mogą przynieść długotrwałe konsekwencje. Widziałem już wiele rodzin rozbitych w ten sposób. Braci, którzy walczą ze sobą — potrząsnął głową ze smutkiem i pochylił ją, jakby przytłoczył go ciężar własnych słów.

— Biznes to biznes — wtrącił Joey, wysuwając podbródek jak chłopczyk, który wreszcie zdobył się na sprzeciwienie ojcu. — Kierowałem się tylko dobrem swoich interesów. Jestem nielojalny wobec swojego przyrodniego brata? Owszem, i tego nie żałuję. On nie jest przecież lojalny wobec mnie. Lojalny brat, prawdziwy brat nie rzucałby na mnie takich oskarżeń! To, co robię dzisiaj, nie rozbija naszej rodziny. Nasza rodzina już od dawna jest rozbita.

— Nie obchodzi mnie, co robisz — odparł Stephen bez cienia uczucia w głosie.

— Stephen, nie mów rzeczy, których potem będziesz żałował — ostrzegł mój szef niemal półszepem.

— Wiesz przecież, że gdybyś mnie traktował jak brata, ja traktowałbym cię tak samo. Zapytaj, kogo chcesz, a wszyscy powiedzą — Joey Azorini to lojalny człowiek, lojalny wobec przyjaciół, wobec rodziny. Kto ci pomógł, Stevie, kiedy ojciec odmówił, kiedy banki nie chciały dać złamanego grosza? Przyszedłeś do swojego brata i cóż on zrobił? Wypytywałem cię o cokolwiek? Pytałem, czy jesteś w stanie spłacić dług? Pytałem, po co ci pieniądze? Nie, miałem do ciebie zaufanie! Jesteś moim bratem!

— Swój dług spłaciłem — odrzekł Stephen zmęczonym głosem. — Dałem ci akcje, teraz możesz za nie dostać wiele milionów.

— I zamierzam je upłynnić — wybuchnął Joey. — Ty główniarzu, kiedy potrzebowałeś mojego wsparcia, podszedłem do ciebie jak do człowieka, jak do brata. A teraz co?! Umiera moje jedyne dziecko, a ty obchodzisz się ze mną jak ze zwierzęciem.

— Tak właśnie uczciwi ludzie odnoszą się do morderców — skontrował Stephen. — Chcę, byś mnie traktował jak brata, bo zawsze postępowałem, jak na brata przystało. Ty nigdy nie byłeś człowiekiem honoru!

— Chłopcy! — ryknął Anthony Azorini. Oczywiście błyszczały mu gniewnie. — Joey, twierdzisz, że postanowiłeś sprzedać twoje i przejęte przez ciebie akcje Gretchen wrogowi twojego brata, Edgarowi Eichelowi, żeby zdobyć pieniądze.

Zgoda, kupię je od ciebie za oferowaną przez niego cenę, czterdzieści osiem dolarów od akcji. Podpiszesz teraz odpowiednią umowę, a ja przygotuję czek.

Starszy mężczyzna poklepał się po kieszeniach, po czym sięgnął do marynarki i wyciągnął książeczkę czekową. Zauważyłam, jak Vito zeszytywniał, w chwili gdy dłoń Anthony'ego Azoriniego zniknęła na chwilę z pola widzenia.

Miła rodzinka, pomyślałam sobie.

— Ile w sumie wychodzi, Vince? — zapytał Anthony Azorini i zabrał się do wypełniania czeku.

Vince DeGenova wyjął kalkulator i wystukał odpowiednie liczby, tzn. trzysta pięćdziesiąt cztery tysiące czterysta siedemdziesiąt siedem pomnożył przez czterdzieści osiem. Nawet dla Millhollandów to była kupa forsy.

— Siedemnaście milionów czternaście tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt sześć dolarów — oznajmił prawnik.

— Zgoda — mruknął Azorini. — Weź swoje pieniądze, Joey. Vince sporządzi odpowiednią umowę, a ty ją podpiszesz i w ten sposób akcje staną się moją własnością.

Stephen wbił wzrok w blat stołu. Jego brat odsunął czek od siebie.

— Nie! — krzyknął. — Ojcze, nie chcę twoich pieniędzy.

— A co ci się w nich nie podoba? — spytał Anthony Azorini z rozwagą w głosie. — Stać mnie na ten wydatek. — Przerwał, by zwiększyć napięcie. — A może po prostu obawiasz się, co zrobię z akcjami? Boisz się, że nie odstąpię ich Eichelowi? Albo że, co gorsza, oddam je twojemu bratu?

— Nie zrobiłbym tego, gdyby mnie tylko przeprosił! — Joey zachowywał się jak pokrzywdzone dziecko.

— Aha — Anthony Azorini przypominał człowieka przekradającego się przez umysłowe pole minowe — rozumiem. Czyli nie chodzi ci o dobro twoich interesów. Nie chcesz pieniędzy, chcesz przeprosin.

— Stephen pokalał moje dobre imię, ojcze — wywnętrzał się Joey — zranił mój honor na twoich oczach.

Wszyscy zwrócili spojrzenia ku Stephenowi.

— Nie powiedziałem nic, co nie byłoby prawdą — oznajmił, patrząc na ojca.

— Musisz go przeprosić — rozkazał Anthony Azorini.

— Nie — odparł Stephen.

— Przecież nie wiesz na pewno, że twój brat jest zamieszany w śmierć Gretchen — przerwał Guttman, zupełnie jakby zastanawiał się na głos.

Azorini spojrział na niego chłodnym wzrokiem, tak jakby chciał zapytać: Po czyjej stronie jesteś? To za to ci płacę?

— Powinieneś posłuchać swojego adwokata, Stephen — poradził Anthony Azorini, podchwytując temat. — Jesteś naukowcem, człowiekiem, który kieruje

się rozsądkiem. Podejrzewasz, że twój brat w jakiś sposób odpowiada za to, co się stało. Chciałbyś w to uwierzyć. A jeśli nie jest tak, jak myślisz? W takim wypadku byłbyś winny okropnej niesprawiedliwości wobec brata.

— Jeśli udowodnisz, że się mylę, natychmiast go przeproszę — rzucił Stephen, jakby wątpił, czy kiedykolwiek będzie miał okazję spełnienia tej obietnicy.

— Jaki dowód cię zadowoli? — spytał mój szef. Widziałam, do czego zmierza, i nie mogłam nie podziwiać tego, jak sprytnie zastawili pułapkę i krok po kroku wciągali do niej Stephena. — Jestem pewien, że Joey może przedstawić zeznania kilkudziesięciu świadków, którzy widzieli go setki kilometrów od Gretchen, ale ty im przecież nie uwierzysz.

— Za odpowiednią cenę każdego można nakłonić do kłamstwa — odparował cios Stephen.

— Nie sądzę — rzekł Guttman ciepłym głosem wiejskiego lekarza. — Założę się, że Joey nie będzie w stanie przekupić Kate, że jej za żadną cenę nie nakłoni do kłamstwa.

— Do czego zmierzasz? — spytał Stephen, który wyraźnie miał już dość tej zabawy.

— Sprawa jest prosta. Gdyby Kate przeprowadziła śledztwo w związku ze śmiercią twojej bratanicy tak obiektywnie, jak prokurator, uwierzyłbyś w jego wyniki, nieprawdaż?

— Oczywiście, Kate bym uwierzył — potwierdził Stephen ostrożnym tonem.

— I jeśli udowodni ci, że Joey nie jest zamieszany w śmierć swojej córki, to jej uwierzysz?

— Nie uda jej się tego udowodnić. Ten sukinsyn jest odpowiedzialny...

— Ale gdyby się jakimś cudem udało, uwierzyłbyś? — Szef nie ustępował.

— Tak — przyznał niechętnie.

— Więc niech prawnicy wezmą się do pisania — polecił Anthony Azorini z satysfakcją właściwą człowiekowi, który właśnie zawarł korzystną umowę.

Wszyscy zebrani wokół stołu popatrzyli po sobie ze zdumieniem. Miałam wrażenie, że dałam się w coś zrobić, ale wszystko poszło tak gładko, że nawet nie za bardzo wiedziałam w co.

— Kate Millholland wyraża zgodę na przeprowadzenie śledztwa w sprawie śmierci Gretchen Azorini — zaczął Guttman, a DeGenova jął robić notatki. — Bezstronnego śledztwa, którego celem jest poznanie faktów dotyczących śmierci Gretchen Azorini. Jeżeli w wyniku przeprowadzonego przez nią śledztwa okaże się, że Joey Azorini miał jakikolwiek związek ze śmiercią swojej córki, przedstawi ona odpowiednie dowody Stephenowi Azoriniemu, który postąpi wówczas

zgodnie ze swoim sumieniem. Jednakże, jeżeli śledztwo wykaże niewinność Joey'a Azoriniego, Stephen przeprosi brata, a ten wycofa ofertę sprzedaży akcji należących do niego i Gretchen. Warunek: śledztwo musi zostać zakończone przed upływem terminu ważności oferty Edgara Eichela.

— To dziesięć dni — szepnęłam z przejęciem.

— Vince, przygotuj papiery — nakazał Anthony Azorini z zadowoloną miną.

— Hejże! — wtrącił się Joey. — Skąd mam wiedzieć, że ona nie skłamie?

— Z twojego punktu widzenia, nie robi to najmniejszej różnicy — jeśli nie jesteś zamieszany w śmierć swojej córki, a panna Millholland powie co innego, znajdziesz się dokładnie w tej samej sytuacji, w jakiej znajdujesz się teraz. Gdyby powiedziała, że jesteś niewinny, a byłoby to kłamstwem, wówczas przynajmniej, zgodnie z twoim życzeniem, zostaniesz przeproszony. Oczywiście bezpodstawnie.

Joey zmrużył oczy jak ktoś, kto próbuje wypatrzyć coś w mroku.

— Vince spisze umowę — rzekł Anthony Azorini.

— Oczywiście, jeśli panna Millholland wyrazi zgodę — wtrącił Stephen i spojrzął na mnie.

Tego się nie spodziewałam. Ze wszystkich sił chciałam zaprotestować, nie przystawać na coś tak beznadziejnego. Mimo to nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów. Wiedziałam, że mam wobec Stephena dług. W powietrzu zawisła gęsta cisza.

— Na pewno się zgodzi — powiedział mój szef, a ja stałam niezdolna do wydania z siebie jakiegokolwiek dźwięku. — Panna Millholland nie dość, że jest prawnikiem firmy, to na dodatek od dawna przyjaźni się z doktorem Azorinim. Zrobiłaby wszystko, co w jej mocy, żeby zapobiec wykupowi Azor Pharmaceuticals. Mam rację, Kate?

Kiedy nadal nic nie mówiłam, ku mojemu zaskoczeniu Guttman wsunął rękę pod stół i uszczypnął mnie w nogę. Mocno.

— Tak, tak, oczywiście — jęknęłam.

Moja kłótnia z szefem przeszła do legendy. Późnym popołudniem przyjmowano już zakłady, o której godzinie wylecę z pracy, w związku z czym zaczęła się poważna rywalizacja o mój stółek.

W taksówce ledwo udało mi się utrzymać język za zębami (nie rozmawiamy o interesach przy obcych). Ale gdy tylko przekroczyliśmy próg Callahan Ross, moje nerwy po prostu puściły.

Jeszcze nikt nigdy tak nie rozmawiał z Guttmanem (i przeżył). Na pewno nie ktoś tak nisko postawiony jak ja. Ostatnie kilka dni wyczerpały mnie emocjonalnie i fizycznie. A szef, po latach prób, wreszcie wyprowadził mnie z równowagi.

— Co tam się, do cholery, działo? — rzuciłam, gdy tylko znaleźliśmy się w kancelarii. Mój gniew, wyrażony tak dosadnie w publicznym miejscu, wyraźnie go zaskoczył.

— Kate, nie tutaj — mruknął z zakłopotaniem.

— Nie tu, nie tam — warknęłam. — Kiedy mi wyjaśnisz dokładnie, do czego mnie zmuszono? Kiedy wykup stanie się faktem i będziesz potrzebował kozła ofiarnego?

— Kate, porozmawiajmy o tym w moim biurze.

— Nie. Jeszcze gdzieś po drodze wciśniesz się w szparę pod jakimiś drzwiami i znikniesz, ty oślizły sukinsynu!

Chwył mnie za rękę. Natychmiast się wyrwałam.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknęłam.

— Co w ciebie wstąpiło? — miał czelność zapytać.

— Dziwisz się, że jestem wściekła? — odrzekłam, próbując zapanować nad rozszalałymi emocjami. Przez krótką chwilę mówiłam zupełnie jak moja matka i wcale mi się to nie podobało. — Nie wiem nawet, od czego mam zacząć. Powiedzmy, że dość mam twoich domysłów na temat, ile jestem gotowa zrobić dla tej firmy i klienta. Traktujesz mnie jak osobistą asystentkę. Stoi przed tobą adwokat, widzisz różnicę? Jeśli nie, wyślij swoją sekretarkę do sądu, niech ona zostanie obrończą.

— Muszę przyznać, że umowa, którą właśnie podpisaliśmy, jest dość nietypowa, ale to nie wyjaśnia... tego... przedmensualnego wybuchu.

O mało co go nie strzeliłam.

— A więc wyjaśnię ci — powiedziałam tak spokojnie, jak tylko mogłam. — Czy nie zauważyłeś, przy tym twoim wyostrzonym prawniczym umyśle, że trzy osoby spośród zebranych przy stole konferencyjnym wyglądały, jakby wpadły pod pociąg? Wczoraj wieczorem byłam u Stephena. Joey i jego goryl, Vito, postanowili złożyć mu wizytę. Już na miejscu Joey wpadł na pomysł zamordowania brata i zrobiło się dość gorąco. Uważasz się za prawnika-geniusza, ale nie przemknęło ci przez myśl, żeby spytać, dlaczego to Joey, Stephen, Vito i ja wyglądamy, jakbyśmy cudem uratowali się z tego samego wypadku?

— To znaczy, że cię uderzył? — spytał Guttman z niedowierzaniem.

— Tylko, żeby znokautować. Potem Vito kopnął mnie w twarz. Mam lekki wstrząs mózgu, szesnaście szwów i całe ciało w siniakach, z mojego zdjęcia mogliby zrobić plakat wspierający walkę z przestępczością. Ale to nic, bo dla firmy zrobiłabym przecież wszystko, prawda? Weszłabym w ogień, wykorzystałabym przyjaźń z ważnym klientem, poświęciła cały swój cenny czas na oczyszczenie kogoś, kto jest podejrzany o zabójstwo szesnastoletniej córki i kto zdecydowanie usiłował zabić naszego klienta, a mnie porządnie pobił. Tak to już jest w tym fachu, nie?

— Naprawdę, w żaden sposób nie mogłem o tym wiedzieć — odparł szef.

— Powinieneś był zapytać, Einsteinie. Powinieneś był zapytać. — Powietrze już ze mnie uszło — Idę do swojego biura. Muszę napisać parę słów — oznajmiłam.

Po drodze czułam na plecach spojrzenia mijanych pracowników.

Przez chwilę posiedziałam przy biurku i po raz ostatni rozejrzałam się po swoim biurze. Wszystkie inne miejsca, z którymi byłam związana, cechowała obojętność. Puste puszki i stare gazety na podłodze samochodu, zadziwiająca mieszanka mebli zaśmiecających moje mieszkanie niczym kawałki drewna wyrzucone przez morze na brzeg...

Za to biuro wypełniały rzeczy, do których byłam naprawdę przywiązana. Miałam tu biurko w stylu Regencji подарowane mi przez ciotkę Sarę, siostrę mojego ojca, lesbijkę żyjącą z dala od rodziny w Kalifornii. Stały tu dwa fotele, które udało mi się uratować z domu rodziców, kiedy po śmierci brata matka postanowiła zmienić wystrój mieszkania. Poza tym wszędzie pełno było akt i dokumentów, świadectwo ucieczki od gorzkiej przeszłości.

Wcisnęłam przycisk interkomu.

— Nie przyjmuję żadnych telefonów — powiedziałam Cheryl.

Z dolnej szuflady biurka wyciągnęłam kartkę papieru listowego. Zdjęłam skuwkę z wiecznego pióra zrobionego ze złota i lapisu, niegdyś należącego do mojego dziadka. Zabrałam się do pisania rezygnacji z pracy.

Prawie skończyłam, kiedy rozległo się pukanie. Nie zareagowałam, ale po chwili drzwi się otworzyły i w szparze pojawiła się twarz Skipa Tillmana, udziałowca z kierownictwa firmy.

— Kate — szepnął, jakby delikatnie budził śpiące dziecko — Kate, chciałbym z tobą zamienić parę słów.

— Skip, właśnie kończę pisać swoją rezygnację. Za jakieś pięć minut trafi na twoje biurko. Wtedy sobie pogadamy tak długo, jak sobie zażyczysz.

— Nie, Kate, proszę, wysłuchaj mnie. Guttman jest naprawdę świetnym prawnikiem, wspaniałym strategiem, ale idiotą, jeśli chodzi o stosunki międzyludzkie. Znasz go lepiej niż ktokolwiek. Nie podejmuj z jego powodu przedwczesnych decyzji. Porozmawiajmy o tym.

— Na rozmowy już za późno — odparłam i natychmiast pomyślałam, że w chwilach kryzysu zawsze uciekam się do oklepanych frazesów.

— Kate, znamy się już od bardzo dawna. Mogłabyś chociaż zgodzić się na parę minut rozmowy.

— A jeśli się nie zgodzę, będziesz tak stał i telepał się w wejściu, aż wreszcie nie wytrzymam i to zrobię — westchnęłam. — Dobijasz ludzi swoją grzecznością, Skip. Pewnie dlatego załapałeś się do kierownictwa.

Tillman wśliznął się do środka i usiadł w fotelu.

- John powiedział mi, że wczoraj wieczorem pobił cię Joey Azorini. To prawda?
- Joey i jego goryl.
- Zadzwoiłaś na policję?
- Nie. Nie, żeby chronić interesy firmy, ale dlatego, że Stephen mnie poprosił.
- Kiedy to się stało?
- Wczoraj wieczorem, około dziesiątej.
- Byłaś na pogotowiu?
- Nie, mam znajomą lekarzkę. Przyszła i nas zszyla.
- Dzwoniłaś do Johna? Powiedziałaś mu, co się stało?
- Nie.
- I nie widziałaś się z nim dziś rano?
- Nie, zadzwonił do mnie z biura Morganellego, DeGenovy i Rocco. Wiem, do czego zmierzasz. Chcesz mnie przekonać, że Guttman w żaden sposób nie mógł wiedzieć, co się stało. Z tym mogę się zgodzić. Ale nie da się ukryć, że najważniejsze dla niego było to, żebyśmy ja i Stephen dali się wrobić w tę idiotyczną umowę. Nawet nie raczył zapytać, co mi się stało, choć przecież każdy jest w stanie zauważyć, że mnie pobito. Ale co z tego? Przez niego znalazłam się w sytuacji, której nie życzyłabym nikomu.
- Rozumiem — odparł Skip uspokajająco. — John pokazał mi umowę. Do tego cię na studiach nie przygotowali.
- A żebyś wiedział.
- Ale nie możesz zaprzeczyć, że John rozegrał to świetnie.
- Przytaknęłam niechętnie.
- Azor Pharmaceuticals znalazła się w katastrofalnym położeniu... ile Joey ma akcji? Przyjmując, że przejmie majątek córki?
- Cztery czy pięć procent — odpowiedziałam.
- Popatrz więc, mogło dojść do tego, że prawie pięć procent całkowitej sumy akcji firmy trafiłoby do Eichela, zupełnie jakby ktoś wrzucił je do sedesu i spuścił wodę, przez co zostałyby wycofane z oferty sprzedaży.
- Można je wycofać aż do dnia wygaśnięcia oferty Eichela. Każdy z udziałowców ma prawo w tym czasie zmienić zdanie — zauważyłam.
- Ale Joey obiecał, że jeśli brat go przeprosi, zrezygnuje ze sprzedaży swoich akcji.
- Zastanów się, Skip. Cała ta umowa jest pełna dziur. Założmy, ot tak sobie, że Joey nie jest w to zamieszany. Przez cały weekend siedział w klasztorze i ma za świadków stu jezuitów. Przyjmijmy też, że Stephen go przeprosi. Ciekawa jestem, czy to składa się na ważny kontrakt?
- Dlaczego nie? Jeśli Joey nie odstąpi od sprzedaży swoich akcji, przy założeniu, że wszystkie inne warunki zostaną spełnione, będzie musiał zapłacić sporą sumę pieniędzy.

— I myślisz, że nasza firma pozwie go do sądu? Lepiej byś zrobił, zlecając to Ringling Brothers.

— Och, przecież jeśli Stephen przeprosi, jego ojciec dopilnuje, żeby Joey wycofał akcje.

— A jak Stephen nie przeprosi? Jeśli Joey jest winny albo jeśli nie będę w stanie udowodnić jego niewinności? A gdyby się okazało, że wisimy na włosku? Wiesz, jak wiele transakcji zostaje rozstrzygniętych dzięki mniej niż czterem procentom w jedną lub drugą stronę? Chyba nie sądzisz, że nikt mnie nie będzie obwiniał za upadek Azor Pharmaceuticals. Co najgorsze, nie z powodu mojego braku kompetencji, ale dlatego, że nie potrafiłam odegrać roli kobiety swojego klienta. Ludzie pomyślą sobie: „Gdyby naprawdę miała jakikolwiek wpływ na Stephena Azoriniego, namówiłaby go, żeby przeprosił brata...”. Na Boga, Skip! Jestem adwokatem, nie jakąś dziwką!

— Kate, czy ty czasem nie przesadzasz? Przecież nikt nie chce, żebyś nią była. Prosimy cię tylko, żebyś wykorzystała swoją wyjątkową pozycję w powikłanej sytuacji i w ten sposób pomogła poważnemu klientowi. Klientowi, który na dodatek jest twoim przyjacielem. Czy nie mogłabyś po prostu, jako dobra przyjaciółka Stephena, pomóc mu w rozwiązaniu tej zagadki?

— Oczywiście, że mogłabym — powiedziałam. — Nie to jest powodem mojego sprzeciwu. Guttman wezwał mnie bez uprzedzenia na spotkanie i wrobił mnie, nawet nie próbując pytać o zdanie. Poza tym bardzo mi się nie podoba, że od tego, co mam zrobić, zależy los firmy.

— Cały wydział będzie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pracował nad obroną Azor Pharmaceuticals. W najlepszym wypadku twoje dochodzenie nie będzie mieć na nic wpływu. Za to, jeśli weźmiesz je na swoje barki, zapewniam cię, że kierownictwo będzie niezwykle wdzięczne.

— To znaczy?

— To znaczy, że jak dotąd jesteśmy bardzo z ciebie zadowoleni, Kate, no i...

— Dobra, dobra. Przejdź do rzeczy.

— Dobrze, skoro nalegasz. Otóż jeśli zgodzisz się przeprowadzić dochodzenie w sprawie śmierci Gretchen Azorini, na następnym posiedzeniu zgłoszę twoją kandydaturę do zarządu. Ja i John poprzemy cię.

— Skip, jestem prawniczką, nie detektywem. Nie wiedziałabym, od czego zacząć — oświadczyłam.

— Wynajmij prywatnego detektywa. Rób to, co uważasz za stosowne.

— Dobrze, ale mam całkowicie wolną rękę — postawiłam warunek — dostęp do wszystkich zasobów firmy, żadnych ograniczeń. Koncentruję się tylko na tej sprawie i chcę dostać listę detektywów, z którymi regularnie współpracujemy.

— Zgoda — odparł Tillman, próbując ukryć swoje zadowolenie.

— I niech Guttman trzyma się ode mnie z daleka.

Skip kiwnął głową.

— Jeszcze jedno. Nie odpowiadam za to, co odkryję. Jeśli Joey jest winny, to jest winny. Nie będę kłamać, choćby zależało od tego dobro Azor Pharmaceuticals albo klientów wszystkich amerykańskich firm.

— Kate, jesteście ludźmi honoru. Służymy naszym klientom, ale służymy również prawu.

— Skip, wygrałeś — rzuciłam — więc nie pieprz.

Dokładnie złożyłam w czworo pismo z rezygnacją i wsunęłam je do górnej szuflady. Myślałam o tym, co powiedział Stephen, że każdy ma swoją cenę. Czyżby wejście do zarządu było moją ceną?

Callahan Ross, podobnie jak większość innych wielkich kancelarii prawnych, funkcjonowała jako spółka akcyjna. Około dwóch trzecich pracowników zatrudnionych było na pełnym etacie. Ich zarobki naliczano na podstawie liczby przepracowanych godzin; całość stanowiła roczny dochód. Przykładowo, dla pracownika o moim statusie stawka wynosiła sto osiemdziesiąt dolarów za godzinę, a zarabiałam około pięćdziesięciu. Pewna, niewielka część powstałej różnicy szła na pokrycie wydatków instytucji, a cała reszta trafiała do kieszeni członków zarządu. Dla kogoś harującego w winnicach prawa handlowego miejsce w zarządzie stanowiło prawdziwą nagrodę.

Nagrodą tą nie były wyłącznie pieniądze, chodziło mi głównie o coś innego. Prawdziwą gratyfikacją było zdobycie władzy i prestiżu. Członkostwo w zarządzie oznaczało przyjęcie do grupki „swoich ludzi”. Można było przestać obawiać się ostrej konkurencji panującej pośród szarych pracowników firmy. Wiązało się również z możliwością dobierania sobie odpowiednich spraw, rozporządzania swoim czasem i liczbą przyjętych zadań. W moim wypadku znaczyłoby, że mogę olać Guttmana, jeśli tylko znajdzie mnie taka chęćka. I bardzo dobrze, pomyślałam. Niech sobie poszuka jakiejś innej ofiary.

Taksówka zawiozła mnie do biura Azoriniego. Podjazd był zablokowany przez okutanych w grube futra ludzi robiących przedświąteczne zakupy, ciągnących za sobą torby szarpane bezlitośnie przez wiatr. Na schodach prowadzących do Instytutu Sztuki falował tłum, jakby niezdecydowany, w którą stronę ma się przemieścić. Stojące po obydwu stronach kamienne lwy zostały przystrojone wielkimi wieńcami przewiazanymi czerwonymi kokardami. Muzeum stanowiło jeden z najcenniejszych skarbów Chicago. Ostatnim razem byłam tu z Russellem.

Biura Azor wypełniał typowy harmider dnia pracy. Miejsce recepcjonistki zajęła strażnik.

— Kate Millholland, chcę się widzieć ze Stephenem Azorinim — poinformowałam go.

— Czy jest pani umówiona? — spytał uprzejmie, zerkając na trzymaną przez siebie tabliczkę.

— Nie. Niech mu pan po prostu powie, że przyszedłam w ważnej sprawie osobistej.

Strażnik spojrzął na mnie i szepnął parę słów do słuchawki telefonu.

— Proszę parę minut poczekać — rzucił po zakończeniu rozmowy.

Richard Humanski wyszedł z biura.

— Cześć, Kate — przywitał się. — Stephen właśnie gada z Gouldem. Mówi, że zajmie mu to jeszcze parę minut. Do tego czasu mam dotrzymać ci towarzysztwa.

— Nie potrzebuję towarzysztwa, Richard. Wiem, że masz mnóstwo roboty.

— Ależ nie, wszystko jest w porządku. Zajrzyjmy do kantyny. Może zostało coś z lunchu.

Podążyłam w ślad za nim korytarzem obwieszonym wielkimi nowoczesnymi obrazami, jakich pełno w biurach niedawno założonych firm. Dzięki amerykańskiemu biznesowi rozchlapywane farby i zgniatacze papieru nie mają kłopotów ze znalezieniem pracy.

— O ile wolno mi spytać — czy to samo, co spotkało twarz szefa, przytrafiło się również tobie?

— A cóż, według Stephena, jemu się przytrafiło? — odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

— Powiedział, że starszy brat próbował go pobić. W sumie to dziwna sprawa, obydwójce jesteście porozbijani.

— Tak, byłam przy tym, kiedy Joey wpadł z wizytą.

— Ojej, tak mi przykro. Czy to cię boli? Zresztą, po co pytam, przecież wiadać.

— Tak, to boli.

W małym bufecie, zwanym przez pracowników kantyną, nie było nikogo. Po drugiej stronie pomieszczenia stała taca z mocno już przerzedzoną ofertą potraw.

— Może chcesz kanapkę? — spytał Humanski.

— Nie, dziękuję. Wystarczy mi czarna kawa. — Zdałam sobie sprawę, że poza torebką M&M-ów od wczoraj rano nic nie jadłam, ale twarz bolała mnie od samego mówienia. Przeżuwanie wydawało się w tej sytuacji wysoce niepożądanym wysiłkiem.

— Ja sobie coś przyrządzę — rzekł Richard i postawił przede mną kubek z parującą kawą — jeszcze nie jadłem lunchu.

Usiadł naprzeciwko mnie. Zawsze wyglądał tak młodo, zupełnie jak czternastolatek przebrany w jeden z garniturów swojego ojca.

— Jesteś pewna, że nic nie chcesz? — spytał.

— Tak, dziękuję.

— To wszystko jest takie okropne. Aż mam wyrzuty sumienia, że jestem głodny. Całą noc nie mogłem zasnąć, nic, tylko myślałem o sprawie Gretchen.

Faktycznie wyglądał, jakby nie zmrużył oka. Był blady i miał podkrążone oczy. Odniosłam wrażenie, że Humanski, w odróżnieniu od Stephena, nie ukrywa swojego smutku. Jako jego asystent, na pewno często spotykał dziewczynkę.

— Proszę bardzo — przerwała nam młoda blondynka niosącą długą taśmę wydruku komputerowego. — Doktor Azorini powiedział, że może przyjąć panią Millholland. Czy to pani?

— Jasne.

Richard również wstał od stołu.

— Odprowadzę cię — zaproponował.

— Nie trzeba, znam drogę. Lepiej skończ lunch.

Stephen siedział przy biurku i przeglądał karteczki z nazwiskami osób, które próbowały się z nim skontaktować. Jego twarz, choć nadal ozdobiona śladami wczorajszej walki, wyglądała lepiej od mojej. Jak zwykle.

Zamknęłam drzwi i usiadłam naprzeciwko niego.

— Kate, co mogę dla ciebie zrobić? — spytał tonem zarezerwowanym dla kierowników działów, którym udało się przekonać Humanskiego, że muszą widzieć się z szefem. Tak przynajmniej sądziłam.

— Na przykład, mógłbyś mi wyjaśnić, co się, u licha, dzieje — odparłam.

— W jakim sensie?

— Stephen, nie pora na semantyczne gierki. Wczoraj wieczorem jeden z twoich krewnych usiłował sprzątnąć nas z powierzchni ziemi. Dziś rano inny przedstawiciel twojej rodziny wrobił cię w jakąś umowę, a mnie w przyjęcie roli prywatnego detektywa. Chcę wiedzieć, o co tu dokładnie chodzi.

— To lepiej porozmawiaj z Guttmanem albo jeszcze lepiej z moim ojcem, bo sam nie za bardzo wiem, co jest grane. Dziś rano, około dziesiątej, posłaniec dostarczył mi kopię listu, który widziałas w biurze DeGenovy.

— Tego, w którym Joey wyrażał chęć odstąpienia swoich akcji? — spytałam.

— Jak w ogóle doszło do tego, że ich tyle ma?

— To długa historia.

— Nie szkodzi — odparłam — mam czas.

Azorini westchnął.

— Pamiętasz, mówiłem ci, że ojciec chciał, bym razem z nim prowadził interesy.

— To znaczy, żebyś wstąpił do mafii.

Stephen zaśmiał się z mojej naiwności.

— To nie film, Kate. Możliwe, że mój ojciec faktycznie zaczynał od łamania nóg w imieniu jakiegoś lichwiarza, ale teraz jest prezydentem firmy, która jest na liście pięciuset najbardziej dochodowych w Ameryce. Nie twierdzę, że pieniądze, które w nią zainwestował, pochodzą z legalnych źródeł, ale czy istnieje

takie przedsiębiorstwo, które jest w stanie wykazać, skąd biorą się pieniądze jego akcjonariuszy? Czy General Motors jest całkowicie czyste?

— Mówiłeś, że ojciec chciał, byś razem z nim prowadził interesy — przerwałam bezlitośnie.

— Dokładnie rzecz ujmując, chciał, żebym skończył Harvard i zaczął dla niego pracować. No, ale zakochałem się w nauce. Poza tym nie chciałem, żeby przez całe życie myślano o mnie jako o synu Anthony'ego Azoriniego. Problem w tym, że ojciec zawsze chciał, żeby wszystko szło po jego myśli.

— I co się stało? — nie ustępowałam.

— Utworzyłem Azor Pharmaceuticals. Ale wiesz, jak trudno zdobyć kapitał założycielski, zwłaszcza w wypadku takiej firmy. W normalnych okolicznościach prosi się o pomoc rodzinę i przyjaciół. Ja najpierw chodziłem po różnych bankach i pożyczałem pieniądze pod zastaw mojego majątku. Mimo to nadal sporo brakowało. Nająłem już ludzi i miałem kłopoty z wypłacaniem im pensji. Poszedłem do wszystkich przyjaciół ojca, starych bogaczy, którzy znali mnie od dziecka. Żaden z nich nie chciał dać mi złamanego grosza.

— Bo tak im kazał twój ojciec.

— Dokładnie.

Nastąpiła chwila ciszy. Wreszcie Stephen przemówił:

— W końcu Joey dał mi pieniądze. Któregoś dnia wszedł do mojego biura i rzekł: „Słyszałem, że potrzebna ci forsy” i upuścił reklamówkę Marshall Field's.

— Co było w środku? — spytałam.

— Czterysta osiemdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Miał to być prezent od niego. Wiedziałem, skąd te pieniądze się wzięły. Miałem wyrzuty sumienia, ale nie na tyle, żeby ich nie przyjąć. Prosiłem, żeby w zamian wzięł akcje firmy. Teraz warte są ponad piętnaście milionów dolarów, wtedy były tylko bezwartościowymi skrawkami papieru.

— Więc jak ci się udało rozżościć go na tyle, żeby próbował cię zatłuc? Powiedziałaś, że jest właścicielem ziemi, na której znaleziono ciało jego córki, ale czym doprowadziłeś go do takiej pasji?

— Chcesz wiedzieć dokładnie?

— Przydałoby się.

— Po powrocie do biura, wiesz, kiedy już zidentyfikowaliśmy ciało, zacząłem się zastanawiać, po co dziewczyna miała by jechać aż do Wisconsin. Wtedy poprosiłem Richarda, żeby przyniósł mi mapę tych terenów. Kiedy tam poleciliśmy, byłem zbyt zdenerwowany i nie wiedziałem, gdzie dokładnie jesteśmy. Ale wystarczył jeden rzut oka, żeby wszystko nabrało sensu. Potem zadzwonił ojciec, wściekły, że jeszcze nie skontaktowałem się z bratem. „On pewnie już wie

— odparłem — jako że Gretchen najprawdopodobniej pojechała tam właśnie z nim się spotkać”.

Może nie powinienem był ojcu o tym mówić, przynajmniej nie w takiej chwili. Dostałem ataku wściekłości. Resztę już znasz. Ojciec wysłał paru chłopaków, żeby go zgarnęli. Byli dość ostrzy. Ojciec się wkurzył. Joey nie wścieka się dlatego, że obwiniam go o śmierć bratanicy, tylko dlatego, że powiadomiłem o tym ojca.

— I dlatego chciał cię zabić.

— Och, nie sądzę, żeby chciał mnie zabić. Przyszedł, bo był wkurzony, a ze swoim gniewem potrafi sobie radzić, wymachując pięściami. Gdyby mnie nie zastał, pewnie wyżyłby się na kimś, kto spojrzalby na niego krzywo w barze.

— Nie wygląda na człowieka, który odstąpiłby swoje akcje. Uderzenie w najczulsze miejsce to coś, co zrobiłby ktoś inteligentny, człowiek, który chce się perfidnie odegrać.

— O Joey’u można wiele powiedzieć — odezwał się Stephen spokojnie — ale nie to, że jest inteligentny.

Rozdział 8

Dom moich rodziców wydawał się przesiąknięty deszczem i opustoszały. Wiązy płakały zamarzającymi kroplami, a okna frontowe były zaciemnione i puste.

W kuchni znalazłam panią Mason. Włosy miała związane szalem od Gucciego, nienoszonym już przez moją matkę. Kroiła grzyby i oglądała powtórkę „Gilligan's island” w starym czarno-białym telewizorze.

— O mój Boże! Co się stało? — wykrzyknęła, gdy tylko weszłam i miała okazję przyjrzeć się mojej twarzy.

— Miałam wypadek samochodowy — kłamstwo przeszło mi z trudnością przez gardło. — Nic poważnego.

— Panienska prowadziła?

— Nie, nie, byłam pasażerką. Nikomu nic złego się nie stało. Tylko zadrapania i sińce. Gdzie Beth?

— W swoim pokoju na górze. Bardzo mi przykro, że mała Gretchen Azorini odeszła. Biedna siostrzyczka panienska. Nie wiem, co bez niej zrobi.

— Gretchen była tu sporo razy, nieprawdaż? — spytałam.

— Tak, przyjeżdżała od czasu do czasu. Beth cieszyła się, że ma towarzystwo. Matka i ojciec panienska zawsze są w weekendy tacy zajęci.

— Jaka ona była? — spytałam. — Pani świetnie zna się na ludziach.

— Nie powinnam mówić o ludziach z domu, w którym pracuję.

— Rozumiem, ale doktor Azorini prosił mnie, żebym dowiedziała się czegoś więcej na temat śmierci jego bratanicy, a ja nigdy nie miałam okazji jej poznać. Pani na pewno widywała ją częściej ode mnie.

Kucharka wyprostowała się, po czym posadziła swój rozłożysty zadek na wysokim stolku, który stał w kuchni, żeby mogła „dać odpocząć swoim biednym, umęczonym, spracowanym nogom”. Pracowała dla mojej rodziny, odkąd sięgam pamięcią, ale jakoś nie mogę sobie przypomnieć, by kiedykolwiek była młodsza.

— Powiem tyle: Gretchen nie była szczęśliwa — wreszcie zaczęła, kiwając głową — nie, panienko. Była milcząca. Nigdy nie patrzyła dorosłym w oczy, chodziła tak, że nikt jej nie słyszał. Taka smutna i cicha — równie dobrze mogła być duchem.

— Domyśla się pani, dlaczego była nieszczęśliwa? — indagowałam.

— A żebym to ja wiedziała. Nie mam pojęcia, dlaczego wy wszyscy jesteście tacy nieszczęśliwi. Panienci brat, Beth. Mieszkacie w tym domu, dostajecie trzy posiłki dziennie, nie musicie pracować, nie macie problemów, chyba że sami je sobie stwarzacie. Może, jak się nie ma prawdziwych kłopotów, to trzeba tak zrobić.

— Ale dziewczynka naprawdę miała problemy — sprzeciwiłam się — miała cukrzycę. Jej matka nie żyje, a ojciec ciągle gdzieś jeździł. Musiała mieszkać w szkole i u wujka...

— Przecież tatuś do niej telefonował. Cały czas próbował utrzymać z nią kontakt...

— O czym pani mówi? — spytałam z zainteresowaniem.

— O niczym. Po prostu tatuś czasami telefonował. Zawsze ją to cieszyło. Dzwonił nawet dzień przed jej śmiercią.

— Telefonował tutaj? — dociekałam.

— Tak, panienko — odparła pani Mason.

— Skąd pani wie, że to był jej ojciec? Przedstawiał się?

— Nieee, ale raz, kiedy zadzwonił, Polly, ta młodzianka służąca, którą mama panienci zwolniła za podkradanie perfum, zapytała, kto mówi, i powiedział, że jest ojcem Gretchen.

— Rozmawiała z nim pani, kiedy zatelefonował? Na dzień przed jej śmiercią?

— Tak, przyniosłam właśnie dziewczynkom kakao. Mój Boże, panienka wie, jak siostra panienci je. Gretchen wyglądała, jakby się denerwowała, jakby czekała, aż telefon się odezwie. Stałam bliżej, to odebrałam. Prawie wyrwała mi słuchawkę z ręki.

— Długo z nim rozmawiała?

— Nie, jakieś parę minut, cały czas szeptem. Kiedy odłożyła słuchawkę, uśmiechnęła się szeroko.

— Pamięta pani, o której to było?

— Niech no się zastanowię. Właśnie wtedy skończył się „Reverend Paul's gospel show” w radiu. No i obrałam krewetki na kolację, czyli musiało to być parę minut po piątej. Czemu panienka o to wszystko pyta? — spytała kucharka.

— Jak pani wspomniałam, Stephen poprosił mnie, żebym spróbowała dowiedzieć się paru rzeczy. To, co stało się z jego bratanicą, jest dla niego ciosem. Przez cały weekend siedział w biurze, więc prawie się z nią nie widział. Chciałby wiedzieć, co wtedy robiła, czy wyglądała na szczęśliwą, tego typu rzeczy — odpowiedziałam, myśląc, że jak na prawnika kłamanie słabo mi wychodzi.

— No to niech panienska mu powie, że wyglądała na szczęśliwą jak nigdy. Przedtem, te parę razy, kiedy tu przyjechała, była taka zmarnowana. Myślałam sobie, oho, depresja. Widok jej i siostry panienki wystraszyłby każdego. No, ale po telefonie od tatusia od razu humor się poprawił.

— Dziękuję pani, pani Mason — rzekłam — naprawdę dużo mi pani pomogła.

— Dla doktora Azoriniego zrobiłabym wszystko. Taki miły, przystojny mężczyzna. Kiedy się pobierzecie? Przydałoby się w tym domu trochę radości.

— Zastałam Beth? — zmieniłam temat.

— Od wczoraj siedzi w swoim pokoju. Ten doktor dał jej jakieś środki nasenne. Nie podoba mi się to. Każdy musi sam sobie poradzić z żalem, zanim znowu zacznie normalnie żyć. Proszki nie pomogą siostrze panienki, one tylko wszystko spowolnią.

W domu moich rodziców dzieci mieszkaly w jednym skrzydle (nad służącymi), a dorośli w drugim. Teddy, Beth i ja mieliśmy miejsca aż za dużo, był też oddzielny pokój dla niani. Teddy nie żył, ja się wyprowadziłam, odeszła też ostatnia z serii długocierpiących nian.

Pokój Beth spoczywał w ciemności. Dziewczyna miała na sobie starą flanelową koszulę nocną i siedziała z podkurczonymi nogami na fotelu podsuniętym do okna, wpatrzona w padający deszcz.

— Cześć, mała — rzuciłam na przywitanie i usiadłam na skraju łóżka.

— Byłam ciekawa, kiedy przyjdiesz — odrzekła, nie odwracając głowy. Półkola pod jej oczami wyglądały jak siniaki, twarz miała bledszą niż kiedykolwiek.

— Przepraszam, że nie mogłam przyjechać tu wcześniej. W pracy było urwanie głowy, nie miałam jak wyskoczyć.

— Stephen dzwonił — oznajmiła, nadal nie zmieniając pozycji — ale doktor Śmieć wcisnęła mi jakieś uspokajające ohydztwo i nie mogłam podejść do telefonu.

— Kto?

— Doktor Śmieć. Tak nazywają doktora Weingarta. Jest okropnym dupkiem. — Odwróciła się i spojrzała na mnie. — Hej, co z twoją twarzą?

— Takie niegroźne zderzenie — odparłam. — Stephen prosił, żebym cię pozdrowiła. Wiesz, że ktoś chce wykupić jego firmę?

— Tak, bez jego zgody. Gretchen mówiła mi o tym. Poważna sprawa. Naprawdę się tym przejęła. Opowiadała, że po studiach będzie pracować w Azor i pewnego dnia, kiedy wujek się zestarzeje, firma przejdzie w jej ręce.

— Jak się czujesz? — spytałam łagodnym tonem.

— Zamierzam się zabić — odpowiedziała obojętnie, zupełnie jakby mówiła o pogodzie. — Życie to gówno.

— Och, Beth, przecież to nieprawda — zaprzeczyłam, przypominając sobie, co pani Mason mówiła o moim bracie.

— Życie to gówno i w końcu się umiera — podjęła przerwany wywód. — Gretchen miała cukrzycę, jej matka umarła, ale jakoś znalazła szczęście, więc umarła. Właśnie tak kończysz, jeśli przestajesz cierpieć. Życie to spisek. Tylko rezygnując z gry, możesz wygrać.

— Beth, posłuchaj. To, co się stało, jest okropną tragedią. Powinnaś jednak poczekać trochę, aż rany się zagoją. Spójrzeć na wszystko z odpowiedniej perspektywy. Nie zawsze będziesz się czuła tak, jak teraz...

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i weszła Ellen, pokojówka, z panią Mason. Niosły ze sobą tace.

— Zrobiłam panienkom kolację.

— Zabierzcie to, nie jestem głodna — oznajmiła siostra.

Gestem nakazałam im zostawić tace.

— Dziękuję — rzekłam.

Kolacja przynoszona przez kucharkę była jednym z niewielu miłych wspomnień z dzieciństwa. Srebrna taca nakryta czystym obrusem — parująca zupa pomidorowa i przysmażane grzanki z serem z dokładnie odkrojonymi skórkami — porcelana dla dzieci Royal Doulton pokryta rysunkami zajączków prosto ze stron książek Beatrix Potter i malutka waza Waterford z różyczką w środku. Trudno było nie zrozumieć przesłania — matka pojechała do fryzjera, ale ktoś z kuchni troszczył się o mnie.

Rzuciłam się na jedzenie, natomiast Beth, która zwykle potrafiła jeść wszystko, jak leci, nawet go nie tknęła.

— Co jej się stało? — szepnęła po wyjściu służby.

— Co ci powiedzieli? — spytałam.

— Bzdury, że muszą poczekać na wyniki sekcji. To przez jej cukrzycę? Zawsze była tak ostrożna ze swoją insuliną, nie wierzę, żeby mogła coś przeoczyć.

— Nie, to nie cukrzyca ją zabiła — odparłam. — Z kim pojechała do Wisconsin?

— Wisconsin? O czym ty mówisz?

— Jej ciało zostało znalezione przez kłusowników przy opuszczonej drodze w Mannetuoc w stanie Wisconsin. Ojciec Gretchen ma tam kawałek ziemi, ale nic tam się nie dzieje, zwłaszcza o tej porze roku. Co tam robiła? Z kim pojechała?

— Co to, przesłuchanie? — warknęła Beth. — Zadaję pytanie, a ty zamiast odpowiedzieć, wierzysz mi dziurę w brzuchu.

— No, dobrze. To prawda, czekają na wyniki badań przeprowadzonych podczas autopsji. Jak na razie wydaje się, że twoja przyjaciółka została zgwałcona i uduszona. Dlatego takie ważne jest, z kim była.

- Nie — szepnęła Beth.
- Nikogo już nie obchodzi, czy Gretchen uciekała ze szkoły — ciągnęłam — nikogo nie interesuje, czy łamała przepisy. Nieważne, czy ty je łamałaś, chcemy tylko wiedzieć, co robiła.
- Nic nie wiem! — krzyknęła siostra i zatkała uszy dłońmi.
- Co tu się dzieje? — rzuciła moja matka stojąca w wejściu do sypialni. Miała na sobie czarną wełnianą spódnicę i czerwony kaszmirowy komplet od Jaegera. Dłonie miała uniesione z dala od ubrania — najwyraźniej właśnie zrobili jej manikiur i nie chciała przypadkiem dotknąć czegoś swoimi karmazynowymi szponami.
- Kate zbiera się do wyjścia — odrzekła Beth i wbiła wzrok w kolana.
- Zadałam jej parę pytań w związku ze śmiercią Gretchen — oznajmiłam, nie zmieniając pozycji.
- Doktor Weingart wydał polecenie, że Beth ma odpoczywać. Żadnych wizyt — stwierdziła matka suchym głosem. — Ważne, żeby jej w żaden sposób nie denerwować.
- Właśnie umarła jej najlepsza przyjaciółka. W tej sytuacji każdy byłby wyprowadzony z równowagi.
- O ile pamiętam, dawałam ci pieniądze, żebyś skończyła prawo, a nie psychiatrię. W tej sytuacji powinniśmy pozwolić doktorowi Weingartowi decydować, co jest dla Beth najlepsze.
- Matko, to ważne. W dniu swojej śmierci Gretchen uciekła ze szkoły. Pojechała do Wisconsin. Nikt nie wie, dlaczego...
- Pozwól, że ci coś przypomnę — zwróciła się do mnie matka, tupiąc z irytacją butem od Gucciego — to rodzina powinna stanowić dla ciebie priorytet. Nie dopuszczę, żeby ktokolwiek wbrew zaleceniom lekarza zwracał głowę twojej siostrze.
- Ale, mamoo...
- Nic już nie mów — przerwała i pierwszy raz przyjrzała mi się dokładnie.
- Coś ty zrobiła z twarzą?
- Miałam wypadek samochodowy.
- Mam nadzieję, że to ci nie zostanie na stałe — rzekła i machnęła ręką w kierunku moich siniaków. — W każdym razie za dużo już straciłam czasu. Twój ojciec i ja musimy przebrać się i za godzinę pojechać...
- Przestańcie! — wrzasnęła Beth, po czym zerwała się z fotela, wywracając nietkniętą kolację. Na dywanie wykwitła plama z zupy pomidorowej i herbaty.
- Przestańcie! Przestańcie! Nie mogę was słuchać. Wyjdźcie stąd — zaczęła gwałtownie szlochać — na Boga, idźcie sobie i zostawcie mnie w spokoju.
- Och, Beth, przepraszam — powiedziałam i uklęknęłam przy jej fotelu — wiem, jakie to wszystko jest dla ciebie straszne.
- Po prostu zostaw mnie w spokoju — syknęła.

Matka tymczasem szarpała gniewnie za sznurek dzwonka, wzywając służbę.

— To już szczyt bezmyślności i nieodpowiedzialności — wściekała się — ten dywan nie ma nawet dwóch miesięcy.

Ellen i wspinająca się za nią z sapaniem pani Mason przydreptały po chwili. Matka wydawała rozkazy, służące zbierały naczynia i sztucce z podłogi i przygotowywały się do wkroczenia z gąbkami i wiadrami. Korzystając z bałaganu, siostra wymknęła się niemal niezauważalnie do łazienki. Usłyszałam tylko cichy trzask zamka.

Kiedy już służący zostali wystarczająco nastraszeni, matka spojrzała na zegarek i stwierdziła, że teraz to już na pewno nie zdąży na czas. Odrzuciła idealnie ułożoną fryzurę do tyłu i ruszyła w kierunku swojej sypialni. Poszłam za nią.

— Mamo, muszę z tobą porozmawiać.

— Kate, nagadałaś się już dzisiaj wystarczająco.

— To ważne.

— Muszę się przebrać.

— Beth powiedziała mi, że chce się zabić.

Matka odwróciła się na pięcie. Miała wściekły wyraz twarzy.

— Jeśli w ten sposób chciałaś najmniejszym kosztem przyciągnąć moją uwagę, to ci się udało.

— Mamo, proszę cię. Beth właśnie powiedziała mi, że chce się zabić.

— Nie wierzę. Po prostu wpadła w depresję w związku ze sprawą Gretchen. Wyjdzie z tego.

— Może — rzekłam — ale sądzę, że raczej nie powinna zostawać sama.

— Więc co niby mam zrobić? Przecież nie postawię strażnika pod jej drzwiami. — Spojrzała niecierpliwie na zegarek.

Coś we mnie nakazywało kontynuować spór, nakrzyczeć na nią za wyjazd na kolejne nieważne przyjęcie, jeszcze jedną okazję do złożenia hołdu próżności, podczas gdy jej szesnastoletnia córka zalewa się łzami i próbuje przeboleć utratę najlepszej przyjaciółki, a ponadto uświadamia sobie, jak okrutne jest ludzkie życie. Z drugiej strony jednak, wiedziałam, jako osoba dorosła, że trzeba odpowiednio dobierać bitwy, które chce się stoczyć. Dlatego też dałam sobie spokój, choć nie przyszło mi to łatwo.

Poczekalam, aż matka zniknie w swojej norze i zajmie się upiększaniem, po czym wśliznęłam się na schody dla służby i zapukałam do drzwi siostry. Zajrzałam ostrożnie do środka — Beth siedziała na fotelu przy oknie z podkurczonymi nogami. W pokoju panowała ciemność.

— Wszystko w porządku? — spytałam od drzwi.

— Nie chcę odpowiadać na żadne pytania. Nie chcę o tym mówić.

— Zgoda — odparłam — chcę tylko, byś wiedziała, że zostaję na noc. W tym domu każdy dostałby depresji. Pamiętam, kiedy umarł Russell, nie chciałam mieć przy sobie nikogo, ale samotność była jeszcze okropniejsza.

— Czasami o nim zapominam — zamyśliła się Beth. — Matka zdjęła ze ścian wszystkie fotografie z waszego ślubu. Stwierdziła, że trzeba zmienić wystrój.

— Ja nigdy o nim nie zapominałam — powiedziałam zgodnie z prawdą — nawet przez sekundę. Podobnie ty nigdy nie zapomnisz Gretchen, ale po pewnym czasie nauczysz się żyć z tą raną, znaleźć dla niej takie miejsce, żeby nie mogła przejąć nad tobą całkowitej kontroli.

— Właśnie wzięłam jedną z tabletek od doktora Weingarta — poinformowała siostra i ziewnęła szeroko.

— Tylko jedną?

— Tak, tylko jedną. Chyba pójdę do łóżka.

— Gdybyś mnie potrzebowała, będę w swoim dawnym pokoju.

Czaiłam się jak złodziej w swojej sypialni, dopóki nie usłyszałam cichnącego w oddali hałasu silnika samochodowego — nieomylnego znaku, że rodzice pojechali na swoją imprezę. Przez cały ten czas myślałam o Gretchen, Stephenie, Guttmanie i o tym, w jaki sposób udało mi się zapełnić moje życie ludźmi, o których wiedziałam tak niewiele. Może dlatego zagadka śmierci Gretchen wypełniała mnie smutkiem i niepokojem. Ta dziewczyna zawsze stanowiła dla mnie jeszcze jedną, chociaż mniej ważną, niewiadomą, a w moim życiu trafiło się i tak zbyt wiele zagadkowych spraw.

Zeszałam na dół i zaparkowałam samochód przy skrzydle zamieszkanym przez służących, tak by rodzice nie dostrzegli go po powrocie do domu. Następnie skierowałam się do biblioteki i nalałam sobie trochę szkockiej ojca. I co teraz? — pomyślałam.

Kiedy wspominałam o Wisconsin, Beth wydawała się autentycznie zaskoczona. Co gorsza, byłam pewna, że coś wie, nawet jeśli nie miała pojęcia, jak ważne mogło to się okazać. Jednak dzięki zbawiennemu wpływowi matki i doktora Weingarta najprawdopodobniej w najbliższym czasie nie poznam prawdy.

Wróciłam do punktu wyjścia — mnóstwo pytań, zero odpowiedzi.

W jakim celu Gretchen pojechała do Wisconsin? Spotkać się z ojcem? Jeśli tak, to czy on ją udusił? A może ktoś inny? Gdyby Joey naprawdę był w to zamieszany, czemu za wszelką cenę chciałby ratować swój honor? Po co miałby wpadać do mieszkania brata, wymachując pięściami?

Wiedziałam, że kiedy dałam się namówić na przyjęcie tego dziwnego śledztwa, w głębi duszy miałam nadzieję na błyskawiczne wzbogacenie się — łatwe i szybkie wejście do zarządu. Podjęłam ryzyko w grze, w której zwycięstwo było mało prawdopodobne. Liczyłam na to, że pojadę do domu rodziców i po

prostu zapytam siostrę, co jej najlepsza przyjaciółka robiła w Wisconsin. Słyszałam już jej odpowiedź: „Och, podwiozła tam jednego z chłopaków ze szkoły Country Day. Chciał zebrać próbki potrzebne mu do przeprowadzenia jakiegoś eksperymentu. Owszem, jest trochę dziwny, ale nigdy nie uważałam go za niebezpiecznego...”. Wróciłabym do miasta, powiedziała wszystko Guttmanowi i żyła długo i szczęśliwie w moim nowym, przestrzennym biurze.

Życie pełne jest ryzyka, którego się nie oplaca podejmować.

Rozdział 9

Przez całą noc męczyły mnie koszmary. Labirynt pustych pokojów zdawał się wisieć nade mną, ogromny i napawający trudnym do określenia lękiem. W ciemności skradałam się korytarzem, aby upewnić się, że Beth leży pogrążona we śnie i nie próbuje zrobić żadnego głupstwa w rodzaju wykrwawienia się do wanny. Ale ona przez całą noc nie ruszyła się z łóżka. Była biała, nieruchoma, zniewolona przez proszek nasenny. Ręce skrzyżowała na piersiach — wyglądała, jakby zupełnie uciekło z niej życie.

Czułam niesamowite zmęczenie. Zamartwiałam się, przewracałam z boku na bok, aż w końcu zapadłam w niespokojny sen, wypełniony koszmarowymi wizjami rąk Joey'a Azoriniego zaplątanych w brudne włosy Gretchen. Ze wszystkich sił próbowałam się uwolnić. Obok siedział John Guttman i zapisywał coś w swoim notesie.

Przed wschodem słońca przestałam nawet udawać, że śpię. Wśliznęłam się do pokoju Beth, po czym zajrzałam do jej szafy. Chciałam znaleźć jakieś ubranie, w którym mogłabym pobiegać. Jęknęła, jakby protestując przeciwko obecności intruza szperającego w jej rzeczach, ale nie obudziła się.

Przebrałam się w spodnie od dresu należące do siostry, koszulkę i grubą bluzę z kapturem. Jej buty okazały się nieco za duże, ale kiedy włożyłam skarpetki, problem się rozwiązał. Zeszłam na dół, wypuściłam Rocketa z klatki i razem wybiegliśmy w ciemność.

Od frontu nie widać, że dom stoi nad jeziorem. Podobnie jak wiele innych w okolicy wybudowany został na niewielkim nabrzeżu, podmywanym co parę lat przez wody jeziora Michigan. Dlatego też co pewien czas pojawiają się tu buldożery i odnawiają trawnik znajdujący się na tyłach, aby spowolnić zbliżanie się domu do powierzchni wody. Fronton domu niczym się nie wyróżnia, natomiast

z drugiej strony kręcone drewniane schody prowadzą do małej krytej przystani, kilku przebieralni i sporego kawałka plaży. Przejęcie tej niegdyś publicznej własności kosztowało mnóstwo pieniędzy.

Zawsze uwielbiałam tę plażę. Niby wystarczyło do niej zejść po schodach, ale jednocześnie była tak daleko od domu. Miałam mnóstwo związanych z nią cudownych wspomnień. Pamiętam, jak grałam tu z Teddym w siatkówkę, jak przysypywaliśmy się piaskiem, jak Tucker Sweet wymknął się z któregoś z przyjęć organizowanych przez matkę, żeby tu uczyć mnie puszczania latawca... jakże tu było inaczej. Stąd nawet miasto zdawało się jedynie dalekim, lśniąącym mirażem.

Strome stopnie prowadzące na plażę spowijała ciemność. Musiałam stąpać z najwyższą ostrożnością. Rocket, zasapany reumatyk, biegł przede mną, znacznie lepiej znając drogę.

Zimne, przypominające wielką kałużę atramentu jezioro szemrało w ciemności oczekującej nadejścia świtu. Wiał chłodny, orzeźwiający wiatr. Gdzieś wysoko nade mną krzyczały krążące mewy. Chmury płynęły nisko i przesłaniały światła odległego miasta.

Ruszyłam na północ, w stronę przystani Hendersonów oddalonej o mniej więcej pięć kilometrów. Za mną rozlegał się cichy brzęk obroży i numerka Rocketa. Twarz pulsowała monotonicznie, pamiątka po Joey'u Azorinim i przypomnienie o bajzlu, w jaki się wpakowałam.

W pewnej chwili udało mi się złapać odpowiednie tempo i bieg stał się łatwiejszy. Paraliż, który opanował mnie w okresie między śmiercią Gretchen a tym, co wydarzyło się w biurze kancelarii Morganelli, DeGenova i Rocco, powoli zaczął zniknąć. Nadal nie byłam w stanie pojąć tej tragedii i tego, jak płatanina ludzkich zachowań doprowadziła mnie do wzięcia tej sprawy, ale z drugiej strony, śledztwo w sprawie śmierci Gretchen Azorini było czymś konkretnym. Mój prawniczy umysł wreszcie zaczął jako tako funkcjonować.

Po powrocie do domu poszłam na górę do garderoby matki. Pomieszczenie to przewyższa swoją wielkością niejedną kawalerkę. Ma dwa wejścia, jedno dla matki, a drugie dla służącej, kiedy chce powiesić ubrania, nie niepokojąc jej. Weszłam tymi drugimi drzwiami.

Wzięłam sobie czarne wełniane spodnie od Yves Saint Laurenta i kaszmirowy jasnoszary golf. Matka w tym komplecie wyglądałaby zapewne oryginalnie, jak ożywione zdjęcie z żurnala. Na mnie to było po prostu ubranie.

Wzięłam szybki prysznic w mojej dawnej łazience, wytarłam się, ubrałam, rzuciłam okiem na Beth pogrążoną we śnie i byłam gotowa powrócić do świata ludzi pracy.

Miałam mieszane uczucia co do mojej siostry. Nie chciałam zostawiać jej samej, a poza tym zdawałam sobie sprawę, że nie powiedziała mi wszystkiego, co wie na temat ostatnich dni Gretchen. Ale skąd miałam wiedzieć, o której się

obudzi? Ponadto nie mogłam być pewna, że wtedy zechce rzec coś więcej. Musiałam wziąć się do paru innych spraw. Postanowiłam porozmawiać z Beth, gdy załatwię, co mam do załatwienia, a ona będzie w lepszym stanie.

Na ulicy nie było wielkiego ruchu. Słońce jeszcze nie weszło i na drodze było niewiele samochodów — dla reszty świata zaczynała się niedziela, dzień odpoczynku.

Jednak Edgar Eichel nie zamierzał tracić ani chwili i niemal czułam na plecach jego (i Guttmana) oddech. Podczas jazdy recytowałam rozkład dnia do małego dyktafonu umieszczonego w schowku. Nauczyłam się tego od Guttmana. I choć nie lubiłam się do tego przyznawać, była to jeszcze jedna oznaka wpływu, jaki na mnie wywarł.

Kiedy wreszcie znalazłam się na czterdziestym pierwszym piętrze, nie było jeszcze szóstej, ale wydział fuzji i wykupów chodził już na pełnych obrotach. Poczułam lekkie ukłucie w sercu na myśl, że dziś nie będę mogła pomóc tym ludziom.

Cheryl siedziała za biurkiem. Właśnie pochyliła się i zdejmowała skarpety i tenisówki. Zakładała obowiązujące w ciągu dnia buty na wysokim obcasie.

— Uch, twoje sińce wyglądają coraz gorzej — przywitała mnie z miejsca.

— Dzięki — odparłam i rzuciłam kasetę na jej biurko. — Najpierw zajmij się tym. Potem weź dzbanek z kawą, przyjdź do mnie, a ja ci powiem, co interesującego nas czeka.

— Dobra — rzuciła, unosząc brwi. — Gazety leżą na twoim biurku. Guttman telefonował ze swojego mieszkania. Próbuje się z tobą skontaktować. Chce, żebyś zadzwoniła, jak tylko przyjdiesz.

— A niech się wypcha — odparłam z większą dozą uczucia, niż się spodziewałam.

Zwykle podczas walki z próbą wykupu mój dzień otwiera przegląd prasy poświęconej biznesowi. Muszę sprawdzić, co o nas piszą. Nie zawsze publikują prawdę, ale musimy wiedzieć, co trafia do rąk naszych udziałowców. Dzisiaj szukałam tylko czegoś na temat śmierci Gretchen Azorini. „Tribune” i „Sun-Times” poświęciły najwięcej miejsca historii o facecie z Schaumburga, który oblał swoją piętnastoletnią córkę płynem hamulcowym, po czym ją podpalił. Gwałt i morderstwo innej szesnastolatki, bez zważania na to, czyją była wnuczką, dostały dwie linijki na ostatniej stronie części lokalnej.

Przez pozostałą część poranka próbowałam doprowadzić sprawy do jako takiego porządku. Kazałam centrali nie łączyć żadnych rozmów. Spędziłam godzinę sam na sam z sekretarką i przedstawiałam jej dziwaczne wydarzenia ostatnich kilku dni.

Następnie zatelefonowałam do jednego z dupków, których poznałam na studiach. Nazywał się Aaron Horvitz. Po uzyskaniu dyplomu udało mu się, dzięki specyficznej dlań mieszance agresji i szorstkości, zyskać prymat pośród prawników zajmujących się rozwodami.

— Dzwonisz w interesach czy dla przyjemności? — spytał, kiedy Cheryl udało się ściągnąć go do telefonu.

— W interesach — odparłam.

— Jaka szkoda. A miałem nadzieję, że chcesz się spotkać i porozmawiać o starych dobrych czasach.

— Nie były znowu takie dobre.

— To prawda. Przykro mi z powodu Russella. Sympatyczny był z niego facet.

— Potrzebny mi prywatny detektyw — przeszłam do rzeczy — pomyślałam sobie, że możesz mi kogoś polecić.

— A o jaką sprawę chodzi?

— Prawdopodobne zabójstwo.

— To mnie zastrzeliłaś. Nie myślałem, że zajmujecie się czymś takim w Calahan.

— Nie chodzi o proces. To osobista sprawa, którą prowadzimy dla poważnego klienta. Potrzebny mi ktoś inteligentny, z doświadczeniami. Ktoś, kto działa szybko i trzyma język za zębami.

— Nie wymagasz zbyt wiele?

— Odpowiednio zapłacę.

— Znam kogoś, kto mógłby ci odpowiadać. Młody, bystry śledczy z biura prokuratora rejonowego właśnie otwiera swój własny interes. Jest inteligentny, ma sporo wtyczek. Jego ojciec to glina. Może właśnie o kogoś takiego ci chodzi. Nazywa się Elliott Abelman.

— Detektyw o imieniu Elliott? Cudów nigdy nie za wiele.

— Jeśli życzysz sobie jakiegoś podrzędnego szmaciaka, mogę cię skierować do setki facetów o imieniu Gus. Elliott ma klasę.

— Zna się na biznesie?

— Możliwe. Prokurator rejonowy ostrzy pazury na przestępców gospodarczych. Chce kiedyś zostać gubernatorem. To dla któregoś z szefów reprezentowanych przez was firm?

— Nie — skłamałam — dzwonię w imieniu jednego z kierowników działu majątku i inwestycji. Kiedy zasugerowałam, żeby sam zatelefonował do wielkiego Aarona Horvitz, mało co nie zemdlął.

— Nie dziwię się. Czekaj, podam ci numer... — Dokładnie mówiąc, podyktował mi dwa, jeden do biura, drugi do mieszkania. — I pamiętaj, jeżeli gościu okaże się wspaniały, to ja go polecił. Jeśli spieprzy robotę, nigdy o nim nie słyszałem.

Poprosiłam Cheryl, żeby skontaktowała się z Elliottem Abelmanem i umówiła nas jak najwcześniej. Następnie przejrzałam listę prywatnych detektywów,

którą rano zostawiła mi sekretarka Skipa Tillmana. Nie było na niej Elliotta Abelmana. Ucieszyłam się. To była prywatna sprawa i chciałam, by taką pozostała. W Callahan Ross plotki rozprzestrzeniały się z prędkością światła. Nie chciałam ryzykować.

Następnie zadzwoniłam do kolejnego znajomego ze studiów, który obecnie był mężem jednej z redaktorek „Sun-Timesa”. Połączył mnie z osobą odpowiedzialną za dział lokalny, która z kolei przekazała słuchawkę reporterce zajmującej się zorganizowaną przestępczością. Ona natomiast poinformowała mnie, że powinnam porozmawiać z detektywem Cancascim z dwudziestego pierwszego komisariatu, który to wie wszystko o Azorinich.

Zatelefonowałam do niego i powiedziałam parę słów o sobie. Spytałam, czy mógłby, w zamian za zaproszenie na kolację, zdradzić mi co nieco na temat rodziny Azorinich.

— A ładna pani jest? — spytał.

— Może być — odparłam — ale teraz mam szwy, podbite oko, a pozostała część twarzy nie wygląda o wiele lepiej.

— Jak to się stało?

— Goryl Joey’a Azoriniego kopnął mnie w zęby.

— Vito panią kopnął? No, to muszę się z panią spotkać. Lubi pani dobre żarcie?

— Tak się składa.

— Proszę przyjść do restauracji Taglieteri. To w kamienicy na rogu Taylor i Dwudziestej Trzeciej. Będę tam koło szóstej.

— No to do zobaczenia.

Cheryl powiadomiła mnie, że Elliott Abelman przyjdzie za pół godziny. Kazałam jej przysłać kogoś z gońców, żeby przyniósł mi z archiwum wszystkie dokumenty dotyczące Azorinich. Następnie wezwałam jednego z nowych pracowników i wysłałam go po kopie akt kryminalnych Joey’a Azoriniego, raportu policji i lekarza z Wisconsin. Spytał, na kiedy mi to potrzebne. Odrzekłam, że na wczoraj. Przypomniłam mi więc taktownie, że dziś jest niedziela, ale mimo to postara się wszystko załatwić.

Zadzwoniłam do domu rodziców na numer przeznaczony dla służby. Nie poznałam, kto odebrał, ale wcale mnie to nie zdziwiło. Astrid Millholland to nie matka Teresa, a poza panią Mason — która gotowała jak anioł i dostawała za dużo pieniędzy, Anną — nieprzyjemną pokojówką matki i Raulem — niekompetentnym ogrodnikiem, jej służba miała krótszy czas rozpadu niż pluton. Poprosiłam kucharkę do telefonu.

Kiedy wreszcie podeszła, poinformowała mnie, że moja matka wróci o czwartej, bo o tej porze ma przyjść doktor Weingart.

— Mama panienci dziś rano zebrała nas wszystkich razem i powiedziała, żeby bez jej zgody nie pozwolić nikomu rozmawiać z panienką Beth. O paniencie też wspomniała.

— Nie ma sprawy. Nie chcę, żeby pani miała przeze mnie kłopoty. Chciałam się tylko upewnić, że z moją siostrą wszystko w porządku. Czy mogłaby pani jej przekazać, że telefonowałam?

— Powiem jej — odparła pani Mason — ale nie wiem, co to da. Jest tu coraz gorzej — ostrzegła stara Murzynka — zupełnie jak zaraz przed tym, jak panienki brat się powiesił. Martwi mnie to...

Niedziela zazwyczaj nie była dniem, w którym przyjmowałam w swoim biurze niezapowiedzianych gości, ale w chwili gdy zgodziłam się wziąć na siebie dochodzenie w sprawie śmierci Gretchen, wykroczyłam daleko poza granice tego, co uważa się za zwyczajne.

Vince DeGenova był chudym, przystojnym mężczyzną. Zadbany wygląd, sylwetka przywodząca na myśl biegaczy długodystansowych. Miał na sobie czarny garnitur od Armaniego, a jego półbuty wręcz błyszcząły. Od razu widać było — facet z klasą.

— Proszę wybaczyć moje najście... — Miał na sobie białą koszulę w ciemno-brązowe paski z szerokim kołnierzykiem. Znajdowały się w nim małe dziurki po obydwu stronach, w których tkwiła złota spinka wychylająca się spod przytłoczonego tym wszystkim jedwabnego krawata. — Przepraszam, że przychodzę bez uprzedniej zapowiedzi...

— Ależ nie musi pan przepraszać — odparłam. — Każdy, kto nie mdleje na widok tego bałaganu, jest tu mile widziany.

— Och, nie jest aż tak źle — powiedział DeGenova i usiadł na jednym z dwóch eleganckich foteli stojących w moim biurze — miałem na studiach profesora, który twierdził, że bałagan w biurze to oznaka dobrze zorganizowanego umysłu.

— Pewnie jego biuro wyglądało równie okropnie jak moje — rzekłam.

— Nawet gorzej, słowo daję. Twarz panią boli? — spytał z nutą współczucia w głosie.

— Czuję takie lekkie pulsowanie. Czasem o nim zapominam. Na pewno nie jest aż tak źle, jak może się wydawać.

— Wiem, że obiecała pani pomóc Stephenowi w załatwieniu formalności związanych z pogrzebem. Jednak ze względu na przyjęcie przez panią na swoje barki o wiele trudniejszego zadania, to znaczy śledztwa mającego wyjaśnić, co się właściwie stało, pozwoliłem sobie na podjęcie pewnych wstępnych działań, oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. Mam nadzieję, że nie postąpiłem bezczelnie.

— Nie, skąd. Dziękuję panu — odparłam. — Nawet nie miałam czasu się nad tym zastanowić.

— Doskonale panią rozumiem. I tak ma pani mnóstwo pracy. Dziś rano ciało zostało przywiezione do Chicago. Jutro wieczorem odbędzie się czuwanie, a pogrzeb zaplanowaliśmy na wtorek rano. Msza rozpocznie się o dziewiątej

trzydzieści w kościele św. Bonawentury, po czym nastąpi procesja na cmentarz Lakeview.

- Doskonale, dziękuję panu.
- Jeśli chodzi o pani dochodzenie, Anthony Azorini kazał panią poinformować, że służy wszelką pomocą.
- Chciałabym się dowiedzieć, jak skontaktować się z Joey'em Azorinim.
- Czy ma pani gdzieś pod ręką kawałek papieru? Zapisałbym pani od razu jego namiary.

Podalam mu kartkę z nadrukiem „Z biurka Katharine Millholland”, jedną z wielu wypełniających mój notatnik. W czasie pisania mówił:

- Pierwszy numer do jego mieszkania w mieście, drugi — to telefon do nocnego klubu na Rush Street, którego jest właścicielem, trzeci jest do jego domku na przedmieściach. Jeśli nie zastanie go pani w żadnym z tych trzech miejsc, a będzie chciała porozumieć się z nim jak najszybciej, proszę zadzwonić do mnie. Wtedy ja dopilnuję, żeby się do pani odezwał. Zapiszę pani numer do mojego domu i biura.

- Zrobi to pan tak jak w dzień po znalezieniu ciała Gretchen Azorini?
- Słucham?
- Joey twierdził, że był w łóżku z panienką, kiedy wpadli jacyś faceci, wyciągnęli go z mieszkania i zawlekli do pana.

— Jego ojciec chciał się z nim natychmiast widzieć. Znaleźliśmy go więc i zabraliśmy ze sobą. Stephen bezskutecznie próbował się z nim skontaktować, by powiedzieć o śmierci Gretchen. Dlatego zadzwonił do ojca. Może pani sobie wyobrazić jego reakcję, kiedy usłyszał najpierw o śmierci wnuczki, a następnie o podejrzeniach Stephena.

- A jak zareagował Joey?
- Wydawał się autentycznie poruszony wiadomością o śmierci córki i zdecydowanie zaskoczony, jeśli do tego pani zmierza.
- Czy może pan zdobyć dla mnie adres i numer telefonu dziewczyny, która wtedy z nim była?
- Oczywiście.
- Jaki w ogóle jest Joey? — spytałam.

— Joey? — Vince DeGenova wyprostował nogi i odetchnął głęboko. — Po pierwsze, musi pani zrozumieć, że pracuję dla Anthony'ego Azoriniego. Jeśli miałem do czynienia z obydwojma chłopcami, to tylko niejako w jego imieniu, dlatego sędzę, iż moja opinia przypomina opinię wyrażaną przez niego... Jaki jest Joey? — zaczął od nowa. — Na pewno jest przestępcą, ale nie wiem, czy potworem. Handluje narkotykami, a to brutalny interes i żeby w nim przetrwać, trzeba być brutalnym. Z pewnością nie panuje nad swoimi reakcjami tak dobrze, jak większość ludzi żyjących w cywilizowanej społeczności. Wierzy również, że żadne zasady go nie dotyczą. Trudno temu zaprzeczyć, biorąc pod uwagę jego przeszłość.

— Chodzi panu o czternastoletnią dziewczynę, która zmarła po wypadku, i jego żonę?

— Tak, choć to nie wszystko.

— Czyli to oczywiste, że Joey Azorini jest zdolny do popełnienia morderstwa — pomyślałam na głos.

— Podobnie jak my wszyscy — dodał prawnik.

— To znaczy Joey jest bardziej predysponowany do popełnienia morderstwa niż my. Przynajmniej łatwiej mu to przychodzi.

— To prawda. Ale po co miałby zabijać własną córkę? Jaki miałby motyw?

— A czy musiał go mieć? — spytałam. — Nie chciał przecież zabić dziewczyny, którą wtedy wioził, podobnie, jak mi się wydaje, było z jego żoną. W pierwszej sytuacji wypadek nastąpił w wyniku jego bezmyślności, w drugiej był to wypadek, o ile tak to można nazwać, spowodowany jego wybuchowością.

— Z tego, co wiemy, Gretchen została zgwałcona i uduszona na jakimś odludziu. Co mogło spowodować taki wypadek?

Elliott Abelman wyglądem przypominał raczej bankiera niż prywatnego detektywa. Miał około metra osiemdziesiąt wzrostu, a jego głowę wieńczyły jasnobrązowe, nieco przerzedzone włosy. Miał przyjemny dla oka, klasyczny profil. Na nosie spoczywały rogowe okulary. Szara marynarka, czarna aktówka, mocny, suchy uścisk dłoni, nic niezwykłego — dopóki się nie uśmiechnął. Wówczas całe pomieszczenie oświetlił blask jego uśmiechu.

Opowiedziałam mu o wszystkim, o wykupie, zabójstwie Gretchen, o tym, jak John Guttman i Anthony Azorini wmanewrowali mnie w przeprowadzenie dochodzenia. Nie pominęłam faktu, że Joey zajmuje się handlem narkotykami. No, parę rzeczy jednak przemilczałam. Nie wspomniałam o stosunkach wiążących mnie ze Stephenem. Po pierwsze, po co ma wiedzieć, że z nim sypiam, to nasza prywatna sprawa, po drugie, jeśli jest coś wart, sam do tego dojdzie.

Ja mówiłam, a Elliott sporządzał notatki.

Zrelacjonowałam wszystko w porządku chronologicznym, poczynając od tego, jak zastaliśmy policjantów oczekujących na Stephena pod drzwiami mieszkania, aż do chwili, w której na prośbę Azorinich zgodziłam się zbadać sprawę.

— Sympatyczna rodzinka — stwierdził Abelman, kiedy skończyłam. — A co sądzi policja?

— Z tego, co dowiedziałam się od anatomopatologa, uznali, że to morderstwo na tle seksualnym i nie zmieniają zdania, aż ktoś udowodni co innego. Nie wiem, czy kogoś podejrzewają. Nie mam pojęcia, jak prowadzą śledztwo. To jeden powód, dla którego jest mi pan potrzebny. Nie umiem prowadzić negocjacji

z wiejską policją. Ile razy z nimi rozmawiałam, tyle razy udało mi się ich wkurzyć.

— Na pewno nie przepadają tam za upierdliwymi prawniczkami z wielkiego miasta — zauważył Abelman i na jego twarz wypłynął ten wspaniały uśmiech. — Proszę mi powiedzieć, jaka była Gretchen Azorini. Pani ją знаła.

— Szczerze mówiąc, nie za bardzo. Była przyjaciółką mojej młodszej siostry, Beth. Widziałam ją kilka razy, ale nie wiem, czy wyrzekła do mnie chociaż dzieś się słów. Albo to przez jej nieśmiałość, albo niewiarygodne zamilowanie do milczenia.

— Czy była dobrą uczennicą? — spytał.

— Jej wujek mówił, że jedną z najlepszych w szkole.

— Nie wie pani, czy miała dużo przyjaciółek?

— Prawie na pewno nie — odparłam — ona i Beth były klasowymi odludkami. Zanim dziewczynka zaczęła chodzić do Chelsea Hall, moja siostra nie miała żadnej przyjaciółki. Jeździła do szkoły, siedziała tam tyle, ile jej kazali, po czym wracała do domu.

— A po przyjeździe Gretchen zostały przyjaciółkami?

— Tak. Miały trzynaście lat, kiedy się poznały. Gretchen wywodziła się z zupełnie innego środowiska niż reszta dziewcząt. Wie pan, jak wygląda szkoła typu Chelsea Hall. Chodzi do niej sześćset dziewczyn, od przedszkola po liceum. Około siedemdziesięciu procent odsiaduje tam dożywocie, to znaczy zaczynają w wieku czterech lat, a kończą jako osiemnastolatki. Ich rodzice dobrze się znają, należą do tych samych klubów, robią to samo, spędzają wakacje w tych samych miejscach. Tymczasem Gretchen Azorini...

— Była córką niezującej już gwiazdy filmów porno i bezwzględnego handlarza narkotyków, któremu się powiodło. Dziwię się, że w ogóle zgodzili się ją przyjąć.

— Nie poszło tak łatwo. Jestem absolwentką tej szacownej instytucji. Poprosiłam przyjaciela rodziny, Tuckera Sweeta, członka rady zarządzającej szkołą, o wstawiennictwo. Na konto Chelsea Hall wpłynęła również spora suma pieniędzy.

— Co mówi pani siostra? — zadał rozsądne pytanie Elliott. — Jeśli były przyjaciółkami, na pewno domyśla się, czym zajmowała się Gretchen?

— Na pewno. Szkopuł w tym, że jak dotąd nie udało mi się z niej nic wyciągnąć. Beth jest, jakby to nazwać, niezrównoważona psychicznie, choć to pewnie za mało powiedziane. Jest rozwścieczona, popada w depresję, ma skłonności samobójcze. Wiem, że to okropne mówić takie rzeczy o własnej siostrze, ale z nich dwóch, to raczej po Beth można się było spodziewać, że ucieknie ze szkoły i wyląduje na jakimś odludziu.

— Nastolatki zwykle trzymają się w grupach. To, co pociąga jednego, zwykle pociąga też innych, w większym bądź mniejszym stopniu. Jeśli pani siostra

lubi sprawiać kłopoty, całkiem prawdopodobne, że Gretchen była do niej w tym podobna.

— Nie sądzę, żeby Beth pociągało sprawianie kłopotów — rzekłam — chyba po prostu lubi być nieszczęśliwa. Uważam, że jest zagubiona, załamana i coraz bardziej pogrąża się w depresji.

— Jak sobie radzi z myślą o śmierci przyjaciółki?

— Niezbyt dobrze — stwierdziłam, świadoma, że to o wiele za mało powiedziane. — Zemdląca po usłyszeniu tej wiadomości. Wyznała mi, że chce popełnić samobójstwo. Jej psychiatra naszpikował ją prochami i przez to nie może lub nie chce odpowiadać na żadne pytania. W dodatku matka nakazała służącym nie dopuszczać mnie do niej.

— Nakazała służącym, to mi się podoba — uśmiechnął się Abelman. — Może ja powinienem spróbować z nią porozmawiać?

— Mam jeszcze jedną szansę. Zamierzam pojechać jutro rano do Chelsea Hall, może tam, z dala od matki, kiedy to wszystko stanie się bardziej odległe, siostra będzie w stanie coś mi rzec. Poza tym mogłabym przy okazji porozmawiać z nauczycielami Gretchen i szkolnym psychiatrą.

— W takim razie co ja mam zrobić? — spytał Elliott.

— Nie jestem do końca pewna — odparłam — nie mam doświadczenia w prowadzeniu śledztwa. Miałam nadzieję, że pan mi coś doradzi.

— No tak — zaczął Abelman i ostrożnie położył swój notes na skraju biurka — moim zdaniem, mamy tu dwa, niekoniecznie ze sobą związane, zagadnienia, do których można by się wziąć. Pierwsze z nich, to odnalezienie odpowiedzi na pytanie, gdzie był Joey Azorini, w czasie kiedy jego córka została zamordowana. Gdyby okazało się, że jadł śniadanie w towarzystwie burmistrza i kardynała Bernadellego, wówczas sprawa zostanie rozwiązana ku zadowoleniu jego ojca i brata.

— Ale wtedy nie będziemy wiedzieli, kto ją zabił — zauważyłam.

— Zawsze można to zostawić policji — stwierdził Abelman.

— A oni znajdą mordercę?

Elliott uniósł brwi i wzruszył ramionami.

— Może — powiedział — kiedyś. Całkiem możliwe. Jednak sprawa tego typu z reguły albo zostaje rozwiązana w trakcie pierwszego tygodnia, albo ciągnie się latami.

— To znaczy?

— Błyskawicznie wpadną na jakiś trop — na przykład, że pokłóciła się z chłopakiem w dniu swojego zniknięcia i są na to świadkowie. Mogą znaleźć jakiś dowód łączący jej śmierć z modus operandi kogoś z notowanych przestępców. Ktoś pójdzie na policję i się przyzna. Tak właśnie tego typu sprawy zostają rozwikłane.

Ale założmy, że to było uprowadzenie przez całkowicie obcą osobę — kontynuował Abelman. — Dziewczyna siedzi w samochodzie, oczekując na zielone światło, a tu wsiada facet z pistoletem, przystawia go jej do głowy i mówi

„jedziemy”. Takie sprawy leżą na biurkach policjantów, pokrywają się kurzem i któregoś dnia w końcu zostają odłożone ad acta

- Nie mamy tyle czasu. Musimy rozwiązać sprawę w ciągu dziesięciu dni.
- Dlaczego? — spytał Abelman.

Wyjaśniłam, że Joey chce odstąpić swoje akcje i musiałby z tego zrezygnować przed upływem tego czasu.

- Przez co pojawia się trzecia możliwość — stwierdził detektyw.
- Jaka?
- Edgar Eichel może być odpowiedzialny za śmierć Gretchen.
- Nie przesadzajmy! — wybuchnęłam.

— Przesada? Ile, pani zdaniem, Eichel zarobi, gdy wykupi Azor i sprzeda majątek firmy? Dwadzieścia milionów?

— To absurd. Fakt, Eichel nie jest dżentelmenem, ale jego biznes daje mu mnóstwo pieniędzy. Na pewno nie zniżyłby się do popełnienia morderstwa.

— Wielu pracowników biura prokuratora rejonowego nie zgodziłoby się z panią. Sam prokurator, Randy Harrigan, ma go na oku od ładnych paru lat. Eichel dość ostro potraktował ludzi ze związków, jeszcze w czasach gdy zajmował się tłumikami. Dwoje z nich, którzy starali się doprowadzić do zerwania negocjacji w sprawie warunków pracy, zmarło w tajemniczych okolicznościach. Ten człowiek to typowy produkt tak skorumpowanego miasta jak Chicago. Od kiedy pamiętam, zawsze krążyły plotki, że Eichel nie gra czysto.

- Ale po co miałyby zabijać Gretchen?

— Proszę rozpatrzyć sprawę akcji Joey’a. W tej sytuacji jedynym zwycięzcą jest Edgar Eichel.

— Muszę przyznać, że teoria spisku Joey-Eichel średnio mnie przekonuje. Wszystko stało się tak błyskawicznie. Skąd by mu to przyszło do głowy? Kto napisał list dotyczący sprzedaży tych akcji? Nawet jeśli były one częścią jakiegoś spisku, skąd Eichel mógł wiedzieć, jak zareaguje Stephen? Że oskarży swojego brata o udział w jej śmierci? To wszystko zbyt poplątane, zbyt nieprzewidywalne.

— Nie byłbym tego tak pewien. Może to też było wkalkulowane. Eichel mógł kazać ją zabić na ziemi Joey’a, świadom, że to wzbudzi podejrzenia jego brata.

- A gwałt?

— Może najęty przez Eichela bandzior postanowił przy okazji się zabawić. Nie sugeruję w końcu, że on zabił ją osobiście.

- Tego już nieco za wiele.

— Zgoda, ale musi pani przyznać, że Eichel wiele na tym zyskuje. Podczas wykupu najwięcej odpowiedzialności spoczywa na barkach prezesa. Jeśli jest bystry, ma szczęście i przez cały czas trzyma rękę na pulsie, ma szansę zwyciężyć Eichela. Natomiast co się stanie, jeśli ma na głowie osobistą tragedię—

nierozwiązane morderstwo swojej szesnastoletniej podopiecznej? Tym lepiej dla Eichela.

— Nadal trudno mi uwierzyć, żeby Eichel mógł zrobić coś takiego.

— Widziałem, jak różni ludzie robili nawet okropniejsze rzeczy — rzekł Abelman. — Ale nadal nie wiemy, co dalej.

— Zdaje mi się — odparłam — że powinniśmy zająć się obydwoma zagadnieniami. Jeśli Joey ma alibi, które potrafi udowodnić, to wspaniale. Chociaż szczerze mówiąc, gdyby je miał, pewnie już by je przedstawił. A gdyby nie udało nam się udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że tego nie zrobił, i tak pozostaje nam odnalezienie mordercy. Moglibyśmy od tego właśnie zacząć.

— Wie pani, ile kosztuje prywatne śledztwo?

— Nie, może mnie pan doksztąpić?

— Biorę pięćset dolarów dziennie plus wydatki. Tak duża robota wymaga pomocy ze strony wielu ludzi. Mam kilku informatorów, znam też paru gliniarzy dorabiających na boku. Będą mnie kosztować około trzystu dolarów dziennie. W sumie to sporo pieniędzy.

— W porządku — powiedziałam — proszę tylko dostarczać mi regularnie listę wydatków.

— O.K. — Miałam wrażenie, że to było dla niego naprawdę wielkie zlecenie, może nawet jego pierwsze.

— Więc kto jest moim klientem? — spytał.

— O czym pan mówi?

— Dla kogo właściwie pracuję? Stephena Azoriniego? Rodziny Azorinich? Callahan Ross? Kto mi będzie płacił?

— Ja — odparłam.

— Pani osobiście? Dlaczego?

— Bo i tak mam już wystarczająco dużo kłopotów. Nie chcę jeszcze do tego odpowiadać przed kimś — wyjaśniłam. — Poza tym nie życzę sobie, żeby firma nagle przestała płacić za śledztwo, gdyby jego wyniki zaczęły być dla niej niewygodne. To samo dotyczy Azorinich.

— Chodzi o mnóstwo pieniędzy... — rzekł Abelman z niedowierzaniem.

— Czy pięć tysięcy zaliczki wystarczy? — spytałam i wypisałam mu czek. Posłużyłam się w tym celu tym samym lapisowym piórem, którym dzień wcześniej pisałam swoją rezygnację.

— Oczywiście. Skoro to pani jest klientem, czy życzy sobie pani, bym codziennie składał raport?

— Nie tylko — odpowiedziałam. — Do czasu zakończenia śledztwa nie zajmuję się niczym innym. Poza tym, w związku z moją sytuacją, co nieco mogę się sama dowiedzieć. Jak już mówiłam, jutro rano jadę do Chelsea Hall. Podejrzewam, że moja siostra chętniej porozmawia ze mną niż z kimś obcym.

— W takim razie zbiorę paru ludzi i zajmiemy się sprawdzeniem alibi Joey'a.

— Twierdzi, że był w Kolumbii w interesach i wrócił w środę rano. Podobno jednak widziano go w Chicago na Rush Street. Tak mówi jego ojciec.

— W porządku. Każę paru ludziom to sprawdzić. Następnie pojedę do Wisconsin i zobaczę, co tam wymyślili. Kto wie, może rozwiązali już całą sprawę i właśnie znęcają się nad jakimś biednym wiejskim głupkiem.

— Nie sądzę.

— W każdym razie jutro złożę pani raport.

— Po południu, rano będę w Chelsea Hall.

— Mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za osobę bezczelną — Abelman zatrzymał się przy drzwiach — jeśli zapytam, co się stało z pani twarzą?

— Trafiłam w sam środek bójki. Kiedy Joey dowiedział się, że Stephen powiedział ojcu o swoich podejrzeniach, natychmiast poszedł do jego mieszkania i próbował go zabić.

— Czemu mu się nie udało?

— Rąbnęłam go w głowę statuetką i zabrałam mu pistolet — odrzekłam, jakby to nie było nic takiego, ale nie wiedzieć czemu, poczułam wstyd.

— Chylę przed panią czoło, pani Millholland — Elliott Abelman uśmiechnął się szeroko.

— Proszę — powiedziałam — mów mi Kate.

Rozdział 10

Restauracja Taglieteri znajdowała się kilka przecznic na zachód od kompleksu budynków należących do Uniwersytetu Illinois. Okolica nie wyglądała najlepiej, choć dawało się zauważyć, że zaczynają się tu wprowadzać bogatsi ludzie. Stare kamienice z dużymi gankami stały obok niewielkich odnowionych centrów handlowych, bloków mieszkalnych i zjazdów z autostrady. W świetle dnia widać było wystarczająco dużo odrestaurowanych budynków, żeby poczuć się lepiej, jednak po zmroku dałam taksówkarzowi dodatkowe pięć dolarów, by poczekał, aż bezpiecznie wejdę do restauracji, zanim odjedzie ulicą Dearborn w kierunku Greektown, gdzie czekał na niego kolejny pasażer.

Restauracja zajmowała parter zrujnowanej kamienicy, wciśniętej pomiędzy pralnię i nocny sklep spożywczy prowadzony przez Koreańczyków. Wewnątrz stało raptem dziesięć stolików. Kelnerka miała czarne włosy i budowę przypominała lodówkę. Jedną ze ścian pokrywało amatorskie malowidło przedstawiające włoską ulicę. Padało na nie odbite światło automatu z coca-colą.

Detektyw Cancasci podniósł się, gdy weszłam do środka. Zaprosił mnie do stolika dla dwojga osób ustawionego w tylnej części pomieszczenia. Był niskim, potężnym mężczyzną o szyi byka i brzuchu piwosza. Miał gęste, siwiejące włosy, wyglądające, jakby sam je obciął — po paru piwach.

— Vito nieźle panią załatwił — stwierdził, kiedy już się sobie nawzajem przedstawiliśmy.

— Na pewno ucieszyłyby się, gdyby to usłyszał — odrzekłam — jestem przekonana, że to, co robi, napawa go dumą.

— Zje pani coś? — spytał.

— Ja zawsze jestem głodna — rzekłam zgodnie z prawdą.

— Nie widać po pani.

— To znaczy, że wyglądam na dobrze odżywioną?
— Nie, wręcz przeciwnie. Pani jest szczupła, nie wygląda na kogoś, kto bez przerwy je.

— Nie jem bez przerwy — powiedziałam — dlatego zawsze jestem głodna. Cancasci wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Jedzenie mają tu dość dobre. Musi tak być, inaczej nikt nie przychodziłby do restauracji w takiej okolicy. — Przywołał gestem kelnera.

Zamówiłam pierożki z gorgonzolą. Detektyw poprosił o coś po włosku. Kelner przyniósł gorące, przypieczone bułeczki i butelkę valpolicella.

— Słyszałem, że chce się pani dowiedzieć co nieco o Azorinich — zaczął i przełamał na pół kawałek chleba.

— Podobno jest pan ekspertem.

Skinął głową.

— Wie pani, niektórzy śledzą, co się dzieje w brytyjskiej rodzinie królewskiej. My, gliniarze, zajmujemy się słuchaniem plotek dotyczących rodzin przestępczych.

— Coś w stylu „Dynastii” z bronią — zażartowałam.

Cancasci zaśmiał się. Przypominało to połączenie bulgotu ze smarknięciem.

— Moim konikiem jest rodzina Azorinich — oznajmił i nalał następny kieliszek wina. Było dość mocne, ale za drugim razem o wiele łatwiej przeszło przez gardło. — Lecz muszę przyznać, że zaskoczyła mnie pani. Przecież chodziła pani ze Stephenem Azorinim od dzieciństwa. Po co chce pani wiedzieć coś więcej o jego rodzinie? O co tu chodzi? Myśli pani o małżeństwie z nim i zamierza sprawdzić, w co dokładnie się pakuje?

— Nie chodzę ze Stephenem Azorinim — odparłam.

Takie sformułowanie sugerowało pewien stopień zaufania i intymności, które nigdy do końca nie charakteryzowały naszego związku.

— Jak to? Co parę miesięcy gazety publikują zdjęcia, na których stoicie razem i uśmiechacie się do obiektywu.

Kim my dla siebie właściwie byliśmy? Dobrze pytanie. Starymi znajomymi? Prawniczka, która sypia ze swoim najważniejszym klientem? Zagonieni yuppie znajdujący rozrywkę w uprawianiu seksu...

— Znam Stephena od dawna — odezwałam się wreszcie — to prawda, poznaliśmy się na jakiejś imprezie w szkole średniej. Przez pewien czas chodziliśmy ze sobą. Potem trafiliśmy do różnych uczelni, a ja wyszłam za kogoś innego.

— Nie wiedziałem, że pani jest rozwiedziona.

— Jestem wdową. Mój mąż zmarł na raka. Stephen bardzo mi pomógł w czasie jego choroby. Teraz pełnię funkcję jednego z prawników reprezentujących jego firmę, Azor Pharmaceuticals.

— Firmę, którą Edgar Eichel chce przejąć. Wiem wszystko o tym gnojku.

— Chodzi panu o Eichela?

— Mój młodszy brat kiedyś u niego pracował jako majster w fabryce tłumików. Parę lat temu Eichel postanowił przenieść się poza centrum i ją sprzedał. Ale brat zdążył mi tyle naopowiadać... Jezu, mówił, że Eichel to oszust, jakich mało. Kupował wadliwe części od dostawców — części nadające się do wyrzucenia. Kazał pracownikom zostawać po godzinach i produkować z nich tłumiki, które następnie sprzedawał do krajów Ameryki Łacińskiej za podwójną cenę. Brat mówił, że Eichel zrobiłby wszystko dla pieniędzy.

— Co jeszcze byłby w stanie zrobić? — spytałam z zainteresowaniem.

— Kiedyś podjęto próby zorganizowania związków zawodowych w fabryce. Wtedy dopiero się zaczęło! Wie pani, związkowcy się nie obcyndalają, ale Eichel miał też swoich kumpli. Przez pewien czas okolice fabryki przypominały pole bitwy.

— Czy związki w końcu powstały?

— Nie.

— Stephen ucieszy się, jak usłyszy te historie.

— Pani przyjaciel Stephen w dzieciństwie na pewno słyszał setki takich opowieści. Jego stary i podobni mu ludzie napisali podręcznik dla palantów pokroju Eichela.

— O czym pan mówi?

— Otóż może i jest prawdą, że dziś Anthony Azorini to siwiutki przedsiębiorca. Dziesięć, dwadzieścia lat temu był kimś, kogo nikomu nie radziłbym rozgniewać — przynajmniej, jeśli życie by mu było miłe. Jest niezwykle cwym, twardym, byстрыm i bezwzględny m człowiekiem. Zaczynał jako chłopak od łamania nóg, a teraz cóż? Nixon przyjął go w Białym Domu. Wszyscy politycy Illinois chodzą prosić go o poparcie. Pani przyjaciel nigdy nie opowiadał o początkach swojego starego?

— Chyba nigdy mu się na to nie zebrało.

— Anthony Azorini zaczął od pracy u lichwiarza. Był wtedy młodym chłopakiem. Podobnie jak większość gówniarzy w jego wieku był twardy, ale przewyższał resztę inteligencją i bezwzględnością. Pewien facet prowadził interes w okolicy. Facet nazywał się Tony Bako, a jego firma Bako Industries. Produkował automaty do gry, wie pani, bilardy, a do tego wagi, które za piątaka ważyły i w dodatku jeszcze przepowiadały przyszłość. W każdym razie firma miała kłopoty. Nie wiem jakie. Może Bako pił, przegrywał w karty, a może po prostu był kiepskim biznesmenem. Jakby tego było mało, jeszcze pogorszył sytuację, pożyczając pieniądze od szefa Azoriniego, tego lichwiarza. Wkopał się dokumentnie. Nie wiem, jak do tego doszło, ale Azorini przekonał lichwiarza, że pożyczka zwróci się, jeśli on przejmie interes Bako. Teraz to już nikogo nie dziwi, ale przedsiębiorstwo po pół roku zaczęło przynosić zyski.

Obecnie Bako Industries wytwarza automaty, gry wideo, nawet sprzęt do ćwiczeń. Wielka firma, spore zyski. Oczywiście, frajerowi, który nie chce umieścić

maszyny Bako w swojej knajpie, jakieś łobuzy z reguły przetrącają nogi, ale poza tym firma jest w porządku. Co nie znaczy, że stary Azorini jest czysty. To po prostu bandzior w limuzynie.

— Jak skończył ten facet? — spytałam.

— Który?

— Ten, który się zapożyczył u lichwiarza. Bako.

— Umarł — odpowiedział Cancasci z ustami wypchanymi chlebem — i to jeszcze jak.

— Sądzi pan, że to Anthony Azorini go zabił? — spytałam.

— No jasne — odparł detektyw. — Moja droga, jedno, co mogę przyznać pani przyszłej rodzime, to to, że w zabijaniu są naprawdę dobrzy.

— Nie wiedziałam, że ojciec Stephena miał powiązania ze zorganizowaną przestępczością — wyznałam.

— Dobry gangster to nieznany gangster — detektyw Caricasti rzucił głęboką myśl. — Nikt nie wie, ile on właściwie ma pieniędzy. Musi być wart z miliard dolarów. Dlatego też tak bardzo potrzebuje Stephena — dzięki niemu może wsadzić tę forszę w legalne interesy. Marzy, by Azorini stali się następnymi Rockefellerami. A może Millhollandami.

— A Joey?

— Joey? Biały Księżę odziedziczył po ojcu zawziętość, ale nie inteligencję.

— Jak go pan nazwał?

— Białym Księciem. Tak go nazywają na ulicach.

— Dlaczego?

— Podobno dlatego, że jest Johnem Wayne'em kokainy (Wayne miał pseudonim „Duke” — „Księżę”). Osobiście uważam, że on sam to wymyślił.

— Od jak dawna zajmuje się handlem narkotykami?

— Nie wiem, dziesięć lat, może dłużej. Idealnie trafił. Kiedy wziął się do kokainy, popyt na nią sięgnął zenitu.

— Ojciec powinien być z niego dumny — skomentowałam.

— Nie, stary Azorini już z tego wyrósł. Zdobył pieniądze i teraz chce, żeby go szanowano. Od dziesięciu lat dąży do stworzenia legalnego imperium biznesu. Zrywa ostatnie więzi łączące go ze światem przestępczym.

— Wszystko, co niezgodne z prawem, przekazuje starszemu synowi? — spytałam.

— Nie sądzę. Anthony Azorini wręcz marzy o tym, żeby to młodszy syn przejął jego interesy. Podejrzewam, że wolałby, by Joey rozpląnął się bez śladu.

— A jaki jest Joey?

— Widzi pani swoją twarz w lustrze i zadaje takie pytania? Joey to psychol, śmieć, socjopata. Nie ma chyba nic gorszego. Gdyby nie jego stary, już od dawna

gniłby w więzieniu albo wykrwawiłby się na śmierć w jakiejś opustoszałej okolicy.

— Jak to „socjopata”?

— Nie wie pani, co to znaczy?

— Wiem, chcę tylko usłyszeć, co zrobił, żeby zasłużyć na takie miano.

— Zabił Manny'ego Epstiena przez wciśnięcie mu garści kokainy do gardła. Postrzelił Eda Gossetta w jaja i odlał mu się na twarz, kiedy zastał go w łóżku ze swoją ówczesną panią — przynajmniej tak twierdzi Gossett, a nie widzę powodu, dla którego miałby kłamać. Zabił żonę. Joey myśli kutasem i to jest jego problem.

— Powiedział pan, że zabił żonę? — spytałam.

— Tak mówią. Podobno ciągle się ze sobą kłócili...

— Dlaczego? — przerwałam.

— Jego żona ćpała, była szmatą, Azorini zdradzał ją, podobno nawet dobiegał się do swojej nastoletniej córki. Aż za dużo powodów do kłótni. Któregoś dnia znowu się pożarli, Joey tłukł ją jak zwykle, ale tym razem nie zapanował nad sobą i przesadził. Spadła ze schodów, wylądowała na głowie. Uznano to za wypadek. Tego samego lata wielu gliniarzy z dziewiątego posterunku zakupiło drogie motorówki.

Kelner przyniósł kolację. Cancasci dostał cielęcinę polaną gęstym czerwonym sosem. Ułamał spory kawałek chleba, umoczył go i wrzucił do ust. Ja jakoś nie byłam w stanie wziąć się do jedzenia. I tak musiałam przetrwać wiele informacji.

— Czyli chodzą słuchy, że Joey zabił żonę?

Detektyw skinął głową, nie przerywając pracowitego przeżuwania.

— I że próbował wykorzystać seksualnie swoją córkę?

— Zgadza się. Matka dowiedziała się o tym, wkurzyła się, a on ją rąbnął. Co powiedział Stephen, kiedy ni stąd, ni z owad został opiekunem swojej trzynastoletniej bratanicy?

— Mówił, że jego brat często wyjeżdża w interesach, a po śmierci matki Gretchen rodzina uznała go za najodpowiedniejszego człowieka do zajęcia się jej wychowaniem. Poza tym jako lekarz mógł się nią opiekować. Przecież miała cukrzycę — odrzekłam.

— Nie zamierza pani jeść? — spytał Cancasci. — Mówiła pani, że jest zawsze głodna.

— Chyba straciłam apetyt — odparłam.

Padał deszcz, a ja byłam pijana. Detektyw Cancasci bez przekonania proponował, że podwiezie mnie do domu i zapewni inne wygody, a gdy nie wyraziłam zainteresowania, zamówił mi kawę i taksówkę. W drodze powrotnej do Hyde Parku chyba zasnęłam, bo następne, co pamiętam, to wciśnięcie kierowcy banknotu dwudziestodolarowego, mroźną mżawkę i przemoczone śmieci pod moim mieszkaniem.

Czułam nieprzewartą chęć położenia się do łóżka i zapomnienia o Azor Pharmaceuticals, Joey'u Azorinim i jego rodzinie. Wiedziałam jednak, że nie mogę sobie na to pozwolić. Po wejściu natychmiast zaparzyłam kawę. Wyskoczyłam z mokrych ciuchów. Sweter i spodnie mojej matki dołączyły do stosu brudnych ubrań zajmującego cały róg łazienki. Wzięłam długi, gorący prysznic, po czym włożyłam dżinsy i starą koszulę, niegdyś należąca do Russella.

Zadzwoiłam do biura Stephena. Odebrał Richard Humanski. Poinformował mnie, że mogę Stephena zastać w mieszkaniu, ale tam z kolei odezwała się automatyczna sekretarka. Zostawiłam wiadomość i wykreśliłam numer, pod którym, zdaniem Vince'a DeGenovy, powinnam złapać Joey'a Azoriniego. Tam nawet nie było automatycznej sekretarki, usłyszałam tylko przerywany sygnał nieodbieranego telefonu.

Włączyłam wszystkie światła w mieszkaniu, by jakoś zwalczyć ogarniającą mnie senność. Nalałam sobie filiżankę czarnej kawy, nastawiłam „Excitable boy” Warrena Zevona na cały regulator i spoczęłam przy stole kuchennym. Mogłam zabrać się do roboty.

Najpierw wzięłam do ręki grubą kopertę pełną informacji na temat Joey'a Azoriniego. Nawet nie byłam pewna, kiedy Cheryl zdążyła mi ją wcisnąć. Trudno było to wszystko odczytać. Nie dość, że kopia była słaba, to jeszcze listę aresztowań wypełniały skróty, których znaczenia musiałam się domyślać. Mimo to trudno było nie zauważyć ich liczby. Miałam przed sobą nieprzerwany strumień, poczynając od drobnych przestępstw i napadów we wczesnej młodości do kilku wypadków ciężkiego pobicia i nieumyślnego zabójstwa w wieku lat siedemnastu. Ani razu jednak nie doszło do procesu.

W latach gdy Joey pracował w New Jersey, następowała przerwa w zatrzymaniach. Wkrótce potem wszystko zaczęło się od nowa, zupełnie jak z tym światłem podróżującym po ekranie elektroencefalografu, tym razem jednak zygzaki stały się o wiele większe i bardziej zaostrzone, ponieważ nastąpiła seria aresztowań w związku z podejrzeniami o rozprowadzanie narkotyków. Zatrzymywano go ponad dwadzieścia razy. Mimo to Joey nie spędził ani jednej nocy w więzieniu. Nigdy nie miał okazji trafić na ławę oskarżonych. Śmierć jego żony nawet nie figurowała w aktach.

Ułożyłam jego fotografie w porządku chronologicznym. Oto dopiero metamorfoza, pomyślałam, z małego łobuza w dorosłego przestępcę.

Następnie wyciągnęłam teczkę wypełnioną materiałami na temat Azorinich, które w tak krótkim czasie udało się zebrać młodemu pomocnikowi. Nie było tego tak dużo, jak się spodziewałam, ale cóż? To tylko potwierdzało tezę Cancaściego, że dobry gangster to nieznany gangster. Przynajmniej połowę wycinków stanowiły zdjęcia Stephena uczestniczącego w jakichś dobroczynnych balach, oczywiście w moim towarzystwie, z jedno-, dwulinijkowym podpisem mówiącym,

jak to „przetańczyliśmy całą noc, wspierając w ten sposób jakąś tam sprawę”. Wcześniej nie widziałam większości z nich, ale mogłam obiektywnie stwierdzić, że Azorini zawsze wygląda cudownie. Ach, te jego błyszczące oczy i złowieszczy uśmiech wyłaniające się z nad białego kołnierzyka koszuli i krawata niby czarny motyl. Ja z kolei wychodziłam na tych fotkach jak ktoś, kto ma za sobą ciężki dzień w biurze. Nawet złe matki często mają rację.

W teczce znajdowało się niewiele artykułów. Wszystkie dotyczyły legalnych interesów Azoriniego. Możliwe, że zaczynał od łamania nóg i wymuszania haraczu. Mimo to obecnie stał na czele firmy znajdującej się pośród pięciuset najlepiej prosperujących amerykańskich przedsiębiorstw, mającej przedstawicielstwa w szesnastu stanach i sześciu państwach. Pomyślałam o tym, jak swoje pierwsze kroki stawiali Prescottowie i Millhollandowie, którzy przecież handlowali opium, rozpędzali związki zawodowe i przemycali rum...

Poza tym znalazłam kilka urywków dotyczących Azor Pharmaceuticals. Małe wycinki z „Wall Street Journal”, zamieszczane z okazji wypuszczenia przez firmę nowego produktu, i kilka dłuższych, opublikowanych wtedy, gdy Stephen wypuścił akcje na giełdę. Na samym spodzie trafiłam na zeszyty „Business Week” z jego zdjęciem na okładce. Położyłam je przy fotografii Joey’a, przełożyłam kasetę na drugą stronę i nałałam sobie jeszcze jedną filiżankę kawy.

Usłyszałam chrobot klucza w zamku i do mieszkania wśliznęła się Claudia. Była blada, wyglądała na kompletnie wyczerpaną. Była już prawie północ. Przyciszyłam muzykę.

— Jak leci? — spytałam.

— Dwa pęknięte wyrostki i człowiek podziabany nożem do rozbijania lodu. I to wszystko od kolacji. Czuję się strasznie.

— Chcesz kawę?

— Napiję się coli. Ale kolorowo wyglądasz — zauważyła, gdy weszłyśmy do kuchni. Przyjrzała się mojej twarzy w świetle. — Odwaliłam kawał dobrej roboty.

— Dzięki — powiedziałam.

— Jak tam Stephen?

— Nie jestem pewna. Wszystko staje się coraz bardziej dziwne.

— Czy może być coś dziwniejszego od znalezienia was w pokoju pełnym poprzewracanych mebli poplamionych krwią? — spytała moja współlokatorka z niedowierzaniem w głosie.

— To był dopiero początek — odparłam i opowiedziałam, jakie plany ma Joey i o tym, jak wrobiono mnie w przeprowadzenie dochodzenia w sprawie śmierci Gretchen.

— Nie rozumiem — stwierdziła Claudia — przecież znaleźli ją w jakichś zaroślach setki kilometrów stąd. — Jak Stephen mógł dojść do wniosku, że zamieszany w to był ktoś, kogo znała, a zwłaszcza jej ojciec?

— Umowa, na mocy której Stephen został opiekunem dziewczynki, precyzuje, że Joey ma prawo do czterech widzeń z nią rocznie. Tak mi się przynajmniej zdaje. Stephen nabrał podejrzeń, iż jego brat ostatnio do niej wydzwaniał. Nie robił nic w związku z tym, bo był zbyt zajęty, a poza tym skoro Gretchen to nie przeszkadzało... W dodatku Joey jest właścicielem ziemi, na której znaleziono jej ciało.

— Nadal nie rozumiem, jak na tej podstawie Stephen mógł oskarżyć go o gwałt i morderstwo.

— Nie jestem pewna, czy on uważa, że brat ją zabił, czy też obwinia go o namówienie jej do ucieczki ze szkoły i przyjazdu na spotkanie. Można to tak ująć — podczas jazdy tam, albo z powrotem, ktoś ją uprowadził i zamordował, a gdyby została w szkole, nic takiego by się nie stało. Ergo, Joey jest za to odpowiedzialny.

— Nie przemawia to do mnie — rzekła po namyśle Claudia — to nie trzyma się kupy.

— Dziś dowiedziałam się, że chodziły słuchy, jakoby Stephen przejął opiekę nad bratanicą, bo ojciec wykorzystywał ją seksualnie.

— Aha — mruknęła współlokatorka — w tej sytuacji mogę lepiej zrozumieć jego zachowanie.

— A ponadto — ciągnęłam — ciało Gretchen znaleziono w środę, ale lekarz uznał, że zgon nastąpił w poniedziałek przed południem. Spytałam dyrektorkę szkoły, dlaczego nie zgłoszono jej zaginięcia. Powiedziała, że w poniedziałek rano zadzwonił do nich ktoś podający się za Stephena i poinformował o chorobie Gretchen. Rzekomo dziewczynę zabrano do szpitala. Nic poważnego, ale miało to potrwać parę dni.

— To już nie wygląda na robotę obcej osoby, nieprawdaż? — skomentowała Claudia z pewną dozą obrzydzenia.

— Wydaje mi się to takie okropne. Aż nie mogę uwierzyć — odparłam i wzdrygnęłam się.

— Jesteś ofiarą niedowiarstwa wynikającego z faktu życia w izolacji od świata zewnętrznego — stwierdziła moja współlokatorka autorytatywnie.

— Daj spokój — rzekłam. — Musisz przyznać, że wykorzystywanie córki jest czymś okropnym.

— Okropne owszem, ale nie niezwykle — zripostowała Claudia. — Nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, co się dzieje na świecie. Po moim pierwszym dyżurze w sali przyjęć popadłam w odrętwienie. Pamiętam jedną taką noc. Było późno, wszędzie panowała niczym niezmacona cisza. Byłyśmy trzy — dwie pielęgniarki i ja. Nagle wchodzi ci ludzie. Mężczyzna, kobieta i młoda dziewczyna. Kobieta wyglądała na mocno pobitą, dziewczynka miała dwanaście lat, była w dziewiątym miesiącu ciąży i właśnie zaczynała rodzić. Przez dłuższy czas nie wiedzialiśmy, co się dzieje — dopiero ona nam wyjaśniła. Mężczyzna był ojcem jej i jej dziecka. Zmaltretowana kobieta — jego żoną i matką dziewczyny.

W drodze do szpitala zagroziła, że powie policji o kazirodztwie męża, więc ją pobił. I to jak pobił! Pamiętam, że nie byliśmy pewne, czy się z tego wylize.

— Straszne — tylko tyle byłam w stanie z siebie wydobyć.

— Zawiozłyśmy matkę na salę operacyjną, a dziewczynę na porodówkę i zostaliśmy sam na sam z tym facetem. Próbowaliśmy wyciągnąć z niego, co się stało. Ten drań wymyślił historyjkę, że jego żona i córka są szmatami. Jedna wpadła, druga została pobita. Zawinili ich kochankowie.

Wróciłyśmy do pokoju pielęgniarek i zaczęłyśmy się wściekać. Nie mogłyśmy nic zrobić, chyba że żona lub córka zaskarżyłyby go, co nie było wielce prawdopodobne. Ten człowiek był potworem; siedział sobie w poczekalni, obżerając się chipsami i popijając colę, gdy w tym samym czasie jego dwunastoletnia córka rodziła, a żona walczyła ze śmiercią.

Już nie pamiętam, która na to wpadła, ale jakoś zaczęłyśmy rozmawiać o zamordowaniu faceta. Prosta sprawa. Byłyśmy tam tylko we trójkę, jedna z pielęgniarek mogła go wezwać do pokoju na ponowną rozmowę, ja wstrzyknęłabym mu środek uspokajający, zanim zdałby sobie sprawę z czegokolwiek. Mogłam dać mu za dużo fenobarbitalu i podpisać akt zgonu spowodowanego pękniętym wyrostkiem. Nikt by się o niczym nie dowiedział. Oddałybyśmy światu przysługę.

— I co? — spytałam delikatnie.

— I od tamtej pory żałuję, że tego nie zrobiłyśmy — odpowiedziała. — Zastanawiałyśmy się nad tym całkiem poważnie, ale prawdę mówiąc, każda z nas obawiała się wzięcia na siebie takiej odpowiedzialności. Pozbawienie kogoś życia leżało poza zasięgiem tego, co mogłyśmy uczynić, jeśli nadal chcieliśmy móc spojrzeć sobie w twarz. Nieważne, że w tym wypadku czyn można było uzasadnić.

— Dziś jeden z prawników rodziny Azorinich oświadczył mi, że każdy z nas w odpowiednich okolicznościach jest w stanie zabić człowieka.

— Oczywiście — potwierdziła Claudia. — Tamtej nocy nie byłam od tego daleka.

— Dziwne, że dopiero teraz mi o tym mówisz — rzuciłam.

— Kiedy to się zdarzyło, byłaś w Kansas City. Prowadziłaś jakąś skomplikowaną sprawę. Po twoim powrocie to już nie miało takiego znaczenia. Więc — zaczęła, zręcznie zmieniając temat — jak masz zamiar rozgryźć sprawę Gretchen Azorini?

— Dziś po południu wynajęłam prywatnego detektywa. Potem poszłam na kolację z detektywem z policji chicagowskiej...

— Gliniarz i prywatny detektyw? — W jej słowa brutalnie wtargnął przenikliwy dźwięk dzwonka. Spojrzałyśmy na zegar. Było tuż przed dwunastą.

— Spodziewasz się kogoś? — spytałam.

— Nie, a ty?

— A skąd.

Podniosłam słuchawkę domofonu.

— Kto tam? — warknęłam, chcąc odstraszyć potencjalnych włamywaczy i gwałcicieli.

— Policja Uniwersytetu Chicago. Mamy faceta, który twierdzi, że jest pani znajomym. Podobno na imię ma Stephen.

— Stephen... a jak dalej? — ryknęłam do słuchawki.

— Nie chce powiedzieć.

— Jak wygląda? — nie dawałam im spokoju.

— Dość dobrze zbudowany, ponad metr osiemdziesiąt, czarne włosy...

Otworzyłam im drzwi i wysłałam na klatkę schodową. Tak jak się spodziewałam, ujrzałam gliniarza prowadzącego Azoriniego. Miał na sobie tylko garnitur, mimo że temperatura ledwie przekraczała zero stopni. Był przemoknięty do suchej nitki.

— Stephenie! — krzyknęłam. — Co się stało?

— Nic — odrzekł bezbarwnie. — Chciałem sobie pospacerować i pomyśleć. Nie zdałem sobie sprawy, że pada.

— Chodził po Drexel — wyjaśnił gliniarz z niedowierzaniem. — Znaczy się, wiem, że wygląda na takiego, co by sobie poradził, ale tak czy inaczej w tej okolicy nie radziłbym chodzić samotnie bez broni. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest pijany, ale nie czułem alkoholu. Nie miał przy sobie żadnego dokumentu, więc chciałem zabrać go na komisariat. Wtedy zaproponował, żebyśmy tu przyszli. Powiedział, że pani za niego poręczy.

— Oczywiście — odparłam natychmiast. — Doceniam pański trud. Mój znajomy stracił bliską mu osobę i trudno mu się z tym pogodzić.

— Odprowadzi go pani do domu? — spytał policjant.

— Zajmę się nim. Dziękuję panu za pomoc.

Wciągnęłam Stephena do mieszkania i zatrzasnęłam drzwi. Miał na sobie białą koszulę i nędzne resztki drogiego garnituru. Koszula była tak mokra, że aż przezroczysta. Przyłgnęła mu do ciała. Z włosów kapiała woda, wargi miał sine. Cały się trząsał. Bandaż na czole zamókł i zsunął się do połowy, odsłaniając szwy. Nic dziwnego, że gliniarz go zatrzymał.

Zaniepokojona Claudia zajrzała do pokoju, ale gestem poprosiłam, by nie wchodziła. Azorini czuł się pewnie już wystarczająco upokorzony.

— Jak się czujesz? — spytałam.

— Trochę mi zimno — mruknął, trzęsąc się gwałtownie. — Chyba głupio zrobiłem, wychodząc bez płaszcza, ale jakoś o tym nie pomyślałem.

— To nic. Musisz teraz zdjąć te mokre ciuchy i napić się czegoś ciepłego.

Zaprowadziłam go do łazienki i odkręciłam gorący prysznic. Pomieszczenie natychmiast wypełniło się parą. Poszłam do kuchni zaparzyć herbatę. Kiedy wróciłam z filiżanką w dłoni, okazało się, że Stephen nadal stoi tam, gdzie go zostawiłam, i nie może sobie poradzić z guzikami.

Rozebrałam go ostrożnie jak dziecko i wepchnęłam pod gorący strumień wody. Usiadłam na sedesie i patrzyłam przez przymglone szkło na jego sylwetkę pod prysznicem. Martwiłam się, że zamoczy sobie szwy.

Wreszcie potrząsnął głową i przejechał dłonią po włosach. Potarł twarz i zakręcił wodę. Stałam przy wyjściu z kabiny i podałam mu ręcznik. Czułam się nieswojo. Choć może to wydać się dziwne, nigdy nie doszliśmy w naszym związku do etapu, w którym nagość stałaby się czymś normalnym.

Przyciągnął mnie do siebie. Jego szybkość, gwałtowność, moc pożądania i to, jak błyskawicznie na nie zareagowałam rosnącym podnieceniem, zaskoczyły mnie całkowicie. Jego dłonie, usta były wszędzie — pod moją luźną koszulą, delikatnie muskając moje sińce. W końcu wziął mnie na ręce, zaniósł do pokoju i położył lekko na moim wygniecionym łóżku.

Od samego początku charakteryzowało nas dziwne pomieszanie uczuć. Za dnia byliśmy dobrymi przyjaciółmi, poważny biznesmen i jego adwokat, spadkobierczyni dobrego rodu i jej przystojny towarzysz na przyjęciach śmietanki towarzyskiej, dwoje starych znajomych, którzy może nie zawsze byli sobie bliscy, ale wiele ich ze sobą łączyło.

W łóżku — co innego. W łóżku panowały gorączka, pot i pożądanie.

Ta noc nabrała swoistego znaczenia. Kochaliśmy się długo, namiętnie, a kiedy wreszcie udało mi się wyrwać z jego gorącego uścisku i zaczęłam zasypiać, Stephen odwrócił się w moją stronę i znowu mnie objął. Gdy wyczerpani zapadliśmy w głęboki sen, zza krawędzi zasłon wyłaniało się już blade światło poranka. Promienie padały prosto na moje ubranie rzucone niedbale na podłogę.

Rozdział 11

Kiedy obudziłam się, jeszcze drżałam po tym, co zaszło ostatniej nocy. Azorini już wyszedł. Była dziewiąta rano. Zdałam sobie sprawę, że nie powinnam była poświęcać cennego czasu na takie przyjemności.

Podniosłam koszulę z podłogi i weszłam do kuchni. Claudia, kobieta, która potrafiła zszyć dwa końce arterii niemowlaka, nie miała najmniejszego pojęcia o najprostszych sprawach. Zrobienie śniadania było idealnym przykładem. Właśnie stała nad zlewem i zeskrobywała przypalone brzegi grzanki.

— Co ty tu jeszcze robisz? Myślałam, że już siedzisz w biurze — powiedziała. Miała na sobie tylko górę, i to za dużą, fartucha chirurgicznego, nic poza tym. Widniał na niej napis: „Własność szpitala Uniwersytetu Chicago”. Uświadomiłam sobie, że od dwóch lat widuję ją tylko w zielonym stroju chirurga.

— Stephen już poszedł? — spytałam.

— Chyba tak. Wstałam jakies pół godziny temu. Najprawdopodobniej wyszedł wcześniej.

— Chciałam z nim porozmawiać.

— Ja też wychodzę — oznajmiła Claudia.

— Myślałam, że dopiero co skończyłaś dyżur — rzekłam.

— Idę potrenować na trupkach — odparła.

— To żywi ci nie wystarczą? — spytałam.

— Jest takie powiedzenie: „Trening czyni mistrza”.

Przed wyjściem zadzwoniłam do Joeya Azoriniego. Wykręciłam numer do jego mieszkania. Poczekalałam długą chwilę. Gdy miałam już odłożyć słuchawkę i spróbować namierzyć go gdzie indziej, odezwał się przepity głos.

— Czego? — warknął Joey.

Najwyraźniej w handlu narkotykami pracuje się w nocy, a śpi w dzień. Zupełnie jak pośród nietoperzy.

— Mówi Kate Millholland — przedstawiłam się. — Muszę z tobą porozmawiać.

— No to rozmawiaj.

— Nie przez telefon. Umówmy się w cztery oczy.

Strasznie długo zastanawiał się nad odpowiedzią. A nuż znowu zasnął? — pomyślałam.

— Będę dziś na czuwaniu. Tam się odszukamy. Znajdę jakieś miejsce, w którym będziemy mogli spokojnie pogadać.

— No to do zobaczenia — odpowiedziałam, zastanawiając się, czy spotkanie z nim sam na sam w ustronnym miejscu jest naprawdę dobrym pomysłem.

Kobiety ze strony mojej matki zawsze trafiały do Foxcroft, ekskluzywnej szkoły z internatem w Wirginii, której głównym atutem było wychowywanie młodzieży w spartańskim duchu — z dala od rodziców.

Jednakże mój ojciec, którego tradycja rodzinna nie różniła się zbyt, przez cztery lata zalewał łzami swoją poduszkę w Andover. To właśnie on sprzeciwił się woli matki (a nie zdarzało mu się to często) i nie pozwolił, by którekolwiek z nas wyłądowało w internacie. Ona uznała to za szokujący triumf sentymentalizmu (który nie był jej do niczego potrzebny) nad zasadami, ale przystała na umieszczenie mnie i Beth w Chelsea Hall, a mojego brata w Country Day. Obydwie szkoły zapewniały lokum w dni powszednie.

Szkoła dla dziewcząt Chelsea Hall zajmowała kilka piętnastowiecznych budynków usadowionych pośród wilgotnych lasów około dwudziestu minut jazdy na północny zachód od Lake Forest. Tereny szkolne znajdowały się z dala od drogi, dostępne były tylko przez jedną łukowatą bramę i otoczone niemal dwu i pół metrowym kamiennym murem.

Każde kolejne pokolenie dziewcząt stwarzało własną teorię na temat powstania muru. Przez pewien czas krążyły pogłoski, że szkoła była niegdyś szpitalem dla psychicznie chorych, a ogrodzenie miało zapobiec ich ucieczce. W innym okresie panowało przekonanie, jakoby w dawnych czasach zamieszkiwał tu bogaty i ekscentryczny naukowiec, który hodował zwierzęta i pozwalał im poruszać się w obrębie swojej posiadłości. Osobiście uważałam, że mur powstał, gdy siła robocza była tania, a wapień jeszcze tańszy, w celu ochrony wychowanek przed kłusownikami, złodziejami i potencjalnymi kochankami.

Zostawiłam samochód na parkingu i ruszyłam szerokimi schodami w stronę masywnych dębowych drzwi głównego budynku szkoły. Zdałam sobie sprawę, że ogarnia mnie lęk przed powrotem do mojej alma mater. Nienawidziłam tej

instytucji, gdy musiałam do niej uczęszczać, a zakończenie nauki przyniosło mi niewiarygodną wręcz ulgę.

Zawsze dziwnie się czułam, powracając w te mury jako osoba dorosła, w zbroi złożonej z wysokich obcasów i eleganckiej garsonki. Łukowate sklepienia, dębowe krokwie, schludne dziewczyny w wykrochmalonych do nieprzyzwoitości białych bluzkach i ciemnozielonych spódnicach — to miejsce nigdy się nie zmienia.

Nadal przechodziły mnie ciarki.

Dyrektorką była pani Bigham, zrównoważona, niewiele starsza ode mnie kobieta o krótkich blond włosach. Kiedy ja tu chodziłam, stanowisko to zajmował grubas o nazwisku Fitzroy, człowiek mający nieprzewidywalne humory, a w dodatku utajony alkoholik.

Lecz, choć osoba zajmująca to biuro zmieniła się diametralnie, samo wnętrze wyglądało identycznie. Ta sama złowieszca boazeria, te same ponure portrety dobroczyńców szkoły, ta sama skórzana kanapa, na której tyle razy siedziałam i wysłuchiwałam mów na tematy obracające się wokół mojego zachowania i odnajdowania własnej przystani na morzu życia.

Pani Bigham poinformowała mnie, że moja młodsza siostra ma właśnie wf, i przyjdzie, gdy tylko weźmie prysznic i przebierze się. Za jakieś czterdzieści minut.

— Umówiłam panią na spotkanie z panią McMurtry, wychowawczynią Gretchen — dodała z uśmiechem. — Wiem, że chciała pani porozmawiać z naszym psychologiem, Caroline Meek, ale sprawdziłam akta i zdaje się, iż nigdy nie miała okazji widzieć się z dziewczyną. Lepiej będzie, jeśli pani pomówi z kimś, kto ją dobrze znał.

— Dziękuję — odparłam. — Czy mogłaby mi pani odpowiedzieć na parę pytań? Ten telefon dotyczący rzekomej choroby Gretchen bardzo nas interesuje.

Dyrektorka złożyła dłonie na biurku. Spojrzała na mnie pytająco i zarazem przenikliwie. Podziałało to na mnie zapewne tak samo jak na dziewczęta ze szkoły — chciałam się natychmiast wytłumaczyć.

— To nie doktor Azorini wtedy dzwonił — zaczęłam — a jego bratanica nie zmarła w szpitalu.

— Tyle się domyśliłam — rzekła pani Bigham.

— Do niedzieli była z Beth w Lake Forest, w domu moich rodziców.

— A potem?

— Nie wiemy, co potem. To jeden z powodów, dla których chcę porozmawiać z siostrą. Ciało Gretchen odnaleziono w środę, ale lekarz stwierdził, że zgon nastąpił w poniedziałek przed południem.

— A w tym czasie nikt jej nie szukał, bo wszyscy sądzili, że leży w szpitalu — rzekła z zadumą pani Bigham.

— To pani tak sądziła. Doktor Azorini myślał, że bratanica jest w szkole. O jej zaginięciu dowiedział się, kiedy w środę wieczorem pojawiła się u niego policja.

— Czyli co było przyczyną zgonu? — zapytała dyrektorka łagodnym tonem.
— Policja uważa, że ją uduszono. Czekają jeszcze na wyniki kilku badań, dopiero po ich otrzymaniu podejmą ostateczną decyzję. Prosiłabym, by pani o tym nikomu nie mówiła, dopóki rodzina nie będzie miała pewności.

— To naprawdę straszne.

— Jaka była Gretchen, pani Bigham? — spytałam. — Czy miała kłopoty osobiste? Nie wie pani, z kim się zadawała?

— Gretchen? — powtórzyła z westchnieniem. — Zadawała się tylko z pani siostrą. Była niewiarygodnie cichą dziewczyną, niezwykle zamkniętą wobec osób dorosłych. Dobra uczennica, zawsze uprzejma, ale podchodząca do wszystkich, zarówno nauczycieli, jak i koleżanek, z dystansem. Jestem przekonana, że niewiele się tu zmieniło od pani czasów. W każdej klasie trafia się grupa rozbrykanych dziewczyn, lubiących eksperymentować...

— Chodzi pani o narkotyki? — spytałam.

— Narkotyki, seks... — odparła dyrektorka. — W każdym razie nie umieściłabym ani Gretchen, ani pani siostry w tej kategorii. Tamte dziewczyny nie poniżyłyby się do rozmowy z którąkolwiek z nich.

— Bo one są takie drętwe.

— To Azorini była drętwa. Pani siostra jest dla nich po prostu zbyt niešťczęśliwa. Zbyt humorzasta. Ale to, że Gretchen nie zadawała się z nimi, nie znaczy, iż nie robiła tego, co one. W pierwszym roku po objęciu przeze mnie tego stanowiska trafiła tu dziewczyna o nazwisku Mary Holzheimer. Cicha, prosta, zupełnie jak Azorini. Świetna uczennica i dżokejka na mistrzowskim poziomie. W drugiej klasie zaszła w ciążę i musiała nas opuścić. Sypiała z chłopakiem, którego poznała podczas pracy w stajni. To był dla wszystkich ogromny szok.

Pracuję z młodzieżą od prawie dwudziestu lat — mówiła dalej pani Bigham — i nauczyłam się jednego. Nastolatkowie tworzą własną, zamkniętą społeczność. Dorośli nie mają do niej wstępu.

Poszłam z Beth do internatu. Wmówiłam sobie, że będzie bardziej otwarta ze mną w otoczeniu mniej oficjalnym od biura dyrektorki. Prawda była inna — po prostu tamto miejsce zaczynało działać mi na nerwy.

Maszerowałyśmy bez płaszczy przez szeroki kamienny taras i zamarznęte boiska. W pogodne wiosenne i jesienne dni piątkowy lunch dla całej szkoły podawano tu, na zewnątrz. Każda z nas, od zmordowanych czwartoklasistek do gładziuchnych pierwszaków, rozkładała się na trawie i pochłaniała kanapki z bekonem, sałatą i pomidorem, ciepłe ciasteczka, popijając wszystko mlekiem z kartonu — cotygodniowe uwolnienie od sztywnych zasad obowiązujących w

jadalni. Dziś trawę pokrywał szron, a jedynymi świadkami naszej wędrówki były wielkie kruki, które uniosły się w powietrze, hałaśliwie trzepocząc skrzydłami, gdy tylko się zbliżyłyśmy.

Internat był pusty, choć właściwie coś go wypełniało — ta dziwna cisza panująca o tej porze. Tykanie zegara ściennego w sieni wydawało się niezwykle głośne. Obok niego stała mała choinka, przystrojona ozdobami, które podejrzenie przypominały te z moich czasów.

Zaprowadziłam siostrę do saloniku, przyjemnej niszy z widokiem na częściowo zamarznięty strumyk. Usiadła z ponurą miną na wiklinowym fotelu i pozwoliła swoim długim, brudnym, kasztanowym włosom opaść na twarz. Jej mundurek wyglądał, jakby w nim spała. Pewnie tak było.

— Jak leci? — spytałam.

— Przecież ciebie to, kurwa, w ogóle nie obchodzi — odparła obojętnie. Dobór słów, zwłaszcza w takim miejscu, miał mnie zaszokować.

— A ciebie? — rzuciłam, próbując z innej beczki.

— O co ci chodzi? — burknęła Beth.

— O nic, zastanawiam się tylko, czy interesuje cię, jak umarła twoja najlepsza przyjaciółka, czy też ważniejsze dla ciebie są jakieś błahostki, które przesłaniają ci cały świat.

— Jak śmiesz... — zaczęła i urwała, czekając na rozładowanie gniewu, który kotłował się w niej.

— Tak możesz gadać z doktorem Weingartem — rzekłam, celowo zachowując spokój — jemu płacą za wysłuchiwanie takich pierdoł. Nie chodzi o ciebie, chodzi o Gretchen. Tydzień temu została zamordowana. Chcę, byś mi powiedziała, co wiesz. Jeśli tego nie zrobisz, twoja sprawa. Ale wiedz, że wtedy zamiast mnie pojawi się tu policja, a ich nie obchodzą twoje uczucia. Ich nie obchodzą niczyje uczucia.

Beth zbladła i znieruchomiała. Przestraszyłam się, że posunęłam się za daleko. Jej oczy wypełniły się łzami.

— Policja sądzi, że to mogło być uprowadzenie przez kogoś, kogo nie znała, kto wybrał ją na zasadzie przypadku. Nie wiedzą o telefonie do szkoły w poniedziałek.

— O telefonie? — Siostra zaczęła cichutko szlochać.

— Zadzwoił jakiś mężczyzna i przedstawił się jako Stephen Azorini. Poinformował, że Gretchen trafiła na parę dni do szpitala. Musiałś wiedzieć. Na pewno zastanawiałaś się, co się z nią dzieje. Założę się, że w niedzielę nawet nie wróciła do szkoły — zaryzykowałam.

— Nie wróciła, zgadza się — szepnęła Beth przez łzy — parę minut po szóstej wysadziła mnie pod internatem. Pewne byłyśmy, że pani Milnickel nie odezwie oczu od telewizora. Wtedy zawsze oglądała „Sixty minutes”. Wpisałam się więc za nas obydwie do książki.

— Dokąd pojechała? — spytałam. — Spotkać się z ojcem?

— Ojcem? — zdziwiła się Beth. — Nie, ona miała faceta.

- Faceta! Jak się nazywał?
- Nie wiem.
- Beth, nie jestem na to w nastroju. Po prostu powiedz, jak się nazywa.
- Naprawdę nie wiem. Nigdy nie chciała mi tego zdradzić.
- Nie istnieje takie zjawisko, jak nastolatka mająca chłopaka i nie przechwalająca się nim przed najbliższą przyjaciółką.
- Wyznała mi o nim wszystko — odparła siostra przepraszającym tonem — poza nazwiskiem. Twierdziła, że nie może tego zrobić. Było to zbyt niebezpieczne. Mówiła, że gdyby jej rodzina dowiedziała się o nim, zabiliby go.
- Bujasz — rzuciłam, ale mina mojej siostry wskazywała, że mówi prawdę.
- Więc co o nim wiesz? — wreszcie przerwałam milczenie.
- Podobno był miły, przystojny i bogaty. No i starszy od niej.
- O ile?
- Nie wiem. Zdaje się, że już skończył studia.
- Gdzie go poznała?
- Chyba znała go już wcześniej. Zanim zaczęła się tu uczyć.
- Zanim skończyła trzynaście lat?
- Tak mi się zdaje.
- Co jeszcze o nim wiesz?
- Miał odpowiedzialną pracę, dużo podróżował i przez to nie mogli się zbyt często spotykać. No i musieli swój związek zachować w tajemnicy. Zdarzało się, że spotykali się raz na dwa miesiące albo i rzadziej.
- Brał narkotyki? — spytałam.
- Narkotyki? A skąd. Był na to za poważny. Zabierał ją do restauracji. Pili wino — odparła moja siostra, wyraźnie zazdroszcząca swojej przyjaciółce jej tajemniczego romansu.
- Dzwonił do niej?
- Czasami. W internacie nie wolno nam mieć telefonów, a Gretchen bała się dzwonić z aparatu na korytarzu, więc często w weekendy korzystała z naszego telefonu domowego.
- Wiesz może, gdzie on był, kiedy do niego dzwoniła?
- Nie wiem. W różnych miejscach. Mówiłam ci, dużo podróżował.
- Dzwoniła na jego rachunek? — spytałam. Miałam cień nadziei, że rejestry telefoniczne coś wykażą.
- Nie, dał jej numer swojej telefonicznej karty kredytowej, żeby mogła w każdej chwili do niego zadzwonić. — Najwyraźniej robiło to na Beth duże wrażenie.
- Słyszałaś kiedyś, jak ze sobą rozmawiali?
- Podśłuchiwać nie podśłuchiwałam, ale owszem, czasem dzwoniła do niego przy mnie.
- No i o czym mówili?
- O niczym takim. Jak żyjesz, tęsknię za tobą, takie romantyczne gadanie. Mieli nawet przydomki dla siebie. Ona nazywała go „Tatusiem Niedźwiedziem”,

a on ją „Małym Misiaczkiem”.

Jezu Chryste — jęknęłam w myślach.

— Czyli Gretchen i jej facet postanowili pojechać gdzieś razem — kontynuowałam — i dlatego wymyślili całą tę historyjkę ze szpitalem? Nie bali się, że ktoś ją nakryje?

— To nie było takie ważne — odparła Beth — uciekli, żeby się pobrać. Nie chcieli tylko, by ktoś się za wcześniej o tym dowiedział i próbował ich powstrzymać.

Z panią McMurtry, wychowawczynią Gretchen, spędziłam zaledwie kilka minut. Wyglądała na około pięćdziesięcioletnią pedantkę. Miała na sobie sztywną białą bluzkę, spódnicę w kratkę i płaskie pantofle. Trzymała torebkę, która dla świata zewnętrznego była niewielkim koszyczkiem przyozdobionym malunkiem małego nowoangielskiego miasteczka. Wydawała się szczerze zaszokowana i zrozpaczona z powodu śmierci swej uczennicy. Zrobiłaby wszystko, by mi pomóc. Niestety, już po kilku minutach rozmowy stało się dla mnie oczywiste, że żaden nastolatek, nawet ostatnia łamaga, nie szukałby powiernika w osobie pani McMurtry.

Nie dowiedziałam się od niej nic nowego, choć słowa, w jakich opisywała Gretchen, stanowiły kontrast w stosunku do obrazu przedstawionego przez moją siostrę — jej najlepszej przyjaciółki uciekającej ze swoim ukochanym.

Zdaniem nauczycielki, Azorini była spokojną dziewczyną, która zawsze troszczyła się o swój wygląd. Nie tak jak inne, co to chodzą przez cały dzień w rozwiązanych butach albo spinają rąbek spódnicy spinaczem do papieru. Bardzo się pilnowała, to przez jej chorobę. Skrupulatnie przestrzegała swojej diety, zawsze sama wiedziała, kiedy powinna sprawdzić poziom cukru albo przyjąć insulinę. Pielęgniarka szkolna często podkreślała jej dojrzałość.

W klasie nigdy się nie odzywała, nie brała udziału w żadnych zajęciach dodatkowych poza klubem biznesu i inwestycji, który zwykle skupiał jedną lub dwie członkinie.

Była świetną uczennicą, ale musiała ciężko na to pracować. Według słów pani McMurtry, zapisywała wszystko, co zostało powiedziane w klasie, następnie przepisywała notatki na czysto i streszczała je na oddzielnej kartce. Wtedy dopiero przepisywała notatki i streszczenie na maszynie, żeby łatwiej jej było przygotować się do sprawdzianu. Wychowawczyni najwyraźniej bardzo się to podobało. Nic dziwnego, że dziewczęta z klasy nie chciały otworzyć ust do Gretchen...

Wstąpiłam jeszcze do biura dyrektorki podziękować jej za pomoc.

— Niestety, powiedziałam Beth o podejrzaniach policji. Upowiedziałam, żeby nikomu o nich nie mówiła. Przynajmniej do chwili kiedy będziemy wiedzieli na pewno. Proszę jej o tym przypomnieć.

— Porozmawiam z nią. I tak szukałam ku temu okazji. Muszę przyznać, że niepokoję się o pani siostrę.

— Nie dziwię się. Z tego, co słyszałam, przyjaźniła się tylko z Gretchen. Zawsze mnie to zastanawiało. Miały ze sobą tak niewiele wspólnego.

— Były klasowymi odludkami — odparła szczerze pani Bigham. — Martwię się, co teraz z nią będzie. Odeszła jej najlepsza przyjaciółka. Odbyłam z pani matką krótką rozmowę telefoniczną. Chciałam, by przyjechała do nas i zobaczyła się ze mną i psychologiem szkolnym. Powinniśmy wszyscy pomóc Beth przetrwać tę tragedię. Niestety, pani rodzice wydają się strasznie zajęci — w jej głosie zabrzmiał cień wyrzutu.

— Tak właśnie walczą z nieszczęściem — ignorują je — odrzekłam. Nie wspomniałam, że trzy dni po pogrzebie mojego brata rodzice pojechali na Karaiby. Matka naprawdę uważała, iż w ten sposób demonstruje swój stoicyzm. — Porozmawiam z nimi i spróbuję osobiście pomóc siostrze — obiecałam zamiast tego.

Chciałam panią o jeszcze jedno poprosić. Czy mogłabym rozejrzeć się po pokoju Gretchen w internacie? Może znajdzie tam coś, co rzuciłoby trochę światła na całą sprawę.

— Obawiam się, że pani Milnickel i pan Lawicki, woźny, już w weekend zapakowali wszystkie jej rzeczy do pudeł. Kazałam im to zrobić ze względu na pozostałe dziewczęta. Prześleń wszystko doktorowi Azoriniemu, kiedy tylko zechce.

— Mogę mu to zawieźć osobiście — zaproponowałam.

Tuż przed ślubem Russell i ja kupiliśmy sobie wielkie jasnoczerwone volvo. Mieliśmy zamiar wypełnić je dziećmi. Tymczasem byłam na terenie mojej dawnej szkoły, stałam przy wejściu dla personelu, a woźny ładował na tylne siedzenie pudła zawierające rzeczy niedyś należące do Gretchen Azorini.

Przez całą drogę powrotną próbowałam sobie przypomnieć, co to znaczy być nastolatką i nie mieć żadnych istotnych osiągnięć. Moje lata młodości były dla mnie teraz jak burza za mgłą. Najlepiej pamiętałam samobójstwo mojego brata i kłótnie z matką, wydarzenia nabierające charakteru typowych dla tamtego okresu. Ekstrapolowanie ich na życie Beth i, a może zwłaszcza, Gretchen, nie było dla mnie wcale przyjemne.

Mimo to myślałam intensywnie o tym, co powiedziała mi Beth, o przyjaciółce i jej ukochanym. Ta opowieść była tak nieprawdopodobna. Może to tylko wytwór wyobraźni samotnej nastolatki? Bogaty, wysublimowany kochanek, z którym pija wino. Stwierdzenie, że jego nazwisko musi pozostać odkryte zasłoną tajemnicy, bo w razie ujawnienia grozi mu śmierć, brzmiało jak fragment „Romea i Julii”.

A gdyby tym kochankiem był jej ojciec? Gdyby opowieść o tajemniczym amancie stanowiła li tylko próbę zrationalizowania tego związku? Może Gretchen chciała po prostu opowiedzieć o nim innymi słowami? Czy istnieje możliwość, że Joey zwabił ją tam pod jakimś pretekstem, dobierał się do niej i został odrzucony?

Zaparkowałam załadowane pudłami volvo na podziemnym parkingu biura i poprosiłam strażnika, by nie spuszczał zeń oka. Mój ostatni banknot pięciodolarowy chyba go przekonał. Następnie przyłączyłam się do stadka szczebiocących sekretarek wnoszących papierowe torby McDonalda do windy i wjechałam na czterdzieste pierwsze piętro. Nagle przypomniało mi się, że jestem okropnie głodna i mam wielką ochotę na frytki. Wróciłam na mój mały skrawek terytorium wycięty z Callahan Ross i zastałam Cheryl, Tuckera Sweeta i lunch. Dokładnie w takiej kolejności.

— Skąd wiedziałaś, że wrócę i będę głodna? — spytałam sekretarkę i zwinęłam frytkę polaną roztopionym serem z jej biurka.

— Hej, to moje — rzekła i machnęła ręką, próbując mnie odgonić. — Zadzwoń do Chelsea Hall i kazałam sekretarce dyrektorki skontaktować się ze mną, jak tylko wyjdiesz. Wiedziałam, że będziesz głodna, bo jeśli ja cię nie dokarmiam, to nie jesz.

— To prawda? — spytał Tucker.

— No cóż... — próbowałam zyskać na czasie.

— Jadłaś w ogóle śniadanie? — Cheryl kontynuowała przesłuchanie.

— Kawa się liczy? — szukałam możliwości obrony.

— Poddaję się — odparła sekretarka i zaczęła rozpakowywać resztę mojego lunchu. Dwie smażone kielbaski z cebulą, frytki z serem, koktajl czekoladowy i cebulkę.

— Jak to możliwe, żebyś była tak chuda, jedząc takie rzeczy? — zapytał Sweet, zawsze gorliwie przestrzegający diety.

— Wiesz, gdybyś jadł cztery razy w tygodniu, mógłbyś jeść, co chcesz — zażartowałam.

— W takim razie mam nadzieję, że nie przekroczyłaś jeszcze swojego limitu, bo chciałem cię zaprosić na kolację. Moglibyśmy przegryźć coś w spokoju przed dzisiejszym czuwaniem. Potem pojechalibyśmy tam razem.

— Dobry pomysł. Może pójdziemy do University Club? — zasugerowałam swój klub, słyszący raczej z kortów do gry w squasha niż dobrej kuchni. — Poniedziałek wieczór, żeberka...

— Proszę, nie żartuj — Tucker udał przerażenie. — Zarezerwowałam dwa miejsca na siódmą w Mid-Town — był to jeden z wielu jego klubów. Przychodzili tam bogacze, którzy chcieli zjeść lunch czy kolację w towarzystwie innych bogaczy. Szef kuchni był Szwajcarem, a kolekcja win wręcz legendarna.

— No to do zobaczenia o siódmej — uśmiechnęłam się — spotkamy się na miejscu.

Po pożegnaniu zaszyłam się w biurze i zabrałam do jedzenia lunchu. Szwajcarski kucharz to jedno, ale prawdziwa chicagowska polska kielbasa to zupełnie coś innego. Ważniaki z klubu Mid-Town nie wiedzieli, co tracą.

W chwili gdy pracowicie siorbałam resztki koktajlu, zadzwonił Elliott Abelman. Był w Wisconsin.

— Sie masz — lunch mnie naprawdę rozweselił.

— Aaaa... cześć — odpowiedział. — Coś ty taka radosna? Rozwiązałaś sprawę?

— Żartujesz? Wszystko jest jeszcze bardziej tajemnicze.

— Jak to? Opowiedz.

— Nie, najpierw ty. Czego się dowiedziałeś?

— Dopiero co tu przyjechałem. Cholernie trudno trafić. Siedzę w biurze Whittle'a i czekam na niego. Założę się, że jeszcze trochę poczekam. Azorini muszą mieć spore wpływy. Podobno do Whittle'a dzwonił sam gubernator i nakazał prowadzić dochodzenie w tajemnicy przed prasą. Szeryf się wściekł.

— Wspaniale.

— Za to moi ludzie co nieco wyniuchali. Jak na razie całkiem możliwe, że Joey nie był w Kolumbii. To prawda, był w Ameryce Łacińskiej przez parę dni, ale mamy trzech wiarygodnych świadków, którzy widzieli go na Rush Street w tamtą sobotę. Dwaj kelnerzy twierdzą, że zamknął lokal o czwartej rano w niedzielę, co dałoby mu wystarczająco dużo czasu, by dojechać na lotnisko, polecieć do Kolumbii i natychmiast wrócić, oczywiście przy założeniu, że leciał prywatnym samolotem. Inne odlatują późnym popołudniem, wtedy w żaden sposób nie mógłby zdążyć.

— Poza tym po co miałby lecieć tam i z powrotem?

— A po co miałby kłamać?

— Bo coś ukrywa.

— Co takiego?

— To ty jesteś detektywem, dowiedz się.

— Próbuje, próbuje. Oczywiście na każdego świadka, który widział go w Chicago, przypada dwunastu przysięgających na różańce swoich matek, że siedzieli z nim w samolocie z Kolumbii. Pewnie Azorini ich opłacił. Pytanie — po co?

— Problem w tym — zauważyłam — że nikt mu nie uwierzy. Nawet gdyby miał w tym czasie audiencję u papieża.

— Nadal weryfikujemy historyjkę o Kolumbii. Moi ludzie sprawdzają listy pasażerów i wykazy celników. Wymachują im przed oczami zdjęciami Joeeya — i Vita. Podejrzewam, że jego prędzej zapamiętali.

— Przecież Vito mógł zostać w kraju.

— Chodzą słuchy, że Azorini bez niego nie wchodzi nawet do kibla. W każdym razie możesz być spokojna, Joey na pewno nie będzie zachwycony naszym wypytywaniem.

— Mówi się trudno — stwierdziłam.

- Już raz go zdenerwowałaś i wiesz, jak na tym wyszłaś.
- To nie ja go zdenerwowałam, to Stephen. Byłam tylko niewinnym przechodniem.
- Jeśli tak kończą niewinni przechodnie, możesz sobie wyobrazić, co czeka tych, którzy naprawdę staną mu na drodze.
- To ostrzeżenie? — spytałam.
- Raczej fachowa rada wynikająca z troski o dobro klienta — sprecyzował Elliott. — Na pewno jesteś sprytna i odważna, ale nie sądzę, abyś, jak dotąd, miała wystarczająco dużo do czynienia z ludźmi pokroju Joeya i Vita.
- Chciałam zmienić temat, więc powiedziałam mu o rozmowie z moją siostrą.
- Zatem miała chłopaka — podsumował. — Myślisz, że to jej tatuś?
- Nie wiem.
- Przynajmniej odkryliśmy, że ta panienka prowadziła podwójne życie. Teraz trzeba tylko dowiedzieć się, w co wdepnęła.
- Nie mam pojęcia, od czego wystartować — rozpaczałam.
- Zacznę tutaj w Wisconsin. To raczej nie przypadek, że jej ojciec ma ziemię w tej okolicy. Może ktoś znał ją z czasów, gdy jeszcze z nim mieszkała. Popytam tubylców.
- Dobrze. Ja umówiłam się na dziś wieczór z Joey'em Azorinim — oznajmiłam.
- O co go spytasz?
- Czy molestował córkę, co naprawdę robił w poniedziałek rano. Wiesz, oczywiste sprawy.
- Obiecuj, że będziesz ostrożna.
- Obiecuję.

Leon, który zajmował się w biurze korespondencją, przeładował wszystkie pudła na wózek i zawiózł je do dużej sali konferencyjnej na czterdziestym drugim piętrze. Ułożył je w jednym kącie, porozcinał scyzorykiem i wyszedł, zatrzasnąjąc za sobą podwójne mahoniowe drzwi.

Myśl o rozpakowaniu pudeł napelniała mnie takim smutkiem, że z wielkim trudem się do tego zmusiłam. Było ich dziewięć. Podniosłam najbliższe i wysypałam zawartość na blat stołu.

Po godzinie wokół panował już okropny bałagan. Jedyne, czego się dowiedziałam, to tego, że Stephen nie szczędził swojej podopiecznej pieniędzy na ubrania. Ponadto Gretchen miała swoje przyzwyczajenia, jednym z nich była schludność. Nie wiem, czy w katalogu J. Crew znajdował się jakikolwiek ciuch, którego by nie posiadała we wszystkich kolorach. Koszulki, swetry bawełniane i kaszmirowe, dżinsy, sztruksy, krótkie spodenki, spódnice, szorty, dresy i bluzy, poskładane z wojskową dokładnością i posegregowane według barw.

Do sali zajrzał Guttman.

— Co, przyniosłaś swoje brudne ciuchy do biura? — spytał, po raz kolejny prezentując doskonale opanowanie sztuki mówienia tego, co w danej sytuacji jest najmniej odpowiednie.

— To wszystko rzeczy Gretchen Azorini. Zabrane z jej pokoju w Chelsea Hall — odrzekłam i natychmiast zaczęłam żałować, że nie wymyśliłam nic lepszego od prawdy.

— Może mogłabyś poświęcić godzinę Billowi Fallerowi? On i Morgan Stanley pracują nad oszacowaniem sum, które Stephen mógłby przedłożyć bankierom, gdyby musiał spieniężyć swój majątek, by dalej walczyć z Eichelem, a w tej sprawie niewątpliwie jesteś ekspertem. Powiedziałem mu, że kto jak kto, ale ty możesz mu pomóc.

Krótko mówiąc, to ja powinnam była przedstawić akta Morganowi Stanleyowi. Zamiast mnie zajął się tym Bill Faller, a ja przeglądałam bieliznę.

— No jasne — odparłam — ale zdawało mi się, że Stephen sobie tego nie życzy, że nie chce popadać w straszliwe długi tylko po to, by pokonać Eichela.

— Zobaczmy, co powie, w chwili gdy będzie musiał podjąć decyzję. Otakowanie, przynajmniej na razie, ma sporo zalet. Może się przecież okazać, że przeciwnik proponuje za mało. Wtedy moglibyśmy spróbować przekonać co większych udziałowców, żeby nie pozbywali się swoich akcji.

W przypadku przejmowania jakiegokolwiek firmy, bez względu na to, czy przejęcie to następuje za przyzwoleniem zainteresowanej strony, czy też nie, najważniejsze jest to, ile można by za nią dostać. Wycenienie organizmu tak złożonego, jak przedsiębiorstwo niewątpliwie warte wiele milionów dolarów, a zwłaszcza przedsiębiorstwo będące u progu przełomowego odkrycia, może zostać wykonane na różne sposoby. Była przecież wartość księgową, podliczona na podstawie wartości albo sumy przychodów, przepływ gotówki i, co najważniejsze, ewaluacja przedstawiona przez Edgara Eichela, dokładnie mówiąc, czterdzieści osiem dolarów od akcji.

Skalkulowanie wartości majątku firmy przeprowadzone przez niezależnych ekspertów było ryzykowne. Gdyby okazało się, że cena akcji powinna przewyższać czterdzieści osiem dolarów, to świetnie, mamy jeszcze jedną broń przeciwko Eichelowi (przynajmniej dopóki nie podniesie oferowanej sumy). Ale gdyby cena szacunkowa była niższa, mogłoby to nam poważnie zaszkodzić.

— Jak tam twoje śledztwo? — spytał szef i rozłożył się na fotelu tak, że jego wychudzone kostki wyglądały z nogawek spodni.

— Trudno cokolwiek rzec — odparłam, niezbyt entuzjastycznie nastawiona do zwierzeń. — Wynajęłam prywatnego detektywa. Chcemy dowiedzieć się, co naprawdę przydarzyło się Gretchen Azorini. Nie wiem, czy uda nam się wyjaśnić

wszystko, zwłaszcza w tak krótkim czasie. Myślisz, że akcje Joeya Azoriniego są aż tak ważne?

— Wszystko wisi na włosku. Eichel zgłosił wniosek przejęcia akcji ESOP.

ESOP to Plan Wspomożenia Pracowników, na podstawie którego zatrudnieni w Azor otrzymywali akcje jako część wynagrodzenia. W ostatnich latach sądy decydowały, że w związku z obowiązkami wobec pracowników owe akcje winny zostać oddane w ręce przejmującego, jeżeli cena przezeń zaproponowana przekraczała giełdową.

— Będziemy walczyć — kontynuował Guttman — może nam się uda. Kto wie? Ostatnia poprawka, 13-D, wskazuje około trzydziestu procent odstąpionych akcji. Część z nich to najprawdopodobniej fundusze emerytalne. Nie zmienia to faktu, że Eichel nie przestaje namawiać naukowców posiadających sporo akcji. Facet gra w ciemno.

Niektóre z tych akcji mogą zostać wycofane przed terminem, inni akcjonariusze poczekają, aż cena oferowana przez niego pójdzie w górę. Tucker Sweet wykupił część akcji EIC, spółki holdingowej Eichela. Dzięki temu mamy dostęp do informacji przekazywanych przez niego akcjonariuszom, a ponadto wiemy, co wmawia naszym inwestorom. Wyobraź sobie, że Tucker grywa w polo z Budem Lipsonem, członkiem zarządu firmy Eichela, i próbuje poznać jego prawdziwe zamiary.

Gould poszukuje białego rycerza, najchętniej przedsiębiorstwa zajmującego się sprzętem kosmetycznym albo szpitalnym, które chce wejść na rynek farmaceutyczny.

Biały rycerz to osoba lub częściej instytucja, która oferuje korzystniejsze warunki od zamierzającej dokonać przejęcia, a ponadto zapewnia utrzymanie dotychczasowego zarządu.

— Merridan, potężne przedsiębiorstwo ze Szwajcarii, wyraziło zainteresowanie, ale obawiam się, że znajdzie się zbyt wiele przeszkód.

— Więc jak nam idzie? — spytałam. — W skali od jednego od dziesięciu.

— Cztery i pół — odparł szef.

Żołądek podjechał mi do gardła. Niby przyzwyczaiałam się do stresu; bez tego nie da rady niczego osiągnąć w tym interesie. No, ale stres tego rodzaju — miliony dolarów uzależnione tylko i wyłącznie od tego, czy uda mi się dokonać rzeczy niemożliwej — to co innego niż zwykła nerwówka towarzysząca codziennej walce między instytucjami. Zgodziłam się na przeprowadzenie dochodzenia; ale w żadnym wypadku nie chciałam stanowić głównej linii obrony.

— To jak, poświęcisz Fallerowi godzinę?

— Postaram się — odrzekłam. — Niech skontaktuje się z Cheryl.

— Lepiej wyglądasz — zauważył Guttman i podniósł się z fotela.

— Dzięki.

— Zrób sobie zdjęcie, będziesz miała pamiątkę.

Zatrzasnął za sobą drzwi. Pomyślałam sobie, że właśnie takie idiotyczne komentarze odróżniają mojego szefa od reszty świata.

Poprosiłam sekretarkę, żeby przyniosła mi kawę. Musiałam pozbyć się gorzkiego smaku, jaki mi ostatnio pozostawał w ustach po spotkaniach z Guttmanem. Kiedy wróciła, poleciłam, by ustawiła spotkanie z Billem Fallerem jak najwcześniej rano, odnalazła Stephena Azoriniego i powiedziała mu, że zobaczymy się wieczorem w domu pogrzebowym. Ponadto dałam jej kartę ATM i wysłałam po trochę gotówki z automatu w holu. Dopiero wtedy ponownie zajęłam się pudłami.

Im dalej brnęłam, tym więcej pojawiało się pytań. Wszystkie ubrania Gretchen nadawały się do noszenia na co dzień. Jej majtki wyglądały na wyprasowane i były dokładnie złożone w czworo. Nie miała nic takiego, w czym mogłaby pójść na randkę. Żadnego zestawu do makijażu; w saszetce znajdowały się: biała plastikowa mydelniczka z mydłem Ivory, szczoteczka do zębów, wykałaczka, opakowanie sodы oczyszczonej, szampon, puder, tubka kremu do rąk i nożyk do depilacji. Najbardziej wstrząsnął mną widok jej grzebienia, nadal pełnego długich rudych kosmyków. Miałam wrażenie, że bezprawnie wtrącam się w cudze sprawy.

Opróżniłam kolejne pudło.

Wyglądało na to, iż wypełniały je rzeczy pochodzące z jej biurka — ołówki, gumki, drewniana linijka, dwa kalkulatory wysokiej jakości, metalowy pojemnik w kształcie serca zawierający spinacze do papieru, trzy jasnozielone flamastry, jakich używa się do zaznaczania ważnych części tekstu, ponadto karteczki 3x5, plik kartek i trzy czyste notatniki. Była tam również tabela zawierająca (a przynajmniej tak mi się zdawało) notatki z kursu biznesu, a ponadto małe notesiki, w którym zapisywała prace domowe z poprzedniego semestru. Każdą z nich zaznaczała mazakiem, prawdopodobnie po skończeniu. Takich notesików było sześć, tyle, ile semestrów spędziła Gretchen w Chelsea Hall. Miała niezwykle staranny charakter pisma, typowy dla dziewczyny. Kropki nad „i” przybierały postać małych kółeczek.

Znalazłam też duży kalendarz ze zdjęciami misiów, przydzielanych zgodnie z przypadającym im miesiącem. Usiadłam na jednym z obrotowych foteli i zaczęłam przerzucać kartki.

Na dwudziestego siódmego listopada, ostatni dzień jej życia, nie zaplanowała nic, a przynajmniej nic nie zapisała. W poprzedzający piątek miała test z trygonometrii, a w sobotę zamierzała pojechać do Beth. Kwadracik oznaczający niedzielę był pusty.

Przejrzałam kalendarz dokładniej. Nie było w nim nic ciekawego, zapiski z reguły brzmiały: „weekend u Stephena”, „spotkanie kółka biznesu”, „oddać wypracowanie”. Przynajmniej raz, dwa razy w miesiącu pojawiała się „wizyta u

doktora Lawrence'a", który najprawdopodobniej był jej endokrynologiem. Wiadziała się z nim drugiego listopada.

Rzuciłam okiem na grudzień. Jedynym interesującym zapiskiem były „urodziny Richarda” dwudziestego drugiego. Zapamiętałam to i odłożyłam kalendarz.

W pudle znajdowały się też oprawione zdjęcia, które prawdopodobnie stały na jej biurku. Na jednym widniał Stephen, na innym ładna kobieta, pewnie jej matka, i Gretchen w młodszym wieku. Była też fotka z Beth, w okropnych szkolnych mundurkach, zrobiona w salonie internatu. Obydwie dziewczyny zajaśniały się na niej prząną kukurydzą.

Ostatnia fotografia była większa od całej reszty i trochę mnie zaskoczyła. Przedstawiała zarząd Azor Pharmaceuticals. Identyczna znalazła się w ubiegłorocznym sprawozdaniu z działalności firmy. Wyglądała, jakby ktoś wyciął ją i umieścił w ramkach. Był na niej Azorini i sześciu kierowników. Stali na schodach prowadzących do nowego Centrum Badań Hematologicznych. Pamiętam, jak Richard narzekał, że Stephena nie można nijak zadowolić. Początkowo planowano zrobić zdjęcie w trakcie któregoś ze spotkań zarządu, ale gdy tylko zobaczył odbitki, natychmiast sprzeciwił się ich opublikowaniu. Przerastał wszystkich co najmniej o głowę i twierdził, że to okropnie wygląda. W związku z tym Humanski musiał zarządzić powtórkę. Tym razem członkowie zarządu zostali ustawieni na różnych schodkach. Wiedziałam, że Gretchen niezwykle interesuje działalność firmy. Chciała któregoś dnia podjąć w niej pracę — jej wujek niezwykle się tym szczylił. Niemniej jednak wydawało się to dziwne, że ktoś, kto wiesza na ścianie kalendarz z misiami, stawia takie zdjęcie na swoim biurku.

Wyciągnęłam też inne rzeczy z pudła. Szkatułkę z niedźwiadkami płaszącymi w rytm muzyki z „Jeziora łabędziego”. Mały elektryczny czajnik, dwa różowe kubki, torebeczki z herbatą, porcelanową szkatułkę z uwiecznionym na przykrywce misiem na nartach, w której wnętrzu znajdowało się dziewięć opakowań gumy do żucia, ponadto znalazłam paczkę podpasek, gumki do włosów, papeterię z, jak można się było spodziewać, namalowanym w rogu niedźwiadkiem, gumową kaczkę, plastry, buteleczkę nieużywanego płynu do kąpieli, drogi, trzydziestopięciomilimetrowy aparat fotograficzny, jeszcze trochę plastrów, film do aparatu, małą skórzaną saszetkę zawierającą nożyczki i pilniki do paznokci, słoiczek wazeliny, pudełko serwetek, radio z budzikiem, baterie i małą, różową poduszeczkę w kształcie serca.

Następne pudło wypełniały przedmioty codziennego użytku diabetyka. Zestaw do badania krwi, buteleczka z paskami używanymi do badania poziomu cukru w moczu, strzykawki, igły, waciki, małe paczuszki zawierające wate zwilżoną alkoholem, którą zapewne przemywała skórę przed wstrzyknięciem insuliny. Ponadto znajdował się tu stosik małych notesów służących do odnotowywania poziomu cukru we krwi, sześć razy dziennie, tubka kremu i trzymiesięczny

zapas tabletek antykoncepcyjnych. Lekarz, który wystawił na nie receptę, nazywał się Conlin. Zapisalam to nazwisko.

Ostatnie pudło zawierało rzeczy związane ze szkołą. Podręczniki, zeszyty, oddane klasówki. Po przejrzeniu ich byłam w stanie stwierdzić jedynie, że dziewczyna miała w tym semestrze zajęcia z trygonometrii, francuskiego, chemii i angielskiego. Chemia i trygonometria szły jej najlepiej. Na angielski musiała przeczytać „Jane Eyre” — doszła do dwunastego rozdziału. Przynajmniej tam przestała zaznaczać cokolwiek flamastrem.

Na spodzie pudła znalazłam szarą kopertę. Duże, ale niezbyt staranne litery oznajmiały: „Znalazłem to pod materacem — K. Lawicki, woźny”.

Po jej otwarciu dosłownie mnie zatkało. W środku znajdowały się fotokopie dokumentów Azor. Były to wersje robocze, a na górze widniał napis: „Tajne — wyłącznie do wewnętrznego użytku”. Rozłożyłam je na stole. Pośród nich znajdowały się wydruki komputerowe wyglądające na plan sprzedaży w poszczególnych działach oraz korespondencja prowadzona między firmą a Państwową Komisją Leków na temat terminu pojawienia się na rynku środka zwalczającego schizofrenię.

Trzecim interesującym dokumentem była ostateczna wersja 10-Q, bilansu przedkładanego co kwartał Komisji Papierów Wartościowych przez wszystkie przedsiębiorstwa publiczne. Rok fiskalny Azor kończył się trzydziestego pierwszego maja, więc 10-Q obejmowało czerwiec, lipiec i sierpień. Komisja wymaga, by dostarczano jej ten dokument przed upływem dziewięćdziesięciu dni, dlatego też zwykle otrzymywała go w ostatniej chwili. Wersja, którą miałam przed oczami, dziesięć dni temu leżała na moim biurku. Planowano ją wysłać za trzy dni, licząc od dzisiaj.

Nie miałam pojęcia, co te tajne dokumenty robiły u Gretchen Azorini. Czy dostała je od Stephena? Zwinęła z jego biurka? W jakim celu? Dlaczego schowała je w swoim pokoju? Rozejrzałam się po stertach jej rzeczy walających się po całej sali konferencyjnej i zdałam sobie sprawę, że oto, zamiast jakichkolwiek odpowiedzi, mam coraz więcej pytań.

Rozdział 12

Zanim poszłam na spotkanie z Tuckerem, próbowałam skontaktować się ze Stephenem, niestety bezskutecznie. Richard Humanski poinformował mnie, że poszedł na obiad z ojcem, co stanowiło, o ile nie zawodziła nas pamięć, zdarzenie bez precedensu.

Klub Mid-Town znajduje się na najwyższym piętrze Deerfield Building. Ledwo widoczna prywatna winda zawozi tam jego członków i ich gości chcących znaleźć chwilę wytchnienia od stresowego i niebezpiecznego życia w świecie handlu.

Sweet należał do wielu takich klubów i uwielbiał je wszystkie. Cóż bowiem można znaleźć lepszego nad te wygodne fotele, srebrną zastawę, „gustowne” obrazy w czytelnicy i mazaninę na ścianach ubikacji? Zawsze zastanawiało mnie, czy przejmuję się tym, że zawdzięcza to wszystko pieniądzom Eunice.

— Dobry wieczór, pani Millholland — powiedział kelner, gdy weszłam na salę — nie widzieliśmy się już rok, nieprawdaż?

— Zdecydowanie za długo, Fredericku — odparłam bez przekonania.

Zauważyłam Tuckera po przeciwnej stronie wysokiego pomieszczenia z wielkimi oknami. Podniósł się, gdy podeszłam do jego stolika, i uśmiechnął szeroko. Zupełnie, jakby przez cały dzień czekał na możliwość obejrzenia mojej poobijanej gęby.

Wiedział, jak nie znoszę sztucznych pocałunków na przywitanie i dlatego tylko serdecznie uściśnął moją dłoń. Miał siwiejące włosy i krzaczaste brwi. Jego twarz przywodziła na myśl zaprawionego w życiowych bojach Irlandczyka, a dłonie — człowieka, który potrafi dać sobie radę z koniem. Był niezbyt przystojnym, ale za to charyzmatycznym mężczyzną obfotografowywanym na każdym przyjęciu.

— Przepraszam, że zaprosiłem cię na kolację dopiero przy takiej ponurej okazji — rzekł, niezmiennie czarujący. — Kiedy to ostatnio coś razem jedliśmy?

— Dawno, dawno temu. To musiało być jeszcze wtedy, gdy dorabiałam w Barker & Seidel — odpowiedziałam, zajęta rozkładaniem białej serwetki na kolanach.

— Niemożliwe. Pamiętam, jak któregoś wieczora byliśmy razem w Whitehall Club. Miałaś na sobie czerwoną jedwabną sukienkę. Nawet wyciągnęłaś z domu trochę biżuterii. Taaak, wyglądałaś świetnie.

— Myślałam, że chodzi ci o wieczory spędzone sam na sam. Tamtego dnia zaprosiłeś mnie i Russella. Nazajutrz ogłosiliśmy nasze zaręczyny.

— To był naprawdę miły wieczór — stwierdził Sweet łagodnym tonem. Wyraźnie nie zamierzał zahaczać o Russella. — Spędziliśmy razem parę pamiętnych chwil. Jak na przykład ten wieczór w Le Français.

— Myślałam, że wtedy pękne z przejedzenia. Był tam też Guttman. Chciał przedstawić ci Stephena.

— Ty też zresztą. Chodziło o przyjęcie Gretchen do Chelsea Hall w środku semestru.

— No i skończyłaś jako członek zarządu Azor...

— Eunice włożyła w tę firmę półtora melona. Nawet ja co nieco dorzuciłem. Stephen sprytnie wykorzystał moje ego i książeczkę czekową żony, dając mi to stanowisko. Pamiętam, zbierał fundusze na badania nad pompą infuzyjną — wspominał Tucker. — Pojawił się u nas w którąś niedzielę po południu. Eunice, jak zwykle, zapomniała o umówionym spotkaniu i zajęła się przesadzaniem krzewów różanych. Azorini, jakby nigdy nic, zakasał rękawy i zaczął jej pomagać. Dwie godziny później skończyli robotę. Byli okropnie brudni. Eunice weszła do domu i wypełniła czek. Stephen dostał półtora miliona za dwie godziny pracy w ogrodzie.

— O ile pamiętam, nieźle na tym wyszliście — stwierdziłam — akcje, które od niego dostaliście, teraz są warte mnóstwo pieniędzy.

— Eunice ma nosa do inwestycji — rzekł z zadumą Sweet. — No, ale kto tyle zarabia, pracując fizycznie? Szczęściarz!

— Ostatnio nie za bardzo.

— Fakt — potwierdził ponuro — ostatnio próbują go dobić.

— Nie wiem, czy powinniśmy tu o tym rozmawiać — zasugerowałam zmianę tematu.

— Czym się zajmujesz? — spytał Tucker. — Myślisz, że kelnerzy podsłuchują?

Rzeczywiście tego się obawiałam, ale wolałam się nie przyznawać.

— To, co się dzieje, jest po prostu okropne, zwłaszcza z punktu widzenia Stephena — kontynuował, nie zważając na moje ostrzeżenie. — Eichel to ostry zawodnik. Zdaje mi się, że przekabacił wielu naukowców, na których Azorini liczył.

— Jak?

— Pieniędzmi, oczywiście. Wiem, że Stephen wierzy w lojalność tych ludzi, ale akcje Azor to cały majątek dla wielu z nich. Problem w tym, że nie da się ich

ot tak sobie spieniężyć. Ludzie Eichela wybrali się więc osobiście do każdego, kto posiada trochę akcji, i przedstawili propozycję: „Za dwadzieścia pięć dni wypiszemy ci czek na X dolarów”. Ta suma na pewno przewyższa ich pięcioletnie zarobki. I to właśnie jest marchewka. Oczywiście, nie zapominają o kiju.

— Kiju? — powtórzyłam.

— Wmawiają im, że, by wyciągnąć firmę z tarapatów, Stephen narobi długów i ich akcje staną się bezwartościowe.

— Czułam, że ten wieczór nie będzie wesoły — jęknęłam.

— Życie nie jest łatwe — skonstatował Sweet, jeden z nielicznych, których ta reguła nie dotyczyła. — Czasem się zastanawiam, czy Azorini nie powinien sobie odpuścić.

Rozejrzałam się gorączkowo po sali. Gdyby ktoś usłyszał takie stwierdzenie, mógłby nam poważnie zaszkodzić. Moje obawy okazały się bezpodstawne. Siedzieliśmy z daleka od wszystkich, a najbliżsi nas biesiadnicy skupiali całą swoją uwagę na sałatce, a nie na naszych słowach.

— Jeśli ty tak mówisz, to niedobrze — powiedziałam i poczułam nieprzyjemne ssanie w żołądku.

— Wiem, że to nie fair, ale Eichel ma rację. Zwróć uwagę, ile firm w ostatnich latach popadło w długi, usiłując przeciwstawić się próbie wykupu, i ile z nich zbankrutowało, gdy stopy procentowe poszły w górę. Na miejscu Stephena wolałbym przeżyć i powalczyć w innej sprawie, zamiast iść na dno.

— Chyba za wcześnie na taki pesymizm — obruszyłam się — przecież dopiero pierwszy raz znajdujesz się w takiej sytuacji. W czasie obrony przed przejęciem instytucji zawsze trafiają się złe chwile, ale potem wszystko zmienia się na lepsze.

— Dobrze, zgadzam się, ale powiedz mi, ilu prezesów musiało walczyć z kimś takim jak Eichel, gdy w tym samym tygodniu ginął członek ich rodziny, zgwałcony i uduszony? Założę się, że ludzie zastanawiają się, czy Stephen będzie w stanie skoncentrować się na swojej pracy. Jak to możliwe? Widziałaś dzisiejsze notowania Azor?

— Czterdzieści siedem, dwadzieścia pięć.

— Czterdzieści siedem, dwadzieścia pięć — powtórzył Tucker ponuro — arbitrażyści stawiają na Eichela.

Arbitrażyści zarabiają na życie przewidywaniem wzrostu lub spadku cen na giełdzie. Wykupują akcje, których koszt ma się zmienić, akcje przedsiębiorstw zagrożonych przejęciem, bankructwem lub inną klęską. Usiłują kupować za jak najniższą cenę i zarobić jak najwięcej na sprzedaży, próbują uprzedzić rynek, przewidując, jaki los czeka poszczególne obligacje. W przypadku Azor od arbitrażystów bardzo wiele zależało. Im bardziej byli przekonani, że Eichelowi się uda, tym bardziej cena akcji zbliżała się do kwoty przezeń oferowanej.

Do stolika podszedł kelner. Zamówiłam pieczoną kaczkę, sałatkę z zieleniny i duszonego łososia. Sweet wybrał bulion i mały stek.

Gdy tylko kelner wycofał się do kuchni, Tucker spytał:

Jak idzie śledztwo? Może tobie uda się wyciągnąć nas z kłopotów?

— Oby tak było — westchnęłam szczerze. — Stephen powiedział ci, o co mnie poproszono?

— Tak, moim zdaniem to niezwykle trudne zadanie.

— Wiem i dlatego postanowiłam poświęcić mu cały swój czas. Jeśli nie dowiem się, jak zginęła Gretchen, Azorini nie przeprosi brata. Wynajęłam prywatnego detektywa i jak na razie stopniowo posuwamy się naprzód. Jest jeden szkopuł — zostało nam tylko dziesięć dni.

Zauważyłam nagle, że Sweet siedzi bez ruchu i patrzy pustym wzrokiem w przestrzeń między nami. Nie sądziłam, że jest w stanie popełnić takie faux pas.

— Wszystko w porządku? — spytałam z niepokojem.

— Och, tak, przepraszam cię bardzo — wymamrotał, zawstydzony, że przyłapałam go na chwili nieuwagi — myślałem o biednej Gretchen Azorini. Co za okropna strata dla nas wszystkich.

Podano nam przystawki i Tucker odzyskał dobry humor. Wyglądało na to, że usiłuje się zrehabilitować. Opowiadał radośnie, kto ostatnimi czasy zachowuje się niedyskretnie i popadł w niełaszkę.

Od strony frontowej dom pogrzebowy Salvadore & Sons wydawał się mały. Znajdował się przy uliczce odchodzącej od Taylor, wąskiej i pełnej zakrętów, jak wszystkie inne w tej starej włoskiej dzielnicy. Stało na niej tyle aut, że musieliśmy zatrzymać się kilka przecznic dalej. Czarne limuzyny należące do grubych ryb zaparkowane były częściowo na chodniku, wyglądając jak martwe wieloryby wyrzucone na brzeg przez fale oceanu. Było zimno, a mimo to wszyscy sąsiedzi wylegli na schody swoich kamienic, by gapić się i plotkować.

Drewniany budynek, w którym mieścił się dom pogrzebowy, był pomalowany na biało. Sklepienie nad georgjańskim portykiem miało szary kolor. W oknach stały doniczki z paprociami. Wdrapując się na schody, zastanawiałam się, jak w tak małym budynku zmieszczą się wszyscy zaproszeni goście. Potem dopiero zdałam sobie sprawę, że domek to tylko fasada i na tyłach znajduje się większy, bardziej monumentalny budynek, niewidoczny od strony ulicy.

Nigdy jeszcze nie byłam na czuwaniu. Russell, mój mąż, wysoki, dobrze zbudowany piłkarz, ważył niecałe pięćdziesiąt kilo w chwili śmierci. Pochówek jego brata odbył się w całkowitej tajemnicy, nawet nie otwarto jego trumny.. Jak widać, nie byłam zbyt doświadczona, jeśli chodzi o pogrzeby. Byłam jeszcze za młoda, by osiągnąć wyższy stopień wtajemniczenia i dlatego cieszyłam się, że towarzyszy mi Sweet, potrafiący przystosować się do dowolnej sytuacji niby kameleon. Dobrze się czuł w każdym towarzystwie i potrafił dobierać właściwe słowa i gesty do wszelkiej konwersacji.

Trafiliśmy do dużej sali, wypełnionej lasem kolumn podpierających sklepienie i obwieszonych zasłonami z aksamitu w kolorze burgunda. Po drugiej stronie, przy podwójnych drzwiach, znajdowały się stoły zastawione dużymi dzbanami z kawą, piramidami z filiżanek i talerzy oraz tacami z różnymi przekąskami. Na środku stały białe składane krzesła ustawione w rzędy jak na weselu. Otwarta trumna znajdowała się na podwyższeniu bliżej frontu sali. Ozdabiały ją bukiety różowych róż.

Z boku stała rodzina. Stephen, o głowę wyższy od reszty zgromadzonych, jego ojciec, z pochylonym czołem, najwyraźniej przyjmujący od kogoś wyrazy szacunku bądź współczucia. Ponadto trzy starsze kobiety spowite w czarne koronkowe szale i Joey Azorini, ponury i sztywny, jakby garnitur go parzył. Wyraźnie marzył o tym, by jak najprędzej stąd się wyrwać.

Przyłączyliśmy się do żałobników oczekujących w kolejce do złożenia kondolencji. Jednocześnie rozejrzałam się po tłumie w poszukiwaniu znajomych twarzy. Wyłowiłam Richarda Humanskiego. Był blady, wyglądał na szczerze żałowanego śmiercią Gretchen. Dziwne, jak bardzo przeżył odejście bratanicy swojego szefa. Rozmawiał z barczystą starszą kobietą, która co chwilę przykładła koronkową chusteczkę do policzków.

Vito stał blisko Joeya Azoriniego i rozglądał się po zebranych, jakby był co najmniej członkiem ochrony prezydenta. Wyszczerył do mnie zęby z sadystrycznym zadowoleniem. Z trudem udało mi się powstrzymać dreszcze. Nikogo innego nie rozpoznałam.

Kiedy podeszliśmy nieco bliżej, zajrzałam do trumny. Gretchen wyglądała, jakby była pogrążona w głębokim śnie. Jej rude włosy zostały uczesane i ułożone na ramionach, w złożonych dłoniach tkwiła samotna róża. Usta miała pomalowane szminką, a paznokcie lakierem, do czego za życia nigdy się nie uciekała. Długo wpatrywałam się w nią, jak ktoś spoglądający na układankę i próbujący dopasować brakujące elementy, ale jej poza nie pobudziła mojej intuicji bardziej niż pudła pedantycznie poskładanych ubrań czy uparte milczenie mojej siostry.

Tucker pociągnął mnie delikatnie za ramię i stanęłam twarzą w twarz ze Stephenem.

— Tak mi przykro — rzekłam, nie będąc w stanie wymyślić nic lepszego.

Chwycił mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

— Przyjdiesz do mnie dziś wieczorem? — szepnął.

— Muszę porozmawiać z Joey'em — odparłam. — Jak długo jeszcze tu będziesz?

— Do dziesiątej. — Wstrząsnął nim dreszcz. Zdałam sobie sprawę, że i on, podobnie jak jego brat, marzył o wyrwaniu się stąd. Stephen po prostu potrafił to lepiej ukryć.

— Spróbuję zdążyć. Gdyby mi się nie udało, po prostu spotkamy się u ciebie.

Starsza dama stojąca obok udawała, że nic nie słyszy, ale jej zde gustowana mina mówiła sama za siebie

— Panie Azorini — powiedziała i wyciągnęłam dłoń do ojca Stephena — proszę przyjąć moje kondolencje w związku z tak wielką stratą.

— Miałem nadzieję, że przyjdzie pani z siostrą. Z tego, co mi wiadomo, była przyjaciółką Gretchen.

— Śmierć pana wnuczki to dla niej straszliwy cios — odparłam, wykorzystując znajomość utartych frazesów — obecnie znajduje się pod opieką lekarza.

— Tak mi przykro — mruknął Anthony Azorini i przekazał mnie w ręce swojego drugiego syna.

Ucisnęłam dłoń Białego Księcia.

— Znam takie jedno miejsce — rzucił i spojrzął znacząco na Vita, który przydreptał natychmiast jak dobrze wytresowany spanielek.

Ruszyłam za Joey'em bocznymi drzwiami, myśląc, że idziemy do jakiegoś cichego pokoiku. Tymczasem dotarliśmy długim korytarzem do schodów i po chwili szłam już za nim uliczką biegnącą na tyłach domu pogrzebowego. Goryl stanowił straż tylną. Zimno przenikało przez moje rajstopy i zmieniło jedwabną bluzkę w kawałek lodu przylegający do skóry.

Miałam zamiar zaprotestować lub przynajmniej zapytać, dokąd właściwie idziemy. Zanim jednak się na to zdobyłam, Azorini zniknął w drzwiach częściowo zastawionych cuchnącymi pojemnikami na śmieci. Podążyłam za nim i znalazłam się w tętniącej życiem kuchni restauracyjnej. Nikt nie zwrócił na nas większej uwagi. Schody doprowadziły nas pod drzwi z okienkiem w kształcie rombu na poziomie oczu, obite czerwoną imitacją skóry. Joey otworzył i przytrzymał je, aż weszłam do środka.

Pomieszczenie okazało się małą, prywatną jadalnią. W środku stał tylko jeden stół. Ściany były skąpane w złocie i czerni. Na jednej z nich wisiał duży obraz przedstawiający jakieś pozbawione wszelkiego znaczenia owoce spoczywające w misce. Padało nań światło z małej lampki. Stół przykryty adamaszkiem był przygotowany dla dwóch osób.

Ciekawe, czy tak Joey wyobraża sobie randkę.

— Przeszukaj ją — rozkazał Vitowi.

— Dotkniesz mnie, a podam cię do sądu — warknęłam.

— Ostro gadasz, jak na panienkę z pozszywaną twarzą — mruknął Vito.

— Przypomnij sobie, kogo tamtej nocy wynosiłeś z mieszkania — odpaliłam.

Nie zadowolilo go to. Postawił mnie pod ścianą, kopnięciem rozstawił mi nogi i wymacał, co się dało. Czułam, jak krew napływa mi do policzków.

Azorini skinął głową, a goryl zajął stanowisko za drzwiami. Przez okienko widziałam tył jego szerokiej szyi i farbowane blond włosy.

Joey usiadł przy stole. Rozłożył wielką białą serwetkę i wcisnął ją sobie za kołnierz.

— No to o czym chcesz pogadać, kochanie?

Nie wiedziałam, czy próbuje mnie rozzłościć, czy też naprawdę jest tak prymitywny, że każe przeszukiwać kobiety, z którymi się spotyka, i zwraca się do nich per „kochanie”. Jakkolwiek było, postanowiłam puścić to mimo uszu.

Wszedł kelner taszczący tacę z dwiema wazami dymiącej zupy. Ustawił je przed nami na stole. Na środku położył koszyk z chlebem i masłem. Joey złapał za łyżkę i zaczął głośno siorbać. Poczekalam, aż kelner zniknie za drzwiami.

— Ciekawi mnie, dlaczego postanowiłeś odstąpić akcje Azor Edgarowi Eichelowi — zaczęłam.

— Skończyłaś prawo i nie wiesz? Chcę zarobić cztery miliony dolców. To chyba wystarczający powód, nie?

— To dlaczego nie zrobiłeś tego od razu? Zdecydowałeś się dopiero po wizycie u Stephena.

— Myślałem o tym już wcześniej.

— Nie to powiedziałeś ojcu w biurze DeGenovy. Tamtego ranka chciałeś się odegrać na swoim bracie.

— No, mówię przecież, myślałem sobie — cztery miliony to dużo pieniędzy, nie warto ich tracić dla niewdzięcznego młodszego brata, który myśli, że sra kwiatkami.

— Gdzie byłeś w poniedziałek przed południem?

— Spałem.

— Byłeś z kimś, kto mógłby to potwierdzić?

— Taaa, miałem towarzystwo. Tu jest jej nazwisko i numer telefonu.

Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kawałek papieru, na którym widniało nabażrane nazwisko „Kitty Kaiser” i jej numer.

— Kiedy ostatnio byłeś na swojej ziemi w Wisconsin? — spytałam, podczas gdy składałam karteczkę i chowałam ją do kieszeni.

— Dobre parę lat temu. Przerzuciłem się na coś innego.

— Nie wiesz, po co Gretchen miałyby tam jechać?

— Nie. Zabieraliśmy ją tam, kiedy jeszcze była dzieckiem. Może się stęskniła.

— Czy ostatnio do niej dzwoniłeś lub pisałeś?

— Coś ty? Wiesz przecież, że ojciec i Stephen kazali mi podpisać umowę.

— Podobno dawałeś jej prezenty.

— Nie! Ojciec by mnie zabił.

— To dlaczego zrezygnowałeś z wychowywania córki?

— Dużo podróżuje. Przy moim fachu nie da się stworzyć nastolatce dobrych warunków domowych. Zwłaszcza że Gretchen była chora i tak dalej. Pomyślałem sobie: lepiej jej będzie u Stephena. W końcu jest lekarzem.

— Słyszałam, że ją napastowałeś seksualnie — rzekłam spokojnie.

— Kto ci to powiedział?! — wykrzyknął Azorini.

Gwałtownie podniósł się z krzesła i potrącił stół. Część żupy wylała się na obrus

— Kto mi powiedział? Kilku ludzi. Zdaje się, że wszyscy o tym wiedzą.

— Zabiję mojego pieprzonego braciszka.

— To nie on — stwierdziłam zgodnie z prawdą — ta informacja pochodzi z innych źródeł.

— W każdym razie to nieprawda — upierał się Joey.

Jego oczy błyszczały gniewem.

Nie wierzyłam mu.

— Nawet gdy zrezygnowałeś z jej wychowywania, nawet po tym, jak zgodziłeś się na widzenia z nią w obecności innego członka rodziny, nie mogłeś zostawić jej w spokoju.

— Nieprawda!

— Jak ją nakłoniłeś, by przyjechała do Wisconsin, Joey? Co jej rzekłeś?

— Nie widziałem się z nią. Przysięgam, nie pojechałem tam.

— Joey, chcę wiedzieć, co przede mną ukrywasz.

— Każdy ma coś do ukrycia, kochanie. Ty, ja, Stephen, wszyscy.

Kiedy szłam z powrotem do domu pogrzebowego, lunął deszcz. Zaczęłam przeklinać Azoriniego, deszcz i siebie samą za to, że dałam się wrobić w tę nieprawdopodobnie zagmatwaną sprawę. Zanim schroniłam się w Salvadore & Sons, zdążyłam przemoknąć do suchej nitki. Nigdzie nie zauważyłam Tuckera.

Znalazłam ubikację dla kobiet. Zdjęłam koszulę i wysuszyłam ją w ciepłym strumieniu powietrza z elektrycznej suszarki. Następnie umyłam twarz i ręce w gorącej wodzie. Rozpuściłam mokre włosy, rozczesalam je i ułożyłam z powrotem w tradycyjny kok. Spojrzałam w lustro. Wyglądałam jak ofiara napadu wrzucona do rynsztoka.

Thum znacznie się przerzedził. Zostali tylko spóźnialscy i prawdziwi żałobnicy. Stephen nadal stał u boku ojca i przyjmował wyrazy współczucia. Richard Humanski stał przy dzbanie z kawą. Sprawiał wrażenie młodego zmęczonego człowieka niepasującego do reszty towarzystwa. Podeszłam do niego i nalałam sobie filiżankę kawy — chyba pięćdziesiątą tego dnia.

Przywitaliśmy się.

— Trzymasz się jakoś? — spytałam.

— Jeszcze stoję — odparł i zaśmiał się bez przekonania — to już coś.

— Aż tak źle?

— Ojej, nawet gorzej. Kiedy to się skończy, muszę lecieć z powrotem do biura. Baker właśnie wypisuje wszystkie te dziwaczne oszacowania dla Goulda i jego ekipy. Słowo honoru, ci bankierzy inwestycyjni są niesamowici. W ogóle nie śpią. Gould już drugi dzień siedzi w sali konferencyjnej, a nawet nie wymiał

koszuli. Jest jak Drakula czy coś w tym stylu. W każdym razie oszczędzają szefa ze względu na to, co się stało i przez to wszystko Gould mnie zawraca głowę.... „Mógłbyś to załatwić?”, „Co Stephen powiedziałby na to?”, „Może mógłbyś poczekać na odpowiednią chwilę i pokazać mu te papiery?”.

— To musi być straszne — wtrąciłam współczująco.

— Nie chcę zrzędzić, jestem po prostu zmęczony — bezskutecznie próbował zmusić się do uśmiechu. — Najgorsze, że mam uczucie, jakby sprawy wymykały nam się z rąk. Wiesz, jakby ten wykup stał się żywym organizmem. Przyzwyczyłem się, że to Azorini podejmuje decyzje. Teraz męczą mnie Gould, prawnicy, bankierzy, Eichel...

— Masz rację, transakcje tego typu często nabierają własnego pędu. Prezes ma trudności z utrzymaniem lejców, zwłaszcza gdy tak wielu zaangażowanych ludzi działa z pobudek niemających nic wspólnego z dobrem firmy. Mówi się, że bankierzy inwestycyjni typu Goulda muszą zmieniać sojuszników, by gładko przechodzić od jednej umowy do drugiej. Prawda jest taka — nie mają żadnych sojuszników. Gould przed oczami ma tylko swoje dwudziestomilionowe wynagrodzenie. Interesuje go reputacja. Jeśli ją podbuduje sukcesem, od następnego klienta zażąda więcej... przykro mi, ale tak jest — westchnęłam. — Nie chcę wpędzać cię w depresję. Chyba to wszystko mnie też nieźle dało popalić. Nie wiem, jak Stephen tak dobrze sobie radzi.

— Przez większość czasu jest po prostu niesamowity — odparł młody asystent — zachowuje się, jakby wszystko było w porządku. Jak robo-szef czy coś w tym rodzaju. Ale są też chwile, kiedy mówię coś do niego, a on nie słyszy. Zupełnie jakby odpływał myślami. To chyba załamało go bardziej, niż wszystkim się wydaje.

— Był blisko związany z Gretchen? — tak dziwnie zabrzmiało to pytanie. Wielu uważałoby, że to ja powinnam na nie odpowiedzieć.

— Tak mi się zdaje, ale nie aż tak, jak można by się spodziewać. Ona była dziwna. Bardzo cicha, ale uparta i niezależna. Czula się jak o wiele starsza osoba uwięziona w ciele nastolatki. Uważała, że rodzice są jej niepotrzebni. A może to dlatego, że tak naprawdę nigdy ich nie miała i było już za późno, by zaczynać od nowa? Stephen uszanował jej poglądy. Naprawdę wysoko go ceniła.

— Interesowały ją sprawy Azor Pharmaceuticals? — spytałam.

— Jeszcze jak. Azorini obiecał, że w lecie pozwoli jej popracować w firmie. Potem miała skończyć studia ekonomiczne i przyjść do nas. Chyba lubiła o tym myśleć.

— Czy kiedykolwiek prosiła ciebie albo Stephena o kopie dokumentów firmowych?

— Nie, a po co? Pewnie przysyłali jej to, co reszcie udziałowców. Na szesnaste urodziny dostała całą masę akcji.

— I samochód — dodałam.

— I samochód — szepnął Richard. Jego oczy wypełniły się łzami. Potrząsnął głową, wyraźnie zawstydzony. — Przykro mi, w pewnym sensie to ja byłem odpowiedzialny za kupno tego auta. Stephen zamierzał zrobić bratanicy niespodziankę, ale chciał kupić taki wóz, który by się jej podobał. Więc poprosił mnie, żebym przeprowadził małą sondę. Zawsze długo ze sobą rozmawialiśmy przez telefon. Kiedy dzwoniła do wujka, a on był zajęty, gadaliśmy sobie te parę minut, zanim mógł podejść.

Pamiętam, powiedziałem jej, że chcę sobie kupić samochód i zaczęliśmy rozprawiać o różnych autach. Żeby było śmieszniej, w końcu naprawdę kupiłem sobie nowy wóz...

Kiedy wróciliśmy z Azorinim do Hyde Parku, deszcz zmienił się w śnieg. Gdzieś pośród ciemności kwitła druga strona życia tej okolicy: włamania, prostytutka, narkotyki i rozboje. Gdzieś tam ludzie szukali taniej działki, pieprzyli się w samochodach zaparkowanych nad jeziorem, tłukli się w zaciszu domowego ogniska. Rozległ się alarm, zmarznięci pijacy rechotali w parku, syrena wyla w drodze do szpitala — muzyka miasta nocą.

Weszliśmy na górę. Nalałam dwie szklaneczki szkockiej, a Stephen poszedł wziąć prysznic. Wyśliznęłam się z oficjalnego uniformu i skorzystałam z pryszniczniczki w łazience dla gości. Kiedy skończyłam, owinęłam się ręcznikiem, poszłam do sypialni Stephena i rozejrzałam się za czymś, co mogłabym na siebie włożyć. Wybrałam sfatygowaną koszulkę z Harvardu, która wisiała na mnie jak sukienka. Poprzzerzucałam szuflady pełne spodni od dresu i szortów, ale wszystko było na mnie za duże. Dziwne, w mieszkaniu Azoriniego nie miałam nawet szczoteczki do zębów. On też nic u mnie nie trzymał. Pomyślałam sobie, że dzięki temu ktoś wścibski nie znalazłby najmniejszego dowodu na istnienie jakiegokolwiek związku między nami. Wytarłam włosy ręcznikiem, związałam je w węzeł z tyłu głowy i poszłam do kuchni po kawę.

Kiedy wróciłam z dwoma dymiącymi filiżankami, Stephen właśnie wkładał spodnie.

— Pozwoliłam sobie wziąć twoją koszulkę — powiedziałam — mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu. Tylko ona jako tako pasowała.

— Na pewno znalazłabyś coś na siebie w rzeczach Gretchen.

— Myślałam, że mogłoby ci się nie spodobać, gdybym bez pozwolenia w nich grzebała.

— Ależ nie ma sprawy.

— Naprawdę masz jeszcze robotę? — spytałam.

— Tak — odparł niemal bezgłośnie i wciągnął białą bluzę — jutro rano mam spotkanie z zespołem naukowców. Muszę złożyć sprawozdanie na temat wyku-pu — niektórzy z nich mają dużo akcji firmy i dlatego powinienem przygotować jakieś w miarę sensowne przemówienie. Potem spotkanie z Gouldem i innymi

finansistami celem omówienia strategii, że nie wspomnę o regularnych zajęciach, których nie mogę zaniedbać, wykup nie wykup.

— Musisz też co nieco odpocząć — rzekłam i chwyciłam jego dłoń. — Nie przechytysz Eichela, jeśli nie będziesz w stanie jasno myśleć.

— Popracuję tylko parę godzin, słowo. Jeśli tego nie skończę, to i tak nie zasną.

— Więc póki co, rozejrzę się po pokoju Gretchen. Jakbym ci była potrzebna, zawołaj mnie.

Noc wyczynia dziwne rzeczy z umysłem zmęczonego człowieka. Cisza i ciemności wypełniające mieszkanie Stephena powodowały, że zwykłe przedmioty zaczynały nabierać ponurych właściwości, jak zatruty lukier na torcie weselnym. Misie w pokoju dziewczyny wpatrywały się w ciemność niby złośliwe dzieciaki, wiszący nad łóżkiem baldachim kojarzył się z całunem, a stół przekształcił się w demoniczny ołtarz, na którym stały relikwie przedwcześnie przerwane życie.

Włączyłam wszystkie światła i podniosłam zasłony, chcąc uwolnić się od lęku. Stałam przy oknie; po Lake Shore Drive poruszały się nieliczne pojazdy. Na parkingu przy Muzeum Nauki i Przemysłu autobusy zawracały w kierunku miasta lub stały cierpliwie w miejscu, podczas gdy kierowcy szli na kawę i nocne pogawędkę.

Szybko przeszukałam pokój. Jeszcze raz to samo — dokładnie poskładane ciuchy, ułożone według kolorów. Biała bawełniana bielizna. Skarpetki. Brak zestawu do makijażu. Niewiele kosmetyków. Pełna apteczka diabetyka w małej szafce w łazience. Szuflada pełna kaset, na ogół z przebojami radiowymi. W niecałą godzinę potwierdziło się moje wcześniejsze przypuszczenie — Gretchen prowadziła swoje prawdziwe życie gdzie indziej. Tu tylko zatrzymywała się w weekendy.

Kiedy wyłączałam światło, przypominałam sobie kopertę, którą woźny znalazł w pokoju dziewczyny i miejsce, w którym leżała.

Uklękłam przy łóżku i sięgnęłam pod materac. Wsadziłam tam całe ramię, wreszcie po chwili na coś natrafiłam. Wyciągnęłam to na zewnątrz.

Siadłam na podłodze i otworzyłam kopertę. Jej zawartość natychmiast wysypała się na dywan.

Nic, tylko papiery — tajne dokumenty Azor — z wyjątkiem dwóch rzeczy: pierwszej strony faksu i zdjęcia zarządu firmy w mosiężnej ramce.

Rozdział 13

Dzień pogrzebu przywitało blade słońce przebijające się przez grudniowy chłód. Przez całą noc nie mogłam zasnąć, próbując w jakiś sposób dopasować do siebie wszystkie elementy układanki, która stawała się coraz bardziej złożona. Kim był tajemniczy kochanek Gretchen Azorini? Dlaczego przechowywała dokumenty Azor? Czemu je ukrywała? Czego Joey nie chce mi powiedzieć?

Podczas gdy biłam się z myślami, Stephen rzucał się po łóżku i mamrotał przez sen. Dopiero gdy pojawiło się pierwsze lśnienie świtu, zapadł w spokojną drzemkę. Wyśliznęłam się wtedy z jego łóżka i pospiesznie wróciłam do siebie. Cheryl umówiła mnie z Billem Fallerem na siódmą tego ranka. Pogrzeb Gretchen Azorini miała rozpocząć msza o 9.30 w kościele, o którym nigdy wcześniej nie słyszałam, gdzieś na zachodnich przedmieściach.

Ulice Hyde Parku były zaniedbane i bezлюдne niczym fabryka przed rozpoczęciem kolejnej zmiany. Gdy ciemność uniosła swoje skrzydła, alfonsi i zwolennicy nocnej zabawy rozpełzli się do dziennych kryjówek, zostawiając za sobą szlak butelek, papierów i innych śmieci, które wiatr unosił ponad jezdniami. Ten drugi Hyde Park — profesorowie, studenci, lekarze i urzędnicy pracujący w centrum — dopiero zaczynał przecierać rozespiane oczy.

Jeśli nawet odzwiernego dyżurującego przy wejściu do budynku Azoriniego zdziwił widok kobiety wychodzącej o przedświcie na ulicę, ubranej w koszulkę Harvardu, dolną część męskich kalesonów (z podwiniętymi nogawkami) i parę butów na wysokim obcasie, był zbyt dobrze wyszkolony albo zbyt zmęczony, by to okazać. Wyglądałam zapewne, jak jeszcze jedna dziwka wlokąca się do domu po całonocnej pracy.

Na pogrzebie Gretchen Azorini nie było wolnych miejsc siedzących. Kościół był ogromną, nakrytą łukowatym sklepieniem bryłą szarego marmuru upstrzoną barwnymi witrażami. Wszystkie ławki były zajęte, a ludzie tłoczyli się na tyłach świątyni, a nawet w przejściach. Wielu z nich pojawiło się tylko dlatego, że dziewczyna była wnuczką Anthony'ego Azoriniego, poza tym pewnie nic o niej nie wiedzieli. Zauważyłam też całą jej klasę z Chelsea Hall, dwa rzędy wypełnione odzianymi w mundurki, starannie uczesanymi uczennicami, które jeszcze nie tak dawno nią gardziły.

Kiedy ruszyliśmy środkiem ku ołtarzowi, rzeźby przyglądały się nam swoimi smutnymi oczami. Przypomniałam sobie o misiach z pokoju Gretchen. W powietrzu unosił się zapach kadzidła.

Ołtarz został przyozdobiony szkarłatnymi różami, takie same ułożono również na białej trumnie. Ponad tym wszystkim wisiał ogromny krucyfiks. Chrystus, przerastający rozmiarem człowieka, krwawił ze swoich rozlicznych ran, a korona cierniowa wbijała się okrutnie i nieprzerwanie w jego głowę.

Msza wydawała się trwać w nieskończoność. Ksiądz w czarnej sutannie i białej albie, ministranci wymachujący kadzielnicami, dźwięki muzyki Bacha dobiegające spoza rzeźbionej przesłony, wszystko to powodowało, że dygotałam ze smutku i zmęczenia. Obok mnie stał Stephen. Przez cały czas nie zmienił wyrazu twarzy. Za naszymi plecami, gdzieś z tyłu kościoła, dobiegało ciche łkanie. Wiedziałam, że to dziewczęta z Chelsea Hall.

Po zakończeniu mszy czterej mężczyźni wstali i wzięli trumnę na barki. Twarz Joey'a wykrzywiła rozpacz, po jego policzkach spływały łzy. Czy mordercy płaczą na pogrzebach swoich ofiar? Elliott Abelman na pewno powiedziałby, że wszystko jest możliwe.

Podczas gdy trwało ładowanie trumny do oczekującego karawanu, rozejrzałam się po tłumie w poszukiwaniu siostry. Zamiast tego wypatrzyłam detektywa Cancasciego, częściowo schowanego za jedną z kolumn. Miał na sobie wygnieciony prochowiec, a z jego uśmiechniętych ust wystawała wykałaczka. Ciekawe, czy przywiodły go tu obowiązki, czy też po prostu chciał się zozerwać?

Joey wsiadł do samochodu ojca. Ja i Stephen ruszyliśmy ku innej stojącej limuzynie. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że do środka wsiada John Guttman, a za nim wpycha się Brian Gould, bankier inwestycyjny, przedstawiciel First New York.

— Eichel właśnie podniósł oferowaną cenę — oznajmił — na pięćdziesiąt dwa dolary od akcji.

Wszyscy bankierzy inwestycyjni z działów fuzji i zakupów to ludzie ze zbyt dużą ilością adrenaliny we krwi. Brian Gould nie stanowił wyjątku. W ich świecie przejścia firm to „rozdania”, a wszyscy biorący w nich udział to „gracze”.

W wieku czterdziestu trzech lat Gould niewątpliwie był już graczem, najemnikiem, który zarabiał na życie w rozgrzany do białości tygłu pierwszej ligi, wójnikiem ubranym w garnitur od Alana Fussera, idealnie wykrojoną koszulę z Turnbull & Asser, zegarek Bulgari oraz jedwabny krawat Hermesa, niewątpliwie zakupiony w bezcłowym sklepie na lotnisku Orly w Paryżu.

Zdaniem moich rodziców, Gouldowie tego świata reprezentowali wszystko to, co w nim najgorsze, byli ludźmi, którzy doszli do wielkich pieniędzy i chcieli, by cały glob się o tym dowiedział. Tacy ludzie przechwalali się w gazetach, ile to zapłacili za swoje domy i ile ich młode „zdobyczne” żony wydały na ich wystrój.

— Nie dość, że Eichel podniósł oferowaną cenę — rzucił mój szef — to na dodatek sędzia z Delaware uznał, że akcje ESOP muszą zostać wystawione na sprzedaż. Przez to Eichel będzie mógł wykupić dodatkowe sześćset sześćdziesiąt tysięcy akcji!

— Przy takiej cenie z pewnością stracimy sporą część naukowców, którzy zachowali swoje zasoby. Wielu z nich nie wytrzyma nacisku — stwierdził Gould ponurym tonem. — Jeśli nie zamierzasz uciec się do całkowitej prywatyzacji Azor...

— Nie zamierzam popaść w aż takie zadłużenie — odparł Azorini zmęczonym głosem. — Nie wezmę kredytów tylko po to, by później okazało się, że nie mam szansy ich spłacić. Wolałbym oddać firmę Eichelowi, niż samemu doprowadzić ją do bankructwa.

— Zatem pora przyjrzeć się paru białym rycerzom, z którymi się skontaktowałem.

— Brian umówił się na lunch z Harrym Rumsteadem w United Hospital Products — poinformował Guttman. — Dziś rano dzwonił też Phil Dryden z Allied Medical Technologies. Chce się z nami spotkać za godzinę. Jest gotów rozmawiać na temat umowy.

— United i Allied to moi główni konkurenci na rynku sprzętu szpitalnego. Oczywiście, że chcą z nami rozmawiać. Dzięki temu będą mogli przejrzeć nasze dokumenty i zobaczyć, nad czym pracujemy.

Stephen miał rację. Wszelkie negocjacje z białymi rycerzami graniczyły z dużym ryzykiem, jako że zwykle są nimi instytucje próbujące opanować ten sam rynek. Podjęcie decyzji o wejściu do licytacji uwarunkowane jest jak najszybszym udostępnieniem im danych na temat interesującego ich przedsięwzięcia. Problem w tym, że jeśli z negocjacji wychodzą nici, to wszystkie tajemnice firmy trafiają w ręce konkurencji.

— Musisz podjąć to ryzyko — powiedział Gould — to albo prywatyzacja.

Stephen wyjrzał przez szybę. Właśnie wjeżdżaliśmy na cmentarz. Na jego twarzy uzewnętrzniła się walka, jaką staczał z myślami. Mimo to jasnoniebieskie oczy płonęły tym samym chłodnym gniewem, którego świadkiem byłam tego wieczoru, kiedy Joey wpadł do jego mieszkania i usiłował go zabić.

— Sporządźcie obliczenia na wypadek ewentualnej prywatyzacji — rzekł wreszcie, wyrzucając z siebie słowa jedno za drugim — i przeciągnijcie rozmowy wstępne z Allied i United o parę dni.

Podjechaliśmy do cmentarza. Azorini, Guttman i ja wyszliśmy z samochodu. Gould został w środku sam na sam z telefonem komórkowym i przenośnym faksem.

Wiosną miejsce to na pewno wygląda pięknie. Wtedy pada tam cień wierzby. Teraz schizofreniczna pogoda grudniowa rozmroziła twardą ziemię na tyle, by moje wysokie obcasy zanurzały się w głąb wilgotnego piachu. Przy każdym kroku rajstopy pokrywały się coraz większą ilością drobnych, ciemnych plamek. Gdy podeszliśmy do otwartego grobu, przyłączyli się do nas pozostali żałobnicy, stojący samotnie lub w objęciach bliskich bądź znajomych.

Dziewczęta z Chelsea Hall przyjechały swoimi własnymi samochodami. Wyglądało na to, że ostatnimi czasy nastała moda na jeepy i land cruisery, ale obok nich stały również droższe samochody sportowe. Nauczyciele prowadzili zdezelowane fordys. Stali w grupce skupionej wokół pani Bigham. Cały kontyngent szkoły ustawił się przy grobie. Przybył Tucker, przywitał się z dyrektorką i zajął miejsce obok niej. Uścisnął też dłonie kilku nauczycielom i dziewczętom. Najwyraźniej postanowił wziąć udział w pogrzebie jako członek rady nadzorczej Chelsea Hall, a nie zarządu Azor Pharmaceuticals.

Nad grobem zmówiono modlitwy. Zapłakane uczennice stały parami i obejmowały się. Uczucia nastolatków nie są jeszcze tak głęboko ukryte — łatwo wydobyc je na powierzchnię.

Wreszcie ksiądz pobłogosławił trumnę i grabarze opuścili ją do grobu. Płacz dziewcząt stał się głośniejszy i bardziej nieskoordynowany, przeradzając się w straszną ścieżkę dźwiękową pogrzebu Gretchen. Ksiądz poświęcił grób, a Anthony Azorini wziął do ręki srebrny szpadel. Nabrał nań ziemi, którą następnie sypnął na wieko trumny. Joey i pozostali żałobnicy zrobili to samo. Stephen został z tyłu; najprawdopodobniej chciał być ostatni w kolejce. Odsunęłam się nieco od niego, chcąc dać mu miejsce, ale nie zamierzałam jeszcze iść.

Obserwowałam, jak uczennice z Chelsea Hall podchodzą do grobu i ustawiają się w kolejce do wrzucenia ziemi. Beth przytrzymały dwie dziewczyny, których nie znalazłam. Wyglądało to tak, jakby pomagały osobie bardzo osłabionej lub chorej. Pani Bigham była pierwsza, następny szpadel ziemi wrzucił Tucker Sweet. Pamiętam, jak podziwiałam ich umiejętność automatycznego ustawienia się w hierarchicznym porządku: najpierw dyrektorka, potem członek rady nadzorczej i osoba najbardziej pogrążona w żałobie...

Sweet odwrócił się i podał szpadel mojej siostrze. Podeszła do niego, wyciągnęła rękę i nagle stanęła w miejscu, jakby miała zemdleć. Kolana ugięły się pod nią. Jej pomocniczki nie mogły sobie poradzić i przez chwilę zdawało mi się, że

cała trójka wpadnie do otwartego grobu. Na szczęście zaraz za dziewczętami stała grupka pracowników Azor, a pośród nich Richard Humanski, który odciągnął je znad krawędzi.

Stephen podbiegł do Beth i swoim „lekarskim” głosem nakazał wszystkim się odsunąć. Ułożył ją na ziemi, sprawdził puls i oddychanie.

— Zemdlała — poinformował mnie — zaraz odzyska przytomność.

Szef zakładu pogrzebowego wyciągnął z kieszeni małą ampulkę i podał ją Azoriniemu.

Najwyraźniej to nic nowego, pomyślałam. Stephen otworzył ją i podsunął do bladej twarzy mojej siostry. Poruszyła głową, a po chwili drgnęła gwałtownie i krzyknęła.

Stephen i ja pomogliśmy jej usiąść, a szef zakładu poprowadził ludzi w stronę samochodów. Dziewczyny z klasy Beth nie chciały go posłuchać — niespokojnie krążyły w pobliżu.

— Beth, słyszysz mnie? — spytał Azorini.

Przytaknęła głową.

Podniósł trzy palce.

— Ile palców widzisz?

— Trzy — szepnęła.

— Patrz na mój palec — polecił i zaczął przesuwając go z jednej strony na drugą. Obserwował, czy jej źrenice śledzą jego ruch. — Uderzyłaś się w coś przy upadku? Jakież potłuczenia, sińce?

Siostra potrząsnęła przecząco głową. Rozejrzała się gwałtownie po twarzach wszystkich zebranych i spróbowała stanąć pewnie na ziemi, ale tylko chwiała się na ugiętych nogach. Była najprawdopodobniej dezorientowana i zawstydzona. Znalazła się w centrum zainteresowania. Było jednak coś w jej spojrzeniu, jakaś konsekwencja w rozglądaniu się po tłumie, która mnie zaintrygowała.

Za Stephenem wyrósł John Guttman i szepnął mu coś na ucho.

— Muszę iść, Kate — oznajmił Stephen. — Możesz przy niej trochę zostać? Powinna parę minut spokojnie posiedzieć. Gdyby poczuła się słabo, niech schyli głowę. Richard was podwiezie.

— Nie ma sprawy — odparłam i ścisnęłam dłoń mojej młodszej siostry — zajmę się nią.

Kazałam Humanskiemu zawieźć nas do domu rodziców w Lake Forest. Tam było najbliżej, poza tym postąpiłabym bez sensu, gdybym zabrała ją w tym stanie do szkoły i zostawiła w internacie. Przez cały czas siedziała skulona w pozycji embrionalnej na tylnym siedzeniu. Zastanawiałam się, czy wstrząs emocjonalny wywołuje takie same skutki jak wstrząs fizyczny, a jeśli tak, to jak można z niego wyjść.

— Tu zwolnij — powiedziałam Richardowi, kiedy byliśmy już blisko podjazdu — to będzie zaraz, z lewej strony. O tam, za znakiem. Humanski aż gwizdnął,

w chwili gdy zza drzew wyłonił się dom mojego dzieciństwa.

— Nic nie mów — jęknęłam — aż wstyd dorastać w czymś takim.

— Założę się, że można się do tego przyzwyczaić — odparł bez cienia złośliwości.

— No, Beth — odezwałam się, gdy podjechaliśmy do bocznego wejścia — jesteśmy na miejscu.

— Nie chcę do domu — szepnęła.

— Malenka — próbowałam ją uspokoić — połóżysz się na tapczanie, włączę ci jakiś dobry film i zrobię kakao. Od razu się lepiej poczujesz.

Nie rzekła nic, tylko wyszła z samochodu i ruszyła przed siebie jak lunatyk.

Richard zmrużył oczy, gdy znaleźliśmy się w środku, zupełnie jak ktoś przyzwyczajony do ciemności wychodzący na światło dnia. Został na dole, a ja tymczasem poszłam z siostrą do jej pokoju. Za nami szła pani Mason, nie przestając gderać i narzekać.

Gdy Beth włożyła na siebie golf i spodnie od dresu, zaprowadziłam ją do saloniku na piętrze z telewizorem i wieżą. Kucharka w tym czasie poszła po kawę.

— Wszystko w porządku? — spytałam.

Dziewczyna tylko kiwnęła głową.

— Po prostu zemdląłeś? To na widok trumny?

— Prześń zadawać mi pytania — mruknęła — jesteś jak pierdolone gestapo.

— Chcę się upewnić, że z tobą wszystko O.K.

— Czuję się, kurwa, wspaniale.

Kiedy pani Mason weszła z tacą, wyszłam z saloniku. Humanski siedział w kuchni przy filiżance kawy i talerzu pełnym ciasteczek domowej roboty. Najwyraźniej przypadł kucharce do gustu.

— Jak tam siostra? — spytał.

— Na pewno moja obecność nic jej nie pomoże.

Nalałam sobie filiżankę kawy. Kiedy Richard wypił swoją, usiadłam przy stole pod oknem i napisałam kartkę do matki.

— Czyli — zaczął Richard, gdy już znajdowaliśmy się w jego aucie i jechaliśmy w stronę miasta — tam właśnie dorastałaś?

— Nie da się ukryć.

— Fajna chata.

— Możliwe. Nie chcę gadać jak któreś z tych „bogatyń biedactw”, ale w sumie, kiedy człowiek dorasta, niewiele z tego przepychu ma jakiegokolwiek znaczenie. Lepiej mieć rodzinę z wielkim sercem niż wielkim domem.

— Łatwo ci tak mówić.

— Masz rację. Moi rodzice nie mają pojęcia o wychowaniu dzieci, ale przecież są tacy, którzy na dodatek nie mają ani pieniędzy, ani wykształcenia...

Wiesz, że istnieją grupy zajmujące się terapią ludzi z odziedziczonym majątkiem? Zupełnie takie same, jak te pomagające dzieciom alkoholików i tym, których w dzieciństwie katowano.

— Mój ojciec był alkoholikiem — oświadczył Humanski, nie spuszczać oczu z drogi.

— Przykro mi — powiedziałam.

— Gdybym miał wybór, wolałbym zмагаć się z ciężarem odziedziczonej fortuny — jego głos nie brzmiał gorzko, wyczułam w nim tylko nutę smutku. Wiedziałam, że myśli o wielkiej, czystej kuchni pani Mason. — To jeden z powodów, dla których Gretchen była mi bliska.

— Joey jest alkoholikiem? — spytałam.

— Nie wiem. Pewnie niewiele mu do tego brakuje, a na dodatek ópa. Nie chodzi o to, od czego jest uzależniony, chodzi o rodzinę w stanie rozkładu. Sytuacja w moim domu była okropna, ale Gretchen miała o wiele gorzej.

— Mówiła ci o tym?

Kiwnął głową, nie odwracając oczu od jezdni.

— Gdyby Stephen się dowiedział, pewnie byłby wściekły. Bez wątpienia wolałby, żebym nic na ten temat nie wiedział. Jestem przekonany, że mi ufa, ale jest człowiekiem, który nie dopuszcza innych do swojego ułożonego, rozplanowanego życia. Miał świadomość, że często rozmawiałem z jego bratanicą przez telefon. Czasami przyjeżdżała do niego, a on z tego czy innego powodu nie był w stanie się z nią spotkać i zamiast niego ja zabierałem ją do restauracji. Orientował się, że jesteśmy przyjaciółmi, ale chyba nie zdawał sobie sprawy, jak wiele mi mówiła.

Byli sobie bardzo bliscy, pomyślałam. Stephen widział, że są zaprzyjaźnieni, ale nie domyślał się jak bardzo. Przypomniały mi się słowa Beth wypowiedziane w saloniku internatu Chelsea Hall. Jej nie chciała powiedzieć, kim jest jej kochanek, bo wujek zabiłby go. Jak bliskimi byli przyjaciółmi?

— Więc zaprzyjaźniłeś się z Gretchen. Czy na tym się skończyło? — zapytałam.

— Tak — Richard odparł bez namysłu i spojrział na mnie dziwnym wzrokiem.

— Przykro mi, wiem, jak wielkim ciosem była dla ciebie jej śmierć. Może to dziwne, ale nie znałam Gretchen zbyt dobrze i teraz próbuję to nadrobić. Nic poza tym.

— Nie sądzę, żeby było w tym wszystkim coś trudnego do zrozumienia — odrzekł Humanski głosem pełnym wyższości, prawdopodobnie naturalnym u kogoś, kto zaczął studiować w wieku szesnastu lat. — Mamy dziewczynę, która żyje jak w piekle — jej ojciec to niezrównoważony psychicznie handlarz narkotyków, matka ćpunka, ona sama jest poważnie chora. Matka umiera w dziwny sposób... i wreszcie udaje jej się z tego wyrwać. Może nie trafia do raj, ale

wszystko zmierza ku lepszemu — jest szczęśliwa, myśli o studiach i pracy w firmie po ich ukończeniu, nagle bum — umiera.

— Jak myślisz, czy jechała do Wisconsin spotkać się ze swoim ojcem?

— Joey'em?

— Stephen przyznał, że podejrzewał go o nawiązanie z nią kontaktów, pisanie listów, telefony. Możliwe to?

— Och, nie sądzę — odparł Richard z pewnością siebie. — Chyba wolałaby go już nigdy nie zobaczyć.

— Dlaczego?

— Stephen ci nie mówił?

— Nie. Jak sam zauważyłaś, nie lubi się zwierzać.

— Obiecujesz, że jeśli ci powiem, to mu nic nie powtórzysz?

— Słowo honoru.

— Nie wiem tego na pewno, ale zdaje się, że ojciec wykorzystywał ją seksualnie.

— Och — jęknęłam — to dlatego zamieszkała u wujka.

— Nie jest to coś, o czym się mówi, ale tak, właśnie dlatego.

— Czyli nie uważasz, że pojechała do Wisconsin spotkać się z ojcem?

— Nie, chyba, że ktoś przystawił jej pistolet do głowy i kazał jechać — stwierdził Humanski.

Rozdział 14

Kiedy wróciłam do biura, Cheryl poinformowała mnie, że Elliott Abelman dzwonił już z pięć razy. Nie zostawił swojego numeru, ale miał znowu spróbować o pierwszej. Znaczyło to, że mam jeszcze dwadzieścia minut.

- Mówił, o co chodzi? — spytałam.
- Nie — odparła sekretarka — ale to oczywiste, że ma coś interesującego.
- Ciekawe, co takiego — zastanawiałam się, zła, że muszę czekać.
- Gdybyś od czasu do czasu włączała swój cholerny telefon komórkowy, już byś wiedziała, nie? — wypaliła Cheryl.

Wyjaśnianie, że wracałam samochodem Richarda Humanskiego, nie miało sensu. Dokładnie dziewięć dni minęło, od czasu gdy Edgar Eichel zgłosił chęć wykupienia Azor. Ludzie z mojego wydziału weszli w fazę rozdrażnienia. Po wyczerpaniu się początkowego przyływu adrenaliny, następowały etapy poirytowania, wrogości, agresywności i psychopatii. Już nie mogłam się doczekać.

- Czy mogłabyś przynieść do mojego biura dwie filiżanki kawy? — spytałam tak słodko, jak tylko potrafiłam. — Muszę się ciebie poradzić w jednej sprawie.

Pierwsze, co zrobiłam po wejściu, to zmieniłam brudne rajstopy i mokre buty. Kiedy pojawiła się sekretarka, właśnie się czesałam. Natychmiast odgarnęłam włosy i zwinęłam je w kok.

- Wiesz — zaczęła Cheryl, podczas gdy układałam fryzurę — powinnaś nosić rozpuszczone włosy. Bardzo ci w nich ładnie.
- Dzięki, ale strasznie mi przeszkadzają. Muszę je ciągle rozczesywać, a przy pracy opadają mi na twarz.
- Przyzwyczaiłabyś się.
- Przyzwyczaiłam się do koka — ucięłam ze złością. Wychowanie mojej matki spowodowało, że bardzo mnie irytowały wszelkiego rodzaju uwagi co do tego, w jaki sposób mam się upiększać.

Wyjęłam dwa pliki dokumentów Azor, które znalazłam w rzeczach Gretchen. Pokazałam sekretarce pierwszą stronę faksu.

— Miała to Gretchen Azorini — oznajmiłam. — To wygląda na pierwszą stronę faksu.

— Zgadza się — odparła Cheryl.

— Nigdy w życiu nie wysłałam faksu — ciągnęłam. — Czy w tym jest coś nietypowego?

— Nie za bardzo. My używamy innego formularza. Na górze jest jakby kawałek nagłówka Callahan Ross, a na dole miejsce do wpisania, skąd i od kogo otrzymujemy faks, dokąd i do kogo jest wysyłany, liczby stron łącznie z pierwszą i numeru telefonu, pod który trzeba zadzwonić, w razie gdyby nie wszystkie strony przyszły w dobrym stanie. Na tym nie ma w ogóle nadawcy — powiedziała, oglądając kartkę papieru z wszystkich stron — miejsce na numer telefonu jest puste. Mówi mi to tylko, że trzydzieści siedem stron zostało przesłanych pod numer 347-9109. Nie ma nawet daty.

— Można jakoś sprawdzić, co znajduje się pod numerem 347-9109?

— Nie znasz się na tym, co? — spytała Cheryl. — Serio uważam, że wszystkie sekretarki w tej firmie powinny podjąć strajk. Ciekawe, jak byście sobie bez nas poradziły, ważniacy.

— Mimo to bardziej się oplaca skończyć prawo — bąknęłam.

Poszłam za nią korytarzem do małego pokoiku, zasiedlonego przez kserokopiarkę, faks i dzbanek z kawą. Na ścianie ktoś powiesił zdjęcie telewizyjnych Trzech Głupków, ale Curly'ego zastąpił łysy, przyssany do cygara Edgar Eichel.

— Chcesz, żeby ludzie po tamtej stronie dowiedzieli się, kim jesteśmy? — spytała sekretarka i stanęła przy jednym z faksów przydzielonych naszemu wydziałowi.

— Skoro nie wiem, kim oni są, lepiej, żeby nie wiedzieli, kim my jesteśmy.

— No dobra, wyślę po prostu czystą kartkę.

Uruchomiła maszynę, włożyła do niej kartkę papieru, wystukała numer znaleziony pośród rzeczy Gretchen Azorini, po czym wcisnęła przycisk wysyłający. Rozległo się piknięcie, odczekałyśmy kilka sekund i maszyna odezwała się ponownie.

— Większość faksów zostało zaprogramowanych z myślą o wzajemnej komunikacji. Kiedy dochodzi do połączenia, maszyna transmitująca wyświetla nazwę firmy, do której odbywa się transfer.

Maszyna odezwała się jeszcze raz.

— Nie rozumiem — stwierdziła Cheryl ze zdziwioną miną — miejsce przeznaczenia powinno się już wyświetlić na tym małym ekraniku.

Wskazała na mały wyświetlacz ciekłokrystaliczny, który w jakiś tajemniczy sposób nadal pozostawał pusty.

— Nie rozumiem — powtórzyła sekretarka. — Może urządzenie na drugim końcu zostało zaprogramowane tak, by nie ujawniać właściciela.

— Nie mam pojęcia — powiedziałam — ale jeśli dowiesz się, czyje ono jest, zasłużysz sobie na zakupy.

— Zakupy? — spytała Cheryl, wyraźnie gotowa podjąć wyzwanie. — W Neiman Marcus?

— Gdziekolwiek chcesz. Ja stawiam.

— Wiesz, że cię nie zawiodę — stwierdziła moja ambitna, zapracowana sekretarka.

— Ale trudno cię złapać! — wykrzyknął Elliott Abelman. Jego głos brzmiał zupełnie tak, jakby nie mógł złapać oddechu.

— Skąd, u licha, dzwonisz? — prawie że wrzasnęłam. — Ledwo cię słyszę.

— Z automatu przy drodze numer osiem, niedaleko Lee-High w Wisconsin.

— Muszę z tobą porozmawiać — rzekłam. — Dziś rano udało mi się co nieco dowiedzieć. Nie jestem pewna, jak to się ze wszystkim łączy.

— Co? — ryknął Abelman, a w tle rozległ się hałas silnika przejeżdżającego auta.

— Co? — odkrzyknęłam.

— Nie słyszę, co mówisz! — wrzasnął.

— Coś mi się zdaje, że tak się nie dogadamy.

— Mogłabyś tu przyjechać? Powinnaś zobaczyć parę rzeczy i porozmawiać z pewną osobą.

— Z kim?

— Powiem ci, jak przyjedziesz — odparł.

— Jeśli uważasz, że to konieczne. Dojazd samochodem zajmie mi cały dzień...

— Mój znajomy lata jednym z helikopterów badających ruch na autostradach dla telewizji lokalnej, obiecał, że cię tu podrzuci. Dam ci jego numer. Czekaj tylko na telefon od ciebie.

Po południu helikopter wysadził mnie na zamrzniętym boisku do baseballu pośród wyłysiałych drzew podmokłego parku na przedmieściach Mannetuoc, Wisconsin. Kirk, pilot, klepnął mnie w rękę i pomachał na pożegnanie. Po drodze na północ zdążył mi wyjaśnić, że choć Elliott Abelman wygląda jak ołówek, walczył w Wietnamie, gdzie go poznał i gdzie wlatywali w sam środek ognia nieprzyjaciela, zbierając rannych z pola bitwy.

Elliott czekał na mnie. Uścisnęłam jego dłoń z jeszcze większym szacunkiem, a on błysnął swoim niesamowitym uśmiechem. Ubrany był jak na wycieczkę za miasto, w spodnie khaki i kremowy golf. Trudno było nie dostrzec, że spędza sporo czasu w siłowni.

— Zdaje się, że znalazłem miejsce, w którym Gretchen Azorini spędziła ostatnią noc życia. Poza tym anatomopatolog, który przeprowadził sekcję, zgodził się z nami spotkać. Da nam kopię wstępnego raportu.

— Wprost nie mogę uwierzyć, że udało mu się przekonać Whittle'a, żeby na to pozwolił — powiedziałam.

— Bo nie przekonał.

— To jak go namówiłeś do rozmowy z nami?

— Roztoczyłem cały swój urok.

— Kiedy ja się z nim widziałam, trząśł portkami na samo wspomnienie seryfa. Najwyraźniej potrafiłbyś nakłonić zakonnicę, żeby wyskoczyła z habitu — stwierdziłam.

Szare popołudnie rozjaśnił szeroki uśmiech Elliotta Abelmana. Zlustrował mnie od stóp do głów. Nadal miałam na sobie czarny kostium i białą bluzkę, które włożyłam na pogrzeb.

— No, nie wiem — odparł, a w jego oczach pojawił się figlarny błysk. — Powinienem wypróbować to na tobie.

Ku mojemu zdumieniu zarumieniłam się.

— Skąd wytrzasnąłeś takie auto? — spytałam, wciskając się do ohydnie zielonego chevy nova. Nie można było domyślić się jego wieku. Zresztą wolałam nie próbować. W środku cuchnęło dymem z papierosów.

— Wynająłem go od właściciela jedynej stacji benzynowej w Mannetuoc. Pięć dych za dzień.

— Ale taniocha.

— Cieszę się, że tak uważasz, w końcu zapłaciłem twoimi pieniędzmi.

— Daleko jeszcze?

— Jakies pięćdziesiąt kilometrów. Doktor Yarbrough nie chce, żeby ktoś widział go w naszym towarzystwie. Spotkamy się z nim w biurze jego żony. To sześć kilometrów za skrzyżowaniem drogi numer osiem i Standish Road — wyjaśnił i podał mi mapę.

— A po co mi to? — spytałam.

— Będziesz moim pilotem — odparł.

— Nie znam się na mapach — oświadczyłam.

— Żartujesz.

— Nie, nie żartuję. Albo ja poprowadzę, a ty będziesz mnie instruował, albo sprawdzisz co i jak na samym początku. W przeciwnym razie istnieje duża szansa, że nie dotrzemy tam przed zmrokiem.

Spojrzał na mnie ze zdziwioną miną.

— Czemu tak patrzysz?

— Podziwiam cię za to, że przyznajesz się do tak typowej kobiecej słabości, jak brak umiejętności czytania mapy.

— Jestem dobrym prawnikiem i nie znam się na mapach — powiedziałam — jakoś to przeżyję.

Abelman wziął ją ode mnie i rozłożył na kierownicy. Po kilku minutach zjechaliśmy na wąską, zaniedbaną dwupasmówkę. Po obu stronach asfaltu rosły grube sosny. Spoza nich wychylało się szare niebo. Okolicę przykrywała cienka warstwa śniegu. Co kilka kilometrów zauważaliśmy oznaki życia — zdewastowana przyczepa, z okazji Bożego Narodzenia ozdobiona kilkoma lampkami, pogrążony w ciemnościach mały bar, rozwalający się dom, przed którym stał znak oznajmiający: DOMKI DO WYNAJĘCIA — OGRZEWANIE I TELEWIZJA NIEODPŁATNIE.

— Z tego, co wiem, to, co się tu dzieje, związane jest z porami roku — wyjaśnił Elliott. — Wiosną i jesienią przyjeżdżają myśliwi. Latem pojawia się paru rybaków, docierających od Lake Lewanda, jakieś czterdzieści kilometrów na południe stąd. Zima to martwy sezon. Żyją tu nieliczni stali mieszkańcy.

— I dowiedziałeś się, po co Gretchen tutaj przyjechała? — ponagliłam.

— Tak mi się zdaje — odrzekł Elliott, nie spuszczać wzroku z drogi — ale na razie nie ci nie powiem. Chcę, żebyś to zobaczyła. Ciekawe, czy zareagujesz tak jak ja?

— Płonę z ciekawości — brzmiała moja odpowiedź.

— Pojedziemy tam po rozmowie z Yarbrough. Mówiłaś, że masz zamiar mi coś powiedzieć.

Opowiedziałam mu o kopertach z dokumentami Azor przechowywanych przez Gretchen w jej pokojach i eksperymencie z faksem.

— Myślisz, że dziewczyna przekazywała komuś dokumenty Azor? — spytał Elliott, gdy tylko skończyłam.

— Nie wiem. Możliwe, choć nie mam pojęcia, dlaczego miałyby to robić.

Napis głosił: DR WET. JANICE YARBROUGH. Dom wyglądał jak mała czerwona stodoła. Przed nim stały furgony, a o małą komórkę oparte były stogi siana.

Znaleźliśmy się w słabo oświetlonym korytarzyku wysłanym słomą. Po obu stronach znajdowały się klatki ze zwierzętami. Wokół falowały i muczwały ciemne kształty. Wysoka kobieta w brudnym fartuchu wycierała ręce w szmatę i rozmawiała z zatroskanym mężczyzną w wygniecionym berecie.

— Przepraszamy bardzo — wtrącił się Abelman — szukamy doktora Yarbrough.

— To ja jestem doktor Yarbrough — oznajmiła kobieta, po czym jej spojrzenie padło na moje typowo miejskie ciuchy i buty na wysokim obcasie — ale państwu na pewno chodzi o drugiego doktora Yarbrough w rodzinie. Czekaj na was w biurze. Trzecie drzwi na lewo.

Podziękowaliśmy grzecznie i gdy tylko nasz wzrok przyzwyczał się nieco do słabego oświetlenia, trafiliśmy tam bez kłopotów.

Biuro wyglądało jak wnętrze zakładu naprawy tłumików. Ściany pokrywała boazeria z podrabianego drewna, a podłogę popękane linoleum. Stało tam też sfatygowane metalowe biurko i pasująca doń szafka. W rogu znajdowała się mała lodówka, na której spoczywał ekspres do kawy i papierowe kubki. Na jednej ze ścian wisiały świadectwa ukończenia kursów weterynaryjnych i kalendarz ze zdjęciem byka.

Drugi doktor w rodzinie Yarbrough siedział przy biurku swojej żony i przeglądał jakieś akta. Był niski, miał czarne włosy, wyglądające, jakby obcięto je wzdłuż krawędzi włożonej na głowę miski. Wystroił się w niebieską koszulę zapiętą na ostatni guzik i jasnobrązowe sztruksy. Z kieszeni na piersi wystawał futerał na długopisy (z długopisami w środku).

Elliott dokonał prezentacji i uściśniliśmy sobie dłonie. Wyjaśnił doktorowi, jak wiele dla nas znaczy jego zgoda na to spotkanie.

— Whittle zrobiłby wszystko, żeby mnie wyrzucili z pracy, gdyby się dowiedział — powiedział Yarbrough po prostu — ale to głównie jego wina. Od dziesiętnastu lat jest szeryfem Meechum County. Najciekawsze wydarzenia, jakie miały miejsce w tym czasie, to jakieś domowe spory, w wyniku których mąż i żona trafiali do trupiarni. Teraz uważa, że trafiło mu się morderstwo na tle seksualnym i jest jak pies, który wreszcie wywęszył kość. Trochę w tym też mojej winy. Powinienem być trzymać gębę na kłódkę, ale nie pomyślałem, że ktoś może być aż tak głupi.

— Chyba nie za bardzo chwytam, o co chodzi — uśmiechnął się Abelman.

— Nic dziwnego, w końcu gadam bez ładu i składu — sumitował się anatomopatolog — powinienem zacząć od początku. Otóż na początku nikt mnie nie wezwał. W tym problem. Nie widziałem ciała *in situ*. Zanim do mnie zadzwonili, zwłoki już były przewiezione do szpitala.

— Nie jest to zwyczajna procedura — wtrącił Elliott.

— Mannetuoc nie jest miejscem, w którym wie się o czymś takim. Whittle zadzwonił, ale mnie nie było. Wezwał mnie pagerem, ale ponieważ nie oddzwoniłem natychmiast, zdecydował, że nie będzie stał i marzył ze swoimi ludźmi, sfotografował ciało i zawiózł je do szpitala.

— Żadnych badań na miejscu? — spytał Abelman.

— Pan raczej żartować. Kiedy ją stąd zabrali, wszystko warte uwagi zostało wdeptane w błoto przez chłopców szeryfa. Ludzie z wydziału zabójstw mają takie powiedzenie: „Ofiara umiera raz, ale miejsce zbrodni może być mordowane bez końca”. Whittle to koszmar policjantów od zabójstw.

Ciało znajdowało się w krzakach jakieś dziewięć metrów od drogi. Była ubrana, ale nieodpowiednio na taką pogodę. Tylko koszula i spodnie. Leżała twarzą do ziemi. Gdy ją odwrócili, jeden z oficerów odnotował wybroczyny —

miała przekrwione oczy i popękane naczynia krwionośne twarzy.

W czasie wstępnych oględzin zauważyłem zadrapania na szyi. Jak do tamtej pory wszystko wskazywało na zabójstwo poprzedzone gwałtem. Niemal wszystkie młode kobiety, które giną na takim odludziu, są ofiarami tego rodzaju zbrodni. Niemal każda umiera wtedy w wyniku uduszenia. To wyjaśniałoby wybroczyny i ślady ucisku na gardle.

Kiedy doszedłem do tego, pojawił się szeryf. Koniecznie chciał poznać moją opinię. Byłem niezłe wkurzony, że zabrał zwłoki z miejsca znalezienia i powiedziałem mu to wprost. Usiłowałem wykazać mu jego ignorancję. Wyjaśniłem, że to prawdopodobnie morderstwo, a on, zajmując się nim od niecałej godziny, zdążył wszystko beznadziejnie sknocić przez poruszenie ciała. Wybiegł ode mnie jak poparzony, ale miał, czego chciał.

Kiedy wziąłem się do autopsji, sprawy się skomplikowały. Miała złamany nos, przygryzioną dolną wargę i język. Ślady przygryzienia wskazywały na atak drgawkowy. Przez miesiąc pracowałem w biurze głównego lekarza Dade County. W wielu wypadkach te same ślady towarzyszyły przedawkowaniu kokainy. Nos mogła złamać w rezultacie upadku albo osłabienia przegrody wynikającego z używania tego narkotyku. Wtedy zauważyłem podskórne zabliznienia na udach. Uznałem, że przyczyną są częste zastrzyki. No i sprawa prosta! Dziewczyna bierze narkotyki.

— Była diabetyczką — wtrąciłam — ślady ukłuć pochodziły od zastrzyków insuliny.

— Teraz już wiem — odparł Yarbrough ze smutkiem — ale badania nie wykazały obecności glukozy ani w płynie ocznym, ani w moczu. Ataki tego typu występują u diabetyków w wyniku hiperglikemii, przy której zawartość cukru w oczach i moczu jest wysoka.

— A pan nie wykrył go ani trochę — zagadywałam.

— Dokładnie. Zbadałem mocz pod kątem obecności kokainy. Nic z tego, ale nasz szpitalny zestaw do badań ma duże prawdopodobieństwo błędu. W dodatku nie używamy go zbyt często, dlatego wysłałem próbkę do laboratorium, żeby sprawdzili, czy nie ma w niej metabolitu kokainy, zwłaszcza że nie wiedziałem, jak dużo czasu upłynęło od śmierci do znalezienia ciała.

Przezesiałem włosy łonowe. Pośród nich znajdowało się kilka innych, nienależących do ofiary. Pobrałem wymazy z ust, odbytu i pochwy. W ustach i odbycie nie było nic. Odbyła stosunek pochwowy. Na podstawie próbki spermy stwierdziłem grupę krwi jej partnera. A minus, stosunkowo rzadko spotykana.

Następnie przeprowadziłem autopsję. Przyniosłem państwu kopię mojego wstępnego raportu, ale może po prostu powiem w skrócie, o co w nim chodzi. Otóż na podstawie umiejscowienia spermy, przyjmując średnią ruchliwość plemników, twierdzę, że w przeciagu doby poprzedzającej zgon odbyła dwa

stosunki. Pierwszy — dwanaście do szesnastu, drugi — cztery do sześciu godzin przed śmiercią. W trakcie obydwu prawdopodobnie leżała na plecach.

Zadrapania znajdowały się również w innych miejscach — na dłoniach i kostkach. Mimo tego, że najgłębsze znalazły się na szyi, tchawica była nieuszkodzona. Pod paznokciami nie miała krwi ani naskórka. Żołądek był pusty. Całkowicie. Rozciągnięty pęcherz moczowy. Poza tym to idealnie zdrowa dziewczyna. Wysłałem próbki do głównego laboratorium sądowego w Illinois, załączając próbki nasienia, wycinek wątroby i prośbę o pośpiech.

— To co ją w końcu zabiło? — spytał Elliott.

— W owej chwili nie za bardzo wiedziałem, co sądzić — przyznał się doktor. — Na pierwszy rzut oka zdawało mi się, że to morderstwo na tle seksualnym, ale nie ma śladów gwałtu — co wcale nie musi znaczyć, iż nie miał miejsca — i rozstrzygających dowodów morderstwa. Wybroczyny mogły zostać spowodowane leżeniem twarzą w dół, małe zwierzęta mogły przyczynić się do powstania zadrapań. Gdyby ją uduszono, tchawica z pewnością zostałaby zmiażdżona. Możliwe, że dopływ powietrza został odcięty inaczej, na przykład przez przygniecenie twarzy poduszką, ale to już spekulacje. Dlatego odrzuciłem hipotezę zabójstwa na tle seksualnym i przychyliłem się do hipotezy o stosunku płciowym, po którym nastąpiło przedawkowanie kokainy.

W każdym razie nie mogłem stwierdzić dokładnie co i jak przed otrzymaniem wyników badań toksykologicznych. Ale cóż! Następnego ranka dzwoni do mnie Whittle i mówi, że zidentyfikował naszą nieznaną jako następczynię tronu jakiegoś mafioso z Chicago. Powiedziałem mu o problemach z ustaleniem przyczyny zgonu Wtedy oszalał. Właśnie czekał na ekipę telewizyjną z Chicago, która miała przeprowadzić z nim wywiad, a ja tu twierdzę, że jego sexy ofiara może nie została w ogóle zamordowana.

— Ekipa telewizyjna? — zdziwiłam się. — W mediach nie było prawie nic na ten temat.

— Szeryf twierdzi, że rodzinka ma wielkie chody i udało im się to zdjąć. Mówię wam, przez to jeszcze mu się pogorszyło. Wydałem tymczasowy akt zgonu, by można było pochować ciało. Kilka dni później zadzwoniła pani i poinformowała mnie, że dziewczyna była diabetyczką uzależnioną od insuliny. Skontaktowałem się z jej lekarzem i wszystko zaczęło się zgadzać. Teraz uważam, że zmarła w wyniku hipoglikemii — w tym momencie przerwał, chcąc złapać oddech.

Czekaliśmy cierpliwie, co powie dalej.

— To tylko teoria — podjął doktor — ale jedyna, która może wyjaśnić wszystkie fakty. Brak cukru w moczu i płynie ocznym, podskórne zabliznienia, rozszerzony pęcherz, a nawet pusty żołądek i ślady przygryzień.

Spojrzeliliśmy na anatomopatologa w oczekiwaniu na dalsze wyjaśnienia.

— No dobra. Wprowadzenie do endokrynologii: kiedy człowiek nie chorujący na cukrzycę je i trawi pokarm, składniki odżywcze zostają włączone do krwioobiegu, przez co poziom cukru we krwi zauważalnie wzrasta. Insulina jest produkowana w trakcie przepływu krwi przez trzustkę. Potrzebna jest komórkom w celu umożliwienia absorpcji cukru i wykorzystania go do produkcji energii. Ludzie z cukrzycą typu II, na którą chorowała zmarła, nie wytwarzają odpowiedniej ilości insuliny albo, jak w jej wypadku, nie wytwarzają jej w ogóle. Muszą ją wstrzykiwać do organizmu, by pokarm mógł zostać strawiony i wykorzystany. Jeśli tego nie robią albo nie wstrzykną dawki odpowiadającej ilości przyjmowanego pożywienia, ich organizm wytwarza dwa szkodliwe produkty uboczne, ketony i kwasy. Gdy trafiają one do krwi, człowiek zapada na kwasicę ketonową, która nieleczona wywołuje śpiączkę i śmierć.

— Czyli Gretchen Azorini zmarła w wyniku kwasicy ketonowej? — spytał Elliott.

— Nie — odparł doktor Yarbrough — lecz jest to najczęstsza przyczyna zgonu wśród diabetyków. Dlatego rutynowo sprawdzamy obecność glukozy w płynie ocznym i moczu. Ale, proszę sobie przypomnieć, wszystkie próbki okazały się ujemne. Gdyby zmarła w wyniku hiperglikemii, kwasicy ketonowej i śpiączki, mielibyśmy do czynienia z nienormalnie powiększoną zawartością glukozy. Dlatego uważam, że przyczyną zgonu była hipoglikemia, przy której poziom cukru we krwi jest zbyt niski albo, jak w tym wypadku, zerowy.

— Co wywołuje hipoglikemię? — spytałam.

— Jest kilka możliwości. Mogła przedawkować insulinę, choć w jej wypadku, ze względu na pusty żołądek, nie musiała wziąć wiele, by do tego doszło. Możliwe, że wzięła normalną dawkę, po czym nie jadła albo jadła i wymiotowała, na przykład w wyniku grypy.

— Były jakieś oznaki choroby? — spytał Abelman.

— Liczba białych ciałek była w normie, ale oznacza to tylko, że nie miała infekcji bakteryjnej. Grypa jest najczęściej wywoływana przez wirusy. Przy badaniu pośmiertnym trudno cokolwiek stwierdzić. W wypadku hipoglikemii poziom cukru spada gwałtownie. Często występują ataki, co wyjaśniłoby przygryzienie dolnej wargi i języka, typowe dla drgawek.

— Jest pan tego całkowicie pewien?

— Wcale nie jestem pewien — odparł anatomopatolog szczerze — dlatego właśnie postanowiłem państwu o tym powiedzieć. Muszę poczekać na wyniki badań toksykologicznych. Istnieje możliwość, że cukrzyca nie cukrzyca, dziewczyna przedawkowała kokainę. Z drugiej strony, jeśli nie brała narkotyków, tylko hipoglikemia godzi ze sobą wszystkie fakty. Po prostu mam nadzieję, że

skoro prowadzicie śledztwo w sprawie jej śmierci, to dowiecie się czegoś, co mogłoby mnie utwierdzić w tym przekonaniu.

— A Whittle? — spytał Elliott.

— Ściągnął i przesłuchał wszystkich znanych przestępców seksualnych z okolicy. Przepytał chyba każdego z mężczyzn, który mógł rozmawiać z Gretchen Azorini na przestrzeni około dziesięciu lat. Jest delikatny jak SS. Nie może też pogodzić się z faktem, że rodzina uruchomiła znajomości, by nic się nie pojawiło na ten temat w prasie. Szeryf oddałby wszystko, byle tylko zobaczyć siebie w wiadomościach wieczornych. Uważa, że obecnie jego jedyną szansą na zdobycie sławy jest zaarrestowanie zabójcy, jakiegokolwiek zabójcy.

— Czyli nie przekonuje go pańska teoria hipoglikemii?

— Widzi tylko zabójstwo na tle seksualnym. Gdyby dowody, że było inaczej, spadły z nieba prosto na jego głowę, najprawdopodobniej i tak by się odwrócił.

Po zakończeniu spotkania z doktorem Yarbrough Elliott Abelman wywiózł mnie na pustkowie. Przejechaliśmy przez gęsty las sosnowy i znaleźliśmy się na wąskiej, wyboistej drodze pokrytej warstwą lodu. Od czasu do czasu mijaliśmy znaki: ZAKAZ POŁOWANIA poprzybijane do drzew. Część z nich wyglądała na ostrzelane ze śrutu. Poza tym w okolicy nie było żadnych śladów życia.

— To wszystko jest własnością Joeya Azoriniego — wyjaśnił Elliott, usiłując równocześnie utrzymać auto na drodze. — Według akt, te sześćdziesiąt tysięcy akrów należy do Duke Realty Development Corporation z Chicago, ale to tylko przykrywka.

— Chciał przerobić to na ośrodek łowiecki z domkiem dla myśliwych, burdelikiem i kasynem — wyjaśniłam.

— Kto by chciał tu przyjechać? Nie lepiej polecieć do Vegas? Tam jest przynajmniej ciepło.

— A możesz ustrzelić łosia w Vegas? — spytałam.

— Na pewno da się to załatwić.

Samochód zwalniał. Pomyślałam, że kończy się paliwo, ale potem zdałam sobie sprawę, iż dojechaliśmy do końca drogi. Dosłownie. Spomiędzy drzew wyglądał domek.

Był zaniedbany, ale na pewno nie stary. Z frontu znajdował się szeroki ganek, na który można wychodzić w ciepłe letnie wieczory. Dach wykonano z drewna. Nie było trawnika ani chodnika prowadzącego do drzwi. Najwyraźniej Joey wyciął niewielką polanę, doprowadził do niej drogę i postawił domek. Z tego, co pamiętałam, miał on być bazą, z której nadzorowano by budowę ośrodka. Wyglądało na to, że na nim zapął się wyczerpał. Chwasty zarastały drzwi. Domek wydawał się nieprzyjemny i opuszczony, przynajmniej z zewnątrz.

— To tu przyjechała Gretchen Azorini? — spytałam, brnąc przez błoto ku drzwiom wejściowym i myśląc z rozpaczą o umorusanych nowych butach Ferragamo.

Abelman przytaknął głową. Podał mi parę rękawiczek z lateksu, takich, jakie zwykle noszą lekarze.

— Włóż je — nakazał — niczego nie dotykaj. Kiedy przyjechaliliśmy tu dziś rano, drzwi były otwarte.

Ściany nie były wykończone, ale suche. W powietrzu unosił się słaby zapach pleśni, a może po prostu wsi. Nigdy nie potrafiłam ich rozróżnić.

Na dole znajdowały się dwa pomieszczenia. Pierwsze było dużym salonem, w którym stał wielki kamienny kominek. W środku widać jeszcze było pozostałości spalonych polan. Ktoś przysunął doń dwa drewniane fotele. W pomieszczeniu obok znajdowała się wąska kuchnia pełna nowoczesnych urządzeń. Wszystko wyglądało na idealnie czyste, do chwili kiedy ktoś przyszedł i porozsypywał talk.

— Chodź na górę, poznasz Lou — odezwał się Elliott.

— A kto to taki?

— Spec od medycyny sądowej z policji w Chicago. Wziął dziś wolne, żeby tu przyjechać.

Wdrapałam się za Abelmanem na wąskie schody.

— Są tu dwie sypialnie. Jedna z nich wygląda na niewykorzystywaną od ładnych paru lat. Za to ta druga jest interesująca.

Otworzył drzwi tej interesującej.

— Powiedz jej, żeby niczego nie dotykała — warknął Lou zamiast przywitania. Był grubym mężczyzną po czterdziestce. Miał na sobie fioletowy strój do gry w kregle z napisem „Kinzie Lanes” na plecach.

Spodnie ześliznęły mu się z dużego brzucha. Klęczał przy łóżku, a spod dżinsów wystawało mu to, co większość ludzi ukrywa pod majtkami. Gdy Elliott nas sobie przedstawił, wygramolił się spod łóżka i podniósł z wyraźną niechęcią. Wymieniliśmy uścisk dłoni osłoniętych lateksem.

Sypialnia wyglądała tak jak pozostała część chaty, tyle że tu przynajmniej ktoś starał się zaprowadzić jako taki porządek. Łóżko nie było zasłane, ale leżała na nim pościel Laury Ashley, warta przynajmniej patola. Do obu stron łóżka podsunięto krzesła spełniające wyraźnie funkcję stolików. Na jednym stał zegar Movado, kryształowa karafka i szklanka. Drugie zajmowało pudełko na chusteczki z żółwiej skorupy i kryminał Agathy Christie „Morderstwo Rogera Ackroyda” w twardej okładce. Na obydwu znajdowały się lampki Waterford zwieńczone sztywnymi abażurami.

Usiadłam na łóżku i zaczęłam się rozglądać, kuląc się pod wpływem zimna.

— Nieźle — rzucił Lou.

— Co znalazłeś? — spytał Elliott.

— Niezbyt wiele. W przeciągu ostatnich dwu tygodni ktoś tu dokładnie posprzątał. Znalazłem parę pojedynczych włosów w łóżku. Długie, rude i krótkie, ciemnobrązowe, a ponadto włosy łonowe — rude i brązowe. Pościel wezmę ze sobą do laboratorium. Są na niej plamy spermy. Spróbuję określić grupę krwi gościa.

— Jakież odciski palców?

— Nawet nie ma co sprawdzać — odparł Lou. — Dziewczyna pozostawiała je wszędzie. W łazience, na stoliku, każdej szufladzie i drzwiach. Zupełnie, jakby wszędzie zaglądała.

— A facet? — rzucił Abelman.

— Nic. Zero. Jakby go tu w ogóle nie było.

— Może miał na sobie rękawiczki? — spytałam.

— Mało prawdopodobne. Nie zostawiłby wtedy odcisków, ale jakiś ślad zostawiłby na pewno. Nic takiego nie znalazłem. Gość musiał być cholernie ostrożny.

— Coś poza tym? — Elliott nie dawał za wygraną.

— Jeszcze nie. Mam pół godziny, zanim zajdzie słońce. Potem na pewno nic już nie odkryję.

— Poczekamy na dole — rzekł Abelman. Usiadłam na jednym z foteli i owinęłam się swetrem.

— Gdzie znaleziono ciało? — spytałam.

— Około dziewięciu metrów od drogi, którą jechaliśmy, cztery kilometry od miejsca, w którym łączy się z asfaltówką. Nie dość, że spadł deszcz, to jeszcze chłopcy szeryfa dość sprawnie pozacierali ślady przez swoją ignorancję. Samochody policyjne krążyły bez sensu po drodze, dzięki czemu na jakiegokolwiek ślady opon nie ma co liczyć.

— Czy szeryf przeszukiwał domek?

— Nie. Z tego, co mówił mi jego zastępca, Whittle kazał trzymać się stąd z daleka. Wygląda na to, że chociaż Joey nie zamierza zrealizować swoich planów rozbudowy, nadal ma spore chody.

— Dlaczego?

— Prawdopodobnie przekupił szeryfa. Nabywanie całej tej ziemi nie miało by sensu, gdyby nie trzymał glin w garści.

— W takim razie dlaczego mu pozwala na rozgłaszanie teorii o gwałcie i zabójstwie? Lepiej dla niego byłoby, gdyby Whittle trzymał język za zębami.

— Nie wiem. Ta sprawa to jedno wielkie pomieszanie z poplątaniem. Co sądzisz o tym miejscu?

— To gniazdko zakochanych. Gretchen umeblowała je, a przynajmniej wybrała wystrój. W domu i internacie ma podobną pościel. No i była tu nie raz. Gdyby to chodziło tylko o jedną noc, nie zawracałaby sobie głowy wnoszeniem lamp, karafki z wodą...

— Ale po co jeździć tak daleko? Policja poszukuje jej kochanka pośród miejscowych, ale jak do tej pory nic z tego.

— Gretchen mówiła Beth, że gdyby Stephen dowiedział się o tym związku, byłby wściekły. Czy aż tak bardzo wkurzyły go jakiś prostaczek?

— Może wystarczyłyby sam fakt, że sypia z mężczyzną — zasugerował Elliott.
— Miała szesnaście lat.

— Stephen w jej wieku wyczyniał różne dziwactwa. Nie sądzę, żeby miał rozdawać gratulacje, ale na pewno nie zabiłby nikogo.

— No dobrze, przyjmijmy, że to nie żaden z miejscowych chłopaków. Kto wtedy pozostaje? Dlaczego miałyby jechać z kimś do Wisconsin tylko po to, by się z nim przespać? Może to ktoś z Chicago. Ktoś, kto nie chce, by widziano ich razem.

— Może — zastanowiłam się na głos. — Ale może źle to wszystko interpretujemy. Podchodzimy do sprawy z punktu widzenia osoby dorosłej. Gdzie latałeś na panienki w szkole średniej, Elliott?

— Grzeczni żydowscy chłopcy z Highland Park nie latali za panienkami — odparł Abelman niewinnie.

— Mówię poważnie — oświadczyłam. — Dzieciaki ze szkoły średniej rzną się na lewo i prawo. Problem w tym, że mają mało wolności i jeszcze mniej prywatności. Brak własnego mieszkania, a w samochodzie jest za ciasno. Kiedy jesteś nastolatkiem, prywatność, prawdziwa prywatność właściwa dorosłym, jest niemal nieosiągalna.

— Na tyle nieosiągalna, żeby jechać pięć godzin na jakieś odludzie?

— Gdy się ma szesnaście lat? — spytałam. — Elliott, zastanów się. Czy w wieku szesnastu lat nie przejechałbyś pięciu godzin, żeby zabawić się z jakąś panienką?

— Czy Popeye nie je szpinaku?

Lou człapał w dół po schodach. Niósł pościel w plastikowej siatce i dużą podręczną torbę.

— Już po wszystkim? — spytał Abelman.

— Uhm — sapnął Lou.

— Znalazłeś coś jeszcze?

— Tylko to — odparł, upuścił torbę i podał mi woreczek zawierający pustą strzykawkę i złamaną na pół igłę.

Rozdział 15

Po powrocie do Chicago byliśmy głodni, brudni i mieliśmy Lou po dziurki w nosie. Dwadzieścia lat spędzonych na oglądaniu miejsc zbrodni i odkurzaniu trupów zrodziło setki opowieści, po wysłuchaniu których każdy zwątpiłby w swoje poczucie humoru. Z ulgą pomachaliśmy mu na pożegnanie i przedyskutowaliśmy dalsze postępowanie. Wyjaśniłam Elliottowi, że jesteśmy równie blisko mojego mieszkania jak i biura, ale tylko w mieszkaniu mam tyle suchych skarpet, by starczyło dla nas obydwójga. Zgodziliśmy się, że wybór jest prosty.

Po drodze zatrzymaliśmy się przy Harold's na Pięćdziesiątej Trzeciej i kupiliśmy pieczonego kurczaka. Ta knajpka jeszcze bardziej zafrapowała Abelmana, który zdawał się zaskoczony faktem, iż mieszkam w Hyde Parku. We frontowym oknie widniał neon przedstawiający kucharza z toporkiem w rękę goniącego kurczaka. Zakupu dokonywało się przez kuloodporną szybę, za pomocą małego obrotowego talerza, do którego wkładało się pieniądze, a wyjmowało dymiącą torbę z najlepszymi kawałkami kurczaka na świecie.

Nasze głosy obudziły Claudię. Weszła do salonu i przetarła zaspane oczy. Jak zwykle miała na sobie jakieś chirurgiczne szmaty.

— Elliott Abelman, moja współlokatorka, Claudia Stein — powiedziałam. Uścisnęli sobie dłonie.

— Ach, to ten sympatyczny prywatny detektyw — wymamrotała. — Zdaje mi się, czy czuję kurczaka od Harolda.

Przytaknęłam.

— Z super ostrym sosem?

— Nie — odparłam — zamówiłam zwykle. To dla Elliotta. Pierwszy raz.

— Słusznie, lepiej być ostrożnym. Proszę mi wybaczyć, ale wracam do łóżka.

— Interesująca współlokatorka — zauważył Abelman, gdy tylko Claudia zamknęła za sobą drzwi sypialni.

— Jest chirurgiem — oznajmiłam, jakby to wszystko wyjaśniało.

— Lekarz z prawnikiem mieszkają w takich warunkach? — rozejrzał się z niesmakiem po salonie.

— W naszym mieszkaniu tkwi wewnętrzne piękno.

— W waszym mieszkaniu tkwią kłęby kurzu — odparł Elliott.

— Chcesz parę suchych skarpet, zimne piwo i pieczonego kurczaka, czy może wolisz posprzątać? — spytałam stanowczym tonem.

— Poproszę skarpety z piwem.

— Słuszna decyzja.

Cisnęłam mu parę czystych skarpet i pokazałam, gdzie jest lodówka. Następnie weszłam do sypialni i przebrałam się w dżinsy i bluzę z napisem „University of Chicago”, wyciągniętą ze stosu niedobrudzonych ciuchów. W kuchni Abelman otworzył dla mnie puszkę old style'a, a ja rozpakowałam kolację. Nasze porcje składały się z trzech kawałków kurczaka i stosu frytek spoczywającego na dwóch kromkach chleba (mających wchłonąć tłuszcz) ułożonych na papierowych talerzykach. Przez chwilę koncentrowaliśmy się na jedzeniu, ale po spałaszowaniu drugiego kawałka Elliott zauważył, że patrzę niewidzącym wzrokiem w dzielącą nas przestrzeń i bezwiednie ściskam swoje drugie piwo.

— O czym myślisz? — spytał.

— Jak to dobrze być z powrotem w Chicago — odparłam, zresztą zgodnie z prawdą. — Dziwnie się czułam w Wisconsin.

— Jak typowy mieszczuch?

— Jasne. Kiedy się urodziłam, moi rodzice mieli wielkie mieszkanie na Lake Shore Drive. Po przyjeździe na świat mojego brata, postanowili przeprowadzić się do Lake Forest. Miałam wtedy pięć lat. Myślałam, że jedziemy do lasu, jak Jaś i Małgosia. Płakałam przez cały miesiąc.

— Twój brat też jest prawnikiem? — spytał Abelman, pragnąc podtrzymać rozmowę.

— Nie, umarł, kiedy byłam w szkole średniej.

— Przykro mi to słyszeć.

— Nie przejmuj się.

— Nie chcę wnikać. Po prostu ciekawisz mnie.

— Ja ciebie? A to niby dlaczego? — rzuciłam, autentycznie zdziwiona.

— Wiesz, o co chodzi. Twoja rodzina to chicagowski odpowiednik rodziny królewskiej. Nie mogę zrozumieć, po co pracujesz w Callahan Ross.

— Czemu?

— W takich firmach trzeba harować. Ilu nowych pracowników może liczyć na zostanie udziałowcem?

— Jakież dwadzieścia pięć procent.

— Ile godzin musisz rocznie przepracować?

— Tysiąc osiemset, jeśli chcę zostać w firmie; dwa razy tyle, jeśli zamierzam dochrapać się stanowiska.

— I tego właśnie nie rozumiem. Ludzie chcący zostać udziałowcami w takiej firmie jak Callahan najczęściej są inteligentni i cholernie ambitni. Zwykle pochodzą z niższych sfer i widzą awans jako bilet do krainy wielkich pieniędzy.

— To prawda — przyznałam.

— Założę się, że mogłabyś kupić i sprzedać cały zarząd Callahan Ross.

— W jednym kawałku?

— Wiesz, o co mi chodzi.

— Masz rację, wiem, o co ci chodzi. Cóż mam powiedzieć? Nie robię tego dla pieniędzy, choć muszę przyznać, że zarabianie ich jest w pewnym sensie przyjemne. Robię to, co lubię i w czym jestem dobra. Wielu ludzi z firmy myśli, że chcę w ten sposób zademonstrować, iż nie jestem od nich gorsza. Teoria brzmi tak: niektórzy bogacze chcą się rozerwać, włączając na góry, ja natomiast postanowiłam wspiąć się na szczyt wydziału fuzji i wykupów Callahan Ross. Perwersyjne, co?

— A prawdziwe?

— Nie, przynajmniej nie w taki sposób, jak im się wydaje. Poszłam na prawo, bo nie byłam w stanie zaakceptować tego, co dla mnie zaplanowano po studiach.

— Cóż to było takiego?

— Miałam przez rok spotykać się z różnymi facetami, wybrać kogoś, kogo znałam całe życie, bogatego na tyle, żeby nie żenił się ze mną dla pieniędzy. Założyć rodzinę, urządzić dom, poświęcić czas odpowiednim organizacjom charytatywnym. Rozumiesz, żyć tak, jak wymaga tego mój status społeczny.

— Brzmi nieźle.

— Wcale nie. Wiem, w porównaniu z problemami naszego świata, moje narzekania wydają się małosłowne, ale co na to poradzę? Gdy tylko sobie pomyślałam o powrocie do Chicago, czułam, jak coś mnie dławi.

— I dlatego poszłaś na prawo.

— Przez co zainteresowałam się przepisami dotyczącymi obrotu papierami wartościowymi, zwłaszcza fuzjami i wykupami przedsiębiorstw.

— Dlaczego?

— Kto wie? Może odziedziczyłam coś po dawnych Millhollandach, tych zgniłych kapitalistach? W każdym razie nigdy nie przemknęło mi przez myśl, żeby zrezygnować tylko dlatego, że jestem kobietą, a w tym fachu niewiele jest kobiet. Millhollandowie zawsze zdobywają to, do czego dążą.

— A teraz, skoro już to zdobyłaś, nadal tego chcesz?

— Ta rozmowa sięga coraz głębiej — powiedziałam. — A ty? Ciebie też trudno rozszyfrować.

— Tak?

— Jak to się stało, że inteligentny żydowski chłopak z Highland Park lata helikopterem, pracuje jako śledczy w prokuraturze rejonowej i otwiera swoją agencję detektywistyczną? Jakoś nie widzę ciebie przyczajonego w samochodzie pod jakimś hotelem, czekającego na okazję sfotografowania jakiegoś niewiernego męża.

— Próbowałem sił jako prawnik i zbytnio mi się to nie spodobało.

— Naprawdę?

— Po powrocie z Wietnamu poszedłem na prawo do DePaul. Na studiach było fajnie, choć trochę dziwnie się czułem pośród tych wszystkich jajogłowych. W końcu dopiero co wyszedłem z piechoty morskiej.

— No i co się stało?

— Nic. Ukończyłem studia na czwartej pozycji i zacząłem praktykować w Benish, Carmichael. Pewnie nawet nigdy o nich nie słyszałaś.

Przyznałam się, że istotnie tak jest.

— To na LaSalle Street. Zatrudnionych jest tam czterdziestu ludzi. Gdzie kończyłaś studia? Na Harvardzie?

— Uniwersytet Chicago.

— No widzisz. Wielu prawników nie wywodzi się ani z Harvardu, ani z Michigan, ani z Chicago i pracują w firmach takich jak Benish, Carmichael. Zajmują się sprawami typu subrogacje roszczeń ubezpieczeniowych. Przez cały pierwszy rok siedziałem nad dużą sprawą dotyczącą szkód cywilnych. Pociąg, który wiózł zbiornik z trującym gazem, wykoleił się i gaz zaczął się ulatniać. Musieli ewakuować całą okolicę, dopóki nie zostanie całkowicie odkażona. Reprezentowaliśmy fabrykę odpowiedzialną za transport. Mieliśmy na karku cztery tysiące powodów i dwa razy tyle spraw w sądzie. Kolej miała swoich własnych adwokatów.

— I nie podobało ci się to?

— Za mało powiedziane. To było coś strasznego. Pociąg wykoleił się w getcie. Powodami sterowali ich adwokaci i codziennie musiałem przekrzykiwać się z jakimiś nędznymi prawniczymi liczącymi na duże pieniądze. Zarabiałem mnóstwo, ale uznałem, że nie jest to aż tyle warte.

— To dlaczego nie zmieniłeś firmy?

— Zmieniłem. Przeszedłem do Arlo Standisha.

— To już coś. — Arlo Standish był jednym z najgłośniejszych adwokatów w sprawach kryminalnych w mieście.

— Arlo zachowuje się jak primadonna, ale niewątpliwie jest najlepszy. Jeśli przyłapią mnie kiedyś na uduszeniu kogoś, natychmiast zadzwonię do Standisha. Krótko mówiąc, zajmowałem się u niego robotą śledczą i po pewnym czasie zdałem sobie sprawę, że to mi się bardziej podoba od ślęczenia nad grubymi tomiskami przepisów. Popracowałem z nim jeszcze parę lat, po czym dostałem propozycję od prokuratora rejonowego. Pomyślałem sobie, że lepiej sadzać bandziorów za kratki, niż przyczyniać się do ich zwalniania.

— Coś ty? Arlo na pewno ma jakichś niewinnych klientów.

- Teoretycznie tak. Jednak nie miałem okazji takiego poznać.
- Dlaczego rzuciłeś pracę w prokuraturze?
- Miałem dosyć tych wszystkich układów. Chciałem sam sobie dyktować warunki. Chciałem, by mi płacono tyle, ile jestem wart, a nie tyle, ile nakazuje jakieś rozporządzenie.

Elliott skończył ostatni kawałek kurczaka, spojrzął na chleb i odsunął od siebie talerzyk.

— No, my tu gadu-gadu — zaczął — a nadal nie wiemy, jak doszło do tego, że Gretchen Azorini znalazła się w przydrożnym rowie.

— Została zamordowana — powiedziałam i postawiłam piwo na stole — przez kogoś cholernie cwanego.

— Na jakiej podstawie tak sądzisz? — spytał Abelman, uniósł brew i uśmiechnął się wyzywająco.

— Tylko w ten sposób można wyjaśnić wszelkie okoliczności — odparłam — poza tym wszystko jest zbyt eleganckie, żeby mogło być inaczej. Zastanów się. Kiedy morderca wreszcie podjął decyzję o usunięciu dziewczyny, zdawał sobie sprawę, że to niezwykle łatwe. Spotykali się zawsze w Wisconsin, w chatce, o której nikt nic nie wiedział. Idealne miejsce, by zabić diabetyka uzależnionego od insuliny.

Przyjechali oddzielnie. Spotkali się na parkingu pod K-martem. Tam przesiedli się do jego auta. Założę się, że na tylnym siedzeniu leżała torba z zakupami. Przybyli do domku, kochali się i poszli spać. Albo raczej to Gretchen poszła spać. W nocy morderca wyśliznął się z łóżka i wytarł wszystkie swoje odciski. Rano kochali się ponownie. Potem on rzekł: „Kochanie, idź, weź prysznic, a ja przygotuję śniadanie”.

Kiedy wiedział już, że wzięła insulinę i stała pod prysznicem, wystarczyło zabrać jej torebkę, torbę z jedzeniem i wyjechać. Zatrzymał się jeszcze tylko przy jeepie, pootwierał drzwi i włożył kluczyk do stacyjki w nadziei, że ktoś się połąkami na wóz, zanim pojawią się jakieś podejrzenia. To takie proste z jego punktu widzenia. Dziewczyna umiera, a on jest dwieście kilometrów dalej.

Nagle zrobiło mi się niedobrze na myśl o mężczyźnie zdolnym kochać się z młodą dziewczyną, którą ma zamiar zabić. Poczułam zimny, metaliczny smak w ustach.

— Tymczasem Gretchen umiera straszliwą śmiercią. Wychodzi spod prysznic, ubiera się i schodzi na dół, by zjeść śniadanie ze swoim przyszłym mężem. Nie zastaje nikogo. Szuka go, myśląc, że to jakiś niewinny żart. Okazuje się jednak, że naprawdę nikogo poza nią nie ma w domu.

Wie, że wzięła insulinę i musi jak najszybciej coś zjeść. Otwiera wszystkie szafki i szuflady w poszukiwaniu czegokolwiek... Nie może znaleźć torebki, w której ma pastylki glukozy. W trakcie tego wmawia sobie, że musi istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie. On zaraz wróci z bagażnikiem pełnym drewna do komin-ka albo opowieścią o pościgu za jeleniem...

Jednak wkrótce zaczyna naprawdę się bać. Czuje kropelki potu na czole, pierwsza oznaka hipoglikemii. Wie, co ją czeka i jak mało ma czasu. Rusza w stronę wsi — lepsze to niż nic, mówi sobie — może spotka go po drodze.

Ale on nie nadjeżdża. Dziewczyna czuje zawroty głowy i traci koordynację ruchową. Wpada w krzaki. Zaczynają się drgawki...

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, przytłoczeni tą okropną wizją.

— Oczywiście nie wszystko poszło zgodnie z planem. Na pewno nie przewidział, że mieszkańcy Mannetuoc okażą się na tyle uczciwi lub leniwi, by nie ruszyć samochodu. Szeryf Whittle twierdzi, że ci kłusownicy natknęli się na jej zwłoki najzupełniej przypadkowo. Zabójca miał nadzieję, iż upłynie parę tygodni. Do tego czasu pogoda i zwierzęta zniekształciłyby ciało w stopniu uniemożliwiającym dokładne ustalenie przyczyny zgonu. Bez wahania przyjęto by wtedy tezę o zabójstwie na tle seksualnym. Poza tym nie można by było precyzyjnie określić, kiedy nastąpił zgon. Co ciekawe, gdyby morderca miał jeszcze mniej szczęścia i kłusownicy odnaleźliby Gretchen jeszcze żywą, byłaby pewnie przekonana, że to wszystko jest po prostu okropnym nieporozumieniem. Misterny plan, trzeba przyznać.

— Twoja teoria ma sens — odezwał się wreszcie Elliott. — Ale kim jest ten facet? Jesteś pewna, że dziewczyna nie powiedziała twojej siostrze jego nazwiska? A może z jakiegoś powodu ukrywa to przed tobą?

— Nie wiem. Nie sędzę. Moja siostra jest dla mnie zagadką. Zwykle jest przygnębiona i niezrównoważona. Śmierć przyjaciółki to wszystko jeszcze wzmogła. Tak, wiemy, jak zginęła Gretchen, ale zaprowadziło nas to tylko w ślepy zaułek.

Dowlokłam się do lodówki i wyciągnęłam ostatnie dwa piwa.

— W tej sytuacji powinnaś zacząć od początku — rzekł Abelman — zasada 101.

— A co to takiego? — zdziwiłam się.

— Sposób, motyw, możliwość. Założmy, że odkryliśmy, jak zginęła — sposób. Możliwość ogranicza krąg podejrzanych do osób, które znały ją na tyle, żeby wiedzieć o ilości przyjmowanej przez nią insuliny, i którym zaufałyby na tyle, by pojechać z nimi do Wisconsin.

— Chodzi o to, z kim spała.

— Prawdopodobnie, ale niekoniecznie. Nie zamykajmy żadnych furtek. Wymyśliłaś sposób i możliwość. Co z motywem?

— Jak to jest, ja ci płacę, a ty zadajesz pytania? — spytałam niecierpliwie. — Mózg mi już zdrętwiał od myślenia. W końcu to ja wykoncypowałam, w jaki sposób została zamordowana.

— No dobra — przystał Elliott. — Z czasów gdy pracowałem w prokuraturze, pamiętam, że motyw morderstwa z premedytacją zwykle podpadał pod jedną z trzech kategorii — pieniądze, seks lub narkotyki. Nie chodzi mi o sytuację, w której jeden pijak rzuca się na drugiego z kijem baseballowym, bo tamten

twierdził, że Sox i są lepsi od Cubsów. Jeśli Azorini została zamordowana, była to niezwykle dobrze przemyślana i zorganizowana zbrodnia, i ktokolwiek jest za nią odpowiedzialny, musiał mieć nadzwyczaj ważny powód.

— Tylko Joey ma do czynienia z narkotykami.

— Zgoda — powiedział Abelman. — Nikt nie został zastrzelony, nie ma dowodów, że dziewczyna ćpała, więc zacznijmy od pieniędzy.

— Miała mnóstwo pieniędzy — rzekłam — ale nie mogła nimi dysponować, znajdowały się na specjalnym koncie. Była też właścicielką sporej części akcji Azor, które przy dzisiejszych stawkach zapewniłyby jej dostatnie życie. Nie wiem na pewno, co się z tym wszystkim stanie, ale zdaje mi się, że jej ojciec przejmie zarówno akcje, jak i pieniądze. Jednak minie dużo czasu, zanim ktokolwiek będzie mógł nimi rozporządzać. Dlatego pieniądze chyba nie miały z tym wiele wspólnego. Weryfikacja testamentu nie może się rozpocząć, dopóki doktor Yarbrough nie wyda oficjalnego aktu zgonu. Upłyną miesiące, zanim sądy rozdysponują majątek. Poza tym jedyną osobą, dla której pieniądze mogłyby być motywem, jest Joey, a nie sądzę, żeby to on był mordercą.

— Dlaczego?

— Bo to nie w jego stylu. Gdyby chciał zabić Gretchen, rąbnąłby ją w głowę albo zastrzelił.

— Wiem, że przemawia do ciebie teoria zabójstwa z premedytacją — zastrzegł się Elliott — ale założmy, że Azorini jakimś sposobem spotykał się ze swoją córką. Może i wykorzystywał ją seksualnie, ale to ktoś inny, nie ona, poskarżył się jego ojcu. Stephen został jej opiekunem, ale dziewczyna nie miała nic przeciwko kontynuowaniu związku z ojcem. Mieszkała z wujkiem, ale na boku spotykała się z Joeyem. Sam doktor Azorini podejrzewał, że kontaktują się ze sobą. Wyjaśniłoby się od razu, dlaczego Gretchen nie chce ujawnić nazwiska swojego kochanka. Wstydziała się. Cała ta opowiadka o tajemniczym ukochanym mogła być nie tylko sposobem wciągnięcia Beth w całą sprawę, na przykład przez pomoc w ucieczkach ze szkoły, ale też podświadomą racjonalizacją fizycznego związku z ojcem.

— No i wyjaśniłoby się, dlaczego jeździli do Wisconsin, w dodatku osobno — podjęłam tok rozumowania. — Gdyby Anthony Azorini dowiedział się, że widziano go z córką, Joey naprawdę miałby powód do obaw.

A co z małżeństwem, o którym opowiadała?

— Jeśli wymyśliła tajemniczego kochanka, czemu miałyby na tym poprzestać? W każdym razie, wszystko mogło się rozegrać tak, jak wydedukowałam, tyle że kiedy Azorini zszedł przygotować śniadanie, odezwał się pager — kryzys w biurze handlarza narkotyków. Zapomniał o jedzeniu, wskoczył do auta i ruszył na poszukiwanie automatu, z którego mógłby zadzwonić do Chicago. Kiedy wrócił, było już za późno. Gretchen nie żyła. Zdał sobie sprawę, co zrobił, i pozaczał ślady swojego pobytu.

- A jej torebka?
- Zabrał ją z domu, żeby mieć kluczyki do jeepa.
- Co z odciskami palców?
- Może niczego nie dotykał. Nie każdy zostawia wyraźne ślady. Poza tym wcale nie musiał tam długo siedzieć.
- To nie ma sensu — sprzeciwiłam się. — Po co w takim razie miałby prowokować brata, odstępując akcje Eichelowi? Rozsądniej byłoby nie wychylać się.
- Pewnie sądził, że im bardziej stanowczo będzie demonstrował swoją niewinność, tym prędzej mu uwierzą.
- Nadal nie wierzę, by dziewczyna spotykała się z ojcem. Richard Humanski twierdzi, że musiałyby jej przystawić pistolet do głowy, by gdziekolwiek z nim pojechała.
- Od kiedy to Richard Humanski jest ekspertem w sprawach Gretchen? — spytał Abelman.
- Często rozmawiał z nią przez telefon. Richard jest asystentem Stephena, więc nieraz musiał go zastępować u jej boku. To niemal członek rodziny.
- Dobry kandydat na tajemniczego kochanka. Młody, kawaler, spędzał czas w towarzystwie zmarłej.
- I gdyby Stephen dowiedział się, że sypia z nią — dodałam — zabiłby go. Może nie dosłownie, ale na pewno załatwiłby Humanskiego tak, że miałby dużo szczęścia, gdyby przez resztę życia smażył hamburgery u McDonalda.
- Richard teoretycznie mógłby się nadawać. Gdyby założyć, iż dziewczyna zagroziła, że powie wujkowi o ich związku, mielibyśmy zgrabny motyw. Szkopuł w tym, że kiedy po pogrzebie jechałam z nim do domu moich rodziców, próbowałam sobie wyobrazić go w łóżku z Gretchen i po prostu nie byłam w stanie.
- Wiele jest rzeczy, których nie jesteś w stanie sobie wyobrazić — zachichotał Elliott. — Pomyśl o małżeństwie, które znasz od dzieciństwa.
- Dobra, Tucker i Eunice Sweet, moi rodzice chrzestni.
- A teraz wyobraź sobie, jak się kochają.
- Skrzywiłam się.
- Ile mają dzieci?
- Czwórkę.
- A widzisz.
- Ale gdyby dziewczyna naprawdę spotykała się z Humanskim, po co mieliby jeździć do Wisconsin? Nie wystarczyłoby im jego mieszkanie?
- Może Azorini wpada do niego bez zapowiedzi, gdy ma jakąś sprawę do obgadania. Może byli tam ledwie parę razy, zanim podjął decyzję o zamordowaniu jej. Powiedz mi — spytał Abelman, jakby nagle coś mu zaświtało — ile wynosi wartość akcji Gretchen?

- Na szesnaste urodziny Stephen dał jej pięćdziesiąt tysięcy. Dziś warte są ponad dwa miliony dolarów - więcej, jeśli Eichel podniesie oferowaną kwotę.
- Dwa miliony to niezły motyw — zamyślił się Elliott.
- Dla kogo? — rzuciłam. — Nie dla Joeeya Azoriniego. Dla grubej ryby w handlu narkotykami takie pieniądze to drobnostka.
- Chodziło mi o Edgara Eichela — wyjaśnił Abelman chłodnym tonem.
- Nie przesadzajmy.
- Mówię poważnie. Dlaczego możesz przyjąć do wiadomości, że jakiś gówniarz wali starą babcię w głowę, by zabrać jej portmonetkę, a myśl o cwany skurwielu jak Edgar Eichel uwodzącym nastolatkę, by przejąć firmę wartą pięćset milionów, wydaje ci się przesadzona?
- Nie przeczę, że Eichel jest świnią, ale uważam, że są różne stopnie świństwa. Poza tym hipoteza sprawdziłaby się tylko wtedy, gdybyśmy mieli dowód na to, że sypiał z dziewczyną, a takowego niestety nie posiadamy.
- A jeśli Eichel śledził ją, odkrył, że spotyka się z jakimś miejscowym chłopakiem, i wcisnął mu parę patoli w zamian za obietnicę zniknięcia z jedzeniem pod pachą?
- Ale byłoby fajnie, gdyby to Eichel okazał się winny — westchnęłam.
- Może powinniśmy trochę ostrzej wziąć się do poszukiwań tajemniczego kochanka.
- Może powinnam jeszcze raz spróbować porozmawiać z siostrą. Zdaje się, że nie powiedziała mi wszystkiego.

Rozdział 16

Obudziłam się za wcześnie, by się wyspać, ale później, niż planowałam. Rozstałam się z Elliottem we wczesnych godzinach rannych. Po naszej rozmowie zostały tylko długie listy tropów do sprawdzenia. Byłam pewna, że mając do dyspozycji wystarczająco dużo czasu, znaleźlibyśmy mordercę Gretchen. Problem w tym, iż akurat czasu mieliśmy najmniej.

Obmyłam twarz, wcisnęłam się w dres i pobiegłam drogą dla rowerów do McCormack Place i z powrotem. Mówi się, że w Chicago są dwie pory roku: zima i sierpień. Sierpień minął już dawno temu. Mroźne krople deszczu przyklejały mi się do twarzy, topniały i spływały po mnie jak lodowaty pot. Z drugiej strony, po raz pierwszy nie odczuwałam przy każdym kroku pamiątek po bucie Vito.

Uprawiałam jogging dość regularnie, w takich chwilach jak ta pomagał mi rozjaśnić umysł. Chciałam przemyśleć to, o czym rozmawialiśmy z Abelmanem. Świat przypominał mi teraz zepsutą maszynę, miejsce, w którym dosłownie wszelkie sprawy rozgrywały się za zamkniętymi drzwiami, miejsce pełne ciemności, w których tak wiele się kryje, miejsce, w którym normalność i życzliwość stanowiły li tylko cienką skorupę, a pod nimi czyhała niepokonana chciwość, prawdziwa esencja wszystkiego, miejsce, w którym najczęściej nic nie jest takie, jakim się wydaje.

W mieszkaniu powitał mnie aromat bazylii i świeżo upieczonego ciasta. Moja współlokatorka właśnie wyciągała z pudełka pizzę z Edwardo's. Ze szpinakiem i kielbasą — mój ulubiony rodzaj.

— Śniadanie mistrzów — stwierdziłam radośnie.

— Pielęgniarka z mojego oddziału dorabia sprząając w Edwardo's. Domyślałam się, że chcesz kawalek?

Wyjęłam z szafki dwa talerze, mogące przy odrobinie dobrej woli ująć za czyste.

Claudia wrzuciła na nie smakowicie wyglądające kawałki pizzy. Ja w tym czasie otworzyłam dwie cole. Zapytałam, jak sprawy w szpitalu.

— Nic takiego się nie zdarzyło, no może z wyjątkiem gościa postrzelonego z kuszy.

— To miło.

— Było zupełnie jak w zoo. Chyba cały szpital się zleciał. Wszyscy chcieli popatrzeć.

— A on jak? W porządku?

— To znaczy kto?

— Gość przebity strzałą — powiedziałam, po raz kolejny zastanawiając się, czy inteligencja jest jednym z niezbędnych warunków do wykonywania zawodu lekarza.

— A, o niego ci chodzi — odparła Claudia, nakładając sobie jeszcze jeden kawałek pizzy — umarł.

— Więc w czym problem? — spytałam. — Myślałam, że lekarze podniecają się pacjentem tylko wtedy, kiedy udaje im się uratować mu życie.

— Nie umarł od razu. Po prostu postrzelenie z kuszy rzadko się zdarza. Nasz oddział nagłych wypadków jest jednym z najlepszych w kraju. W czasie weekendu trafia do nas więcej rannych niż do szpitala wojskowego podczas tygodniowej bitwy. Ale wczoraj pierwszy raz w historii trafił do nas facet przesyty strzałą z kuszy. Mają zamiar wstawić ten przypadek do informatora dla przyszłych pracowników.

— Żyjemy w dziwnym i okropnym świecie — uniosłam puszkę z colą.

— Za to się napiję — rzekła moja współlokatorka i stuknęłyśmy się.

Zadzwoił telefon. Była to Cheryl, moja sekretarka.

— Kate, przyjeżdżaj tu jak najszybciej.

— Niech zgadnę. Guttman rodzi.

— Mówię serio. Pamiętasz, poprosiłaś mnie, żebym za wszelką cenę dowiedziała się, kto ukrywa się pod numerem z tamtego faksu.

— Pamiętam.

— Już wiem, czyj to numer.

— No i?

— Edgara Eichela.

Chyba ustanowiłam nowy rekord szybkości. Pędziłam po Lake Shore Drive slalomem między autami, praktycznie nie zdejmując dłoni z klaksonu. Cheryl siedziała w moim biurze. Czekala za zamkniętymi drzwiami.

— Powiedz mi, jak do tego doszłaś — spytałam spokojnym głosem, który akurat w moim przypadku świadczył o narastającej panice.

— Dziś rano przysłałam wcześniej niż zwykle, bo miałam pomóc Bobbi w napisaniu jakiegoś ważnego raportu dla Jima Hannifina. Wczoraj wieczorem

miała okazję iść na randkę z jakimś superprzystojniakiem, więc poradziłam jej, żeby wyszła wcześniej, a ja dziś pomogę jej dokończyć pisanie. Hannifinowi wszystko jedno, byle dostał raport.

Skończyłam swoją część i czekałam na Bobbi, żebyśmy mogły połączyć obie w logiczną całość i wydrukować kopie. W każdym razie znowu zaczęłam myśleć o faksie, więc zadzwoniłam do firmy produkującej takie urządzenia jak nasze. Wyjaśnili mi, że można zaprogramować je tak, by nie ujawniały swojego umiejscowienia, można zablokować tę informację. Pomyślałam sobie, że skoro maszyna nie chce mi pomóc, będę musiała wyciągnąć to od człowieka.

Wpadłam na pewien pomysł. Podrobiłam formularz z papeterii Azor. Napisałam, że wysyłamy siedem stron i umieściłam na nim numer telefonu twojego biura, bezpośredni, nie przez centralę. Potem wyjęłam jakieś stare dokumenty podatkowe Azor i przesłałam im trzy strony. Usiadłam przy twoim biurku i czekałam. Po dziesięciu minutach zadzwonił telefon.

Odezwała się sekretarka imieniem Trish. Oznajmiła, że brakuje czterech stron. Nawiązałam z nią rozmowę. Zaczęłam opowiadać o mojej okrutnej szefowej, która każe mi harować jak wół o każdej porze dnia i nocy, a na dodatek żąda, by jej przynosić jedzenie trzy razy dziennie. Oczywiście, wszystko to zmyśliłam. Ona mi na to, że pracuje od niedawna i jej szef jest równie upierdliwy, dlatego prawdopodobnie zrezygnuje. Potem wyjawiała mi jego nazwisko — Edgar Eichel.

— Jesteś pewna? — spytałam.

— Wymieniła je parę razy.

Nie byłam w stanie się odezwać. Po chwili sekretarka stwierdziła:

— Zdaje się, że zepsułam ci humor.

— Cheryl, odwaliałaś kawał dobrej roboty — pochwaliłam ją.

— Może przynieść ci kawę albo coś mocniejszego? Chyba tego ci potrzeba.

Rzuciłam okiem na zegarek.

— Kawa wystarczy. Złap Guttmana i powiedz mu, że muszę się z nim natychmiast zobaczyć. Potem weź to — rzekłam i wyciągnęłam kartę kredytową Neiman Marcus z portfela — i idź na zakupy.

— Mówiłaś poważnie!

— Oczywiście.

Sekretarka wzięła ją do rąk i obejrzała ze wszystkich stron, ostrożnie, jakby miała wybuchnąć albo, co gorsza, okazać się narkotykiem.

— Co mam kupić? — spytała.

— Co chcesz — odparłam. — No, może z wyjątkiem futer... Idź, zobacz, co ci się spodoba.

— Bardzo ci dziękuję — wyjąkała.

— Zasłużyłaś na to — odparłam zgodnie z prawdą.

Wyszła z biura cała w skowronkach. Fajnie sprawiać ludziom radość. Miło, że mnie na to stać.

Cheryl wróciła po chwili z kubkiem kawy i wieścią, że szef jest na spotkaniu w Azor Pharmaceuticals ze Stephenem, Brianem Gouldem i kilkoma wiceprezesami.

Zadzwoiłam do Richarda Humanskiego i poinformowałam, że będę tam za pół godziny, bo mam coś ważnego do przekazania Guttmanowi i Stephenowi. Wysłałam jednego z gońców, żeby załatwił mi jakieś porządniejsze ciuchy.

Po trzydziestu minutach taksówka wiozła mnie do biura Stephena Azoriniego. Przyodziałam się w typowy, jasnoniebieski kostium biurowej zakonnicy, o którego noszenie matka zawsze miała do mnie pretensje. Tak naprawdę prawie nigdy nie wkładałam czegoś takiego. Ale teraz właśnie ponury, bezpłciowy kostium pasował do złych wieści, które zamierzałam przekazać.

Szef zareagował szybko i gwałtownie. Na moje polecenie Richard wyciągnął go ze spotkania w biurze. Rozmawialiśmy w małym pokoiku. Na ciepłej pokrywie kserokopiarki rozłożyłam dokumenty, które znalazłam u Gretchen. Guttman skontrolował moją teorię stwierdzeniem, że wnioskuje całkowicie błędnie, domysły uznaję za fakty, a w ogóle zachowuję się w sposób niewybaczalny.

Nie dałam się wyprowadzić z równowagi i powoli, niczym za rękę, przeprowadziłam go przez cały tok rozumowania. Przedstawiłam swój punkt widzenia jak przed ławą przysięgłych. Kiedy szef zaspokoił już swój głód wnikania i czepiania się, ścisnął mnie za ramię i rzekł:

— Trzeba powiedzieć o tym chłopcom.

„Chłopcami” byli porozwalani w wielkim biurze: Stephen Azorini, Brian Gould, jeszcze jeden sztywniak z First New York, Tucker Sweet i Dick Porter, siwowłosa przedsiębiorca, najnowszy członek zarządu Azor. Brian Gould stał przed wielką tablicą ze wskazówką w dłoni.

— Przepraszam, że przeszkadzam. Wszyscy chyba znacie moją współpracowniczkę, Kate Millholland — zaczął Guttman.

Stephen zdawał się być lekko zaskoczony. Nie widziałam go od pogrzebu. Wyglądał okropnie.

— Kate ma parę ciekawych rzeczy do zakomunikowania. Oczywiście, nie muszę chyba przypominać, że wszystko ma pozostać w tajemnicy.

Nie wyjawiałam, jak dokładnie zdobyłam moje informacje. Zwyczajnie walnęłam prosto z mostu, że ktoś przekazuje tajne dokumenty Azor Pharmaceuticals Edgarowi Eichelowi. Rozdałam kopie papierów znalezionych pod materacami Gretchen. Twarze wszystkich zebranych stały się niezwykle poważne.

— Kto mógł wysłać te materiały? — spytał Dick Porter.

— Zespół prywatnych detektywów prowadzi śledztwo w tej sprawie — odparłam, mając na myśli wiadomość, którą w ostatniej chwili zostawiłam

Elliottowi za pośrednictwem jego automatycznej sekretarki. Po czym dodałam, z bezpodstawną pewnością siebie: — Jutro o tej porze będę wiedzieć więcej.

— Czyli nie mamy gwarancji, że Eichel dostał tylko tyle? — spytał Gould, wymachując cienkim plikiem dokumentów.

— Nie — odrzekł mój szef. Podniósł się z miejsca i skupił na sobie uwagę wszystkich. — Nie mamy też dowodu, że te dokumenty zostały przekazane Eichelowi. Może istnieje całkowicie niewinne wytłumaczenie całej sprawy. Możliwe, że dokumenty zostały przejęte, zanim nastąpił ich transfer. Nie dowiemy się tego, jeśli nie zapytamy samego Eichela. Z drugiej strony — przerwał Guttman, chcąc wzmocnić efekt — postąpilibyśmy głupio, nie rozważając możliwości, że pośród nas znajduje się zdrajca.

Burza mózgów trwała dwie godziny, przerwało ją tylko wniesienie lunchu. Rozpatrzono wszystkie ewentualności, od oskarżenia Eichela do przesłania mu podrobionych dokumentów. Nikt nie kazał mi wyjść, więc zostałam. Nigdy jeszcze nie widziałam Briana Goulda w akcji i cieszyłam się, że mogę zaobserwować, jak działa jego wyostrzony intelekt w połączeniu z instynktem drapieżcy. Najbardziej współczułam Stephenowi. Wyglądał, jakby ktoś brutalnie go podciął. Zastanawiałam się, czy nie myśli, że to ja.

Po zakończeniu zebrania zaczęłam, aż wszyscy wyjdą. Azorini spytał, gdzie znalazłam te dokumenty.

— U Gretchen — szepnęłam, jak ktoś chcący uśmierzyć ból spowodowany napływem złych wieści.

— A po co jej one?

— Powiem ci, jak tylko się dowiem.

Stephen wziął mnie za rękę i spojrział mi w oczy.

— Dowiedz się jak najszybciej — odezwał się błagalnym tonem — już ledwo się trzymam.

Zajrzałam do biura Richarda Humanskiego, chcąc od niego zadzwonić. Wykręciłam numer rodziców, przygotowując się na usłyszenie głosu matki. Telefon jednak odebrała pani Mason.

— Państwo wyjechali na parę dni — poinformowała mnie. — Pani Millholland powiedziała, że lepiej będzie dla panienki siostry, jak wyjedzie, więc wybrali się odwiedzić panią Prescott.

— Babcie Prescott? — wtrąciłam. — W Palm Beach? — Spojrzałam na Humanskiego, który właśnie wkroczył do biura. Ciekawe, co sobie myśli?

— Tak, panienko. Znajomy taty panienki podrzucił ich swoim samolotem. Wrócą dziś wieczór.

— O której?

— Mama panienki dzwoniła dziś rano i kazała przygotować kolację na siódmą.

— Na siódmą? Może pani przyszykować dodatkową porcję dla mnie? — spytałam.

— Jest panienka pewna? — spytała kucharka sceptycznie. — Mama panienki nie lubi niespodzianek.

Odparłam, że jestem pewna.

Odłożyłam słuchawkę i podniosłam się. W drzwiach stał Tucker Sweet. Dziwne, myślałam, że już poszedł. Udał, że wali mnie pięścią w podbródek. Robił to zawsze, od chwili gdy skończyłam sześć lat.

— Wiesz, czasem nie mogę się nadziwić, że jesteś tą samą dziewczynką, która wrzeszczała przez całą ceremonię chrztu. Nie słyszałem, co mówi ksiądz.

— I od tamtej pory nie udało mi się zamknąć.

— Byłaś zbyt zajęta — stwierdził. — Siedzisz w okropnym fachu.

Kiwnęłam głową. Nie wiedziałam, co rzec.

— Niechcący podsłuchałem, że jedziesz dziś wieczorem do rodziców. Podrzucić cię?

— Lepiej, żebym pojechała swoim samochodem.

— Więc pozdrów swoją rodzinę — powiedział — i nie przejmuj się tym wszystkim za bardzo. Jakoś to będzie.

Podczas jazdy do Lake Forest miałam dziwne przeczucie, że coś złego się stanie. Miałam takie wrażenie, jakbym czekała w ciemności, aż ktoś włączy światło, ale to, co zobaczę, będzie szokujące i nieprzyjemne.

Przy tylnych drzwiach stały walizki. Zza rogu wyskoczył Rocket, zasapany artretyk. Przywitał mnie tak radośnie, jak tylko zdrowie mu na to pozwalało. Pani Mason przygotowywała kolację, a Gladys i Jewel, służące, szykowały się do podania posiłku i schodziły jej z drogi.

— Dobry wieczór, panno Kate — ozwały się chórem.

— Ładnie tu pachnie. Co na kolację?

Podbiegłam do wielkiej kuchni, chcąc zajrzeć do garów. Kucharka zaczęła żartobliwie wymachiwać drewnianą łyżką.

— Ręce z dala od mojego gotowania — ostrzegła.

— Pani gotowanie? To moja kolacja! — drażniłam się.

— Dopóki nie wyjdzie z kuchni i nie trafi do panienki żołądka, to moje gotowanie — odpowiedź pani Mason brzmiała jak część katechizmu — ale dla spokoju, powiem panience, że mam tu wieprzowinę w sosie grzybowym, ryż i szparagi z ogródka pani Prescott przywiezione przez pana.

— Matka bardzo się zdenerwowała na wiadomość o moim przyjeździe?

— Zdenerwuje się dopiero, jeśli Raoul nie wniesie tych walizek do jej pokoju. Gladys, znajdź go i każ mu tu przyleźć.

Zostawiłam za sobą relaksujące rozmowy kuchenne i ruszyłam ku frontowi domu. Do jadalni prowadził długi korytarz. Po bokach znajdowały się oszklone szafy, a za nimi pokoik kelnera. Stół nakryty był białym obrusem i cennymi naczyniami z porcelany. Na środku stał bukiet orchidei. Usłyszałam kroki mojej matki.

— Mamo?

— Kate, gdzie jesteś? — spytała głośno.

— Tutaj — odparłam, stając przy niej pod krętymi schodami w tym miejscu, gdzie Stephen Azorini znokautował Edgara Eichela.

Matka przeglądała się krytycznie w lustrze. Zobaczyłam za nią swoje odbicie i wyczułam jej rozczarowanie. Nie dało się ukryć, byłam do niej podobna, ale nie miałam na sobie biżuterii, makijażu i nadal nie zmieniałam kostiumu, który Leon wyciągnął z zasobów Brooks Brothers. Tego ranka, w drodze do pracy, zwinęłam włosy w kok i tak już zostały. Tymczasem moja matka, schodząc na dół, poprawiała ułożoną już w sypialni fryzurę.

— Wiesz, dla gości mamy coś takiego, jak drzwi frontowe — rzekła. — Kazałam Raoulowi włączyć dla ciebie światła na zewnątrz, ale powiedział, że wejdziesz wejściem dla służby — przerwała i poprawiła szminkę.

Nie pamiętałam, by matka kiedykolwiek nie wyglądała doskonale. Nawet kiedy rodzice wrócili z przyjęcia u Simpsonów i znaleźli zwłoki mojego brata, Teddy'ego, jej włosy były idealnie uczesane.

Piękno, jak wyznała mi w chwili słabości, zależało w równym stopniu od natury, jak i właściwych nawyków połączonych z ciężką pracą. Nie widziałam powodu, by jej nie wierzyć. Po prostu jakoś nigdy nie odczuwałam zbytnej ochoty na postępowanie zgodnie z tymi radami.

— Cześć, mała! — krzyknął ojciec, który właśnie pojawił się na schodach. Na policzkach wykwitły mu już rumieńce od dżinu, którego kieliszek dzierzył w dłoni. — Co za miła niespodzianka.

— Jak zwykle czekamy na twoją siostrę — wtrąciła matka i spojrzała niecierpliwie w górę. — Edwardzie, idź do biblioteki i zadzwoń do Beth. Powiedz, że bez niej nie możemy zacząć.

— Tatusiu, pójdę z tobą — zaofiarowałam się, nie chcąc zostać sam na sam z matką.

W bibliotece nalałam sobie szkocką z lodem, a ojciec podniósł słuchawkę.

— Już idzie — oznajmił. — Wiesz, mała, twojej siostrze trudno poradzić sobie ze sprawą Gretchen. Zabraliśmy ją do Palm Beach, ale chyba to niewiele pomogło. Cieszę się, że przyjechałaś. Powinna mieć przy sobie najbliższą rodzinę.

Kolacja była okropna. Tata ledwo patrzył na oczy już przed wypiciem pierwszej lampki wina. Matka, znana światu jako wspaniała gospodyni i znawczyni sztuki konwersacji, najwyraźniej uznała, że nie warto córkom prezentować swoich przymiotów. Przez cały czas prowadziła radosny, ale monotony monolog, który dotyczył głównie moich znajomych z dzieciństwa, ich dzieci, rozwodów i

operacji plastycznych. Beth jadła wszystko, co jej wpadło w rękę, i nic nie mówiła. Obserwowała tylko, co się dzieje, spod opadających na czoło brudnych włosów.

— Powiedziała pani Mason, że dziś nie chcemy deseru — oświadczyła matka, kiedy Gladys wniosła kawę. Spojrzała przy tym znacząco na młodszą córkę.

— Idę do mojego pokoju — oznajmiła siostra, rzuciła serwetkę na talerz i praktycznie odskoczyła od stołu.

— Twój ojciec i ja napijemy się brandy w bibliotece. Mam nadzieję, że Raoulowi uda się rozpalic ogień w kominku. Ten człowiek nie zna się na najprostszycich sprawach. Nawet jaskiniowcy potrafili rozpalic ognisko. Możesz się do nas przyłączyć, ale pewnie chcesz jak najszybciej wracać. Masz przecież dużo pracy.

— Chciałabym zamienić parę słów z Beth.

— Dobrze, tylko pamiętaj, masz z nią nie rozmawiać o Gretchen Azorini. Doktor Weingart zajmuje się tym w czasie terapii. Nie można jej teraz denerwować. Czy wyraziłam się jasno?

— Nie znam nikogo, kto dorównywałby ci jasnością wypowiedzi, mamó — odparłam natychmiast.

Zastukałam lekko do drzwi pokoju siostry.

— Kto tam? — odezwał się zaniepokojony głos.

— To ja, Kate.

Beth szybko otworzyła drzwi i zamknęła je, gdy tylko weszłam. U stóp jej łóżka stała kryształowa popielniczka, w której tliła się fajka z haszyszem.

— Odbiło ci? Palisz to w domu?! — niemal krzyknęłam.

— Jak zawsze. Świetna sprawa. Brat Raoula przywozi to z Gwatemali. Chcesz się sztachnąć?

— Nie, dzięki, jeszcze dziś muszę wrócić do miasta. Jak było w Palm Beach?

— Chyba ciekawiej byłoby obserwować, jak ryby się pierdola.

Zastanowiło mnie, czy jej dobór słownictwa wywierał požądane wrażenie na doktorze Weingarcie, czy też w jego wypadku posługiwała się bardziej wyrafinowanymi metodami.

— Co robiliście? — spytałam.

— Rodzice grali w golfa, ja zostałam w domu i patrzyłam, jak babcia Prescott stawia pasjansa i upija się na umór. Wieczorem wszyscy poszli na kolację do Van Houtenów, a ja zerznęłam szofera.

— No i jak było? — spytałam, traktując jej słowa z przymrużeniem oka.

— Znasz chyba to powiedzenie — rzuciła ponuro — jak posmakujesz czarnego, nie zechcesz innego.

Przez chwilę siedziałyśmy w ciszy. Nie wiedziałam, od czego zacząć. Wreszcie zdecydowałam się przejść do sedna.

— Beth, potrzebuję twojej pomocy — rzekłam.
— W jakiej sprawie? — spytała cicho.
— Istnieje duże prawdopodobieństwo, że Gretchen została zamordowana przez kogoś, kogo znała.

Siostra spojrzała na mnie z przerażeniem.

— Nikt z ludzi, których znała, nie zgwałciłby jej i nie udusił — stwierdziła po chwili.

— Rozmawiałam z anatomopatologiem, który przeprowadził autopsję. Uważa, że tak nie było. Czy ona brała kokainę?

— Gretchen? Nigdy w życiu. Nie brała narkotyków. Mówiła, że codzienne épanie insuliny jej wystarcza.

— Anatomopatolog uważa, że w pewnym sensie to insulina spowodowała jej zgon.

— Gretchen nie popełniłaby błędu z dozowaniem insuliny. Była na to za ostrożna.

— Wiem. On twierdzi, że wzięła normalną dawkę insuliny rano w dniu śmierci, ale potem nie mogła znaleźć niczego do jedzenia. Umarła w wyniku hipoglikemii.

— Nie rozumiem.

— Pojechała do domku swojego ojca w Wisconsin i tam spotkała się z mężczyzną, który ją załatwił. Poszła do łazienki i wzięła insulinę. Kiedy wyszła, on już zniknął razem z samochodem i jedzeniem. Zostawił ją tam, by umarła.

— Nie — znowu szept przez zaciśnięte gardło.

— Beth, musisz mi pomóc dowiedzieć się, kim on był. Nie możemy pozwolić, by mu to uszło bezkarnie — prosiłam.

— Nie, nie wierzę w to — powtórzyła siostra, a jej głos stawał się coraz głośniejszy, jak para wydostająca się z czajnika. — Nie, nie, nie! Nie wierzę ci! Nie uwierzę ci!

— Beth, powiedz mi, co wiesz!

— Mamo! — wrzasnęła histerycznie. — Mamo!

Do pokoju wkroczyła matka. Jej oczy błyszczały gniewnie.

— Wynos się stąd w tej chwili! — warknęła na mnie. — Nie pozwolę, żebyś przychodziła tu i denerwowała swoją siostrę wbrew moim wyraźnym nakazom.

— Mamo, pogarszasz tylko sprawę — rzekłam. — Następnym razem zamiast mnie przyjdzie tu policja.

— Jak śmiesz grozić mi policją! Wynos się!

Zrobiłam, co mi kazała. Spróbuję porozmawiać z Beth nieco później. Astrid Millholland zwykle pamiętała, że jest również matką tylko przez niezwykle krótki czas. Będę mogła to zrobić jeszcze dziś wieczorem.

— Zostawię was same — rzuciłam i wysliznęłam się przez najbliższe drzwi.

Zamknęłam je za sobą i okazało się, że jestem w łazience siostry. Na umywalce stała buteleczka z valium przepisany przez doktora Weingarta. Wcisnęłam ją do kieszeni i ruszyłam ku tylnym schodom poprzez pogrążony w ciemności pokój gościnny. Zamierzałam połączyć po okolicy z Rocketem do momentu, aż zorientuję się, że matka jest znów u siebie w pokoju. Dopóki środki uspokajające spoczywają bezpiecznie w mojej kieszeni, nieważne, ile czasu to może zająć. W każdym razie wtedy wśliznę się z powrotem i spróbuję inaczej wszystko rozegrać.

Byłam w połowie schodów, kiedy nagle uświadomiłam sobie, gdzie przed chwilą byłam. Wróciłam tam. To był pusty pokój. Pokój przylegający do sypialni Beth.

Pokój, który zajmowała Gretchen w trakcie weekendów spędzanych u moich rodziców. Tu przespała noc poprzedzającą jej wyjazd do Wisconsin na spotkanie z mordercą.

Zza ściany dobiegało łkanie siostry i głośne nieporadne prośby matki. Delikatnie zamknęłam za sobą drzwi. Nie chciałam włączać górnego światła, bałam się, że matka je zauważy.

Wystarczyło blade światło wypływające z małej garderoby. Ukłękłam przy łóżku i włożyłam rękę pod materac. Trafiłam wreszcie na coś twardego. Uchwyciłam mocno i powoli wyciągnęłam to, co okazało się jeszcze jedną dużą kopertą.

Zaniosłam wszystko do garderoby i tam, otoczona rąbkami letnich spódnic matki, obejrzałam dokładnie moje znalezisko. Koperta skrywała grudniowy numer „Bride's”, grubości książki telefonicznej, oraz nieco mniejszy pakiet dokumentów Azor. Pośród nich znajdowały się: bilans i wykazy dochodów, prognozy przepływu gotówki, kopia streszczenia, które własnoręcznie napisałam dla Stephena, na temat proponowanych środków przeciwstawienia się próbie przejęcia firmy, raport dotyczący najnowszych badań nad stworzeniem sztucznej krwi (wraz z projektowaną sumą dochodów). Wszystko to były kserokopie, jednak na pierwszej stronie raportu zobaczyłam coś, co odebrało mi dech w piersiach i spowodowało, że ręce zaczęły mi gwałtownie drżeć. Notatka sporządzona charakterem pisma, który skądś znałam, ale póki co, nie wiedziałam dokładnie, skąd:

Edgarze,

To powinno Ci pomóc w ustaleniu rozsądnego limitu oferowanej ceny. Dicka Portera nie ma w kraju do 2 grudnia, co się świetnie składa, skoro 30 listopada planujesz zgłosić zamiar wykupu!

Brak podpisu.

Wsadziłam dokumenty ponownie do koperty, przycisnęłam ją do piersi i zbiegłam na dół przez spiżarnię, kuchnię, do sieni. Zdjęłam płaszcz Beth z wieszaka przy wyjściu i narzuciłam go na siebie. Złożyłam kopertę na pół, po czym

wsunęłam ją do jednej z obszernych kieszeni. Przydreptał Rocket, bezbłędnie wyczuwając okazję do spaceru.

— Chodź, stary — powiedziałam i otworzyłam drzwi.

Wyszłam w ciemność, czując, jak kotłuje mi się w głowie. W kieszeni miałam niezaprzeczalny dowód na to, że ktoś przekazywał tajne informacje dotyczące Azor Pharmaceuticals i że Gretchen Azorini o tym wiedziała. To oznaczało motyw. Serce biło mi gwałtownie. Muszę skontaktować się z Guttmanem. Powinnam porozmawiać z Elliottem. Ale najpierw jeszcze jedna próba z Beth. Byłam pewna, że ona coś przede mną ukrywa.

Rocket podreptał na tyły domu. Zbiegał przede mną schodkami prowadzącymi na plażę. Dzięki pełni księżyca było na tyle jasno, że widziałam drogę. Ryk fal dodawał otuchy, w mroźnym powietrzu krążyły mewy, a miasto stało odległe, stąd wyglądające niczym klejnot.

Nie słyszałam, jak podszedł.

Pierwszy cios miał trafić w głowę, ale zamiast tego wylądował na obojczyku. Usłyszałam trzask pękającej kości i upadłam na kolana. Zobaczyłam cień człowieka szykującego się do zadania mi kolejnego uderzenia. Próbowałam zmusić nogi do ucieczki, ale napastnik złapał mnie za włosy. Kopnęłam go z całej siły w pizszel i usiłowałam dostać jego twarzy, ale zamiast tego poczułam wełnianą maskę. Staralam się ją chwycić; wreszcie udało mi się dźgnąć bandytę palcami w oczy. Ścisnął mnie za gardło. Spróbowałam krzyknąć. Usłyszałam jedynie nędzny skrzek.

Bezskutecznie usiłowałam odciągnąć jego dłonie. Ugryzłam go, zdumiona własną agresywnością, i poczułam w ustach smak krwi. Ale powstrzymałam go tylko na chwilę. Mężczyzna nie był o wiele wyższy, ale za to silniejszy i cięższy. Przypomniałam sobie słowa doktora Yarbrough: większość zgwałconych młodych kobiet umiera w wyniku uduszenia. Zaczęłam się zastanawiać, czy facet zgwałcił mnie teraz, czy też może, jak już wyzionę ducha.

— Nie! — wrzasnęło coś we mnie. — Nie! Nie!

Przed oczami tańczyły mi już plamki. Machnęłam gwałtownie głową, mierząc w podbródek. Szczęki zatrzęsły mu się z taką siłą, że aż jęknął. Sięgnęłam rękami do krocza napastnika, ale w tym zamiarze przeszkodził mi ciężki materiał jego kurtki. Puścił moje gardło i usiłował złapać mnie za ręce, ale ugryzłam go, kiedy starał się je odciągnąć.

Jęknął z bólu, lecz gdy próbowałam uciekać, znowu ścisnął mnie za gardło. Poczułam, jak uchodzą ze mnie siły. Chciałam jeszcze zmusić swoje nogi do kopnięcia, ale niewiele to dało. Usłyszałam coś, co przypominało szczekanie psa we śnie innej osoby, i wtedy okryła mnie szczelna zasłona ciemności.

Rozdział 17

Świadomość dała o sobie znać uczuciem ciężkości we wszystkich członkach i wrażeniem, jakby na mojej piersi spoczywało niebывałe brzemie. Oddychanie sprawiało mi olbrzymią trudność, trzeba mi było wręcz zmuszać się do niego. Okropnie bolało mnie gardło. Jasność otaczających ścian razila moje oczy. Unosił się nieprzyjemny, znajomy zapach. Skąd znajomy? Tego nie mogłam sobie przypomnieć. Nie byłam w stanie się ruszyć. Gdzieś w pobliżu ktoś cicho pojękiwał, modliłam się, by przestał. Od tego dźwięku bolała mnie głowa.

— Szybko, wezwijcie doktora Pollarda — zagrzmiał głos gdzieś poza moim polem widzenia. Wtedy powróciłam do błęgiego stanu nieświadomości.

Kiedy ponownie odzyskałam przytomność, wiedziałam, że jestem w szpitalu. Nieprzyjemny zapach to kombinacja choroby i odkażacza. Zdążyłam go znienawidzić w trakcie choroby Russella. Wiedziałam, że okno zakrywały zasłony, a nieznośnie jasny pokój tak naprawdę był ledwo co oświetlony. Wiedziałam, że osobą, która jęczała, byłam ja.

Miałam popękane i spuchnięte wargi. Czułam suchość w ustach, zdawało mi się, że są zaklejone na amen. Lewa ręka tkwiła na jakimś rusztowaniu. Po chwili dostrzegłam drugą, do której podłączone były kroplówki. Bolało mnie dosłownie wszystko, ale nie mogłam zlokalizować żadnego z epicentrów cierpienia. Oddychanie było piekłem.

Nie miałam pojęcia, co się ze mną stało.

Przy sprawnej ręce leżało coś przypominającego turkusowego pilota. Wcisnęłam po kolei wszystkie guziki. Włączył się telewizor, głowa łóżka drgnęła, a po dziesięciu sekundach pojawiła się pielęgniarka.

— Panna Millholland. Jak dobrze, że pani oprzytomniała — zaćwierkała. Nacisnęła jeszcze jeden guzik, tym razem schowany gdzieś nad moją głową. —

Zadzwoń do doktora Pollarda i powiedz, że Millholland odzyskała przytomność.

— Pochyliła się nade mną i spytała: Może wody?

Kiwnęłam głową.

Podniosła zielony pojemnik ze stolika przy łóżku i nalała wody z lodem do małego kubka z wystającą słomką. Zimny płyn drapał mnie w gardło. Dławiłam się i wypluwałam to, co wypilałam. Woda spływała po podbródku. Próbowałam sięgnąć sprawną ręką do gardła, ale powstrzymały mnie kroplówki.

— Proszę spokojnie leżeć — napomniwała pielęgniarka łagodnym tonem. Miała ze czterdzieści parę lat, trudną do opisania trwałą, brązowe włosy i sympatyczną twarz.

— Co się stało? — udało mi się spytać. — Co ja tu robię?

— Jest pani ranna — odparła.

— Jak? — mój głos przypominał słaby charkot. Każde słowo sprawiało ból.

— Lepiej niech pani poczeka z pytaniami, aż odzyska nieco siły. Była pani długo nieprzytomna. Niebawem przyjdzie tu doktor Pollard — on odpowie na wszelkie pytania.

— Kiedy? — szepnęłam chrapliwie.

— Och, przyjdzie za jakieś parę minut — odrzekła.

— Nie. Kiedy straciłam przytomność? — coraz trudniej było mówić. Dziwne.

— Niech no się zastanowię. To było... w środę wieczorem. Tak, dziś jest niedziela, więc była pani nieprzytomna przez...

— Niedziela! — krzyknęłam, próbując usiąść, powodowana poczuciem, że mam coś ważnego do zrobienia. Nie wiedziałam tylko co. — To niemożliwe!

Pielęgniarka z sympatyczną twarzą chwyciła mnie za zdrowe ramię i nieskrępowany nadgarstek i pchnęła z powrotem na łóżko z zadziwiającą skutecznością.

— Jest pani jeszcze za słaba, żeby usiąść — oznajmiła.

Próbowałam oponować, ale przytrzymała mnie mocną ręką.

— Jeśli się pani nie opanuje, będziemy musieli dać pani środki uspokajające — ostrzegła.

Chciałam poprosić, by tego nie robiła, obiecać, że będę grzeczna i położę się sama, ale z moich ust wybiegł tylko charkot:

— Proszę...

Po chwili pojawił się siwowłosy mężczyzna. Na jego nosie tkwiły okulary bez oprawek, a z kieszeni nieskazitelnie białego fartucha wystawało pióro Mont Blanc. Jak się później dowiedziałam, był to lekarz mojej matki, doktor medycyny Lawrence Pollard.

— Cieszę się, że wreszcie odzyskała pani przytomność — powiedział, wziął do ręki tabliczkę z historią choroby i utkwiał w niej wzrok. Nie patrzył na mnie.

— Obawialiśmy się już, co z panią będzie.

- Co się ze mną stało?
- A jak pani sądzi? spytał.
- Nie wiem.
- Nic pani nie pamięta?

Zastanowiłam się przez chwilę. Z wszechogarniającego cierpienia byłam już w stanie wyróżnić poszczególne źródła bólu — obojczyk, ręka, żebra, gardło. Zwłaszcza gardło.

- Jadłam kolację z rodzicami.
- Kiedy to było?
- Mogłabym przysiąc, że wczoraj wieczorem.
- Jaki to dzień?
- Środa.

— Wie pani, że dzisiaj jest niedziela. Jest pani pewna, że ostatnie, co zostało pani w pamięci, to kolacja z rodzicami?

Próbowałam się skupić. Zakręciło mi się od tego w głowie.

— To nic takiego — rzekł lekarz i klepnął mnie protekcyjnie w dłoń. — Utrata pamięci w rezultacie takiego urazu nie jest niczym niezwykłym.

— Co mi się stało? — nie ustępowałam, coraz bardziej zniecierpliwiona.

Dobywanie głosu sprawiało mi ból. Miałam dość tych niedomówień.

— Doznała pani wielu obrażeń, nie jesteśmy jeszcze pewni, w jaki sposób. Mieliśmy nadzieję, że pani nam to powie. Otóż ma pani złamany obojczyk, nadgarstek oraz cztery żebra, zwichniętą kostkę i zmiażdżoną tchawicę. Przeprowadziliśmy tracheotomię, by umożliwić pani oddychanie. Potem wprowadziliśmy rurkę poliuretanową, aby skorygować tchawicę. To dlatego ma pani kłopoty z mówieniem. Ma pani ponadto wstrząs mózgu, rany dęte i sińce, a po lewej stronie twarzy długie, poszarpane dęcie, na które musieliśmy założyć dwadzieścia dziewięć szwów. Żeby pani widziała siebie w chwili przywiezienia! Biorąc to wszystko pod uwagę, trzeba przyznać, iż ma pani niezwykle szczęście.

Dziwne, nie podzielałam tego poglądu.

Przez całe popołudnie byłam niezwykle zajęta, zwłaszcza jak na osobę w moim stanie. Przebadał mnie ortopeda i internista. Przyszedł też neurolog i stwierdził, że moja częściowa amnezja jest czymś normalnym.

— Proszę z tym nie walczyć. Pamięć może wrócić sama — zapewnił mnie.

Zwalczyłam nadchodzący dreszcz. Nie byłam pewna, czy chcę sobie wszystko przypomnieć.

Chirurg, który operował moją tchawicę, przyszedł podziwiać dzieło swoich rąk. Dodatkowa rurka ułatwiająca oddychanie została usunięta. Rozmowa i picie stały się jeszcze bardziej bolesne. O jedzeniu nie było w ogóle mowy.

Zostało mi tylko kłąć na pielęgniarki, które pojawiały się od czasu do czasu i wmuszały we mnie lizaki.

Odwiedziła mnie również policja.

Był to już inny typ policjanta niż ten, który łąsił się do mnie dzień po tym, jak Stephen znokautował Edgara Eichela. Obok mnie siedział odziany w poliestrowy garnitur gliniarz o kamiennej twarzy. Włosy miał ścięte na jeża. Nazywał się James Wolfe i choć nie powiedział tego wprost, wyraźnie mało go obchodziło, czyją jestem córką i ile mam pieniędzy.

Słuchałam uważnie i próbowałam odpowiadać na jego pytania najlepiej, jak tylko byłam w stanie. Problem w tym, że po godzinie, kiedy weszła pielęgniarka i przerwała audyencję, tłumacząc się moim przemęczeniem, wiedziałam więcej na temat wydarzeń środowego wieczora niż on.

W dodatku straszliwie bolała mnie głowa.

Według tego, co mówił Wolfe, jakiś czas po zjedzeniu kolacji z rodzicami poszłam na plażę z psem, Rocketem. Tam właśnie zostałam zaatakowana przez jak dotąd niezidentyfikowanego napastnika. Około 21.20 pracownicy kuchni usłyszały szczekanie psa przy tylnym wejściu. Zdziwiły się, że jest sam, a gdy nie przestawał szczekać, zaczęły się poważnie martwić. Po dłuższej chwili wysłały ogrodnika z latarką, by się rozejrzał. Rocket zaprowadził go na plażę, gdzie leżałam nieprzytomna, skąpana we krwi.

No, pomyślałam sobie, Raoul wreszcie zasłużył sobie na wypłatę.

Na pytania policjanta, odpowiedziałam, że mało prawdopodobne, bym wzięła ze sobą torebkę lub portfel, jeśli miałam zamiar wyjść z psem na spacer, że nie miałam pojęcia, kto i dlaczego mnie zaatakował, że nigdy nie zaczepiali mnie dziwni faceci, że nie mam kochanka o perwersyjnych skłonnościach, że nic mi nie wiadomo o żadnych wrogach, że nigdy jeszcze nie zostałam zaatakowana, nie padłam ofiarą szantażu i nikt mi nie groził. Byłam ciężko pracującym prawnikiem. Zapewniłam go, że nie sądzę, by moja praca miała jakikolwiek związek z tym napadem.

Kiedy Wolfe spytał, czy mam coś przeciwko postawieniu przed drzwiami strażnika na następne dwadzieścia cztery godziny, odrzekłam, że nie.

Później spytałam pielęgniarkę, czy mam zezwolenie na prowadzenie rozmów telefonicznych lub przyjmowanie gości.

— Tylko rodziny — odparła.

Nikt z mojej rodziny nie przyjechał ani nie zadzwonił.

Nadal byłam na liście ciężko chorych.

Pierwszym widokiem, który ukazał się moim oczom po przebudzeniu się w poniedziałek rano, był Elliott Abelman, śpiący twardo na krześle przy moim łóżku. Środki przeciwbólowe przestały działać i czułam się jak masa pulsujących ran. Spróbowałam ułożyć się w wygodniejszej pozycji, po czym zbudziłam Elliotta.

— Dzień dobry, ślicznotko — natychmiast otworzył oczy i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Dobry — szepnęłam chrapliwie swoim nowym głosem.

— Masz okropny głos.

Przytaknęłam głową.

— Jak wykiwalesz strażnika?

— Oświadczyłem, że jestem twoim bratem. Jak na grzeczną dziewczynkę często cię tłuką.

Ponownie skinęłam głową.

— Wystraszyłaś mnie jak skurczybyk.

— Przepraszam.

— Jeden z moich ludzi sądzi, że wie, gdzie był Joey w noc poprzedzającą śmierć Gretchen.

— Gdzie? — skrzeknęłam.

— Wygląda na to, że Azorini ma panienkę.

— To dlaczego nam nie powiedział?

— Bo ona ma trzynaście lat.

— Aha.

— Na imię ma Shawna. Mówi, że była z nim od jedenastej wieczorem w niedzielę do piątej trzydzieści rano w poniedziałek. Jej matka twierdzi, że córka przez całą noc spała w swoim łóżku. Z drugiej strony, Shawna przyznała się, że czeka, aż matka zaśnie, po czym wymyka się z domu przez okno. Joey siedzi w samochodzie na końcu ulicy. Chcesz usłyszeć, jak się poznali? To zdecydowanie najlepsze.

Kiwnęłam głową, że tak.

— Trzynaście lat temu Azorini kręcił z matką Shawny.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, myśląc o Joey'u Azorinim, królu perwersji.

— Nie całkiem o to nam chodziło, prawda?

— Zgadza się — odparł detektyw. — Stephen nie wygląda mi na człowieka, który uwierzyłby w słowa trzynastoletniej, z którą sypia jego brat.

Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Wolfe'em — kontynuował. — Myśli, że natknęłaś się na włamywacza, który działał w okolicy domu twoich rodziców. Obiecał przynieść ci zestaw zdjęć, chce sprawdzić, czy na którymś z nich rozpoznasz napastnika.

— Nadal nic nie pamiętam — rzekłam — to okropne. Cały czas zdaje mi się, że czegoś w tym wszystkim brakuje. Zupełnie, jakbym dowiedziała się o czymś ważnym i teraz kompletnie o tym zapomniała.

— Nie myśl o tym, zobaczysz, pamięć sama wróci.

Po wyjściu Abelmana wpadł John Guttman. Pochlebilo mi, że poświęcił trochę swojego cennego czasu na wizytę. Z drugiej strony, mieszka sześć przecznic

od szpitala. Pewnie zaparkował tak, by jak najszybciej wyjechać do biura. Pośpiesznie klapnął na krzesło stojące przy moim łóżku.

— Uznałem, że powinienem ci pierwszy o tym powiedzieć — zaczął pogrzebowym tonem.

— O czym?

— Dziś rano dostaliśmy faks z Komisji do Spraw Leków i Produktów Żywnościowych. Pamiętasz ten nowy lek przeciwko schizofrenii?

— Tak. Stephen mówił, że niedługo zostanie zaaprobowany.

— Nic z tego. Jeden z członków komisji całkowicie zmienił zdanie. Chodzą słuchy, że przekupił go Eichel. Zażądali jeszcze dwóch lat badań.

— Cholera — mruknęłam, czując, jak narasta we mnie gniew.

Jeśli zamierza się coś kupić, są dwa sposoby przebicia oferty. Podwyższyć proponowaną kwotę albo utrzymać ją na tym samym poziomie, zaniżając wartość nabywanej rzeczy. Eichel właśnie zrobił to drugie i biorąc pod uwagę fakt, że kiedy Azor będzie już jego własnością, ów przekupiony członek komisji znowu zmieni zdanie, nie mogłam nie podziwiać jego tupetu.

Elliott wrócił zaraz po wejściu pielęgniarki z lunchem.

— Proszę to zabrać — rozkazał — ta pacjentka jest na specjalnej diecie.

Kopniakiem zamknął za sobą drzwi, a następnie na stoliku postawił papierową torbę.

— Nie wiesz, że szpitalne jedzenie szkodzi? Przyniosłem ci rosół z tego sklepiku w Rogers Park. Poczekamy, aż ostygnie, a wtedy będziesz mogła go wysączyć przez słomkę.

— Dziękuję — wychrypiałam.

— Przypomniałaś sobie coś? — spytał.

— Nie — odrzekłam. Mówienie przychodziło już troszeczkę łatwiej. — Ale cały czas mam coś na końcu języka. Mógłbyś sprawdzić, co się stało z moim ubraniem, kiedy przywieźli mnie do szpitala? Zdaje mi się, że to ważne.

— Znajdę je — zapewnił z uśmiechem — od tego są detektywi. Wróce, zanim zupa ostygnie.

Tymczasem pojawiła się pielęgniarka z moim lekarstwem, dwiema tabletkami darvocetu w papierowym kubku. Schowałam je w dłoń i udałam, że połykam. Chciałam dobrze kontaktować w czasie rozmowy z Abelmanem.

Wrócił po dwudziestu minutach z dwiema dużymi plastikowymi torbami oznaczonymi napisem „rzeczy osobiste”.

— Zapakowane dla policji, ale jeszcze nieodebrane. Nie zaszkodzi im, jeśli pożyczymy to sobie na parę minut, skoro uważasz, że to ważne.

Zabrał się do rozpakowywania.

— Część rzeczy wygląda niezbyt rewelacyjnie — poinformował uprzejmym głosem. Zdaje się, że musieli je odcinać od twojego ciała na sali przyjęć.

Moje czarne buty pokrywało zaschnięte błoto, brakowało jednego obcasa. Niegdyś biała bluzka zeszywniała od skrzepniętej krwi, niebieska spódnica wyglądała, jakby ją pocięto na wstęgi. Elliott uniósł biały jedwabny biustonosz — jedna miseczką nasiąknięta krwią, druga czysta.

Dowody fizyczne na to, co stało się ze mną, były naprawdę wstrząsające, niczym okropne rekwizyty ze sceny, której odegrania główny aktor, czyli ja, nie mógł sobie przypomnieć. Na końcu Abelman wyciągnął granatowy płaszcz. Wiedziałam, że nie należy on do mnie. Na jego widok coś mi się przypomniało.

— Przeszukaj kieszenie — poleciłam z rosnącą niecierpliwością.

Elliott wyjął złożoną wpół dużą kopertę.

— To dokumenty Azor — oznajmiłam, uradowana, że odzyskałam przynajmniej część pamięci. — Były schowane w pokoju, w którym Gretchen spała podczas wizyt u Beth. Znalazłam je tuż przed wyjściem na spacer.

Detektyw wyciągnął zawartość koperty i przerzucił papiery.

— Tu jest jakaś notatka — powiedział, czytając powoli.

— Pokaż — wydusiłam z siebie. Wiedziałam, że już ją widziałam i w jakiś sposób była ważna. Nie mogłam sobie przypomnieć dlaczego.

Abelman podał mi tę kartkę. Po raz drugi miałam w dłoni dowód, że ktoś zdradzał tajemnice Azor Edgarowi Eichelowi, a Gretchen Azorini wiedziała o tym.

Rozdział 18

Jeśli jest się dorosłym człowiekiem w pełni sił umysłowych, nie ma przymusu pozostawania w szpitalu wbrew woli. Mimo to lekarze usiłują zameczyć pacjenta robotą papierkową poprzedzającą upragnione wypisanie. Właśnie, gdy przedzierałam się przez stos formularzy, przyjechała Claudia. Nie czytałam ich w ogóle, samo podpisywanie stanowiło nie lada problem, uwzględniając fakt, że rękę miałam unieruchomioną gipsem i podłączoną kroplówką. Wszystkie papierzyska dotyczyły tego samego — jeśli umrę lub zostanę kaleką w wyniku przedwczesnego i, jak mi powiedziano, nierozsądnego opuszczenia gościnnych progów szpitala, nie mam prawa podać lekarzy do sądu.

Niegdyś myślałam, że lekarza nie da się zaszokować, ale moja współlokatorka na mój widok stanęła jak wryta. Dopiero dziś rano, kiedy zadzwonił do niej Elliott Abelman i powiadomił ją, że leżę w szpitalu i potrzebuję jej pomocy, dowiedziała się o wszystkim. Nie dziwiła się, że ostatni raz widziałyśmy się kilka dni temu. W końcu często tak bywało.

Kiedy wyjaśniłam, o co chodzi, podeszła do nóg łóżka i obejrzała historię choroby. Następnie przytuliła tabliczkę do piersi, zupełnie tak, jak wszyscy pozostali lekarze po jej przeczytaniu, i potrząsnęła głową.

— Nie uważam, żeby przenoszenie cię było dobrym pomysłem — odezwała się w końcu.

— Nie uważam, żeby pozostanie tu było lepsze.

— Moglibyśmy umieścić cię na innym oddziale pod innym nazwiskiem.

— Nie, nie chcę się przed nim ukrywać, chcę dowiedzieć się, kim jest. W szpitalu tego się nie dowiem.

— Zastanów się. Odniosłaś rozległe obrażenia. Chodzi nie tylko o uraz tchawicy, złamania i rany cięte, które same w sobie są dość poważne. Masz znacznie uszkodzoną tkankę miękką, mogę co najwyżej domyślać się w jakim

stopniu. Na jutrzejsze popołudnie zaplanowano tomografię. Dopiero wtedy będziemy lepiej wiedzieć, co dzieje się pod tymi wszystkimi sińcami. Oprócz tego istnieje duże prawdopodobieństwo wystąpienia krwotoku wewnętrznego, zwłaszcza jeśli będziesz się przemęczać. Zastanów się, czy jakiś tam wykup przedsiębiorstwa jest tego wart.

— Tu nie chodzi tylko o biznes, Claudio — odparłam — uwierz mi. Pomożesz?

— Oczywiście.

Podczas gdy Claudia załatwiała transport i odpowiedni sprzęt medyczny, Elliott został wysłany po Beth do Chelsea Hall. Niepokoiliam się o jej bezpieczeństwo, przecież w chwili ataku miałam na sobie jej płaszcz. Bardzo możliwe, że morderca czyhał właśnie na nią.

Nie byłam w nastroju do podejmowania ryzyka.

Pod dom Anthony'ego Azoriniego podjechała dziwna, posępna procesja. On sam nie sprzeciwił się, gdy poprosiłam go o schronienie. Nie zadawał też pytań. Za to byłam mu wdzięczna.

Mieszkał w jednej ze starszych dzielnic w południowo-zachodniej części miasta. Spokojna okolica, uparcie broniąca się przed wkroczeniem getta. Tutaj starsze kobiety w czarnych sukniach nadal chodziły od sklepu do sklepu z siatkowymi torbami w dłoni albo ciągnęły za sobą wózki na zakupy. Na każdym rogu znajdowała się piekarnia, a przed co trzecim domem widniała kapliczka poświęcona Najświętszej Marii Pannie.

Anthony Azorini chciał wejść w lata dziewięćdziesiąte jako legalnie działający biznesmen, a mimo to nadal mieszkał w tej samej dzielnicy. Wiele to mówiło o nim i o tym, co było dlań naprawdę ważne.

Jego dom stał na końcu ślepej uliczki bez nazwy. Wybudowano go w tym samym stylu, co sąsiednie bungalowy z żółtej cegły, ale przewyższał je wszystkie wielkością co najmniej pięć razy. Od ulicy widać było witraże geometrycznie rozłożone na szkle ołowiowym i szeroką werandę z cegły, modne w latach dwudziestych, trzydziestych, kiedy powstawała ta dzielnica.

Dom stał bokiem do ulicy, przez co odwiedzający, zanim doszli do wejścia, mogli być dokładnie zlustrowani przez uzbrojonego strażnika stojącego na balkonie.

Sam Anthony Azorini wyszedł na zewnątrz, by zaprosić nas do środka. Miał na sobie zieloną wełnianą kamizelkę, spod której wystawał czerwony golf. Nie pasował przez to do sytuacji, wyglądał, jakby świętował właśnie Boże Narodzenie. Nie skomentował mojego stanu ani słowem; tak jakby wcale się nim nie zdziwił. Może jak generał uodpornił się na widok ofiar toczonych przezeń wojen.

Kiedy Claudia przedstawiła się, wyraził zdziwienie faktem, że tak drobna młoda kobieta jest lekarzem. Uprzedzenia mężczyzn w starszym wieku zawsze mnie zadziwiała. Trochę im też współczułam. Dorastali w uporządkowanym

świecie, gdzie kobiety były matkami, nauczycielkami i pielęgniarkami, a mężczyźni mogli się wyluzować, wiedząc, że oni tu rządzą. Jakże ciężko starzejąc się obserwować, jak ten ład rozsypuje się w gruzy, odkryć ze zdumieniem, że ta niewysoka kobieta w żakiecie i tenisówkach to tak naprawdę doktor Stein.

Wprowadził nas do domu. Dwaj sanitariusze nieśli mnie na noszach, a Claudia dreptała obok ze zmartwioną miną, trzymając w ręku stojak z kroplówką. Kiedy zaczęliśmy powoli, ostrożnie wspinać się po krętych, mahoniowych schodach, poczułam przyływ mdłości. Schody pokrywał dywan w kolorze burgunda. Tapeta była ciemna, z powtarzającym się motywem maków o barwie starej krwi. Drogę oświetlał wielki, wykuty w żelazie żyrandol, dziwnie przypominający wyroby Maurów. Środki przeciwbólowe spowodowały, że czułam się, jakbym była wnoszona w obraz Goi.

Ten dom należał do starszego człowieka, który siedł przed nami i który, jak twierdzi Stephen, ma na swoich rękach krew wielu ludzi. Zwróciłam się do niego z prośbą o ochronę przed człowiekiem, na którego rękach znajdowała się krew Gretchen Azorini.

Mój pokój był wysoki i słabo oświetlony. Białe popołudniowe słońce skrywało się za ciężkimi, czerwonymi zasłonami. Wokół stały masywne, czarne meble nakryte okrągłymi koronkowymi serwetkami. Znajdował się tu też ponury stolik z lustrem naznaczonym upływem czasu i kilka foteli przykrytych ciemnozielonymi narzutami. Jeśli w komplecie było łóżko, to zostało ono usunięte. W jego miejscu stało teraz łóżko szpitalne, przywiezione tak niedawno, że ludzie z firmy zajmującej się dostawą sprzętu medycznego nadal kręcili się po pokoju i kończyli papierkową robotę.

W pokoju czekała już wynajęta pielęgniarka, młoda kobieta w białym kitlu. Miała jasne włosy i szeroki uśmiech, typowy dla Kalifornijki. Na imię miała Patty. Pomogła sanitariuszom przenieść mnie do łóżka.

— Jak się czujesz? — spytała Claudia.

Patty w tym czasie skupiła się na mierzeniu mi ciśnienia.

— Okropnie — szepnęłam zgodnie z prawdą.

— Pamiętaj, to twój pomysł.

— Doceniam współczucie — udało mi się wychrypieć.

— Nie ma sprawy — odparła Claudia beznamytnym głosem, jakże typowym dla lekarza. — Zakładając, że łagodny ból głowy to jeden, a najstraszniejsze cierpienie, jakie możesz sobie wyobrazić, to dziesięć, oceń swoje samopoczucie.

— Siedem. Siedem i pół — strzeliłam.

Claudia zmarszczyła brwi.

— Dam ci więcej środków przeciwbólowych. Możliwe, że będziesz po nich senna.

— Nie, nie chcę spać. Muszę zadzwonić do Cheryl i poprosić, żeby przesłała mi pewne dokumenty.

— Kate, bądźmy poważni — ucięła Claudia. — Już przeniesienie cię tutaj stoi w sprzeczności z wszelkimi zasadami mojego fachu.

— Claudio, proszę, po co to wszystko, jeśli nie dowiem się, kto usiłował mnie zabić?

— Pójdę ci na rękę. Powiesz mi, czego chcesz od Cheryl. Ja do niej zadzwonię i przekażę to. A tymczasem dam ci coś, po czym trochę odpoczniesz. Coś o krótkim okresie działania. Obudzisz się, zanim przyjdzie goniec.

— Zgoda — przystałam niechętnie.

Claudia posłusznie zanotowała na recepcie moje instrukcje dla sekretarki, po czym dodała mi coś do kroplówki.

— Nawet nie próbuj kopnąć w kalendarz — ostrzegła, wypisując zlecenia dla pielęgniarki. — Jeśli mi to zrobisz, resztę życia spędzę w jakiejś zapadłej dziurze na Alasce, a przecież wiesz, jak nie cierpię zimna.

Kiedy się obudziłam, już zmierzchało. Podczas mojego snu ktoś odsunął ciężki adamaszek zasłaniający okna. Zza firanek wylał się widok kościstych palców nagich grudniowych drzew. W domu panowała niczym niezmacona cisza. Wraz ze świadomością powrócił ból, znany i niepożądany towarzysz.

Do pokoju rażno wmaszerowała Patty i włączyła światła.

— Doktor Stein mówiła, żeby zająć się panią, kiedy pani się już sama obudzi. Pomóc pani w umyciu się?

Zdobyłam się tylko na pełne wdzięczności skinienie głowy.

Przemyśla mi twarz ciepłym ręczniczkiem i uczesała, splatając włosy w długi warkocz. Skądś wyczarowała dużą, białą koszulę, którą rozcięła z boku tak, by znalazło się miejsce na gips i czarne spodnie od dressu. Od razu się lepiej poczułam.

— Kiedy pani odpoczywała, przyszedł niejaki pan Abelman — zameldowała Patty. — Kazał powiedzieć, że będzie przy pani siostrze w domu pani rodziców i, póki co, wszystko jest w porządku. Zostawił też dla pani kopertę — położyła ją przy mnie.

Próbowałam sobie wyobrazić, w jaki też sposób Elliott przekonał moją matkę, by pozwoliła mu zostać w jej domu. A co tam w ogóle robił? Przypochlebiał się pani Mason? Wysłuchiwał anegdotek Beth o seksie z szoferem babci Prescott? Grał w karty i pił dżin z ojcem? Aż strach pomyśleć.

— Był też goniec z pani biura, chociaż, szczerze mówiąc, uważam, że nie powinna pani w tym stanie zajmować się pracą.

— Czy mogłaby pani otworzyć list od pana Abelmana?

Pielęgniarka rozcięła kopertę nożyczkami i rozłożyła kartkę papieru.

Widniało na niej:

Mój znajomy z centrali telefonicznej sprawdził wykaz telefonów do domu Twoich rodziców w dniu przed śmiercią Gretchen. Człowiek, który podał się za jej ojca, dzwonił spod numeru 465-0900.

Elliott

Abelman dobrze wiedział, że nie musi mi mówić, czyj to numer. Wykręcałam go praktycznie codziennie. Numer głównego biura Azor Pharmaceuticals.

Kiedy tak ściszałam w rękę kartkę od detektywa, rozważając możliwe implikacje tego, co zawierała, wszedł Stephen Azorini.

— Och, Kate — jęknął na widok mojej poszatkowanej twarzy — nie miałem pojęcia, że jest aż tak źle. Guttman mówił, że zaskoczyłaś włamywacza przy domu twoich rodziców, ale nie wiedziałem, jak ciężko jesteś ranna.

Przysunął fotel do łóżka. Poglądził mnie po zdrowym policzku i dotknął ust opuszkami palców. Zналиśmy się długo, ale podczas naszej przyjaźni rzadko zdarzało nam się okazywać sobie prawdziwe uczucie. Spojrzał mi w oczy. Naprawdę się wzruszyłam. Niestety, kartka od Elliotta zepsuła nastrój. Wcisnęłam ją nieporadnie pod koc, tak by Stephen jej nie zauważył.

Przyjrzałam mu się dokładnie. Źle wyglądał. Miał worki pod oczami, a na twarzy pojawiły się zmarszczki, których wcześniej nie było. Nawet włosy, niedawno jeszcze gęste i czarne, teraz zdawały się wyblakłe i przyprószone siwizną.

Niegdyś uważałam się za wyrafinowaną światową kobietę. Jednak tak naprawdę, związałam się tylko z dwoma mężczyznami w całym życiu. Jednego z nich kochałam naprawdę i moja miłość została odwzajemniona. A drugi? Drugi był przystojnym samotnikiem, który odpowiedział na moją rezerwę siłą swojego sceptycyzmu. Spojrzałam w jego zmartwione oczy.

— Co się stało? — spytałam.

— Wiesz — powiedział i rozparł się wygodniej — kiedy widzę cię w takim stanie, tęsknię do zwykłej praktyki lekarskiej. Pomagać ludziom, czuć, że jest się komuś potrzebnym.

— Co się stało? — powtórzyłam, zaniepokojona tonem rezygnacji w jego głosie.

— Dzisiaj, o dziewiątej wieczorem, ma się odbyć zebranie zarządu. Niekonsultowane ze mną. Poinformowano mnie o tym na piśmie o czwartej trzydziści — cedził słowa powoli, jakby każde z nich było ciężarem, który musiał targać na sporą odległość. — Dzwoniłem do moich najbliższych znajomych z zarządu, by dowiedzieć się co i jak. Żaden z nich nie odebrał, żaden z nich nie oddzwonił. Wreszcie udało mi się złapać Petera Chou w jego mieszkaniu. Stąd wniosek, że nie zdążył poinformować żony o moim nowym statusie trędownego — mówił

gorzko. — Poinformował mnie, że zarząd planuje przegłosować sprzedaż firmy Eichelowi. Zaprośili najważniejszych udziałowców. Mają podać przyczyny takiej decyzji i poddać ją pod głosowanie. Zaprośili też Eichela i jego doradców. Chcą, żebym po głosowaniu spotkał się z nim w cztery oczy i podpisał korzystną umowę...

— Stephen — tylko tyle byłam w stanie z siebie wydobyć. Zabrzmiało jak połączenie jęku ze szlochem. Miałam wrażenie, jakby siła przyciągania ziemskiego nagle się zwiększyła i zaczęła wciągać mnie w ciemną otchłań.

— Najprawdopodobniej planowali to od ładnych paru dni — kontynuował Azorini. — Zarezerwowali dwie sale konferencyjne w University Club. W jednej zbierze się zarząd Azor, w drugiej Eichel wraz ze swoimi rekinami poczeka na wynik głosowania.

— Dlaczego chcą się już poddać? — zdziwiłam się. — Przecież oferta Eichela jest aktualna jeszcze przez czterdzieści osiem godzin. Nawet nie wiedzą, czy ma on w rękę wystarczającą liczbę akcji.

— Czy to ważne? Na pewno mają większość w zarządzie. Chryste, ale jestem wściekły! — krzyknął Stephen. Podniósł się gwałtownie i zaczął krążyć po pokoju. — Chciałbym własnoręcznie udusić Eichela. Choć nie, Eichela jestem w stanie zrozumieć, to ten pieprzony zarząd mnie zdradził. Co oni sobie, do jasnej cholery, myślą? Że prowadzenie przedsiębiorstwa farmaceutycznego nie różni się od handlowania tłumikami? Wiesz, co Peter Chou miał czelność powiedzieć? Ten kutas Peter Chou, który dzięki mnie nie gnije teraz w jakimś zatęchłym laboratorium, harując za marne pieniądze jako asystent? Powiedział, że podjęli decyzję, iż sprzedaż przedsiębiorstwa jest najkorzystniejszym wyjściem, zwłaszcza teraz, zanim wyjdą na jaw inne sprawy typu brak zgody Komisji do Spraw Leków. Stwierdził ponadto, że zarząd uważa wynegocjowanie korzystnej fuzji za swój powierniczy obowiązek.

Zabiłbym drania. Najkorzystniejsze wyjście! Gównno prawda! Najkorzystniejsze wyjście, owszem, ale dla tych sępów z zarządu. Chcą tylko osłonić własne tyłki i jednocześnie zapełnić kieszenie. Drobniejsi udziałowcy nic ich nie obchodzi. Peter chce kupić dom w Aspen, a jego córki ciągle potrzebują masy pieniędzy na opłacenie szkoły. Dlatego chce sprzedać moje przedsiębiorstwo człowiekowi, który nie byłby w stanie zrozumieć, jak działają nasze produkty, nawet gdyby mu to wyłożył łopatologicznie.

Stephen chodził w kółko i wrzał gniewem.

Nie pierwszy raz byłam świadkiem takiego wybuchu wściekłości. Wszyscy wplątani w próbę wykupu firmy z trudem utrzymywali emocje na wodzy, ale byli dumni, że to im się udawało. Jednak w praktyce każdy z nich tracił nerwy przynajmniej raz — zwykle w obecności swojego prawnika.

Trudno winić Azoriniego za ten wybuch. Cała procedura wykradzenia mu Azor Pharmaceuticals była straszliwą znie wagą. Pogwałceniem niepisanych zasad. Stephen stworzył tę firmę, krok po kroku, decyzja po decyzji, ryzyko za

ryzykiem, aż dzięki szczęściu, umiejętnościom i czystej brawurze przekształcił małe przedsiębiorstwo prowadzone przez przymulastych naukowców w stylu Petera Chou w potęgę obecną na światowych rynkach.

A teraz ten wypolerowany gnojek, pseudofinansista o nazwisku Edgar Eichel, który nie miał pojęcia o nauce, o prowadzeniu badań, będzie mógł położyć nogi na biurku Stephena. Eichel, ten łysielec z wielkim cygarem w zębach, rozsądzi się wygodnie, a jego śliczniutka żona, Nadine, była stewardesa, wraz ze swoją okropną dekoratorką wnętrz będą się zastanawiać, jak tu przemeblować biuro.

Tym razem jednak na moich oczach rozklejał się nie jakiś klient, ale bliski przyjaciel. Widziałam, jak zmagą się z faktem, że za miesiąc, dwa, pół roku — zależy, ile potrwać negocjacje rozpoczęte dzisiaj wieczorem — to Edgar Eichel obejmie władzę w Azor. Eichel zadecyduje, którzy z pracowników dobranych osobiście przez Azoriniego utrzymają stanowisko, by podskakiwać na jego rozkaz, a którzy rozbiegną się po mieście z życiorysami w rękę, poszukując innej pracy.

A Stephen, który włożył w Azor wszystko, co miał, obudzi się rankiem i... i co? Sprawdzi w „Wall Street Journal”, jak stoją akcje Azor? Zacznie grać w golfa? Będzie krążył po pustym mieszkaniu i zastanawiał się, co, u licha, stało się z jego życiem?

Myśl, że Stephen zostanie zmuszony do podjęcia rozmów z tą nic nieznaczącą ropuchą Eichelem, była nie do zniesienia. Gorzej. Nie można było na to pozwolić, przynajmniej w świecie, gdzie wciąż obowiązywały prawa fizyki i przyrody. Nie, nie pozwolę, by do tego doszło.

— Nie możemy mu odpuścić — stwierdziłam.

— W pierwszej chwili też tak pomyślałem — odparł spokojnie — ale potem się zastanowiłem. Jeśli Eichel ma większość w zarządzie, nie mogę nic zrobić, zwłaszcza że nie chcą ze mną rozmawiać. Poza tym, czy mógłbym rzec im coś, czego jeszcze nie mówiłem? Ze Eichel nie ma odpowiednich kwalifikacji do prowadzenia przedsiębiorstwa? Że chce je tylko splądrować i pogrążyć w długach, jak wszystkie inne, które wykupił? Jeśli do tej pory nie udało mi się ich przekonać, czemu mieliby mnie teraz wysłuchać?

— Bo mam dowód, że Eichel gra nieczysto.

— Mówiłem im o faksie, ale nie byli przekonani. Powiedzieli, że coś takiego ma miejsce w trakcie każdego wykupu, niezadowoleni pracownicy przejmowalnego przedsiębiorstwa odstępują ważne informacje...

— Chodzi o coś więcej — przerwałam mu. — Gretchen dowiedziała się, że ktoś przekazuje Eichelowi utajnione dokumenty Azor. Zamordowano ją, żeby cię o tym nie powiadomiła. Przynajmniej tak sądzę. A ja nie natknęłam się na włamywacza — to zabójca Gretchen usiłował mnie załatwić.

Azorini stanął jak wryty i wbił we mnie wzrok.

- Wiesz, kim on jest? Potrafisz to udowodnić? — wyrzucił z siebie pytania.
- Potrzeba mi na to czterdziestu ośmiu godzin. Jesteśmy na tropie tego drania. Jeszcze trochę czasu!
- Zarząd nie zechce dać ani sekundy więcej. Boją się, że Eichel wyskoczy z czymś takim jak w Komisji do Spraw Leków, przez co wartość firmy spadnie, a wtedy stracą jeszcze więcej.
- Muszą cię wysłuchać, przecież chodzi o tak niewielką zwłokę!
- Pomyślą, że to kaprys, którym chcę uspokoić swoje ego. Nawet nie podejrzewałem, że dzisiaj ma odbyć się jakiegokolwiek zebranie. Straciłem kontrolę nad tym, co się dzieje.
- Zgódź się, żebym z nimi porozmawiała — nie ustępowałam.
- Chyba żartujesz. Założę się, że w tym stanie nie możesz się sama wysikać. Wiesz, co? Daj mi kopie tego, co masz, a spróbuję przy pomocy Guttmana coś wykombinować. A nuż uda nam się wywalczyć te czterdzieści osiem godzin, których ci potrzeba?
- Nie, chcę to zrobić osobiście — oświadczyłam. — Już podjęłam decyzję. Widziałeś kiedyś bardziej przekonujący argument od mojej twarzy? Jeśli dowlokę się tam w takim stanie, przynajmniej mnie wysłuchają. Jezu, już dwa razy oberwałam za Azor Pharmaceuticals. Pozwól mi to sobie odbić.

Znalazłam się w ślepej uliczce. W ciągu dwunastu dni przepracowanych w charakterze detektywa odkryłam, że Gretchen Azorini została zamordowana i wymyśliłam, jak to się stało. Ale miałam wrażenie, że nie przybliżyłam się ani trochę do wytropienia zabójcy. Zdaniem Elliotta, w tej sytuacji detektywi powracają do podstaw: sposób, motyw, możliwość. Prawnicy tymczasem jeszcze raz przeglądają wszelkie akta sprawy. Poprosiłam Cheryl o przesłanie mi zarówno akt Azor, jak i wszystkich dokumentów znalezionych u Gretchen.

Wszędzie, gdzie mieszkała, ukrywała stosy dokumentów. Sam ten fakt nadawał im dużej wagi. Przed kim je chowała? Czemu nie trzymała ich w jednym miejscu? Czy chciała, by w razie odkrycia jednej kryjówki, pozostałe dokumenty znajdowały się w bezpiecznym miejscu? Dlaczego zostawiła je schowane, skoro zdecydowała się na ucieczkę i małżeństwo? A może stanowiły formę zabezpieczenia na wypadek, gdyby zdarzenia nie potoczyły się po jej myśli? Czy też sądziła, że nie zawierają wystarczającej ilości danych, by miały jakiegokolwiek znaczenie w razie ich odnalezienia?

Rozłożyłam materiały zgromadzone przez dziewczynę przed sobą. Wszystkie, poza egzemplarzem „Bride's” i zdjęciem w ramce, były dokumentami Azor.

Wzięłam do ręki „Bride's”. Najnowszy numer — mogło to znaczyć, że Gretchen nie planowała ucieczki od dawna... Przekartkowałam dokładnie kolorowy

magazyn w poszukiwaniu czegoś ukrytego pośród stron. Sprawdziłam, czy nie ma notatek na marginesach. Próbowałam wydobyć jakieś głębsze znaczenie z reklamy porcelany, bo właśnie ta strona miała zagięty róg.

Nic z tego.

Skupiłam uwagę na zdjęciu znalezionym w mieszkaniu Stephena. Wyglądało na wycięte z dorocznego sprawozdania. Było w mosiężnej ramce, zatraskującej się jak książka. Podobne zdjęcie, tyle że w srebrnej ramce, znajdowało się pośród rzeczy zabranych z internatu. Dlaczego tam trzymała je na wierzchu, a w mieszkaniu wujka schowała pod materacem? Po co szesnastoletniej dziewczynie zdjęcie, a właściwie dwa zdjęcia zarządu przedsiębiorstwa farmaceutycznego? Jakie to miało znaczenie? Wyjęłam fotografię z ramki w nadziei, że coś z nią będzie. Znalazłam tylko kawałek tektury.

Sfrustrowana zabrałam się do dokumentów, przeglądając je po kolei. Każdy z nich był tajny, o obiegu ograniczonym do małej grupy ludzi z góry Azor Pharmaceuticals. Wszystkie były strategicznie ważne dla Eichela, usiłującego ustalić cenę tak rozbudowanej i złożonej firmy. Ale nie mogłam znaleźć nic, co by je razem w jakiś sposób łączyło. Pośród nich znajdowały się prognozy finansowe, pisma na temat struktury przedsiębiorstwa i środków mających przeciwdziałać wykupowi, raporty dotyczące stopnia zaawansowania badań i projektów rozbudowy — nie było między nimi żadnego powiązania.

I wtedy przyszło mi do głowy, że właśnie brak jakiegokolwiek wspólnej cechy jest niezwykle ważny. W tak dużym przedsiębiorstwie jak Azor tylko garstka ludzi ma dostęp do dokumentacji i planów innych wydziałów. Tylko garstka ludzi ma dostęp do materiałów prawniczych, finansowych i związanych z produkcją.

Pozostanawiałam się nad tym przez chwilę, po czym z oporami wzięłam do ręki kopię zapisu spotkania zarządu Azor. Nie podobało mi się to, czego szukam. Uznałam, że Gretchen odkryła, kto wysłała dokumenty Azor Eichelowi. A jeśli ona sama to robiła? To całkiem prawdopodobne, jeśli chciała zranić Stephena albo jeśli jej kochanek był w jakiś sposób powiązany z Eichelem. Wiedziałam, co powiedziałaby Abelman. Taka zdrada byłaby niezłym motywem do popełnienia morderstwa.

Człowiek, który podał się za jej ojca, dzwonił z Azor Pharmaceuticals. O 17.16 tamtego niedzielnego popołudnia zarząd zebrał się po raz pierwszy celem dyskusowania oferty Eichela. Jak zwykle na zebraniu obecny był stenotypista.

Cheryl otrzymała zapis rozmów z tego spotkania kilka dni później. Normalnie trafiłby do szuflady z aktami Azor. Na dzień, może dwa przed kolejnym zebraniem zarządu sekretarka zmagalaby się nerwowo ze sporządzeniem jednolub dwuminutowego sprawozdania, które zostałyby wygłoszone, poprawione i włączone do programu kolejnego posiedzenia.

Fakt, że ten tajemniczy ktoś dzwonił do domu moich rodziców z Azor, był niewątpliwie niepokojący, ale o niczym nie przesądzał. Tamtej niedzieli w budynku na pewno przebywało mnóstwo ludzi: sekretarki, asystenci, personel pomocniczy, analitycy, wszyscy w stanie gotowości, w razie gdyby Azorini, zarząd lub bankierzy inwestycyjni nagle ich potrzebowali. Możliwe, że nawet Guttman pojawił się tam, żeby potrzymać Stephena za rękę. Wszyscy ci ludzie mogli w każdej chwili wyjść z biura i zadzwonić z budki. Stephen był jednym z nielicznych, którzy w tym celu musieliby wymknąć się z zebrania i posłużyć telefonem biurowym.

Mimo to trudno było cokolwiek wywnioskować z zapisu, bo nie było sposobu określenia, co kiedy zostało powiedziane. Na podstawie czasu otwarcia i zamknięcia zebrania zgadłam, która część przypadała na okolice godziny 17.00, ale nie byłam w stanie zredukować tego do mniej niż ośmiu, dziewięciu stron. W tym czasie salę opuściły co najmniej cztery osoby, jednak nikt nie na dłużej niż chwilę: Azorini, by sprawdzić, czy Richard Humanski wziął już z księgowości prognozy sprzedaży, Peter Chou, by skorzystać z toalety, Tucker Sweet, by zabrać okulary z kieszeni płaszcza i doktor Carl Swensen, który musiał odpowiedzieć na wezwanie ze szpitala.

Odłożyłam zapis i wzięłam do ręki obramowane zdjęcie zarządu Azor, niegdyś należące do zmarłej. Niepokoiło mnie. W związku z nim nasuwało się tak wiele pytań, na które nie mogłam odpowiedzieć. Wyjęłam je z ramki i położyłam przed sobą. Oto siedziałam na łóżku szpitalnym w domu Anthony'ego Azoriniego. Wbiłam wzrok w twarz mojego starego przyjaciela i klienta, Stephena Azoriniego. Patrzyłam tak, aż nadeszła pora wyjazdu na zebranie.

Rozdział 19

W drodze o mało co nie zemdląłem. Nie wzięłem żadnych środków przeciwbólowych. Zdawałem sobie sprawę, że teraz., jak nigdy, muszę być w pełni władz umysłowych. Ale ból, niełagodzony lekami, dosłownie uniemożliwił mi swobodne oddychanie. Kiedy już wcisnęłam się na tylne siedzenie auta, cała się trzęsłam, a przepocona koszula przykleiła mi się do pleców.

Jechaliśmy na tylnym siedzeniu srebrnego bentleya należącego do Anthony'ego Azoriniego. Szyby były przyciemnione i kuloodporne, a kierowca wyglądał, jakby mógł zatrzymać pociąg swoją rozrośniętą szyją. Ojciec Stephena siedział obok mnie na skórzanej kanapie, ponury i sztywno wyprostowany, w garniturze w prążki. Patrzył nieruchomo prosto przed siebie, zupełnie jakby jego profil został wykuty w kamieniu. Patty, moja pielęgniarka i do tego urocza blondyneczka, zajmowała miejsce z przodu, obok kierowcy. On sam wyglądał na zadowolonego z takiego obrotu sprawy.

Droga Dan Ryan doprowadziła nas do płataniny autostrad przypominających gigantyczną pajęczynę spowijającą okolice miasta. Na tle nocy miasto wyglądało jak wielki klejnot o nieregularnych kształtach. Chicago nigdy nie przestało do mnie przemawiać, zwłaszcza takie Chicago, rozświetlone w oczekiwaniu nadejścia nocy.

Skręciliśmy w Dearborn i kontynuowaliśmy jazdę w ciszy, mijając zaciemnione okna sklepów zachodniej strony miasta. Jacyś ludzie grzebali w pojemnikach ze śmieciami. Bezdomni kulili się w bramach, tak że trudno było ich w ogóle dostrzec, a dekoracje świąteczne błyszczały i mrugały w świetle lamp ulicznych. Wreszcie przejechaliśmy pod wiaduktem i gładko zatrzymaliśmy się przed nierzucającą się w oczy, ciemnozieloną markizą University Club.

Kierowca otworzył drzwi od strony Azoriniego. Do środka natychmiast wdarł się suchy, przenikliwy ziąb. Znajdowaliśmy się w tej części miasta, która

funkcjonowała jedynie w godzinach pracy. Niewiele restauracji oferowało klientom kolację, a żaden ze sklepów nie był otwarty dłużej niż do szóstej. Od wspańskiej Rush Street, na której koncentrowało się nocne życie miasta, dzieliło nas zaledwie pięć dolarów jazdy taksówką. Jednak w taki wieczór jak dzisiaj, kiedy w filharmonii nic się nie działo, a Schubert Theatre stał pogrążony w ciemności, nie byłoby wielkiej różnicy, gdybyśmy znaleźli się po niewidocznej stronie Księżyca.

Patty wyciągnęła przy pomocy kierowcy wynajęty wózek inwalidzki. Wydobyli mnie tak delikatnie, jak to możliwe, z tylnego siedzenia bentleya. Wszystkiemu przyglądał się ponury, trupio blade odźwierny. Obrotowe drzwi stanowiły kolejną przeszkodę i minęło trochę czasu, zanim wyciągnął z głębokiej kieszeni, zjedzonego przez mole płaszcz z aksamitnym kołnierzem, klucz do drugich drzwi. Uświadomiłam sobie, że jestem cztery przecznice od swojego biura. Kiedyż ja tam ostatnio byłam?

Hol University Club spowijała ciemność i cisza. Ściany pokrywała mahoniowa boazeria, podłogi dębowa klepka — nic się nie zmieniło. Przynajmniej od czasu gdy w dzieciństwie ojciec przyprowadzał mnie tu w Boże Narodzenie na lunch ze świętym Mikołajem.

Należałam do kilku klubów. Do większości z nich nigdy nie chodziłam. Z wyjątkiem University Club. Po pierwsze, mimo rzeźbionych belek sufitowych i portretów ponurych starych ludzi, którymi obwieszona była boazeria, nie był to klub ekskluzywny. Każdy absolwent uczelni, którego było stać na w miarę skromne składki, mógł do niego należeć. Poza tym jako jeden z pierwszych w mieście zaczął akceptować członkostwo kobiet. A po drugie, chociaż był to głównie klub biznesmenów, przez co nacisk kładziono na oficjalne lunche, a najczęściej spotykanym widokiem byli starsi mężczyźni sączący leniwie sherry i studiujący gazety w bibliotece klubowej, znajdowały się w nim również korty do gry w squasha, a ponadto zawsze dało się spokojnie pograć w bilard.

W pobliżu wind stała rozłożysta choinka, nasączając miejski zaduch wonią igliwia. Pomiędzy dwójgiem drzwi znajdowała się gablota, a w niej kalendarz wydarzeń zaplanowanych na grudzień. Pośród nich znalazły się lunch z Mikołajem i wspólne śpiewanie kołęd. Była tam też informacja oznajmiająca wszem i wobec, że pan Cyrus Rocque od dwóch miesięcy zalega ze składkami i zgodnie ze statutem University Club, jego nazwisko zostało wywieszane. Wesołych Świąt, panie Rocque.

University Club idealnie nadawał się do tajnych spotkań na szczycie. Zapelniał się tylko w porze lunchu, poza tym pozostawał pusty. Znajdowały się w nim również pokoje gościnne, jednak wszyscy, którzy w nich przebywali, zaprzeczali, jakoby widzieli tam kogokolwiek po piątej. Niektórym swoim klientom rezerwowałam tu pokoje. Zawsze potem oskarżali mnie, że wsadziłam ich do kostnicy.

Anthony Azorini wcisnął guzik obok drzwi windy i czekaliśmy w milczeniu na jej przyjazd. Odezwał się cichy dzwonek, pielęgniarka obróciła wózek o sto

osiemdziesiąt stopni i wwozła mnie do środka. Kiedy zasunęły się wypolerowane mosiężne drzwi, zobaczyłam się po raz pierwszy od tamtego pamiętnego wieczoru, kiedy to ktoś usiłował mnie zabić.

Było gorzej, niż sądziłam. Lewa strona twarzy, ta z dwudziestoma dziewięcioma szwami, była okropnie spuchnięta. Wyglądałam jak przewrócony czarnoniebieski melon porośnięty włosami. Miałam nadzieję, że mój widok wywrze na zarządzie odpowiednie wrażenie.

Winda zatrzymała się na czternastym piętrze. Anthony Azorini przytrzymał drzwi, a Patty usiłowała przepchnąć wózek przez metalowy próg. W tym samym czasie odezwał się dzwonek z windy obok nas. Wysypali się z niej pasażerowie. Pielęgniarka wypchnęła mnie wreszcie, prosto na Edgara Echela.

Podskoczyłam, zupełnie jakbym zobaczyła ducha.

Eichel jako bezosobowe pojęcie stanowił cel mojej nienawiści, na nim skupiała się cała moja energia od dnia, w którym oznajmił światu chęć wykupu Azor. Nie byłam przygotowana na spotkanie Eichela — człowieka, dzierżącego cygaro. Coś ścisnęło mnie w gardle i czułam, że dłonie mam mokre od potu.

Przekrzywił lekko głowę i przyjrzał mi się z ciekawością. Obrócił cygaro między kciukiem a palcem wskazującym.

— A tobie co się stało? — spytał wreszcie. — Stephen Azorini też ci przyłożył?

Zanim zdołałam cokolwiek odrzec, wydał z siebie coś, co przypominało chichot, odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę sali konferencyjnej po drugiej stronie korytarza. Anthony Azorini, wcześniej poinstruowany przez zarząd, poprowadził nas do sali konferencyjnej znajdującej się naprzeciwko. Richard Humanski i John Guttman stali przy zamkniętych dębowych drzwiach. Najwyraźniej czekali na nas. Richard wyglądał, jakby się skurczył od naszego ostatniego spotkania, niczym ofiara jakiejś wyniszczającej choroby. Otworzył drzwi. Usłyszałam donośny i wściekły głos Stephena, po czym Humanski zatrzaskał drzwi z powrotem i stanął przede mną.

— Kate, musisz tu zaczekać — oznajmił złowróżbnym tonem.

— Co jest grane? — spytałam.

— Właśnie miałem cię o to samo zapytać — mruknął mój szef nieprzyjaźnie.

— Co, u licha, chcesz osiągnąć, odwalając taki numer bez konsultacji ze mną?

— Mam nadzieję, że uda mi się przekonać zarząd, by dał nam jeszcze trochę czasu — odpowiedziałam spokojnie, jakby pytanie Guttmana nie było czysto retoryczne.

— Młoda damo, nie powinnaś się w to pakować. Nie będę za ciebie świecił oczami.

Zauważyłam kolejną grupkę ludzi Eichela wychodzących z windy. Zapowiadało się na sesję plenarną.

— Wątpię, czy cię w ogóle wpuszczą. — Szef był z tego wyraźnie zadowolony. — Stephen i Brian Gould siedzą tam od pół godziny. Sprawy nie wyglądają najlepiej.

Nie miałam sił ani ochoty, by ciągnąć tę rozmowę, więc czekaliśmy w milczeniu. Wyłożony ciemnym drewnem korytarz wyglądał niezwykle ponuro w słabym świetle. Od czasu do czasu w ciszę wdzierał się podniesiony głos spoza zamkniętych drzwi sali konferencyjnej. Niestety, nie dawało się zrozumieć, co mówił. Parę razy usłyszeliśmy stłumiony śmiech dobiegający z drugiego końca korytarza, stamtąd, gdzie ekipa Eichela oczekiwała na swój triumf.

Wreszcie pojawił się Azorini. Miał na sobie przepoconą białą koszulę. Wyglądał ponuro.

— Nie pozwolą ci przemówić — rzekł. — Uważają, że chcemy tylko uratować moje poczucie godności. Twierdzą, że przyjechałaś tu w celach osobistych, nie oficjalnych. Nie obchodzą ich jakiegokolwiek zasady, co się stało, a co nie. Chcą po prostu mieć to z głowy — wydawał się zasmucony i zde gustowany.

A ja byłam po prostu wściekła. Nie przywlokłam się tu tylko po to, żeby mnie trzymano za drzwiami. Byłam gotowa zrobić wszystko, byle mnie wysłuchano.

— Poproś Tuckera, żeby przyszedł tu i zamienił ze mną parę słów — powiedziałam.

Sweet pojawił się w chwilę później. Miał niesamowicie poważną minę, ręce wcisnął do kieszeni. To była gra o wielką stawkę, a on przedkładał przyjemne towarzystwo nad ostrą walkę. Wyglądał jak człowiek, którego przerastała zaistniała sytuacja.

— Kate, błagam, nie mieszaj mnie w to — prosił. — To już naprawdę koniec. Wszystko jest takie... nieprzyzwoite. Twoje uczucia wobec Stephena nie pozwalają ci na obiektywny osąd.

— Przekaż swoim koleśiom z zarządu — rzuciłam jadowitym głosem — że chcę im o czymś opowiedzieć. Albo mnie wysłuchają, albo przeniosę się kilka przecznic dalej i wyśpiewam wszystko redaktorowi „Tribune”. Wtedy będą sobie mogli o tym jutro rano poczytać. Mnie tam nie zależy. Niech się zastanowią.

Po trzech minutach dębowe wrota rozwarły się i Stephen Azorini zaprosił mnie do środka.

Znad wypolerowanej powierzchni stołu konferencyjnego spoglądały zagniewane twarze. Po jednej stronie siedzieli udziałowcy. Większość z nich stanowili naukowcy, zatrudnieni u zarania działalności firmy przez Stephena, którym na przestrzeni lat udało się dojść do poważnych stanowisk w instytucji. Stephen otworzył przed nimi nowe perspektywy i na dodatek uczynił ich majątynymi. Dziś siedzieli w rządku, jak dzieci przygwożdżone miażdżącym spojrzaniem

nauczyciela. Azorini, nie wiem, czy świadomie, uciekał się do najprzeróżniejszych środków, włącznie z wykorzystaniem swojego dominującego wzrostu, by przycisnąć do muru tych, których niegdyś uważał za swoich ludzi. Atmosfera w pomieszczeniu była napięta do granic wytrzymałości.

Był tam oczywiście Anthony Azorini wraz z Jeffem Bassmanem z wydziału majątku i inwestycji z Callahan Ross pod pretekstem reprezentowania majątku Gretchen Azorini. Dostrzegłam też jej ojca. Zauważyłam, że brakuje mi Vita.

Po przeciwnej stronie siedział zarząd. Stephen, jako prezes, znajdował się najbliżej mnie, po prawej stronie. Obok niego zajmował miejsce Dick Porter, następnie Carl Swensen, Peter Chou, lekarz o nazwisku Adrian Cowling, Eugene Waldman, bankier, i wreszcie Tucker Sweet.

Brian Gould stał obok mnie i coś mówił, ale go nie słuchałam. Moją uwagę przykuł widok zarządu. Zabawne, pomyślałam w duchu, siedzą w tej samej kolejności, co na fotografii z rocznego sprawozdania z działalności firmy.

Fotografia z rocznego sprawozdania.

Przez moment wszystko się rozmyło — mój oddech, głos Briana Goulda, nawet ból. Nagle domyśliłam się, po co szesnastoletniej dziewczynie było zdjęcie zarządu przedsiębiorstwa farmaceutycznego. Nie zależało jej na wizerunku ich wszystkich, chodziło o jednego człowieka, człowieka, którego fotografii nie mogła trzymać na widoku. Reszta zarządu stanowiła kamuflaż.

Wtedy powróciłam do rzeczywistości. Znowu słyszałam swój oddech. Stephen dotknął mojego ramienia, chcąc, bym rozpoczęła przemówienie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Chwyciłam go za rękę.

— Cokolwiek by było, stań po mojej stronie — szepnęłam. Rozejrzałam się po twarzach, które patrzyły na mnie z obu stron stołu i poczułam gęsią skórę.

Gniew to wspaniały środek znieczulający. Podobnie jak strach. Tylko w ten sposób mogę wyjaśnić, jak udało mi się podjechać na środek, by zwrócić się do ludzi zgromadzonych w tej sali.

— Jestem przekonana, że doktor Azorini poinformował panów, w jakim celu przybyłam tu prosto ze szpitalnego łóżka, wbrew nakazom lekarzy, by do was przemówić. Nie chcę was namawiać, byście nie odstępowali firmy Edgarowi Eichelowi. Nie chcę dyskutować z wami o szczegółach finansowych. Przybyłam tu, by prosić was o jedno — o trochę czasu.

Edgar Eichel kupował tajne informacje na temat Azor Pharmaceuticals i wykorzystywał je w sposób nielegalny. Byłam na tropie tego, kto owych informacji mu dostarczał, i o mało co nie zostałam zamordowana.

— Wszystko to świetnie — przerwał mi Dick Porter i odkaszlnął znacząco. Miał pewną siebie minę. — Nie chcę, by pani pomyślała, że jej nie współczuję,

ale pan Sweet poinformował nas, że pobił panią włamywacz. Jakie ma pani dowody, iż tak nie było? Nie licząc oczywiście chęci oddania przysługi pani bliższemu przyjacielowi.

— Gretchen dowiedziała się, kto przekazuje Eichelowi dokumenty Azor. Została zamordowana, by nie mogła nikomu tego powiedzieć. Kiedy oznajmiłam wszem i wobec, że jestem na tropie zdrajcy, on spróbował zabić i mnie.

— Słyszałem, że prawnicy robią wszystko, by pomóc swoim klientom, ale te wymysły to już przesada — rzekł Porter głosem, w którym obrzydzenie mieszało się z żalem. — My wszyscy wiemy, przez co pani przeszła, i doceniamy lojalność wobec doktora Azoriniego, ale pani opowieść jest, szczerze mówiąc, niewiarygodna. Panie przewodniczący, zgłaszam wniosek o przeprowadzenie głosowania w sprawie fuzji z Edgarem Eichelem, która nastąpiłaby po zakończeniu rozpoczętych dzisiaj negocjacji.

Stephen spojrział na mnie.

— Proszę zaczekać! — krzyknęłam. — Możliwe, że nie mam wystarczających dowodów, by przekonać obecnego tu pana Portera, ale jeśli moją niewiarygodną opowieść usłyszą media, firma wpadnie w niezłe bagno.

— Zarząd nie powinien zezwalać osobom z zewnątrz na wygłaszanie takich gróźb — zaprotestował Tucker Sweet.

— Proszę was tylko o głosowanie, czy dać nam jeszcze trochę czasu. Jeśli postanowicie tego nie robić, zawołamy tu Edgara Eichela i rozpoczną się negocjacje. Ale, proszę, przynajmniej przeprowadźcie głosowanie.

Stephen podniósł się z miejsca i wniósł o głosowanie w sprawie odłożenia negocjacji. Wbił wzrok w Petera Chou, aż ten podniósł się pokornie i poparł wniosek.

— Uczalowcy nie muszą opuszczać pomieszczenia — poinstruowałam — głosowanie odbędzie się na piśmie. Richardzie, rozdaj członkom zarządu czyste kartki papieru. Panowie, proszę was teraz, byście napisali, czy popieracie bądź odrzucacie wniosek doktora Azoriniego o odłożenie terminu otwarcia rozmów z Edgarem Eichelem o czterdzieści osiem godzin. Następnie podpiszcie się, złożcie kartki na pół i oddajcie je Johnowi Guttmanowi. Ja wraz z nim, jako adwokaci spoza firmy, podliczymy głosy i przedstawimy oficjalną decyzję.

Richard Humanski wyciągnął czyste kartki papieru i rozdał je prezesom. Mój szef patrzył na mnie z niemą groźbą, wyraźnie rozwścieczony faktem, że tym razem ja przejęłam ster. Zauważyłam, że Anthony Azorini spogląda na mnie z błyskiem zaciekawienia w przenikliwych ptasich oczach. Podparł brodę wielką żyłastą dłonią.

Członkowie zarządu szybko naskrobali coś na swoich kartkach i złożyli je wpół. Tucker podsunął swoją w moją stronę. Pozostali zrobili to samo, aż wyrósł stosik siedmiu głosów. Napięcie wręcz rozsadało salę.

Wycofałam się z Guttmanem do najbliższego kąta. Tam porozkładaliśmy kartki i policzyliśmy głosy. Dwa razy.

Wynik brzmiał: pięć do dwóch przeciwko jakiegokolwiek odkładaniu negocjacji. Nawet Tucker Sweet głosował z większością. Ścisnęłam jego kartkę w dłoni.

— Nic nie mów — syknęłam do szefa. — Idź, przyprowadź Eichela.

— Nie sądzę... — zaprotestował, ale przerwałam mu.

— Rób, co mówię — powiedziałam tonem nieznośnym sprzeciwu. Nikt nie patrzył w moją stronę. Siedzieliśmy w milczeniu, czekając, aż Edgar Eichel odbędzie triumfalny marsz korytarzem. Kiedy wreszcie wkroczył do sali, wszyscy dziwnie pochylili głowy. Możliwe, że chcieli, by Azorini spotkał się ze swoim przeciwnikiem w cztery oczy, ale żaden z nich nie sądził, iż będzie przy tym obecny. Eichel był nadęty — wyglądał jak typowy zadowolony z siebie niski mężczyzna. Stephen nie potrafił ukryć swojej odrazy. Guttman wskazał Eichelowi pusty fotel, blisko szczytu stołu, naprzeciwko Stephena.

— Wynik głosowania zarządu Azor Pharmaceuticals w sprawie natychmiastowego rozpoczęcia rozmów z Edgarem Eichelem brzmi: pięć za, dwa przeciw — Eichel wręcz promieniał — ale, zanim przejdziemy do rzeczy, chciałabym poprosić was o jeszcze minutę uwagi.

Mój szef wbił we mnie jadowite spojrzenie. Zignorowałam go.

— Od samego początku intrygowało mnie, dlaczego Edgar Eichel chce wykupić Azor Pharmaceuticals. Coś w tym wszystkim nie grało. Po pierwsze, duża część akcji firmy znajduje się w posiadaniu ludzi, których uważa się za wysoce lojalnych wobec Stephena Azoriniego — rozejrzałam się po pełnych zakłopotania twarzach udziałowców i członków zarządu, po czym kontynuowałam. — Po drugie, Azor Pharmaceuticals to firma specjalistyczna, niezwykle nowoczesna, oparta na fachowości pracowników. I choć pan Eichel dowodzi, że może zatrudnić równie wybitnych ludzi jak ci, którzy pracowali u doktora Azoriniego, przez cały czas dziwiłam się, że człowiek o jego przeszłości wybiera, spośród wszystkich innych, przedsiębiorstwo zajmujące się czymś tak odbiegającym od jego dotychczasowych doświadczeń i ogólnej wiedzy.

Eichel nie wyglądał na zadowolonego, ale nic nie powiedział. Spojrzałam na członków zarządu. Wreszcie miałam ich niepodzielną uwagę.

— Jesteś skończony, przyjacielu — oświadczyłam, odwracając się w stronę Eichela z nieskrywaną pogardą. — Będziesz miał szczęście, jeśli uda ci się powrócić do handlu tłumikami. Twoja oferta skierowana do Azor Pharmaceuticals ma jakikolwiek sens tylko wtedy, jeśli od samego początku miałaś tu wtyczkę. To nie był nawet twój pomysł. Ktoś złożył ci propozycję nie do odrzucenia.

— Nie muszą tego go wysłuchiwać — wybełkotał Eichel.

— Pragnę wam coś pokazać — oznajmiłam, nie zwracając na niego uwagi. Kiwnęłam na Patty, by przyniosła moją aktówkę. Wyjęłam z niej kopię 13-D Azor, dokumentu, na którym widniała notatka zaczynająca się od „Drogi Edgarrze”.

— Leży przed wami formularz 13-D, który ma dopiero zostać przekazany Komisji Papierów Wartościowych. Jest to jeden z wielu dokumentów, które zostały udostępnione panu Eichelowi na długo przed otwarciem kampanii mającej doprowadzić do przejęcia Azor Pharmaceuticals. Proszę dokładnie przyjrzeć się charakterowi pisma i porównać go z tą próbką.

Położyłam 13-D przed zarządem. Obok umieściłam kartkę wypełnioną przez Tuckera Sweeta podczas głosowania. Charakter pisma był ten sam.

— To, że napisał cokolwiek, o niczym nie świadczy! — rozwścieczył się Eichel. — Nie możesz niczego udowodnić.

— Zgoda. Nawet mając potwierdzenie grafologa, nie mam dowodu na fakt przesłania dokumentów. Jednak wierzę, że kiedy Komisja Papierów Wartościowych zacznie głębiej w tym grzebać, odkryje powiązania, które będzie można łatwo udowodnić. Transakcje o tych rozmiarach są niebywale trudne do zatajenia. Sądzę, że nawet nie próbowałeś niczego ukryć. Na pewno myślałeś sobie: Kto miałby cokolwiek podejrzewać? Kto miałby podejrzewać Tuckera Sweeta o wyprzedaż firmy, w której był jednym z wiceprezesów?

— Kate — zaczął Tucker — jesteś ciężko ranna. Nie wiesz, co mówisz. Prze stań, zanim się bardziej skompromitujesz.

— Teraz mnie już nie powstrzymasz — warknęłam. Gniew narastał we mnie niczym żywa istota. — Powinieneś był to zrobić, kiedy miałaś okazję. Powinieneś był wykończyć mnie tak, jak wykończyłeś Gretchen.

Na pewno ciężko ci było ją zabić — kontynuowałam wywód — w końcu naprawdę ją lubiłeś. Zawsze przepadałeś za małymi dziewczynkami, nie, Tucker? Chyba bardziej lubisz tylko pieniądze. Mnóstwo pieniędzy. A przecież masz tak wyrafinowany gust. Roczne składki klubowe wiele cię muszą kosztować.

Jest jeden problem. To pieniądze Eunice, nieprawdaż? Jakże poniżało cię łązenie za swoją szkaradną żoną i prośby o kieszonkowe, z którego musiałaś się dokładnie wyliczyć. Przez to trudniej ukrywać było skoki w bok. Dlatego też byłeś zmuszony korzystać z obskurnej chatki Joeya w Mannetuoc, choć takie w niej przeciągi i tak mało wygod. W końcu Eunice z lupą przegląda wszystkie twoje rachunki!

Wyprzedaż Azor to wrota do upragnionej wolności. Eichel musiał ci nieźle zapłacić, żeby zrekompensować ponoszone przez ciebie ryzyko. Lecz chętnie zgodziłby się wypłacić dodatkową premię, byle tylko zdobyć coś takiego jak Azor. Wreszcie nikt nie chichotałby za jego plecami, pytając niewinnie, czy jada lunch w Yale Club czy Harvard Club. Byłby właścicielem przedsiębiorstwa farmaceutycznego. Oddałby duszę, byle tylko znaleźć się w takiej sytuacji.

Ale któregoś dnia dowiedziała się o tym Gretchen. Wszystko zawisło na włosku, nieprawdaż? Ty też znalazłeś się w niebezpieczeństwie. Gdyby to wyszło na jaw, plany ległyby w gruzach. Nawet jeśli nie wyjawiłaby nikomu, że ze sobą sypiacie, i tak miałbyś kłopoty z przedłużeniem członkostwa w swoich niezliczonych klubach. Ich szefowie mieliby cię za sprzedawczyka odstępującego tajne dokumenty takiemu nędznemu typowi jak Eichel. Nie, ludzie z socjety krzywo patrzą na tych, którzy zdobywają pieniądze niezgodnie z prawem, zarówno pisanym, jak i niepisanym.

Nie miałaś wyboru. Musiałaś ją powstrzymać.

Dlatego oświadczyłeś, że robisz to dla niej. Że chcesz uwolnić się od Eunice, a do tego potrzeba ci pieniędzy. Na pewno łatwo ją przekonałeś. Masz niewątpliwie dar przekonywania jak inni uwodziciele dzieci. Reszta to żaden problem.

Przez swoją cukrzycę Gretchen była niezwykle łatwym celem. Żadnej przemocy. Żadnych walk na plaży. Jej życie opierało się na utrzymywaniu delikatnej równowagi pomiędzy insuliną a przyjmowanym pokarmem. Wystarczyło, żebyś ją zakłócił, i dziewczyna dosłownie sama się zabije.

Ale musiałaś być pewien, że pojedzie z tobą do Wisconsin. Tymczasem, odkąd dowiedziała się o twojej zdradzie, stosunki między wami stały się nieco napięte. Miała wyrzuty sumienia. Nie wiedziała, wobec kogo powinna zachować lojalność. Wtedy powiedziałeś jej, że chcesz się z nią ożenić. Wspaniałe posunięcie.

Niestety, zaistniały pewne przeszkody. Pogorszenie pogody na lotnisku LaGuardia spowodowało opóźnienie zebrania zarządu i zmusiło cię, byś w ostatniej chwili zadzwonił do dziewczyny i poprosił, by pojechała do Wisconsin sama i tam zaczekała na ciebie. Rejestry centrali wykazują, że dzwoniłeś stąd. Zapis z zebrania dowodzi, że wyszedłeś w tym czasie, gdy miał miejsce telefon do Gretchen.

Kolejny problem: dwa samochody. Zostawiłeś jej auto na parkingu pod Kmartem. Następnego ranka wróciłeś tam i włożyłeś kluczyki do stacyjki. Miałaś pecha — nikt go nie ukradł. Gdyby nie ta rejestracja, szeryf za żadne skarby nie skojarzyłby zaginionej dziewczyny z Chicago z ciałem odnalezionym w Wisconsin.

Oczywiście, nie doceniłeś też mnie. Pewnie o mało co nie dostałeś zawału, kiedy wmaszerowałam do biura Stephena i oznajmiłam, że ktoś faksuje tajne materiały do Eichela. Byłam pewna, że poznam jego nazwisko. Spanikowałeś. Musiałaś coś zrobić.

Wiedziałaś, że tego wieczoru wybieram się na kolację do rodziców. Usłyszałeś, jak rozmawiam przez telefon. Nawet chciałeś mnie podwieźć. To ułatwiłoby ci zadanie. Ależ musiałaś być zdesperowany, żeby tak siedzieć w ciemności i czekać, aż się pojawię! Pewnie nie dowierzałeś swojemu szczęściu, kiedy wyszłam z domu i ruszyłam ukrytymi w ciemności schodami ku plaży.

Problem w tym, że skopałeś robotę, nie? Myślałeś, że nie żyję, czy też pies cię odstraszył?

— Nie możesz tego udowodnić! — wycedził Sweet zduszonym głosem. — Policja uważa, że zrobił to włamywacz. Przecież nawet nie pamiętasz, co tak naprawdę się stało!

— Pamięć zaczyna mi wracać. Ale masz rację, moje dowody nie wystarczyłyby, żeby cię skazać. Przynajmniej na razie. Lecz jak myślisz, co będzie, kiedy porównają twoje DNA ze spermą znaną w ciele Gretchen Azorini, z włosami z łóżka w domku i krwią na ubraniu, które miałam na sobie, w chwili gdy próbowałeś mnie zabić?

— Nie muszę tego wysłuchiwać — syknął Tucker.

Podniósł się na równe nogi.

Anthony Azorini kiwnął głową w stronę syna. Joey błyskawicznie znalazł się za plecami Sweeta. Chwyił go mocno za ramiona i usadowił z powrotem na krześle.

— Tucker, pokaż dłoń — powiedziałam.

— Nie muszę ci nic pokazywać — odparł gniewnie. — Rano skontaktują się z tobą moi adwokaci.

Joey chwycił Sweeta za włosy i rąbnął jego głową o blat stołu. Rozległ się obrzydliwy głuchy odgłos. Krew trysnęła mu z nosa i ściekała po powierzchni wypolerowanego drewna, tworząc gęstą kałużę. Stephen stanął przy swoim bracie. Joey wykręcił Tuckerowi rękę, a Stephen siłą wyciągnął jego drugą dłoń z kieszeni i powoli rozwinął bandaż.

Przytrzymując go za przegub, zademonstrował ją wszystkim. Postrzępiony brzeg skóry odstawał od spuchniętej, pociemniałej rany w kształcie półkola — śladu po ugryzieniu. Dokładnie w to miejsce ugryzłam napastnika.

Nagle Sweet wykonał błyskawiczny unik. Stephen i Joey upadli na podłogę. Wybiegł z sali, a oni podnieśli się i ruszyli w pościg. Reszta zebranych siedziała w bezruchu, jak idioci oglądający to wszystko na ekranie telewizora.

Anthony Azorini podniósł się z krzesła.

— Po co go ścigać — rzekł cicho — skoro nie ma gdzie uciec?

Rozdział 20

Obudziłam się w szpitalu. Elliott siedział na fotelu z nogami opartymi o moje łóżko. Szączył kawę i czytał gazetę. Ciekawe, czy nadal płacę mu za każdą godzinę? — pomyślałam.

— Co ja tu robię? — spytałam. Właściwie w porównaniu z ostatnim razem, kiedy oprzytomniałam w łóżku szpitalnym, czułam się dobrze.

— Najprawdopodobniej w trakcie zebrania pękło ci naczynie krwionośne. Claudia powiedziała, że o mało nie umarłaś w drodze do szpitala. Niewiele brakowało, ale naszpikowali cię antykoagulantami. Straciłaś jeszcze jeden dzień. Poza tym lekarze mówią, że wylizesz się z tego.

— Cały czas tu siedzisz?

— Tylko na dziennej zmianie. Stephen Azorini był tu przez całą noc. Nie chciał cię opuszczać, ale ciągle dzwonili do niego z biura. Obiecałem, że będę cię pilnował. Ma wrócić po południu. Uratowałaś jego tyłek. Gdyby nie ty, dziś rano szukałby pracy i dobrze o tym wie.

— To nie takiego. Byłam mu winna przysługę.

— Miałaś też paru innych gości. Przyszła twoja siostra. Długo z nią gawędziłem. Chyba nie jest z nią aż tak źle, jak wszyscy uważają. Musi po prostu wyrwać się z twojej porąbanej rodziny.

— Dziękuję panu, doktorze Freud.

— Nie ma sprawy. Była też Claudia. Dwa razy. A Guttman nie przestaje telefonować. Wiesz co, nie wiem, jak ty możesz z nim pracować — stwierdził Abelman i złożył gazetę na pół. — Za każdym razem, kiedy dzwoni, mówię: „Przykro mi, nie może podejść do telefonu, jest nieprzytomna”, a on wtedy wrzeszczy na mnie, jakby to była moja wina. Co za dupek.

— Ten dupek zarabia pięćset dolarów za godzinę — wtrąciłam.

— Musiałabyś płacić mi o wiele więcej, żebym tak się zachowywał — detektyw zademonstrował swój cudowny uśmiech. — A tak w ogóle, jak się czujesz? — spytał.

— Nie tak źle, jak można by się spodziewać. Nadal strasznie wyglądam?
— No. Powinnaś mi dać swoje stare zdjęcie, żebyśmy wiedział, jak wyglądasz, kiedy nie jesteś pobita. Mam dla ciebie wieści, ale nie wiem, czy w tym stanie je strawisz.

— Dobre czy złe?

— Zależy.

— Wal.

Podał mi gazetę złożoną tak, że przed oczami miałam pierwszą stronę sekcji lokalnej. Było na niej zdjęcie mercedesa. Szyba po stronie kierowcy rozprysnęła się wokół śladu po kuli. W środku dało się dostrzec niewyraźny zarys ludzkiej głowy spoczywającej bezwładnie na kierownicy. Nagłówek głosił: ZABÓJSTWO MILIONERA. Nie musiałam czytać dalej.

— Kiedy go dorwali?

— Gdzieś tak w godzinę po tym, jak uciekł z University Club. Piszą tu, że w bagażniku znajdowały się spakowane walizki, a on jechał w kierunku lotniska. Robota profesjonalisty. Wszyscy Azorini pewnie siedzieli daleko stamtąd, w jakimś kościele.

Pomyślałam o moim ojcu chrzestnym, człowieku, który kochał się z nastoletnią dziewczyną, a potem ją zabił, który pozostawił mnie, bym się wykrwawiła na śmierć w tym samym miejscu, gdzie uczył mnie puszczać latawce, kiedy miałam siedem lat.

— No i jak samopoczucie? — spytał Elliott po chwili.

Zamyśliłam się przez chwilę.

— Głodna jestem — odpowiedziałam.

— Co byś zjadła? Zaraz kogoś wyślę po żarcie.

— Schabowego z sałatką, polanego sosem Thousand Island.

— Schabowy? Chyba żartujesz.

— Na temat jedzenia? Nigdy — odparłam — zwłaszcza, kiedy jestem głodna.